

To był ich **wymarzony dom**.  
Teraz zmienił się w ich **najgorszy koszmar...**

# Para spod numeru 9



Claire Douglas

FILIA

Claire Douglas

Para  
spod  
numeru 9

Przełożyła  
Joanna Grabarek

**FILIA**

# CZĘŚĆ PIERWSZA

**Saffy***Kwiecień 2018 roku*

Jestem w ogrodzie z przodu domu i pielę chwasty rozłazące się z rabatek na podjazd jak gigantyczne pająki. Nagle słyszę krzyki, głębokie, gardłowe. W ogrodzie na tyłach domu pracują robotnicy z koparką. Przez cały poranek, kiedy przycinałam krzew róży rosnący pod oknami salonu, słyszałam jej niesione wiatrem warkotanie, upierdliwe niczym ból głowy. Teraz jednak ucichło; wystarczająco, żebym mogła nagle usłyszeć bicie mojego serca i żeby Snowy – mały westie[1] babci, który leży obok mnie – nastawił uszu. Odwracam się w stronę naszego niewielkiego domu, czując pot zbierający mi się między łopatkami. Czy coś się stało? Wyobrażam sobie kończyny powyrywane ze stawów i tryskającą krew – obraz całkowicie kontrastujący z przepięknym błękitem nieba i oślepiającym blaskiem słońca – i czuję nadciągające mdłości. Zawsze miałam raczej słaby żołądek, a teraz jeszcze jestem w czternastym tygodniu ciąży i nadal męczą mnie poranne nudności – w zasadzie to poranne, południowe i wieczorne.

Wstaję z klęczek. Na kolanach dzinsów mam odcisnięte plamy błota. Nadal mieszcę się w swoich normalnych ubraniach, chociaż w pasie zaczyna robić się nieco ciasniej. Przygryzam od wewnątrz policzek, zastanawiając się, co robić i w głębi duszy karcąc się za brak zdecydowania. Snowy również zrywa się na cztery łapy, nasłuchując. Wydaje z siebie krótkie pojedyncze warknięcia, kiedy jeden z robotników – Jonty, ten młody i przystojny – nagle wyłania się zza narożnika domu. Biegnie w moim kierunku. Pod pachami podkoszulka ma wilgotne plamy potu. Wymachuje w powietrzu czapkę z daszkiem, żeby zwrócić moją uwagę. Jego loki piaskowego koloru podskakują przy każdym kroku.

Cholera, zaraz powie mi, że wydarzył się wypadek. Tłumię chęć rzucenia się do ucieczki w przeciwnym kierunku. Zamiast tego przesłaniam oczy przed słońcem, które nagrzewa kryty strzechą dach. Jonty nie wygląda na rannego, ale kiedy się zbliża, widzę szok na jego piegowatej twarzy.

– Czy komuś się coś stało? – wołam, starając się zachować spokój w głosie. O Boże, będę musiała zadzwonić po karetkę. Panikuję. Nigdy w życiu nie dzwoniłam pod 999. Poza tym źle znoszę widok krwi. Kiedy byłam młodsza, chciałam być pielęgniarką, do czasu aż zemdlałam, kiedy moja najlepsza przyjaciółka spadła z roweru i rozcięła sobie kolano.

– Nie. Przepraszam, że pani przeszkadzam – mówi niewyraźnie, ledwo łapiąc oddech. – Znaleźliśmy coś. Powinna pani to zobaczyć. Szybko!

Rzucam moje rękawiczki ogrodnicze na trawę i ruszam za nim, obchodząc naszą chatkę. Snowy drepcze tuż za mną. Zastanawiam się, o co chodzi. Może jakiś skarb? Jakies relikty z przeszłości, które nadają się do wystawienia w muzeum? Jonty coś krzyczy, ale w jego głosie nie ma radości z odkrycia czegoś cennego. Słysząc w nim strach.

Żałuję, że nie ma tutaj Toma. Nie czuję się zbyt komfortowo w załatwianiu spraw z robotnikami, podczas gdy on jest w pracy: ciągle zadają mi jakieś pytania, oczekują ode mnie podejmowania decyzji, a ja boję się, że popełnię błąd. Poza tym nigdy nie byłam zbyt apodyktyczna. Tom i ja mamy po dwadzieścia cztery lata i dopiero trzy lata temu skończyliśmy uniwersytet. Wszystko to – przeprowadzka z mieszkania w Croydon do Beggars Nook, urokliwej wioski w Cotswolds, chatka z widokiem na las – było bardzo nieoczekiwane. Niespodziewany prezent.

Jonty prowadzi mnie do ogrodu na tyłach domu. Przed pojawieniem się robotników ogród wyglądał idyllicznie, pełen rozłożystych krzewów, z kapryfolum pnącym się po treliazu i ze skalnym ogródkiem w samym rogu, wypełnionym aksamitnymi bratkami w kolorach różu i fioletu. Teraz na środku stoi brzydka pomarańczowa koparka otoczona przez kopczyki świeżej ziemi. Pozostali dwaj robotnicy – trzydziestokilkuletni Darren z hippisowską brodą, który, sądząc po jego postawie, jest tu szefem, oraz Karl, mniej więcej w moim wieku, zbudowany jak rugbista – wpatrują się w wykopaną w gruncie dziurę z dłońmi wspartymi na biodrach i ciężkimi butami, nieco zapadniętymi w świeżej ziemi. Kiedy się zbliżam, obaj podrywają jednocześnie głowy i spoglądają na mnie z szokiem wypisanym na twarzach – chociaż oczy Karla płoną czymś w rodzaju dziwnego podekscytowania. Podążam za jego wzrokiem i przez chwilę widzę coś koloru kości słoniowej, zagrzebane w czarnej glebie i wystające z niej niczym roztrzaskana porcelana. Instynktownie sięgam w dół i chwytam Snowy'ego za obrożę, żeby powstrzymać go przed rzuceniem się do dziury.

– Podczas kopania natrafiliśmy... *na coś*. – Darren zakłada ręce na piersi. Na jego podkoszulku widnieją smugi brudu.

– Co to takiego? – Snowy próbuje się wyrwać, więc zacieśniam chwyt.

– Szczątki – odpowiada Darren ponuro.

– W sensie... zwierzęcia? – pytam. Darren i pozostali wymieniają spojrzenia. Karl robi kilka pewnych, niemal radosnych kroków w moim kierunku, wzbudzając kurz z ziemi.

– Wygląda jak ręka...

Cofam się przerażona.

– Chcecie powiedzieć... że to człowiek?

Darren przygląda mi się ze współczuciem.

– Tak myślę. Niech pani lepiej wezwie policję.

[1] West highland white terrier, rasa psów [przypisy pochodzą od tłumaczki].

Kiedy dwie godziny później Tom wreszcie pojawia się w domu, spaceruję nerwowo po naszej małej kuchni. Pomieszczenie wygląda jak relikwiarz z lat osiemdziesiątych, wyposażone w wiejskie meble i wyłożone terakotą z obrazkami tłustych świnek i owiec. Udało się nam tu wcisnąć nasz dębowy stół zabrany z mieszkania, ale można spod niego wyciągnąć tylko dwa z czterech krzeseł. Niedługo po przeprowadzce w lutym usiedliśmy z architektem – niskim łysiejącym mężczyzną po sześćdziesiątce o imieniu Clive, polecanym przez miejscowych – by opracować przebudowę domu. Kuchnia miała zostać powiększona i ciągnąć się przez całą szerokość chaty, z francuskimi drzwiami firmy Crittal prowadzącymi do rozległego ogrodu. Szczerze powiedziawszy, oderwałam się przynajmniej dzięki temu od myśli o ciąży, o którą nadal się trzęsę, mimo że miałam już USG w dwunastym tygodniu i wszystko wygląda dobrze. Nękają mnie jednak przerażające myśli. Co, jeśli stracę dziecko? Co, jeśli nie rozwinie się prawidłowo, przyjdzie na świat za wcześnie albo urodzę je martwe? Co, jeśli nie będę umiała sobie poradzić z niemowlęciem i nabawię się depresji poporodowej?

Ciąża nie była planowana. Rozmawialiśmy niezobowiązująco z Tomem, że może pomyślimy o tym po ślubie, ale oboje byliśmy zajęci rozpoczynaniem pracy, wspinaniem się po szczeblach karier i oszczędzaniem na wkład własny, abyśmy mogli kupić mieszkanie. Dzieci i ślub odkładaliśmy na później, kiedy będziemy starsi. Kiedy wreszcie staniemy się prawdziwymi dorosłymi. Zachorowałam jednak na gripę żołądkową i zapomniałam o dodatkowych zabezpieczeniach. W ten oto sposób jedno małe potknięcie zaowocowało wpadką. *Dziecko*. Będę młodą mamą, chociaż nie aż tak młodą jak moja własna.

Snowy leży wyciągnięty na swoim legowisku przy piecyku, z głową na przednich łapach, obserwując, jak przechadzam się nerwowo po pomieszczeniu. Za oknem z szybek w ołowianych ramkach widzę zamieszanie w ogrodzie. Nad

połową trawnika wzniesiono biały namiot. Policjanci i technicy kryminalistyczni wciąż tam wchodzą i wychodzą, podobnie jak funkcjonariusz z kamerą na szyi. Dookoła namiotu rozwinięto fluorescencyjną taśmę policyjną, która teraz trzepocze na wietrze. Widnieje na niej napis „MIEJSCE ZBRODNI, NIE WCHODZIĆ” i za każdym razem, gdy zahaczam o nią wzrokiem, zbiera mi się na wymioty. Może z daleka wygląda to jak scena z serialu kryminalnego ITV, ale obecność taśmy uświadamia mi realność tej sytuacji. Byłam zaskoczona (i trochę dumna z siebie), że tak szybko opanowałam sytuację, kiedy już zdołałam otrząsnąć się z pierwszego szoku. Mimo że serce waliło mi jak młotem, zadzwoniłam po policję, a potem, po złożeniu zeznań, odesłałam robotników do domu, zapewniając, że dam im znać, kiedy będą mogli podjąć ponownie pracę. Następnie zadzwoniłam do Toma do jego londyńskiego biura; powiedział, że złapie najbliższy pociąg do domu.

Słyszę lambrettę Toma wjeżdżającą na podjazd; zawsze chciał mieć motorynkę, więc kiedy przeprowadziliśmy się tutaj, sprawił sobie używany model, żeby przemieszczać się do i ze stacji kolejowej. To znacznie tańsze niż dwa samochody, a wszystkie zaoszczędzone pieniądze pójdą na dobudówkę.

Słyszę trzaśnięcie drzwi. Tom wbiega do kuchni z niepokojem wypisanym na twarzy. Na nosie ma okulary z modną czarną oprawką, które kupił po rozpoczęciu swojej nowej pracy w wydziale finansowym firmy technologicznej ponad rok temu. Uważał, że przydają mu powagi. Jego grzywka koloru piasku opada mu na twarz, a lniana koszula i marynarka, które nosi do dżinsów, są pomięte. Nieważne, w co się ubiera, nadal jakimś sposobem wygląda na studenta. Pachnie Londynem: spalinami, pociągami, kawami na wynos i kosztownymi perfumami innych ludzi. Snowy płacze mu się pod nogami i Tom pochyla się, żeby poklepać go po zadku, wyraźnie rozkojarzony, próbując skoncentrować się na mnie.

– O Boże, dobrze się czujesz? Co za szok... dziecko? – pyta, prostując się.

– Wszystko jest w porządku. Nic nam nie jest. – Troskliwie zasłaniam brzuch dłońmi. – Policja nadal jest w ogrodzie. Przesłuchali już mnie i robotników, a teraz rozwieszają taśmę, stawiają namiot i tym podobne.

– Kurwa. – Spogląda nad moim ramieniem na scenkę dziejącą się za oknem i jego twarz przesłania na kilka sekund ciemna chmura. Potem odwraca się do mnie. – Podali ci jakieś informacje?

– Niewiele. To ludzki szkielet. Nie wiadomo, jak długo tam był. Równie dobrze może pochodzić sprzed kilkuset lat.



– Albo z czasów rzymskich. – Uśmiecha się krzywo.

– Dokładnie. Prawdopodobnie był tam, zanim zbudowano Skelton Place, czyli przed... – Marszczę czoło, bo nagle uświadamiam sobie, że nie pamiętam tej informacji.

– Tysiąc osiemset pięćdziesiątym piątym.

Oczywiście, że Tom pamięta. Wystarczy, żeby przeczytał coś raz, i wszystko zapamiętuje. Zawsze zgłaszał się jako pierwszy do odpowiedzi w quizach z wiedzy ogólnej i nieustannie sprawdza różne ciekawostki i fakty w telefonie. Jest moim całkowitym przeciwieństwem: spokojny, pragmatyczny, nigdy nie reaguje nerwowo.

– Wygląda na poważną sprawę – mówi zamyślony, nadal wpatrując się w policjantów za oknem. Podążam za jego wzrokiem. Właśnie pojawił się ktoś z dwoma psami wyszkolonymi do lokalizowania ludzkich zwłok. Czyżby podejrzewali, że jest tu więcej trupów? Wywraca mi się w żołądku.

Tom spogląda na mnie.

– Nie tego się spodziewaliśmy po przeprowadzce na prowincję – mówi z powagą. Milknie na chwilę, a potem oboje wybuchamy nerwowym śmiechem.

– O Boże – przytomnieję. – Chyba nie powinniśmy. W końcu ktoś tutaj zmarł. Znów zaczynamy chichotać.

Przerywa nam głośnie chrząknięcie. Odwracamy się do umundurowanej policjantki, stojącej przy tylnym wyjściu z domu – drzwi wyglądają jak w stajni, gdzie górna część otwiera się osobno. Kobieta stoi tuż za nimi, ujęta w ramy drzwi i framugi, zupełnie jakby za chwilę miała zaprezentować przedstawienie kukiełkowe. Przygląda się nam, jakbyśmy byli dwójką niegrzecznych uczniów. Snowy zaczyna na nią szczekać.

– Uspokój się – mamrocze Tom do psa.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczyna kobieta, wcale nie wyglądając na speszoną. – Pukałam. – Otwiera dolną część drzwi i staje na progu.

– Nie ma sprawy. – Tom puszcza Snowy'ego, który natychmiast podbiega do policjantki i zaczyna obwąchiwać jej spodnie. Kobieta wygląda na lekko zirytowaną i delikatnie odpycha go nogą.

– Posterunkowa Amanda Price. – Jest od nas starsza o jakieś piętnaście lat. Ma ciemne włosy obcięte na boba i intensywnie niebieskie oczy. – Czy mogę potwierdzić, że są państwo właścicielami posiadłości? Tom Perkins i Saffron Cutler?

Technicznie rzecz biorąc, właścicielką jest moja mama, ale nie zamierzam komplikować spraw, tłumacząc jej to.

– Tak. – Tom spogląda na mnie wymownie. – To nasz domek.

– Rozumiem. Obawiam się, że będziemy zmuszeni zostać tu trochę dłużej. Czy mogą się państwo u kogoś zatrzymać na dzisiejszą noc, albo lepiej, na weekend?

Myślę o Tarze, która w tej chwili mieszka w Londynie, oraz o mojej przyjaciółce Beth w Kencie. Koledzy Toma mieszkają albo w Poole, skąd pochodzi, albo w Croydon.

– Mieszkamy tutaj od niedawna. Nie mamy jeszcze zbyt wielu znajomych w okolicy – odpowiadam, po raz kolejny konstatuując z przykrością, że jesteśmy bardzo odosobnieni w tym nowym miejscu, z dala od cywilizacji.

– Rodzice mieszkają w pobliżu?

Tom potrząsa głową.

– Moi nadal są w Poole, a mama Saffy przebywa w Hiszpanii.

– Natomiast ojciec mieszka w Londynie – dodaje. – Ale ma tylko kawalerkę...

Kobieta marszczy czoło, jakbyśmy poczęstowali ją informacjami, których zupełnie nie potrzebuje.

– W takim razie sugeruję hotel, tylko do niedzieli. Policja opłaci państwa wydatki na ten czas. Chodzi o to, żeby móc zabezpieczyć właściwie miejsce zbrodni i dokończyć wykopki.

Słowa „miejsce zbrodni” i „wykopki” sprawiają, że znów robi mi się niedobrze.

– Kiedy możemy wrócić do przerwanych robót? – pyta Tom.

Policjantka wzdycha, jakby posunął się tym pytaniem za daleko.

– Obawiam się, że nie będą państwo mogli korzystać z ogrodu na tyłach domu, dopóki wydobyte i usunięcie szkieletu nie zostaną zakończone. Musicie państwo poczekać na informacje od kryminalistyków. Techników badających miejsce zbrodni – dodaje gwoli wyjaśnienia, kiedy spoglądamy na nią nieco zagubieni.

– Więc sądzi pani, że to była zbrodnia? – Rzucam Tomowi zaniepokojone spojrzenie, a on usiłuje się uśmiechnąć pokrzepiająco, chociaż wygląda to bardziej jak grymas.

– Owszem, traktujemy to w tej chwili jak miejsce przestępstwa – odpowiada policjantka, jakby uważała mnie za koszmarnie głupią, ale nie oferuje nam żadnych dodatkowych informacji. Wyczuwam, że prośba o dalsze wyjaśnienia byłaby bezowocna.

– Mieszkamy tutaj zaledwie od kilku miesięcy. – Czuję, że powinnam to wytłumaczyć, na wypadek gdyby ta surowa policjantka uważała, że mieliśmy coś wspólnego z tą zbrodnią... jakbyśmy mieli w nawyku ukrywanie trupów w ogrodzie. – Ten szkielet mógł tutaj przebywać od lat... może nawet stuleci... – Zawieszam głos z nadzieją, ale wyraz jej twarzy sprawia, że milknę.

Posterunkowa Price zaciska usta.

– Nie wolno mi w tej chwili zdradzać żadnych dalszych szczegółów. Wydział kryminalistyki poprosił antropologa sądowego o potwierdzenie, że mamy do czynienia z kośćmi ludzkimi. Będziemy państwa informować.

Myślę o ręce, którą podobno widział Karl. Chyba nie ma zbyt wielkich wątpliwości. Zapada niewygodna cisza, a potem kobieta odwraca się, żeby wyjść. Zatrzymuje się jednak, jakby nagle o czymś sobie przypomniała.

– Och, i bardzo bym prosiła, żeby opuścili państwo dom w ciągu godziny.

Obserwujemy, jak wychodzi do ogrodu, prosto w makabryczny świat policyjnego śledztwa, i muszę walczyć ze łzami napływającymi mi do oczu. Tom w milczeniu szuka mojej ręki, jakby stracił zdolność zaoferowania jakichkolwiek słów pocieszenia.

Nagle uderza we mnie: to się dzieje naprawdę. Nasz wymarzony dom, nasz śliczny dworek jest teraz miejscem zbrodni.

\*

Na szczęście miejscowy pub Pod Jeleniem i Bażantem ma wolny pokój, w którym możemy się zatrzymać, i w dodatku pozwalają w nim trzymać psy. Pojawiamy się tam z jedną torbą na osobę. Tom nalega, żeby nieść je obie, mi zaś pozostaje prowadzenie na smyczy Snowy'ego.

Gospodyni, Sandra Owens, przygląda się nam pytająco.

– Czy państwo nie są właścicielami tego domku na Skelton Place? – pyta, widząc nas siedzących w części z barem. Od przeprowadzki do Beggars Nook przyszliśmy do tego pubu tylko raz, w zeszłym miesiącu, na niedzielny lunch. Zrobiły na nas wrażenie seledynowe ściany, rustykalne meble i smakowite domowe jedzenie. Podobno kiedy pięć lat temu Owensowie przejęli ten pub, przeprowadzili tu remont generalny.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Kiedy wiadomości wydostaną się do wiadomości publicznej, wszyscy będą o tym plotkowali.

– Mamy drobny problem z przebudową – odpowiada Tom, uprzejmie, ale niezobowiązująco. – Dlatego uznaliśmy, że najlepiej będzie wyprowadzić się na kilka dni, dopóki wszystko nie zostanie załatwione.

– Aha. – Sandra nie wydaje się szczególnie przekonana. Jest już sporo po pięćdziesiątce, atrakcyjna, w eleganckiej obcisłej sukience i z rozjaśnianymi włosami przyciętymi w bob. Pewnie wkrótce dowie się prawdy, ale żadne z nas nie chce jej zdradzać dziś wieczór. Chociaż nie ma jeszcze dwudziestej trzeciej, czuję się nagle potwornie zmęczona. Mam ochotę wczłgać się do łóżka.

Sandra prowadzi nas do dwuosobowego pokoju, małego i przytulnego, z widokiem na las.

– Śniadanie serwujemy między siódmą trzydzieści i dziesiątą – mówi przed wyjściem.

Tom stoi przy tacce z przyborami do parzenia herbaty, spoglądając przez małe okno na zarys drzew w oddali.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówi, zwrócony do mnie plecami.

Wyciągam się na łóżku – pięknym łożu z baldachimem i z pikowaną atramentowo czarną narzutą. Normalnie byłaby to dla nas fajna odskocznia. Nie mieliśmy wakacji od wieków – przez ostatnie pięć miesięcy wszystkie pieniądze odkładaliśmy na rozbudowę domu – ale to, co zostało wykopane w naszym ogrodzie, kładzie się cieniem na całą sytuację.

Snowy wskakuje na łóżko obok mnie, kładzie mi głowę na udach i spogląda na mnie smutnymi brązowymi oczami.

– Nie mogę uwierzyć, że zostaliśmy wyrzuceni z naszego własnego domu – mówię, gładząc łeb psa. Owijam się szczelniej swetrem. Zrobiło się zimno, a może to tylko szok.

Tom uruchamia mały plastikowy czajnik, a potem przyłącza się do nas na łóżku. Materac jest miększy niż nasz domowy.

– Wiem, ale wszystko będzie dobrze – mówi w przypiływie swojego zwyczajowego optymizmu. – Wkrótce będziemy mogli na nowo podjąć remont i wszystko wróci do normy.

Wtulam się w niego, żałując, że mu nie wierzę.

\*

Opieramy się chęci, żeby przejść koło domu, i cały weekend spędzamy w pubie lub na długich spacerach po wiosce i po okolicznych lasach.

– Cóż, przynajmniej mam jeden weekend wolny od remontu – mówi Tom w sobotę, chwytając mnie za rękę, kiedy przechadzamy się po rynku. Tom zdążył już sporo zrobić w domu od czasu naszej przeprowadzki: zerwał ze schodów poprzecierany dywan, pomalował ściany w dużym pokoju i naszej sypialni na srebrnoszary kolor, a także wycyklinował podłogi. Teraz zaplanował pozbycie się tapety w małym pokoju, który mieliśmy odnowić przed pojawieniem się dziecka, chociaż odkładał to do mojego badania USG, żeby nie kusić losu.

Kiedy w końcu w niedzielę po lunchu wracamy do chatki, z walizkami, niczym goście we własnym domu, czuję rozczarowanie. Na podjeździe nadal stoją samochody i półciężarówki policyjne. Kolejny funkcjonariusz, tym razem facet w średnim wieku, informuje nas, że powinni wynieść się do wieczora i że możemy wejść do domu, ale ogród pozostanie zamknięty, dopóki nie skończą. Zastanawiam się, czy przeszukali dom w środku. Sama myśl o tym sprawia, że czuję się niepewnie. Nie podoba mi się fakt, że policja grzebała w naszych rzeczach. Kiedy dzielę się tym z Tomem, zapewnia mnie, że gdyby mieli zrobić rewizję w środku, na pewno by nam o tym powiedzieli.

Przez resztę popołudnia chowamy się w dużym pokoju.

– Co sobie muszą myśleć sąsiedzi? – Staję w oknie, popijając bezkofeinową herbatę. Myślę o starym Jacku i Brendzie z domu obok. Nasze posesje oddziela żywopłot, ale Brenda zdecydowanie lubi obserwować wszystko zza firanek, a kiedy Clive wysłał do wszystkich w okolicy propozycję rozbudowy naszej kuchni, oboje się jej sprzeciwili.

Na początku naszego podjazdu, tylko częściowo przesłoniętego wozami policyjnymi, zgromadził się mały tłumek ludzi.

– Założę się, że to dziennikarze. – Tom staje za mną i spogląda w tamtą stronę nad moim ramieniem. W dłoni trzyma kubek. – Może lepiej, jeśli zadzwonisz do ojca i poprosisz o poradę.

Mój tata jest głównym reporterem jednego z narodowych brukowców. Kiwam głową ponuro. Czuję się tak obnażona, jakby ktoś zerwał dach z naszego domu.

– To jakiś koszmar – mruczę pod nosem i bodaj po raz pierwszy Tom nie spieszy z pocieszeniem. Wpatruje się w okno, popijając w milczeniu kawę, a na jego poważnej twarzy drgają lekko mięśnie szczęk.

Nieco później dzwonię do taty z prośbą o radę.

– Nie zamierzasz dać staremu ojczulkowi wyłączności? – odpowiada ze śmiertelną powagą.

Śmieję się.

– Ale ja nic nie wiem! Może się okazać, że te kości mają setki lat.

– Cóż, jeśli nie, to muszę cię ostrzec, że gdy tylko policja potwierdzi morderstwo i zidentyfikuje ciało, zaatakuje was prasa.

– Może powinniśmy się wyprowadzić? – pytam, chociaż nie mam pojęcia, gdzie moglibyśmy się zatrzymać. Nie stać nas na hotel. Szkoda, że tata nie mieszka bliżej. Albo mama; ona jest jeszcze dalej.

– Nie, nie, zdecydowanie tego nie rób. Po prostu przygotuj się, to wszystko. I jeśli będziesz czegoś potrzebować, informacji albo porady, daj mi znać. – Wiem, że jest w pokoju prasowym, bo w tle słyszę dzwonienie telefonów i gwar rozmów.

– Zamierzasz kogoś do nas wysłać?

– Póki co skorzystamy pewnie z agencji prasowej, ale jeśli zdecydujesz się udzielić wywiadu, pamiętaj o mnie, dobrze? Serio, Saff, jeżeli nie będziesz czegoś pewna, czy to w rozmowie z policją, czy z reporterami, zgłoś się najpierw do mnie.

– Dzięki, tato. – Czuję się pokrzepiona. Mój ojciec zawsze potrafił zapewnić mi poczucie bezpieczeństwa.

\*

Następnego poranka policja składa namiot i zwija taśmę. Wpatrujemy się z Tomem przerażeni w ogromną dziurę w ogrodzie. Jest cztery razy większa, niż kiedy wyjeżdżali stąd robotnicy. Tom pyta swojego szefa, czy mógłby popracować z domu przez kilka dni, które spędzamy, usiłując uniknąć grupki dziennikarzy nadal czających się w okolicy.

A potem, w środę, kiedy Tom wraca do pracy, dzwoni policja.

– Obawiam się, że mam dla pani złe wiadomości – mówi detektyw szorstkim głosem. Przedstawił się, ale natychmiast zapomniałam jego nazwisko.

Sztywnieję. Czekałam w milczeniu.

– Znalaziono dwa ciała.

Niemal upuszczam słuchawkę.

– Dwa ciała?

– Niestety, tak. Wydobyto wszystkie kości i kryminaliści zdołali ustalić, że jedną z ofiar był mężczyzna, a drugą kobieta. Dzięki analizie budowy i stopnia dojrzałości kości dowiedzieliśmy się również, że oboje pokrzywdzeni mieli w chwili śmierci między trzydzieści a czterdzieści pięć lat.

Nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa. Czuję, jak zbiera mi się na wymioty.

– Kobieta – ciągnie detektyw – zmarła na skutek uderzenia w głowę tępym narzędziem. Nadal próbujemy ustalić, w jaki sposób zginął mężczyzna. Rozkład tkanek utrudnia nam to zadanie. W przypadku szkieletu kobiety było to łatwiejsze ze względu na złamanie kości czaszki.

Zaciskam powieki, usiłując nie wyobrazić sobie tego.

– To... to okropne. – Ledwie jestem w stanie przyswoić sobie te informacje. – Czy pan... czy jesteście pewni, że nie ma tam już nikogo więcej? – Nagle przed oczami staje mi wizja rozkopanego ogrodu odsłaniającego masowy grób i wzdrygam się na tę myśl. Przychodzą mi do głowy inne „domy strachu”, jak opisuje je prasa dla wzbudzenia sensacji: dom nr 25 na Cromwell Street, White House Farm. Czy nasz mały domek też stanie się równie niesławny? Czy utkniemy tutaj na zawsze, bo nikt nie będzie chciał go od nas kupić? Serce przyspiesza w mojej piersi i przętykam nerwowo, próbując skoncentrować się na słowach detektywa.

– Wezwaliśmy jednostkę ze specjalnie tresowanymi psami. Jesteśmy pewni, że nie ma tam więcej ciał.

– Jak... jak długo one tam leżały?

– Tego jeszcze nie możemy być stuprocentowo pewni. Gleba w państwa ogrodzie jest dość zasadowa, do tego warunki... zabezpieczyliśmy fragmenty ubrań i butów, ale sądzymy, że znaleźli się tam nie wcześniej niż około 1970 roku, zaś sądząc po stanie rozkładu, oceniamy, że śmierć nastąpiła nie później niż w 1990 roku.

Czuję gęsią skórę na całej skórze. W moim domu zamordowano dwie osoby. *W mojej idyllicznej wiejskiej chatce.* Wszystko nagle staje się mroczne i nierealne.

– Oczywiście musimy porozmawiać ze wszystkimi mieszkańcami posesji między rokiem 1970 i 1990 – ciągnie detektyw. – Obawiam się, że oznacza to panią Rose Grey, poprzednią właścicielkę domu.

Pokój kołysze się niebezpiecznie wokół mnie.

Rose Grey to moja babcia.

*Maj 2018 roku*

Nie potrafię przestać myśleć o ciałach. Nie opuszczają mnie, kiedy zabieram Snowy'ego na codzienne spacerunki po wiosce, kiedy oglądam telewizję z Tomem, kiedy pracuję nad projektem w małym pokoiku w przedniej części domu ze ścianami pokrytymi kwiecistą tapetą z lat siedemdziesiątych (używam go jako mojego studia).

Wieści o odkryciu w naszym ogrodzie naturalnie szybko rozniosły się po okolicy i chociaż upłynęło już ponad dziesięć dni, ludzie nadal rozważają, co się mogło stać. Nie wiedzą jeszcze o najnowszych odkryciach co do tego, jak i kiedy zginęły obie ofiary, ale kiedy wcześniej tego dnia wstąpiłam do miejscowego sklepiku, usłyszałam starszą panią McNulty plotkującą o sprawie z jedną z jej psiapsiółek – przygarbioną kobietą w chustce na głowie, popychającą przed sobą kraciastą torebkę na kółkach.

– Moim zdaniem to sprawka Turnerów – mówiła. – Mieszkali tutaj przez wiele lat. Pani Turner była bardzo nijaka.

– Zaraz. – Pani McNulty ściszyła głos. Jej paciorkowate oczy lśniły z podniecenia. – Czy przypadkiem kilka lat temu nie było tej afery? Tej z jego siostrzeńcem i skradzionymi przedmiotami?

– O tak, teraz pamiętam. Wyprowadzili się dość pospiesznie – odparła kobieta w chustce na głowie. – Kiedy to było? Dwa lata temu? Podobno zostawili dom w okropnym stanie – szepcze. – Słyszałam, że wszystko zbierali. Chociaż ogródek mieli schludny. Pani Turner lubiła sadzić kwiaty cebulkowe.

– A teraz pojawili się tutaj ci młodzi.

– Słyszałam, że podobno dostali ten domek *za darmo*. Spadek czy coś.

– Niektórzy to mają w życiu szczęście.

Poczułam, że płoną mi policzki. Odstawiłam puszkę fasolki po bretońsku z powrotem na półkę i wyszłam ze sklepu, zanim ktokolwiek zdążył mnie zauważyć.



Teraz ściągam sweter z oparcia krzesła. Dzisiaj jest chłodniej, słońce z trudem przebija się przez chmury. Pochylam się nad legowiskiem Snowy’ego i całuję go w czubek puszystego łba.

– Do zobaczenia później, proszę pana.

Dzisiaj, jak w każdy czwartek, kończę pracę wcześniej, żeby móc odwiedzić babcię. Czuję przyływ poczucia winy, kiedy myślę o tym, że nie byłam u niej w zeszłym tygodniu z powodu stada dziennikarzy koczujących przed domem. Dzisiaj jednak będzie inaczej niż we wszystkie inne czwartki. Dzisiaj, kiedy usiądę naprzeciwko babci, będę się zastanawiać, co się stało lata temu. W jaki sposób dwoje ludzi zginęło i zostało pogrzebanych w jej ogrodzie?

\*

Podeszwy moich znoszonych żółtych tenisówek zgrzytają na zwirowanym podjeździe, kiedy biegnę do mojego mini. Mam na sobie dzinsowe ogrodniczki z podwiniętymi nogawkami. Są znacznie wygodniejsze teraz, kiedy mój brzuch zaczyna w końcu rosnać. Jestem w szesnastym tygodniu i mam mały wzgórek, chociaż wyglądam, jakbym była wzdęta, a nie w ciąży. Ciemne falujące włosy zebrałam w kucyk za pomocą żółtej gumki. Mama zawsze kręciła nosem na moją kolekcję gumek do włosów.

– Są takie staroświeckie, jak... z *lat osiemdziesiątych* – mówi nieodmiennie, wywracając oczami. – Nie mogę uwierzyć, że wróciły do mody.

Nie widziałam się z nią od świąt Bożego Narodzenia, które nie wypadły najlepiej przez jej gburowatego faceta Alberto. Mijają kolejne tygodnie, a ja nadal nie powiedziałam jej, że będzie babcią. Za każdym razem, kiedy już zamierzam, wyobrażam sobie jej rozczarowanie.

Wsiadając za kierownicę, dostrzegam mężczyznę stojącego na drodze, częściowo przesłoniętej przez mur ogrodzenia. Nieznajomy przygląda się naszej chacie. Jest krępy, z twarzą jak buldog. Ma pod sześćdziesiątkę i nosi dzinsy i woskowaną kurtkę. Kiedy mnie zauważa, oddala się. Czy robił zdjęcia domu? Pewnie to kolejny dziennikarz. Większość z nich chwilowo się poddała – dopóki nie pojawią się jakieś nowe informacje. Od czasu do czasu jednak przybywają jacyś nowi, niczym chwasty w moim ogrodzie. W sobotę, kiedy szliśmy podjazdem do drogi, żeby wyprowadzić Snowy’ego na spacer, jakiś dziennikarz wyskoczył zza rogu i zaczął robić nam zdjęcia. Tom strasznie się wkurzył

i zaczął na niego przeklinać, kiedy mężczyzna uciekał jak niepyszny do swojego samochodu.

Wyjeżdżam na drogę i powoli mijam krępego nieznajomego, upewniając się, że ma wystarczająco dużo miejsca, żeby nie musiał wciskać się w żywoplot. Mężczyzna rzuca mi tak intensywne spojrzenie, że aż mnie mrozi. W lusterku wstecznym obserwuję, jak wsiada do czarnego sedana zaparkowanego nieco dalej na wzgórzu, obok numeru osiem.

Tom wrócił wczoraj do domu z pracy, mówiąc, że przeczytał artykuł o ciałach wykopanych w ogrodzie w dzienniku „Sun”, który ktoś zostawił w metrze. Tytuł artykułu był typowo szukający sensacji i stanowił grę słów o szkieletach na Skelton Place. Było tam również zdjęcie, które dziennikarz zrobił nam w sobotę, przedstawiające nasze zaskoczone twarze.

– O Boże, Tom. – Blednę ze strachu. – Zaczną o nas mówić, że jesteśmy wiltshire’owskim odpowiednikiem Freda i Rosemary Westów[2]!

Tom roześmiał się szczerze.

– Nie, nie złączą. Przecież tamto zdarzyło się przynajmniej trzydzieści lat temu. Nas nie było wtedy nawet na świecie.

*Ale moja babcia tak.*

Odpycham od siebie myśl o nieznanym z twarzą buldoga i jadę dalej, mijając pub Pod Jeleniem i Bazantem stojący u podnóża góry. Rozmyślam o tym, jak spokojna jest wioska Beggars Nook z jej malowniczymi domami zbudowanymi z materiałów z miejscowych kamieniołomów. Przecinam rynek, chłonąc widok krzyża stojącego na rynku, ślicznego kościółka, sklepu na rogu placu, kawiarenki i butiku sprzedającego ozdóbki, pocztówki i byle jakie, lecz kosztowne ciuchy. Wszystko to znajduje się w odległości krótkiego spaceru od domu, skryte w dolinie otoczonej lasami i starymi dębami o gęstych koronach, wyciągających się w górę, do nieba. Wydaje się, jakby wioska ukrywała się przed resztą świata. Przejeżdżam przez most i ruszam dalej, długą, krętą drogą z pięknymi kamiennymi domkami po obu stronach, docierając wreszcie do farmy na końcu miejscowości. Wszystko tutaj jest tak bardzo inne od zabudowanego Croydon. Takie bezpieczne. A przynajmniej tak sądziłam – teraz nie jestem już pewna.

Morderstwa musiały się zdarzyć, zanim babcia kupiła dom w latach siedemdziesiątych. Wiem, że po przeprowadzce do Bristolu przez bardzo długi czas wynajmowała tę chatkę. Dowiedziałyśmy się o tym dopiero niedawno, kiedy przeniosła się do domu opieki. Obie z mamą byłyśmy zdziwione. Do

tamtej pory sądziłyśmy, że babcia była właścicielką tylko jednej nieruchomości: szeregowca z cegły w Bishopston w Bristolu, gdzie wychowywała się mama i gdzie spędzałam każde wakacje. Babcia, która, zanim pokonała ją demencja, uwielbiała piec ciasta i zajmować się swoimi roślinkami, była spokojna, bardzo praktyczna i nigdy nie podnosiła na nikogo głosu – w przeciwieństwie do mamy, która jest dość porywcza i nie ma zahamowań (choć ostatnio nieco złagodniała). Wszystkie te letnie miesiące spędzone z babcią w jej domu w Bristolu, z dużym ogrodem i przylegającą do niego działką, były moim duchowym sanktuarium, odpoczynkiem od mamy i dramatów, które zawsze wydawały się ją otaczać.

Uwielbiałam tłustego czarnego labradora babci, Bruce'a, z posiwiałymi wąsami. Mama nigdy nie pozwalała mi trzymać zwierzęcia w domu, twierdząc, że za bardzo śmierdzą. Ale dom babci nigdy nie śmierdział zwierzętami. Lubiłam babcine staroświeckie wygodne sofy z białymi bawełnianymi narzutkami na podłokietniki, co tydzień pranymi i krochmalonymi. Pamiętam karmelowe cukierki, które babcia trzymała w puszcze na szafce, ogród z ogrodzeniem z siatki oddzielającym jej posesję od sąsiadów i pachnącą ciepłem i stęchlizną szklarnię z rosnącymi w niej krzakami pomidorów. Dobrze było widzieć babcię, jak zajmowała się nimi, przemawiając do nich łagodnie i zachęcając do rośnięcia. Bardzo kocham moją mamę, ale jest tak pełna energii, górnolotna i wylewna, z tymi jej kolorowymi ubraniami i przejaskrawioną osobowością, że czasami czuję się przy niej wyczerpana. Zawsze miałam lepszy kontakt z babcią – obie kochałyśmy przyrodę, otwarte przestrzenie, byliśmy trochę zamknięte w sobie i wołałyśmy swoje własne towarzystwo od tłumów ludzi.

Przy babci mogłam czuć się normalnie, przyznając, że wolę zostać w domu i obejrzeć *EastEndersów* niż wychodzić na ulicę, żeby bawić się z innymi dziećmi. Mówiła mi, że niekoniecznie trzeba szaleć z całą wrzaskliwą bandą i nie ma nic złego w chęci pozostania w domu. Mama z kolei zawsze twierdziła, że jestem „zbyt cichym i nieśmiałym” dzieckiem.

– Może wyjdiesz na trochę i pobawisz się z innymi dziewczynkami, zamiast kurczowo trzymać się jednego przyjaciela?

Ale mama jest towarzyską osobą, zawsze przeskakuje od jednej grupy przyjaciół do drugiej, z lekkością, której zawsze jej zazdrościłam, chociaż wcale nie chciałam jej posiadać. W rezultacie, dorastając, czułam się nudziarą i dziwaczką – nigdy nie wiedziałam, co powiedzieć. A potem, na uniwersytecie,

spotkałam Toma, który sprawił, że mogłam być sobą. Zdałam sobie wówczas sprawę, że przy nim jestem w stanie obudzić w sobie tę drugą Saff – zabawną i błyskotliwą.

Kieruję się do Bristolu w zwiększających się stopniowo korkach. Ośrodek opieki, w którym mieszka babcia, położony jest w mieście Filton, przy zjeździe z dwupasmówki.

Niemal rok temu zdałam sobie sprawę, że z babcią dzieje się coś złego. Zaczęło się niewinnie: zawsze była trochę zapominalska i co chwila pytała z tym swoim cockneyowskim akcentem, którego nie straciła, mimo że wyjechała z Londynu jako dwudziestoparolatka: „Powiedźże no mi, widziałaś moją torebkę?” albo „Gdzie ja posiałam okulary?”. Zawsze była bardzo niezależna i praktyczna. Nawet jeszcze do zeszłego roku miała na tyle siły i sprawności fizycznej, żeby wybrać się do mnie pociągiem w odwiedzinie w Croydon, mając za pomoc tylko mapę – zużytą starą książeczkę „A-Z” z oślimi uszami i stary, niemodny telefon komórkowy. Jej mały westie Snowy zawsze wiernie towarzyszył swojej pani. Nie pozwalała ani mi, ani Tomowi odebrać się ze stacji, mimo że za każdym razem jej to proponowaliśmy.

Pierwszym objawem jej choroby były dwie kartki urodzinowe, które wysłała mi dzień po dniu, jakby zupełnie zapomniała, że jedną już wysłała. Kiedy odwiedziliśmy ją kilka miesięcy później, wydawała się bardziej zapominalska. Co chwila zapominała imienia Snowy’ego i gorzej – nie pamiętała o wyprowadzeniu go na spacer czy o nakarmieniu, dopóki albo jej o tym nie przypominałam, albo nie zrobiłam tego sama. A potem, po kilku dniach spędzonych ze mną i Tomem w naszym domu, pewnego wieczora zwróciła się do nas, kiedy oglądaliśmy telewizję:

– Powiedzcież no mi, gdzie się podziała ta druga para?

Poczułam zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa – bo nie było żadnej drugiej pary. Babcia siedziała z nami przez cały wieczór. Serce pękło mi na kawałeczki, kiedy zrozumiałam, że czasami biedaczka nie ma pojęcia, kim jest Tom i kim jestem ja. Jej wspomnienia powracały i bledły niczym zły sygnał w radiu.

Podczas tamtej wizyty stało się jasne, że babcia nie radzi sobie z opieką nad Snowym, więc kiedy zaproponowałam, że zatrzymam go u siebie, zgodziła się. Płakałam, ukrywając oczy za okularami słonecznymi, obserwując babcię ciągnącą swoją walizkę na kółkach i wsiadającą do pociągu bez swojego ukochanego pieska. Nie przestałam się martwić, dopóki nie zadzwoniła z wiadomością, że dotarła do domu bezpiecznie.

Jednak zaledwie trzy dni później zadzwoniła do mnie w panice, mówiąc, że zgubiła psa. Musiałam jej delikatnie przypomnieć, że Snowy mieszka teraz ze mną i z Tomem.

Ostatnią kroplą przepełniającą czarę, po której zadzwoniłam do mamy i wszystko jej opowiedziałam, był dzień, w którym skontaktowała się ze mną sąsiadka babci, Esme.

– Chodzi o twoją babcię, kochaniutka – powiedziała. – Zostawiła garnek na gazie i całkiem się wygotował. Szczęście, że akurat do niej wpadłam, bo mogła puścić cały dom z dymem.

Kiedy zwierzyłam się mamie z moich obaw, przyleciała z Hiszpanii i zaprowadziła babcię do lekarza. Potem wszystko zdarzyło się bardzo szybko, bo mama zawsze potrafiła załatwiać sprawy bez zwłoki (po prostu jest bardzo zdecydowaną osobą). Znalazła dla babci prywatny ośrodek opieki niedaleko domu z działką, w którym mieszkała i który zawsze będę uważała za mój prawdziwy dom.

Wjeżdżam na przestronny parking przed dużym szarym budynkiem w stylu gotyckim, nazwanym Elms Brook, zupełnie jakby był to ośrodek wczasowy, a nie dom starców. Chociaż mama mówiła mi, że kiedyś był tutaj szpital dla chorych umysłowo, a w oknach wszędzie były kraty. Mimo wszystko to przyzwoite miejsce. Nie najdroższe, chociaż babcia i tak musiała sprzedać dom, żeby opłacić pobyt tutaj. Przełykam gulę w gardle, która rośnie, kiedy przypominam sobie, jak się czułam, kiedy pakowałam jej rzeczy, opróżniając nieruchomość.

Zeszłego listopada w jednym z przeblysków jasności umysłu babcia powiedziała mamie i mi o domku w Cotswolds. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się o jego istnieniu.

– Zapisałam go na ciebie, Lorno – szepnęła, nachylając się do przodu w swoim fotelu z wysokim oparciem i chwytając mamę za rękę. – Przeniosłam prawa dziesięć lat temu.

Zdumiała mnie przebiegłość babci: czyniąc mamę prawnym właścicielem wiejskiego domu, nie musiała go sprzedawać, żeby pokryć opłaty za mieszkanie w domu opieki.

Po tej wizycie, kiedy zegnaliśmy się przed domem opieki, mama, drżąc z zimna w swoim jasnopomarańczowym płaszczyku, spojrzała na mnie i powiedziała:

– Zawsze wiedziałam, że moja matka była spryciarą i chomikowała pieniądze. Pewnie kupiła tę chatkę jako inwestycję. – Chuchnęła w dłonie. – W każdym razie nie chcę tego domu. Jest twój, jeśli masz ochotę. Wiem, że nie cierpisz mieszkać w mieście.

Byłam zszokowana, ponieważ po raz pierwszy poczułam, że mama mnie rozumie.

– Ale przecież nawet go nie widziałaś – zaprotestowałam.

– A co mi po domu w środku jakiejś dziczy? – spytała. W sumie rozumiałam jej punkt widzenia. Domek na prowincji był dla mamy zbyt prozaiczną sprawą. Ona potrzebowała słońca, sangrii i egzotycznych mężczyzn niewiele starszych ode mnie.

Mama wróciła do San Sebastian, nawet nie odwiedziwszy chatki w Cotswolds. Nie była nią w ogóle zainteresowana, co pomogło mi rozprawić się z poczuciem winy za zaakceptowanie jej oferty. Darmowy dom. Całkowicie spłacony. Oznaczało to wolność finansową tego rodzaju, o jakim ani ja, ani Tom nie mogliśmy nawet marzyć, zwłaszcza będąc dwudziestokilkulatkami. Mogłam zrezygnować z posady w Croydon i zacząć pracować na własny rachunek, w idyllicznym wiejskim otoczeniu. Spełnione marzenie.

Teraz jednak powracam myślą do tamtej rozmowy. Dziesięć lat temu babcia przeniosła prawa do domu na moją matkę. Dlaczego? Czy zrobiła to z czysto finansowych powodów – żeby uniknąć podatku od spadku? A może dlatego, że wiedziała o morderstwie, które miało tam miejsce?

Nie, to idiotyczne. Nie ma mowy, żeby babcia wiedziała o czymś takim. Wiem to z taką samą pewnością jak to, że uwielbiam czarną kawę, chleb z masłem orzechowym, kępki sierści na uszach Snowy’ego i zapach świeżo skoszonej trawy.

Oddycham głęboko i zaciskam dłonie na kierownicy, żeby się uspokoić. Podczas odwiedzin u babci nigdy nie wiem, co zastanę. Czasami mnie rozpoznaje, innymi razy uważa mnie za część obsługi ośrodka – i za każdym razem mam wrażenie, jakbym traciła ją od nowa.

Wysiadając z samochodu, zauważam czarnego sedana zwalniającego na drodze. Przejeżdża obok mnie powoli. Nie mogę być pewna, ale wygląda tak samo jak samochód, który widziałam wcześniej zaparkowany w pobliżu naszego domu. Za kierownicą siedzi mężczyzna, jednak nie widzę rysów jego twarzy. Czy to ten sam człowiek co wcześniej? On też zamierza tu zaparkować? Ale samochód nagle przyspiesza i oddala się szosą. Przez chwilę wpatruję się

w kierunku, w którym zniknął, zastanawiając się, czy przypadkiem nie martwię się niepotrzebnie. A może jednak istnieje po temu dobry powód.

[2] Fred West był seryjnym mordercą z Gloucestershire. Zabił przynajmniej 12 młodych kobiet, większość z pomocą swojej drugiej żony Rose. Ciała ofiar zostały poćwiartowane i zakopane w ogrodzie domu zamieszkiwanego przez Westów, znanego obecnie jako „Dom koszmarów”.

Babcia siedzi w świetlicy przy oknie wykuszowym wychodzącym na wypielegnowany ogród. Obok niej widzę stolik kawowy i puste krzesło naprzeciwko jej fotela. Słońce wyszło akurat zza chmur i przedziera się przez firanki, podświetlając drobinki kurzu wirujące w powietrzu nad głową babci, niczym malutkie kuleczki. Serce ściska mi się z nadmiaru miłości i zaczynają mnie piec oczy. Widok babci w tym miejscu budzi we mnie bolesną tęsknotę za przeszłością i tym, jak to kiedyś bywało: za babcią krzątającą się w kuchni, szykującą bez przerwy kubki z herbatą koloru melasy albo pokazującą mi w szklarni, w jaki sposób sadzić rzodkiewki.

Babcia siedzi z pochyloną głową. Jej twarz straciła niegdysiejszą jędrność i skóra policzków zaczęła zwisać luźno nad wystającymi kośćmi policzkowymi. Jej włosy, białe jak śnieg, kiedyś miały piękny kolor miedzi (babcia zawsze twierdziła, że to farba do włosów). Są puszyste niczym wata. Babcia przesuwając kawałki puzzli na stole i na chwilę przenoszę się w czasy dzieciństwa, gdy siadałyśmy razem o zachodzie słońca, w przyjemnym milczeniu, i próbowałyśmy dopasować do siebie kawałki układanki.

Stoję w drzwiach przez kilka minut, przyglądając się babci. W pomieszczeniu jest zbyt ciepło i czuć stęchliznę, pieczeń i zbyt długo gotowane jajka na twardo. Dywan przypomina te, które spotyka się w staroświeckich pensjonatach: cały jest w czerwone i złote zawijasy.

– Rose ma dzisiaj dobry dzień – dochodzi mnie zza pleców. To Millie, jedna z opiekunek i moja ulubienica. Jest kilka lat młodsza ode mnie i ma chyba najbardziej życzliwą twarz i najszerszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam. Czarne włosy nosi krótkie i nastroszone, a w uszach ma po kilka kolczyków.

– Och, jak się cieszę. Mam dla niej kilka wieści.

– Ooch. – Millie unosi brwi. – Mam nadzieję, że dobre?



Mimowolnie dotykam dłonią brzucha i kiwam głową. Nie chcę myśleć o tej drugiej rzeczy; o złych wieściach. O ciałach.

Millie ściska mi ramię pokrzepiająco, a potem idzie pomóc starszemu panu, który próbuje wstać z fotela. Ruszam na drugi koniec świetlicy, przeciskając się obok innych rezydentów, zgromadzonych przed telewizorem. Wreszcie docieram do babci.

Spogląda na mnie, kiedy podchodzę, i przez chwilę na jej twarzy maluje się dezorientacja i muszę przełknąć rozczarowanie. Nie rozpoznaje mnie. Koniec końców, dzień wcale nie będzie aż tak dobry.

Opadam na krzesło naprzeciwko. Mebel ma tak wysokie oparcie, że czuję się, jakbym siedziała na tronie.

– Hej, babciu, to ja, Saffy.

Nic nie mówi przez kilka sekund, tylko przesuwa kawałki puzzli po stole, chociaż nie zaczęła jeszcze nawet układać obrazka. Pudełko stoi na końcu stolika. Obrazek na nim przedstawia szczeniaka rasy czarny labrador w otoczeniu kwiatów. „Najpierw znajdziemy ramkę”, mówiła zawsze babcia, dłońmi spracowanymi od wielu godzin pracy w ogrodzie zwinnie wyszukując odpowiednich fragmentów. Ale teraz w tym, co robi, nie ma żadnej metody. Babcia przesuwa kawałki puzzli bez celu sękatymi, pomarszczonymi palcami.

– Saffy. Saffy... – mamrocze pod nosem, nie patrząc na mnie. A potem nagle podnosi gwałtownie głowę i w jej oczach pojawia się błysk przytomności. – Saffy! To ty. Przyszłaś mnie odwiedzić. Gdzie się podziewałaś? – Jej twarz się rozjaśnia. Wyciągam rękę i dotykam jej delikatnej dłoni. Ma siedemdziesiąt pięć lat, ale od kiedy przeprowadziła się tutaj, wygląda dużo starzej.

Wiem, że nie mam zbyt wiele czasu, zanim jej umysł znów cofnie się w czasie. Nigdy nie przestaje mnie zdumiewać, jak wiele rzeczy z przeszłości nadal pamięta, chociaż nie potrafi sobie przypomnieć czegoś tak niedawnego jak to, co zjadła dziś na śniadanie.

– Jestem w ciąży, babciu. Będę miała dziecko – mówię, niezdolna do stłumienia radości i strachu w głosie.

– Dziecko. Dziecko. To cudownie. Taki dar. – Ściska moje dłonie, trochę zbyt mocno. – Ty szczęściaro. Czy... – Jej oczy zasnuwają się mgiełką i wiem, że ma problemy z zjrzeniem w swoje wspomnienia. – Czy Tim jest szczęśliwy?

– Tom. I tak, bardzo się cieszy. – Przed pojawieniem się problemów z pamięcią babcia uwielbiała Toma. Nigdy nie było jej dosyć jego wizyt. Wysyłała mu małe paczuszki, a to z domowym ciastem, a to z tarniówką, a to

z rabarbarem, który hodowała w ogrodzie, ponieważ wiedziała, że (w przeciwieństwie do mnie) Tom go uwielbia. „Musisz go dobrze odżywiać”, mawiała. To cecha pokoleniowa – żeby uszczęśliwić swojego mężczyznę. Nie to, żebym pamiętała babcię z jakimkolwiek mężczyzną. Dziadek umarł, zanim urodziła się mama.

Twarz babci ciemnieje.

– Victor nie był szczęśliwy. O nie, zupełnie nie był.

Victor? Nigdy przedtem nie słyszałam o żadnym Victorze. Powiedziała mi, że dziadek miał na imię William, chociaż za dużo o nim nie opowiadała. Nawet mama nie wiedziała o nim zbyt wiele. Nie chcę jednak przerywać babci, zadając jej pytania, więc milczę i słucham.

– Chciał skrzywdzić dziecko – ciągnie, z twarzą ściągniętą bólem.

– Babciu, ale Tom nigdy nie zrobiłby nic, żeby skrzywdzić dziecko. Tom jest dobrym człowiekiem. Kochasz Toma, pamiętasz?

Jej twarz znów się rozjaśnia.

– Och tak, Tom jest cudowny. Tom lubi smażone śniadania.

– Tak jest. – Uśmiecham się. Babcia robiła mu pełne angielskie śniadanie podczas każdej naszej wizyty u niej.

W jaki sposób mam zagadnąć ją w temacie dwóch trupów w naszym ogrodzie? I czy w ogóle powinnam o to pytać? Może będzie lepiej, jeśli zostawię temat w spokoju. Potem jednak przypominam sobie, że policja będzie musiała ją w pewnym momencie przesłuchać, wiedząc, że babcia była przez wiele lat właścicielką tego domu, mimo że wynajmowała go innym ludziom. Jeżeli powiem jej o tym teraz, pojawienie się policji będzie dla niej nieco mniejszym szokiem.

– I... uwielbiamy mieszkać na Skelton Place – zaczynam ostrożnie.

Jej twarz pochmurnieje.

– Skelton Place?

– Domek wiejski, babciu. W Beggars Nook.

– Mieszkasz w domu na Skelton Place?

– Tak. Mama chciała zostać w Hiszpanii. Wiesz sama, jaka ona jest. Uwielbia słońce. Dlatego to my zamieszkaliśmy na Skelton Place razem z Tomem. To naprawdę takie hojne z twojej strony... – Oczywiście powtarzałam jej to już wiele razy.

Babcia znów wraca do przesuwania fragmentów puzzli i zaczynam się obawiać, że ją straciłam. Muszę coś powiedzieć, teraz, szybko, zanim zupełnie

wycofa się w głąb siebie.

– Tylko wiesz, zdarzyła się dziwna rzecz... zaczęliśmy rozkopywać ogród, żeby zrobić dobudówkę do kuchni, i znaleźliśmy dwa ciała...

Babcia spogląda na mnie gwałtownie.

– Ciała?

– Tak, babciu. Pogrzebane w ogrodzie.

– Martwe ciała?

– Hm... tak. Czy jest jeszcze jakiś inny rodzaj?

– Na Skelton Place?

Kiwam głową potwierdzająco.

– Kobieta i mężczyzna.

Babcia wpatruje się we mnie przez tak długi czas, że zaczynam się bać, iż wpadła w katatonię. Potem jednak jej oczy robią się szkliste, jakby coś sobie przypominała. Nagle chwyta znowu moje dłonie, roztrącając puzzle i zrzucając część z nich na podłogę.

– Czy to Sheila? – szepce.

*Sheila?*

– Kim jest Sheila, babciu?

Babcia nagle puszcza moje ręce, a jej oczy zasnuwa mgła dezorientacji, niczym katarakta. Wygląda jak przerażone dziecko. Kurczy się w fotelu.

– Co za okropna dziewczynka, tak wszyscy mówili. Niegodziwa mała dziewczynka.

– Kto? Kim jest ta dziewczynka?

– To wszystko, co powiedzieli.

Muszę zmienić temat. Babcia zaczyna się denerwować. Nachylam się i zbieram puzzle z dywanu.

– Ogród tutaj jest przepiękny. – Prostuję się i spoglądam nad ramieniem babci, prosto w okno. – Czy nadal dajesz radę wychodzić tam codziennie? – Umysł babci może się psuje, jednak fizycznie nadal wszystko z nią w porządku.

Ale ona nadal mamrocze coś o Sheili i o niegrzecznej małej dziewczynce.

Sięgam nad stołem i chwytam powykręcaną dłoń babci w swoje.

– Babciu, kim jest Sheila?

Babcia przestaje mamrotać i spogląda mi w oczy, nagle uważna.

– Ja... nie wiem...

– Policja będzie chciała z tobą porozmawiać w którymś momencie, ale tylko dlatego, że byłaś właścicielką i...

Na jej twarzy pojawia się na mgnienie panika.

– Policja? – Rozgląda się nerwowo, jakby spodziewała się, że stoją za jej plecami.

– Nie martw się. Będą chcieli ci zadać tylko kilka pytań. To będzie zwykła formalność, żeby mogli skreślić cię z listy.

– Czy to Lorna? Lorna nie żyje?

Przelykam z trudem, czując rosnące poczucie winy.

– Nie, babciu. Mama jest w Hiszpanii, pamiętasz?

– Niegrzeczna mała dziewczynka.

Puszczam rękę babci i siadam wygodniej na moim krześle. Babcia mamrocze coś pod nosem. Nie uda mi się dzisiaj niczego więcej z niej wyciągnąć. W ogóle nie powinnam wspominać o nieboszczykach. To było nieuczciwe. Oczywiście, że babcia niczego o nich nie wie. Skąd miałaby wiedzieć? Zamiast drażnić dalej, pomagam jej w układaniu puzzli, w przyjaznej ciszy, którą tak kochałam, będąc dzieckiem. Najpierw ramka.

## Theo

Theo wjeżdża na podjazd i parkuje swoje stare volvo obok czarnego, wyglądającego jak karawan mercedesa ojca. Stary, zbudowany bez planu dom góruje nad nim niczym bestia rodem z horroru, przesłaniając słońce. Theo nienawidzi tego miejsca, od kiedy pamięta. Dom zawsze wywierał wrażenie na jego przyjaciółach, kiedy go odwiedzali (co nie działo się zbyt często, bo starał się utrzymywać ich na tyle z daleka, na ile potrafił), ale przygnębiający szary kamień i szpetne gargulce spoglądające na niego z dachu, jakby za chwilę miały się na niego rzucić, nadal wywołują w nim dreszcze. Budowla jest zdecydowanie zbyt wielka dla samotnego starszego człowieka. Theo nie rozumie, dlaczego jego tata odmawia sprzedania posesji – bo wątpliwe, że trzyma ją ze względów sentymentalnych. Pewnie chodzi o symbol statusu. Theo nigdy nie czuł potrzeby obnoszenia się z tym, co posiada. Nie to, że miał wiele, w sensie materialnym, ale Theo mierzy swoją wartość w inny sposób. To zresztą kolejna rzecz, której jego ojciec nie rozumie.

Otwiera kluczem drzwi i wchodzi do przeogromnego holu wyłożonego boazerią, z krętymi schodami, których od śmierci matki nienawidzi z całego serca. Jedną ze ścian zdobiły głowy jeleni, które w dzieciństwie zsyłały na Theo koszmary. Wdycha znajomy zapach dymu drzewnego i pasty do podłóg. Gospośia, Mavis, przychodzi co kilka dni, żeby sprzątnąć i zrobić pranie, ale Theo wie, że ma się zjawić dopiero jutro.

– Tato! To ja, Theo! – wykrzykuje. Nikt nie odpowiada, więc Theo wbiega po schodach do gabinetu umieszczonego od frontu. Gumowe podeszwy jego adidasów skrzypią na wypolerowanej podłodze. Ojciec, który przeszedł na emeryturę lata temu, zawsze spędza w gabinecie bardzo dużo czasu. Co tam robi, Theo może sobie jedynie wyobrazić.

Otwiera drzwi do pokoju i od razu widzi, że tata jest w jednym ze swoich „humorów”; sący się z niego gniew. Jego duża twarz z charakterystycznym płaskim nosem, który Theo po nim odziedziczył, jest bardziej czerwona niż

zazwyczaj. Nawet łysy czubek głowy wystający nad kępkami rzadkich siwych włosów przybrał ten sam kolor.

Kiedy zachowuje się tak, jak w tej chwili, Theo uważa, że tata jest głupim gnojkiem. W zasadzie jego zdaniem ojciec jest gnojkiem przez większość czasu, nawet kiedy nie zachowuje się jak rozpuszczony bachor, zamiast jak siedemdziesięciosześcioletni emerytowany, wysokiej klasy lekarz specjalista, którym tak naprawdę jest. Ciekawe, co go tak rozwścieczyło. Zazwyczaj nie trzeba do tego wiele. Pewnie Mavis położyła jedno z jego trofeów golfowych w niewłaściwym miejscu. Theo cieszy się, że nie musi już dłużej mieszkać z ojcem.

Wpadł tylko, żeby sprawdzić, co u niego, tak jak co tydzień – bo chociaż ojciec nigdy nie był najlepszym rodzicem ani mężem na świecie, Theo ma poczucie obowiązku. Poza tym wie, że mama by tego chciała. Theo jest jedyną rodziną, która została ojcu. Czasem, kiedy tata nie zachowuje się jak kompletny palant, w chwilach jego największej bezbronności, na przykład kiedy siedzą razem na kanapie, oglądając film, i tata zasypia z brodą na piersi, jego twarz wygląda spokojnie i staro – wtedy Theo czuje przypływ czułości do niego. A potem ojciec się budzi i przełącza się na zwykły gburliwy, nakazujący tryb i wszelkie pozytywne uczucia, jakie Theo miał jeszcze sekundę wcześniej, wyparowują.

Mimo wszystko próbuje dać ojcu szansę. Rozumie, że strata żony (mamy Theo) czternaście lat temu była druzgocąca. Caroline Carmichael miała zaledwie czterdzieści pięć lat, kiedy umarła. Zawsze była pełna energii i troskliwa. Jej odejście pozostawiło w ich życiu ziejącą pustkę, chociaż oczywiście ojciec absolutnie nie chciał się przyznać do jakichkolwiek uczuć. Okazywanie wrażliwości jest słabością. On woli ukrywać się za maską gburą. Pomimo tego Theo zawsze żywił do niego niechętny szacunek. Tata był geniuszem, niezwykle utalentowanym i niesłuchanie doświadczonym w swojej specjalizacji. Nawet teraz, po przejściu na emeryturę, nadal pisuje artykuły do dzienników medycznych.

Theo chrząka. Tata jest zbyt zajęty waleniem szufladami i drzwiami szafek, żeby go usłyszeć. Theo musi chrząknąć kilkakrotnie, zanim ojciec wreszcie na niego spogląda.

– Czego chcesz?

Czarujący jak zawsze, myśli Theo. Miał dzisiaj cholernie trudny dzień. Pomagał swojemu szwagrowi w przeprowadzce, a wieczorem czeka go jeszcze zmiana w restauracji. Oczywiście nie pracuje w miejscu na tyle wymyślnym,

żeby mogło zaimponować ojcu, mimo że restauracja znajduje się na jednej z głównych ulic Harrogate. Mimo to lubi tam pracować jako szef kuchni. Po przeniesieniu sterty mebli z półciężarówki do nowego domu czuje się brudny. Przed rozpoczęciem pracy o osiemnastej musi wskoczyć pod prysznic.

– Pomyślałem, że zajrzę do ciebie i sprawdzę, czy dobrze się odżywasz. Przygotowałem ci kilka porcji lasagne do zamrożenia. – Wyciąga przed siebie plastikową torebkę na potwierdzenie swoich słów.

Ojciec mamrocze coś pod nosem w odpowiedzi, a potem odwraca się znów plecami do syna i wraca do przeszukiwania jednej z szuflad.

Theo gładzi dłonią brodę. Boże, naprawdę musi się ogolić. Jen nienawidzi, kiedy ma kilkundniowy zarost. Mówi, że drapie ją w twarz, kiedy Theo ją całuje. Wchodzi głębiej do pokoju.

– Mogę w czymś pomóc?

– Nie.

– Okej. No dobrze, w takim razie wrzucę jedzenie do zamrażarki i chyba sobie pójdę. Pracuję wieczorem.

Ojciec nic nie mówi. Jego ciało wisi pochylone nad szufladą niczym znak zapytania. Theo widzi zarys jego łopatek pod koszulką polo. Ojciec zawsze ubiera się elegancko – to jedyna rzecz, za którą Theo może być wdzięczny. Tata bierze codziennie prysznic, wciera tę samą wodę po goleniu Prady, której używa od lat, i zakłada swój ulubiony zestaw luźnych bawełnianych spodni i eleganckiej bluzki od Ralphi Laurena, a jeśli jest zimno, również sweter robiony ścięciem warkoczowym, z dekoltem w serek.

– Pamiętaj o lasagne. Musisz się zdrowo trzymać.

– Za bardzo się troszczysz. Zupełnie jak twoja matka.

Theo wyobraża sobie swoją kochaną mamę, biegającą jak kot z pęcherzem w bezowocnych próbach zadowolenia ojca. Między rodzicami było niemal osiemnaście lat różnicy. Przyjaciele Theo w szkole sądzili, że ojciec jest jego dziadkiem. Theo był tym bardzo zażenowany, chociaż w gruncie rzeczy nie miałby pewnie nic przeciwko, gdyby ojciec zachowywał się jak poczciwy dziadzio. Tak czy owak, jego przyjaciele byli pod wrażeniem, kiedy ojciec od czasu do czasu odbierał go ze szkoły swoim luksusowym samochodem.

Zamierza właśnie wyjść z pokoju, kiedy tata prostuje się nagle i wygładza spodnie. Jest wysoki, wyższy od Theo, chociaż obaj mają podobnie długie nogi i smukłą sylwetkę. Theo musi przyznać, że jego ojciec nadal jest dość przystojny i sprawny jak na swój wiek – wszystko dzięki regularnej grze w golfa w klubie.

– Idę na dół – mówi, przechodząc obok Theo i lekko go przy tym trącając. Nadal nie mówi, czego szuka. – Zostajesz na herbatę?

Cholera. Teraz Theo będzie się czuł zobligowany.

– Tylko filiżaneczkę, bo wieczorem idę do pracy.

– Tak, mówiłeś to już.

Ojciec chciał, żeby Theo poszedł do szkoły medycznej. Uważa, że praca szefa kuchni to tylko odrobinę więcej niż hobby. Theo nadal się irytuje na samą myśl o tym, więc próbuje do tego nie wracać.

– Nastawię czajnik – mówi, ale ojciec nie opowiada, tylko wypada z pokoju, skrzypiąc podszwami półbutów na polakierowanym parkiecie.

Theo właśnie zamierza podążyć za nim, kiedy nagle jego uwagę przyciąga coś leżącego na biurku. Obity ciemnozieloną skórą blat jest nienagannie uporządkowany, tak jak cała reszta gabinetu, nawet po przeszukiwaniu szuflad, ale po lewej stronie leży wycinek z gazety. Theo zastanawia się, czy ma to cokolwiek wspólnego z mamą. Ojciec obsesyjnie zbiera wszystkie artykuły, które wspominają jej imię, chociaż jednocześnie nigdy nie chce rozmawiać o jej śmierci. Theo podchodzi bliżej, bierze wycinek do ręki, zaskoczony, kiedy widzi, że wcale nie dotyczy on mamy. Jest to artykuł z zeszłego tygodnia, krótki, na zaledwie kilka akapitów, z małym zdjęciem. Dotyczy młodej pary z wioski Cotswolds w Wiltshire, która znalazła dwa trupy w swoim ogrodzie. SKELETON PLACE, głosi nagłówek. Nazwiska pary są podkreślone na czerwono, podobnie jak trzecie – Rose Grey. Pod spodem artykułu ktoś napisał „znajdź ją”.



## Lorna

Leje jak z cebra i Lorna przeklina pod nosem, kiedy jeden z drutów parasolki odrywa się od materiału, a ten składa się w harmonijkę nad jej głową, przestając chronić świeżo zrobioną fryzurę. Oczywiście teraz włosy Lorny, które fryzjer – postawny Marco – suszył i układał przez całą wieczność, napuszą się i zaczną przypominać dzwon nasadzony na głowę. Chciała wyglądać ładnie dla Alberto na ich dzisiejszej randce. Po niemal dwóch latach razem obawiała się, że namiętność zaczęła gasnąć; ona pracowała w ciągu dnia, podczas gdy on wracał do domu bardzo późno, ponieważ nadzorował bar, którego był właścicielem. Potrafiła sobie wyobrazić, jak Alberto flirtuje z młodymi kobietami, udając, że jest Tomem Cruise'em z filmu *Koktajl*. Dlaczego ona zawsze musi wybierać niewłaściwych facetów? Zbyt młody. Za przystojny. Zbyt egocentryczny. Za trzy miesiące Lorna skończy czterdzieści jeden lat. Powinna być mądrzejsza. Nie! Nie będzie myśleć negatywnie. To nie w jej stylu. Poza tym Alberto obiecał, że weźmie wolny wieczór, żeby mogli się wybrać na tańce. Może wtedy uda się im rozpaść tamten dawny ogień.

Ma na sobie tylko lekki lniany blezer, narzucony na nudny uniform hotelowy (bluzka w kolorze przełamanej bieli i ciemnozielona spódnica do kolan – chociaż dodała dla urozmaicenia pastelworóżową apaszkę), ponieważ kiedy rano wychodziła do pracy, było gorąco. Buty na koturnach obcierają jej pięty. Zanim pokona dziesięciominutowy dystans do mieszkania, które dzieli z Alberto, będzie wykończona. Tym niemniej idzie szybko, przemierzając tłoczny plac i próbując ignorować ból zrywanej skóry na pięcie. Nie śmie się zatrzymać, bo wtedy ktoś na pewno by na nią wpadł. Nie narzeka jednak na to – uwielbia zgiełk San Sebastian. Morze jest dzisiaj wzburzone: gniewne białe fale toczą się ku brzegowi, a jakiś wariat surfuje w pianie. Mimo złej pogody grupka turystów przycupnęła na ławce, zdeterminowana, aby nie dać się przepędzić deszczowi.

To był trudny dzień w pracy. Hotel, w którym jest recepcjonistką, zaczął się wypełniać, jak zwykle o tej porze roku. W tym tygodniu mieli kilka rodzin z Wielkiej Brytanii. Niektórzy z nich narzekali na pogodę; nie spodziewali się, że porzucą wczesnomajową falę upałów w Anglii na „korzyść” wiosennych deszczów w Hiszpanii. Lorna skierowała ich do zadaszzonego akwarium. Rozumiała ich rozczarowanie – przyjechali na wakacje, dla słońca, plaży i restauracji z tapas, w których można siedzieć na dworze. Ona też tak się czuła, kiedy przyjechała tu po raz pierwszy, zdumiona, że deszcz w Hiszpanii rzeczywiście mży, gdy przyjdą dżdżyste dni. Pokochała jednak to miejsce i swoje malutkie mieszkanie z własnym podwórkiem, w przepięknym starym budynku przy brukowanej uliczce Starego Miasta. I jedzenie. Paellę, krewetki i ośmiornicę, nie wspominając o *pintxos*, mogłaby jeść codziennie.

Dotyka końcówek wilgotnych włosów. Przez całe popołudnie, siedząc za swoim biurkiem i obserwując gości hotelowych, wchodzących do lobby zmokniętych i rozczarowanych, marzyła o nowej fryzurze, a teraz wszystko poszło na marne.

Po kolejnych pięciu minutach przedzierania się przez labirynt brukowanych uliczek i wysokich kamiennych budynków z czarnymi balkonami z kutego żelaza dociera wreszcie do swojego domu. Wpada przez gigantyczne drzwi do westybulu i zmierza dalej, długim wąskim korytarzem, mijając oszkloną windę wjeżdżającą na drugie piętro, i przechodzi przez kolejne drzwi, prowadzące na otwarty dziedziniec. Na drugim jego krańcu znajdują się dwa mieszkania z osobnym wejściem, jedno nad drugim: jej i Mari. Patrząc od zewnątrz na ten budynek, nikt by się nie domyślił, że za nim mieszczą się dodatkowe zabudowania.

Mari, drobna kobieta pod sześćdziesiątkę, z długimi do pasa ciemnymi włosami, stoi na progu swojego domostwa, otrzepując chodnik z kurzu.

– *Buenas noches* – woła, kiedy Lorna przemierza podwórko, ostrożnie, żeby nie poślizgnąć się na śliskiej od deszczu terakocie. Lorna uśmiecha się i macha w odpowiedzi, świadoma, że wygląda zapewne jak zmokła kura. Wchodzi do swojego mieszkania. Drzwi otwierają się prosto na pokój jadalno-mieszkalny, z drewnianymi schodami prowadzącymi na półpiętro, gdzie znajduje się sypialnia z łazienką. Kuchnia i toaleta mieszczą się na tyłach budynku, do którego przylega również betonowy dziedziniec do gry w koszykówkę, cały pomalowany graffiti. Czasami Lorna słyszy miejscowe dzieciaki grające w kosza albo słuchające muzyki do późna w nocy. Lubi to, bo nie czuje się wtedy całkiem samotna, kiedy Alberto jest w pracy.

Ściąga mokry blezer i zrzuca buty, nachylając się, aby sprawdzić, czy ma bąbel na pięcie. Na bosaka idzie do aneksu kuchennego, żeby nastawić wodę na herbatę. Kusi ją butelka białego wina chłodząca się w lodówce, ale decyduje się zostawić ją w spokoju. Później sobie pofolguje, tak jak już dawno tego nie robiła. Opiera się o blat, czekając na gorącą wodę, i zerka na zegarek. Dochodzi osiemnasta. Powinna mieć wystarczająco dużo czasu, żeby wyprostować włosy przed powrotem Alberto. Obiecał, że wróci na dziewiętnastą.

Dostrzega dwa kieliszki od wina w zlewie. Była przekonana, że umyła je dzisiaj rano przed wyjściem do pracy. Nigdy nie zostawia bałaganu – kuchnia jest na to za mała. Lorna czułaby się zestresowana na widok sterty naczyń. Dzisiaj rano zostawiła Alberto w łóżku, zasłaniającego oczy opalonym ramieniem. Pracę w barze miał zacząć o czwartej po południu, tak przynajmniej twierdził. Zatem co robił przez cały dzień i, co ważniejsze, z kim? Unosi kieliszki pod światło i sprawdza, czy nie ma na nich śladów szminki. Nie ma. Odstawia kieliszki z powrotem do zlewu, uznając, że jest zwyczajnie niemądra. Tak zaczyna się szaleństwo. Zazwyczaj Lorna jest dość ufna. Jak się okazuje, nawet za bardzo – jej ostatni partner Sven zostawił ją dla innej po osiemnastu miesiącach razem. Mieszkała wtedy w Amsterdamie. Wyjechała z Anglii, kiedy Saffy poznała Toma. Po zerwaniu ze Svenem nie chciała zostawać w Holandii, więc postanowiła przenieść się do Hiszpanii. Tutaj w ciągu kilku krótkich miesięcy poznała i zakochała się w Alberto: wysokim, muskularnym, opalonym Alberto, młodszym od niej o sześć lat. Sądziła, że poczuje się dzięki temu młodziej, tymczasem związek przyniósł całkiem odwrotny skutek.

Jej komórka wibruje na blacie. Lorna nachyla się, żeby odebrać. Na ekranie wyświetla się imię Saffy i Lorna czuje przypływ radości, a zaraz potem ukłucie winy. Nie widziała córki od świąt Bożego Narodzenia i tęskni za nią.

– Hej, kochanie.

– Mamo – mówi Saffy niepewnie i Lorna od razu się spina. Wstaje, wyobrażając sobie piękną, nieco przestraszoną twarz swojej córki.

– Wszystko w porządku?

– Tak... to znaczy nie. Stało się coś dziwnego.

Żadnych wstępów, gadania o niczym. Kocha to w swojej córce – ona zawsze przechodzi od razu do meritum.

– Okeeeej. – Lorna szykuje się na liczne katastrofy swojej córki, chociaż kiedy mieszka tak daleko od niej, stara się o nich nie myśleć. Czuje ściskanie w żołądku.

W słuchawce słycać trzaski, więc Lorna przechodzi do dużego pokoju, kiedy Saffy zaczyna mówić. Czy ona powiedziała coś na temat jakichś zwłok?

– ...dziesięć dni temu, w ogrodzie, kiedy robotnicy kopali... – Saffy brzmi tak młodo.

Lorna opada na swój jasnozielony fotel, z komórką nadal przyciśniętą do ucha. Czuje lekkie mdłości.

– Co takiego? – Rozdziawia usta, słuchając opowieści córki. Dlaczego dowiaduje się o tym dopiero teraz? Saffy wspomniała, że wszystko wydarzyło się dziesięć dni temu.

– Policja będzie chciała porozmawiać z babcią, chociaż jeszcze się do mnie w tej sprawie nie odzywali – ciągnie Saffy. – Czy wiesz, kiedy dokładnie kupiła ten domek w Cotswolds? Nam powiedziała, że było to w latach siedemdziesiątych, ale może się pomyliła.

Lorna podwija pod siebie nogi. Deszcz przemoczył jej bluzkę i czuje chłód i wilgoć.

– Nie mam pojęcia. Nie wiedziałam nawet o istnieniu Skelton Place aż do zeszłego roku, kiedy powiedziała nam obu. O ile wiem, nigdy tam nie mieszkała.

– Ale masz przecież dokumenty, prawda? Powinno tam być napisane, kiedy babcia kupiła dom.

Lorna marszczy czoło.

– Tak, gdzieś je mam. Poszukam ich, ale policja może już mieć tę informację.

– Tak czy owak, chciałabym się dowiedzieć. I poznać listę wynajemców.

– Może lepiej porozmawiaj z jej prawnikiem... Zobaczę, czy mam jego dane kontaktowe.

Saffy nie powinna zajmować się tą sprawą sama. Lorna wie, jak bardzo jej córka przywiązana jest do babci. Istnieje między nimi więź, której ona nigdy nie miała z własną matką. Kocha ją, oczywiście, ale zawsze bardzo się różniły. Mama trzymała się na uboczu, nigdy nie chciała się udzielać towarzysko ani angażować w cokolwiek. W rezultacie Lorna zbuntowała się już w młodym wieku. Jako czternastolatka bawiła się i piła na całego, a rok później zaszła w ciążę. Zrezygnowana mama nazwała ją krnąbrną nastolatką. Saffy okazała się najcenniejszym prezentem, jaki Lorna mogła sobie podarować. Cicha, sumienna córka, która wolała zostać w domu w sobotnie wieczory zamiast chodzić na prywatki. Serce Lorny radowało się na widok tej wielkiej miłości

między Saffy i babcią – i pękło, głównie z powodu córki, na wieści o zdiagnozowaniu alzheimera.

– Przyjadę do Anglii – decyduje nagle Lorna. – Czy mogę się zatrzymać u was? Bardzo chciałabym zobaczyć ten dom.

– Przyjedziesz? Ale... nie musisz. Nie ma takiej potrzeby.

Lorna przełyka gorzkie rozczarowanie.

– Chcę się z tobą zobaczyć. Tęsknię za tobą. Poza tym nie widziałam mamy od dłuższego czasu. Pomogę ci wszystko załatwić.

– Mamo... to nie jest takie proste.

– Wiem, ale chciałabym być na miejscu, zwłaszcza jeśli policja się tam kręci, zadaje pytania i przeszkadza wam żyć. Mogę się zameldować w hotelu...

– Nie, nie chodzi o to. Oczywiście, że możesz zatrzymać się u nas. Mamy futon. – Milknie na chwilę. – Zamierzasz przywieźć ze sobą Alberto?

Lorna myśli o dwóch kieliszkach po winie stojących w zlewie i odchyła się na miękkie oparcie fotela.

– Nie. Szczerze mówiąc, przyda się nam trochę rozłąki.

– Och, mamo.

– Nic się nie dzieje. Wszystko jest w porządku. Wybieramy się na miasto dzisiaj wieczorem, ale Alberto jest zajęty, pracuje w barze... – Milknie, pozwalając, żeby jej słowa zawisły w powietrzu. Jej córka jest mądra i dużo rozsądniejsza, niż ona była w tym wieku. Nie da się oszukać. Kiedy to ich role się odwróciły? To Saffy powinna dzwonić do niej i wyzalać się z problemów sercowych. Tymczasem jest z Tomem od czterech lat, a Lorna ledwie potrafi utrzymać poważniejszą znajomość z mężczyzną przez cztery minuty.

– Co porabiasz dziś wieczorem?

Jej córka śmieje się swobodnie.

– To, co zwykle. Siedzę w domu z jedzeniem na wynos i oglądam film na Netflixie.

Lorna uśmiecha się do telefonu. Nagle budzi się w niej pragnienie, żeby być tam, ze swoją córką, zającą rybę z frytkami z talerzy leżących na ich kolanach i oglądając telewizję.

– Przylecę w sobotę rano, w porządku?

– Odbiorę cię z lotniska w Bristolu. Wyślij mi esemesa, kiedy będziesz wiedziała, o której przylatujesz.

Żegnają się i Lorna wspina się po drewnianych schodach do sypialni, żeby przebrać się w obcisłą, prowokacyjną czerwoną sukienkę, ulubioną Alberto.

Nazywa ją sukienką Jessiki Rabbit, ponieważ ubiór podkreśla jej biust. Usiłując naprawić szkody wyrządzone przez deszcz fryzurze, zastanawia się nad rozmową z córką. Dwa ciała pogrzebane w ogrodzie. Mężczyzna i kobieta. W jej głowie na chwilę pojawia się wspomnienie – mgliste i zniekształcone: ogród, ciemność rozświetlana ogniami sztucznymi wybuchającymi na nocnym niebie. Zanim jednak jest w stanie pochwycić tę myśl, ulatuje ona niczym nasionka mlecza na wietrze.

## Saffy

Dostrzegam mamę od razu. Przechodzi przez salę przylotów na lotnisku w Bristolu w przesadnie dużym słomkowym kapeluszu i różowych džinsowych rybaczkach, podkreślających jej okrągłości. Na nadgarstkach ma cały zestaw bransoletek i duże wiszące kolczyki, odbijające światło przy każdym ruchu. Mama wygląda jak żyrandol. Mężczyźni gapią się na nią: kiedyś, gdy byłam młodsza, zawsze wprawiało mnie to w zakłopotanie – jej wylewność, flirciarska natura i dekolt, który pokazywał dużo za dużo. Poza tym była znacznie młodsza niż inne matki, które przychodziły po swoje dzieci przed szkolną bramę. Od kiedy każda z nas zamieszkała w innym kraju, zdałam sobie sprawę, jak bardzo za mamą tęsknię. Zastanawiam się, czy to dlatego, że sama wkrótce będę miała dziecko. Nie jestem pewna, jak mama zareaguje na wieść, że zostanie babcią w wieku czterdziestu jeden lat. Czy poczuje się przez to stara? Przełykam moje niepokoje. Nie mogę o tym w tej chwili myśleć. Mam za dużo na głowie.

Jak na przykład wczorajszy wieczorny telefon od detektywa.

Kiedy mama mnie dostrzega, jej twarz rozjaśnia się w uśmiechu. Stukając sandałkami na obcasie, podchodzi do mnie, ciągnąc za sobą walizkę z nadrukiem skóry lamparta.

– Kochanie – wykrzykuje, obejmując mnie. Pachnie swojsko perfumami Toma Forda i kokosowym kremem przeciwsłonecznym. – Cudownie cię znów zobaczyć.

– Ciebie też. Dobrze wyglądasz, mamó.

Odsuwa się na odległość ramion i lustruje mnie wzrokiem.

– Ty też – mówi, a ja śmieję się w duchu, słysząc zaskoczenie w jej głosie. – Trochę jakby się zaokrągliłaś. Dobrze ci z tym. Wiesz, że zawsze uważałam, że jesteś za chuda. – Rozgląda się. – Gdzie jest Tom?

– Czeka w samochodzie ze Snowym.

Bierze mnie pod ramię.

– Cieszę się, że go znów zobaczę. A teraz opowiedz mi o tych szkieletach. Cała ta historia brzmi nieprawdopodobnie, prawda?

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale mama ciągnie dalej:

– Oczywiście tak długo, jak policja nie wpakuje się do ośrodka i nie zdenerwuje babci swoimi pytaniami. Jak się nazywa policjant, który zajmuje się sprawą? Powiedz mi, a ja się dowiem dokładnie, co zamierza zrobić. Ja...

Czuję, że zaczyna mnie boleć głowa. Kocham moją mamę całym sercem, ale mój Boże, ona nigdy nie przestaje gadać.

Pozwalam jej trajkotać w drodze do samochodu. Tom opiera się o nasze mini z zakłopotanym uśmiechem, który zawsze pojawia się na jego twarzy, gdy mama jest w pobliżu. Snowy wącha chodnik pod nogami.

– Tom! – wykrzykuje mama, podbiegając do niego i obejmując. Bransoletki niemal zahaczają o jego ucho. Tom spogląda na mnie przez jej ramię, unosząc brwi. Tłumię śmiech.

– Cieszę się, że cię widzę – mówi Tom, wysupłując się z objęć mamy. – Jak tam lot?

Mama macha lekceważąco ręką.

– Samolot zatłoczony. Siedziałam ściśnięta między dwojgiem grubasów, ale – wzrusza ramionami – najważniejsze, że jestem. I muszę powiedzieć, że w tej chwili pogoda tutaj jest znacznie lepsza niż w San Sebastian.

Obserwuję, jak ładuje się mało elegancko na tylne siedzenie, podczas gdy Tom zabiera jej walizkę i wkłada do bagażnika. Zdecydowaliśmy, że w związku z dzieckiem powinniśmy zmienić samochód na czterodrzwiowy, ale z powodu rozbudowy domu z pieniędzmi jest krucho.

– Bardzo się cieszę, że zobaczę wasz dom. – Mama nachyla się do przodu na siedzeniu i chwyta oparcie fotela Toma, kiedy ja wyjeżdżam z parkingu. – Po naszej rozmowie przez telefon znalazłam akt własności i zadzwoniłam do prawnika...

Oczywiście, że to zrobiła. Założę się, że zajęła się tym, gdy tylko skończyłyśmy rozmawiać. Cieszę się jednak, że to nie ja musiałam załatwiać te sprawy.

– Podobno twoja babcia kupiła tę chatkę w marcu 1977 roku i mieszkała tam do wiosny 1981, kiedy zaczęła wynajmować dom. Potem kupiła dom w Bristolu.

– Mama mówi to wszystko bez zaczerpnięcia oddechu.

– Czyli ty też mieszkałaś przez jakiś czas w tym domu? – pytam zaskoczona. – Pamiętasz to może?

– Hmm... niezbyt. Miałam trzy lata, kiedy twoja babcia przeniosła się do Bristolu. Może jednak, kiedy znów zobaczę ten dom, coś mi się przypomni.



– Jest trochę staroświecki w środku – wyjaśniam. – Zwłaszcza kuchnia. Ale Tom świetnie sobie radzi z remontem. – Uśmiecham się do niego. – Niestety, pokój gościnny nadal ma jasnożółte ściany.

Mama wybucha śmiechem.

– Doskonale mi to pasuje. No dobrze, powiedz mi coś więcej o babci.

Zerkam na nią w lusterku wstecznym. Zdjęła kapelusz, a jej ciemnobrązowe oczy błyszczą z podekscytowania, ale dostrzegam coś jeszcze; ból, który próbuje ukryć. Zastanawiam się, co się tak naprawdę dzieje między nią i Alberto. Zawsze mam wrażenie, że mama od czegoś ucieka.

Otwieram usta z nadzieją, że tym razem mi nie przerwie.

– Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie detektyw Matthew Barnes. Wydawał się dość miły, ale powiedział, że rozmawiał z Joy, managerką domu opieki, która zaleciła, żeby babcia została przesłuchana na miejscu, tam gdzie czuje się bezpiecznie. I że albo ty, albo ja też powinniśmy tam być. Joy twierdzi, że babcia jest na tyle stabilna psychicznie, że można ją przesłuchać, a ponieważ ma chwile przytomności umysłu i wydaje się sporo pamiętać z przeszłości, jest szansa, że okaże się to użyteczne.

– Ja pojedę – decyduje mama.

– Okej, świetnie. Hm... jak długo zamierzasz zostać? Co z pracą?

Mama prycha.

– Wzięłam tydzień wolnego. Myślę, że w tej sytuacji to uzasadnione, nie sądzisz?

– Ja... no cóż, owszem... ale to przesłuchanie babci to tylko formalność. Policja musi sprawdzić wszystkich mieszkańców nieruchomości z tego dwudziestoletniego okresu.

– Wiem, ale byłoby cudownie spędzić z tobą trochę czasu, kochanie. Nie widziałam cię właściwie od Gwiazdki.

Owszem, i było to koszarne spotkanie, myślę. W zasadzie nie była to wina mamy, tylko tego kretyna, którego nazywa swoim chłopakiem. Alberto był niegrzeczny, lekceważący i zachowywał się, jakby wolał być gdziekolwiek indziej, najlepiej na plaży w Hiszpanii, niż spędzić dzień w małym mieszkanku w Croydon. A w przeszłości, kiedy widziałam się z mamą, zawsze wydawało mi się, że i ona nie może się doczekać powrotu do swojego pracowitego życia.

Kątem oka widzę, że Tom wpatruje się prosto przed siebie, a jego mina wyraźnie mówi „nie wciągaj mnie w to”.

Skrećam na obwodnicę Long Ashton. Nie wiem, co powiedzieć. Nie chodzi o to, że nie chcę spędzić czasu z mamą, po prostu w tej chwili nie mam energii na jej... *energię*. Nigdy tego nie mówi i nie musi, bo wiem, że nie jest zadowolona z faktu, że ustatkowałam się tak wcześnie. Kiedy kilka lat temu zamieszkaliśmy razem z Tomem, mama próbowała mnie od tego odwieść. A kiedy powiedziałam jej, że oszczędzamy na wkład własny, żeby kupić dom, ostrzegła mnie przed „uwiązywaniem się” do „pożyczki w tak młodym wieku”. To oczywiste, że moje przyjście na świat, gdy miała tylko szesnaście lat, zrujnowało jej nastoletnie lata. Sądząc po zdjęciach, które publikuje na Facebooku, wygląda na to, że teraz mama próbuje nadrobić stracony czas.

– Możesz z nami zostać tak długo, jak zechcesz – mówię, usiłując zignorować dziwny ciężar, który kładzie mi się na sercu.

\*

Czterdzieści minut później docieramy do Beggars Nook. Mama przerywa na chwilę gadanie, aby spojrzeć przez szybę samochodu na kamienne budowle Cotswolds.

– Cóż za urokliwe miejsce, trochę upiorne. Dziwna nazwa. Sama nie wiem. Wydaje się znajome, ale być może to dlatego, że przypomina mi te piękne wioseczki z *Agathy Raisin*. Jak daleko jest do najbliższego miasta?

W duchu wywracam oczami. Wiedziałam. Pewnie zaczęła już planować całodniową wycieczkę na zakupy. Ta wioska to dla niej prawdziwe zadupie.

– Chippenham, jakieś dwanaście kilometrów stąd.

– Dwanaście kilometrów. O rany. – Rozgląda się z lekką paniką w oczach, jak kucyk, który ma wielką ochotę prysnąć.

Przejeżdżamy przez centrum miejscowości i kiedy mijamy rynek, mama nagle gwałtownie wzdycha.

– Co to jest? – pyta, wskazując na konstrukcję w kształcie sześcianu, z otwartymi ścianami i dachem zwieńczonym iglicą. Budowla stoi na brzegu rynku, przed kościołem – tam, gdzie zbiegają się trzy główne ulice. To bardzo zadziwiający obiekt. Ze wszystkich stron otaczają go kamienne schody.

– To krzyż[3] – mówi Tom. Jego twarz rozjaśnia się na tę szansę przekazania faktów. – Sprawdziłem zaraz po przeprowadzce. Datuje się go na czternaste stulecie. Podobno są dość powszechnie spotykane na rynkach małych miast i wiosek, chociaż nigdy nie widziałem tak ładnego egzemplarza.

Mama marszczy czoło.

– Ja... pamiętam to...

– Naprawdę?

Mruga.

– To bardzo mgliste wspomnienie, ale na pewno widziałam to wcześniej. Ja...

– Potrząsa głową. – To takie frustrujące, ale mam przebliski obrazu w głowie i jeszcze to uczucie. – Przykłada dłoń do serca, a w lusterku wstecznym widzę, że zamyka oczy. – To uczucie... – Nagle otwiera oczy. – I za chwilę wszystko mija.

– Kiedyś przeczytałem, że nasze wspomnienia wiecznie ewoluują – mówi Tom.

– Tak więc pamiętamy tylko tę wersję, którą ostatnio przywołaliśmy, a nie oryginalne wydarzenie.

Wywracam oczami i śmieję się, ale mama pozostaje nienaturalnie poważna. Przyciska nos do szyby, jak pełne wyczekiwania, choć lekko niepewne dziecko. Zerkam na Toma, a ten wzrusza ramionami w odpowiedzi. Jedziemy dalej, wspinając się po zboczach, aż docieramy do szeregu dwunastu budowli znanych pod nazwą Skelton Place. Wjeżdżam na zwirowaną drogę dojazdową, rozszerzającą się koło domu. Czuję ulgę, że nie ma żadnych dziennikarzy. Od czasu odkrycia trupów w ogrodzie minęły już dwa tygodnie, więc mam nadzieję, że prasa przeniosła się na inne historie.

– Rany, te lasy są dość ponure, nie sądzicie? – mówi mama. – Otaczają całą wioskę. Mam wrażenie, jakbym była w *Czerwonym Kapturku*.

– To prawda, potrafią być dość przygnębiające, zwłaszcza w pochmurny dzień – odpowiadam.

– Dziwię się, że domy tutaj nie mają nazw – ciągnie mama. – Spójrz na tę śliczną wisterię i ten słomiany dach. Skelton Place brzmi jakoś... sama nie wiem. – Wzrusza lekko ramionami. – Złowieszco.

Rozumiem, o co jej chodzi, mimo że nie daje mi spokoju fakt, iż we wszystkim znajduje wady. Faktycznie, nie jest to zbyt ładna nazwa i nie pasuje do naszego domu. Jest nieduży i pewnie nie kosztował tyle, ile dom babci w Bristolu, ale nigdy nie mieszkałam w miejscu tak malowniczym i urokliwym jak z pocztówki. Wisteria jest teraz w pełni rozkwitu i oplata przód domku niczym szarofioletowy pierzasty boa. Od strony podjazdu nie widać wielkiej dziury w ogrodzie na tyłach.

Tak naprawdę to mama powinna tu mieszkać z kolejnym młodym kochankiem, którego sobie akurat upodobała – nie Tom i ja. Zaoferowałam jej

splacenie części wartości chatki z naszych oszczędności. Odmówiła. O ile wiem, sama nie ma na własność żadnej posesji. Wynajmowała mieszkanie w Bromley, w Kencie, gdzie się wychowywałam. Powiedziała, że nie lubi się czuć ograniczona w ten sposób, ale mi zawsze wydawało się to trochę... *nieodpowiedzialne*.

Nadal nie przenieśliśmy aktu własności na nazwisko moje i Toma. Zamierzałam poruszyć ten temat z mamą, zanim zaczniemy prace nad rozbudową kuchni, ale jeszcze mi się to nie udało – podobnie jak poinformowanie jej o mojej ciąży. Zdaję sobie sprawę, że to powracający motyw.

Wysiadam z samochodu i przeciągam się. Plecy mnie bolą i czuję mdłości. Wdycham głęboko wiejskie powietrze. Mama i Tom tymczasem wysiadają. Mama chichocze, gdy jej obcas zaczepia się o pas. Tom przyłącza się do niej, śmiejąc się i pomagając jej wyjść ze środka. Tom tak dobrze sobie radzi z ludźmi. Jest cierpliwy. Wiem, że będzie doskonałym ojcem.

– Trochę tu pośmierduje – mówi mama, stając na podjeździe. – Czy to nawóz?

Krzywię się do Toma, obchodząc samochód, żeby się do nich przyłączyć. Zauważam kogoś przyczajonego za żywopłotem na końcu naszego podjazdu. Zastygam. To znów ten człowiek: ten, którego widziałam tamtego dnia przy domu – i jestem pewna, że również przejeżdżającego obok domu opieki, w którym mieszka babcia.

– Tom! Ten człowiek... – zaczynam, ale on też już go zauważył. Wręcza Snowy'ego mamie.

– Cholerni dziennikarze – mamrocze pod nosem.

– Dlaczego nadal tu się kręcą, skoro policja nie ma nowych informacji! – wykrzykuję.

– Hej! – krzyczy Tom, zmierzając ku żywopłotowi, ale mężczyzna znika za żywopłotem. Przyglądam się, jak Tom rzuca się za nim w pościg w dół. – Hej, zaczekaj! – Dociera do bramy, zatrzymuje się, odwraca i wzrusza ramionami. – Zniknął.

[3] Ang. *market cross* – konstrukcja na rynku, pierwotnie mająca kształt kamiennego krzyża, wznoszona na Wyspach od czasów średniowiecza w celu oznaczenia miejscowości mających prawo do organizowania targów.

## Lorna

Lorna przygląda się Tomowi, który szybko wraca do nich obu. Podchodzi do Saffy i obejmuje ją obronnym gestem, a Lorna czuje ukłucie zazdrości, widząc ich oczywistą bliskość. Kiedyś czuła się tako samo z Euanem, ale pojawienie się dziecka, kiedy oboje byli jeszcze zbyt młodzi, odcisnęło piętno na ich związku. Saffy wygląda słodko w za dużych ogrodniczkach i przygryzając wargę w ten sposób. Zawsze to robiła jako dziecko. Lorna ciągle powtarzała jej, żeby przestała.

– To dziwne – mówi zasapany Tom. – Pewnie jest dziennikarzem, ale dlaczego uciekł, kiedy go zawołałem? Dlaczego nie zaczął nam zadawać pytań?

Lorna z prawdziwą ulgą wręcza mu smycz psa. Nigdy nie lubiła zwierząt.

Twarz Saffy jest ściągnięta ze zmartwienia.

– Widziałam go już wcześniej. Wczoraj – mówi. Lorna wie, że jej córka będzie się w tym dopatrywała czegoś więcej. Mała, słodka, fraszobliwa duszyczka. Kiedy miała cztery lata, wbiła sobie do głowy, że do ich mieszkania może się dostać potwór albo smok. Każdej nocy przez kilka miesięcy Lorna siedziała na brzegu łóżka Saffy, przekonując ją, że to niemożliwe.

– Kochanie, to na pewno kolejny dziennikarz. – Ścisła lekko ramię córki. – Można się było tego spodziewać. Chodźmy. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć wasz dom w środku.

Saffy zerka na drogę. Jej wielkie brązowe oczy są rozbiegane jak u przestraszonego szczeniaka. Potem jednak odwraca się do Lorny, zaciska usta w wąską kreskę i kiwa głową.

Tom wpuszcza ich do środka przez łukowate drzwi, prosto do małego korytarzyka z belkami podsufitowymi i podłogą wyłożoną klepką. Sam zostaje z tyłu, przepuszczając panie przodem. Lorna zauważa, że jego głowa niemal dotyka dźwigarów. Tom ma dumę wypisaną na twarzy i Lorna przypomina sobie słowa Saffy z niedawnej podróży.

– Wygląda pięknie, Tom. – Rozgląda się po świeżo pomalowanych ścianach i wycyklinowanych podłogach.

– Duży pokój jest tutaj. – Saffy wskazuje na drewniane drzwi po lewej. – Na końcu korytarzyka jest kuchnia, mała, ale daliśmy radę wstawić stół. Ledwie, ledwie. I...

Lorna jednak instynktownie odwraca się w prawo, w kierunku drzwi tuż przy schodach. Otwiera je i w jej głowie eksploduje świeże wspomnienie. Maszyna do szycia. Klikanie pedału, *klik, klik, klik*. Mruga gwałtownie, a kiedy jej wzrok się wyostrza, nie widzi żadnej maszyny do szycia, tylko biurko i komputer pod oknem. Ściany wyłożone są szpetną żółto-brązową staroświecką tapetą.

– Moje studio – mówi Saffy za jej plecami. – Jeszcze nie zaczęliśmy tutaj odnawiać. Ta tapeta nie była zmieniana chyba od pięćdziesięciu lat!

Lorna odwraca się do córki z uśmiechem przyklejonym do ust. Maszyna do szycia. Jej mama nigdy nie miała maszyny do szycia w domu w Bristolu.

– Jest słodki – mówi. – Będzie na pewno wyglądał wspaniale, kiedy go pomalujecie.

Saffy uśmiecha się do niej niepewnie, jakby wyczuła, że coś matkę poruszyło.

– A na piętrze – wskazuje na schody z nagich desek: czy zawsze tak wyglądały? – są trzy sypialnie. Główna z przodu domu, mniejsza, z dwuosobowym łóżkiem i mały pokój z oknami na ogród, gdzie będzie spało dzie... – Przerywa, a na jej twarz wypełza przerażenie.

– Co powiedziałaś? Czy ty... – Nagle Lorna pojmuje. Zaokrąglona twarz Saffy, to, że trochę przybrała na wadze... – Chciałaś powiedzieć „dziecko”?

Policzki Saffy są pąsowe. Kiwa głową, z winą wypisaną na czole.

– Tak. Jestem w ciąży.

Lorna chwieje się. Cięża. Cholera. Saffy jest nadal taka młoda. Nadal jest *jej* dzieckiem. Czuje uderzenie rozczarowania. Saffy ma dopiero dwadzieścia cztery lata i nie posmakowała jeszcze życia. Czy niczego się od niej nie nauczyła? Lorna zawsze powtarzała jej, że powinna poczekać, aż będzie trochę starsza i zyska stabilną pozycję w pracy, zanim wyjdzie za mąż i zacznie wychowywać dzieci.

– Ja... ojej, to cudownie, kochanie – udaje się jej wydukać. Przelyka prawdziwe uczucia. – Gratulacje. – Obejmuje córkę i przytula, chociaż Saffy jest wyraźnie spięta. Czy naprawdę jest aż tak nieprzekonująca? Odsuwa się i zwraca do Toma, który stoi z niepewną miną przy drzwiach wejściowych,

nadal trzymając jej walizkę. Snowy siedzi u jego stóp z przekrzywioną głową, spoglądając na Lornę.

– Dla ciebie również, Tom. Rany! – Spogląda z powrotem na córkę. – Który to tydzień? Miałaś już USG w trzecim miesiącu?

Saffy kiwa głową. Rumieniec spływa z jej policzków również na szyję i dekolt koszulki w białe i niebieskie paski.

– Tak. Jestem w siedemnastym tygodniu. Dziecko ma się urodzić trzynastego października.

*Siedemnaście tygodni.* Czyli, że Saffy wiedziała już dwa, może nawet trzy miesiące wcześniej. Lorna nie może powstrzymać ogarniającej ją przykrości, że jej córka nie podzieliła się z nią od razu tą wiadomością. Oczywiście ona sama ukrywała ciążę przed własną mamą, ale tylko dlatego, że nie miała nawet szesnastu lat, kiedy dowiedziała się, że będzie miała dziecko. Euan był jedynie rok starszy od niej. Zanim Rose zauważyła cokolwiek, Lorna była już w piątym miesiącu. Dzikie dziecko, jedyna córka cichej, zasadniczej Rose Grey, zrobiła to, co ich sąsiedzi przewidywali już od wielu lat: dała sobie zrobić dzieciaka jeszcze w szkole. Wszyscy przezywali ją „nasto-matka”. Lorna oczywiście wcale nie żałowała. Owszem, rozstała się z Euanem, kiedy Saffy miała pięć lat, ale do tamtej pory świetnie sobie radzili; zamieszkali razem i nawet się pobrali – chociaż po kilku latach nastąpił rozwód. Euan pozostał jednak w życiu Saffy: dorastając, co drugi weekend spędzała w jego londyńskiej kawalerce i Lorna wiedziała, że są sobie bardzo bliscy. Zarówno Lorna, jak i Euan pozostali w stanie wolnym, a Lorna zatrzymała nazwisko po matce.

Wyobrażała sobie dzień, w którym zostanie babcią. Wiedziała, że nie będzie wtedy jeszcze stara, ponieważ miała dziecko bardzo młodo. Nie oczekiwała jednak, że stanie się to w wieku pieprzonych czterdziestu jeden lat! Co sobie pomyśli Alberto?

Wszystkie te myśli przelatują jej przez głowę, a potem Lorna zbiera się w sobie. Zachowuje się jak egoistka. Nie chodzi przecież o nią, tylko o Saffy, Toma i ich dziecko.

– Naprawdę się cieszę, kochanie.

Saffy rozluźnia się z ulgi.

– Nie planowaliśmy tego, ale... – Chichocze nerwowo. – Sama wiesz.

Lorna śmieje się.

– Owszem. Powiedziałaś... powiedziałaś już tacie?

– Jeszcze nie. Chciałam, żebyś była pierwsza.

Lorna stara się nie okazywać radości z tego powodu, że przynajmniej o tym dowiedziała się przed Euanem.

– Okej, chodź, zrobimy sobie herbatę, a potem pokażesz mi, gdzie pochowano ciała. Hmmm, nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek powiem coś takiego.

Tom oznajmia, że idzie na spacer ze Snowym, żeby dać matce i córce czas na pogadanie. Znika za drzwiami. Dlaczego Lorna ma wrażenie, że nie mógł się doczekać wyrwania z domu? Z drugiej strony, cieszy się, że przez chwilę będzie miała Saffy tylko dla siebie.

Kuchnia jest malutka i staroświecka. Gdy tylko Lorna wchodzi do środka, natychmiast rusza w stronę okna. Przez szybę widzi rozkopany ogród, porzuconą koparkę, kopczyk płyt tarasowych, ogromną dziurę w ziemi, a w tle mroczne gęste lasy. Widok wywołuje u niej gęsią skórkę. Czuje obecność Saffy tuż przy ramieniu, ale nie odwraca się. Ma wrażenie, jakby ktoś delikatnie dmuchał jej w kark, i wzdryga się. Na końcu ogrodu, tuż przed ścianą lasu, rośnie duże drzewo z czerwonymi kwiatami i grubą gałęzią, która wygląda jak ramię sięgające w kierunku domu. Lorna gwałtownie wciąga powietrze.

– Co się dzieje, mamó? – pyta Saffy.

– To drzewo... – Potrząsa głową. Purpurowe płatki. Pamięta, że zbierała je do koszyka i ucierała z wodą. Pamięta to. – Bawiłam się w tym ogrodzie – mówi. – Wydaje się bardzo znajomy. Myślę... myślę, że na tym drzewie wisiała kiedyś huśtawka ze sznurków. I udawałam, że robię perfumy z tych kwiatów.

Czuje ciepłą dłoń Saffy ściskającą jej ramię.

– Rany, mamó.

Lorna odwraca się do córki.

– Chcesz tu zostać? Nie przeszkadza ci... wiedząc, co się tutaj stało?

Saffy jest blada, a w oczach ma łzy.

– Ja... nie mamy się gdzie podziać. A przed tą sprawą kochałam to miejsce.

Lorna przełyka gulę, która nagle wyrosła jej w gardle.

– Wiem.

– Poza tym to się zdarzyło dawno temu, prawda? Chociaż nie tak dawno, jak miałam nadzieję. – Uśmiecha się łzawo i spogląda w okno. – Zastanawiam się, kim oni byli.

– Może policja zidentyfikuje ich po danych o użębieniu. Możemy wyjść na zewnątrz? Chciałabym się temu przyjrzeć z bliska.

– Teraz, kiedy policja skończyła przeszukiwania, tak. Wezmę tylko klucz do tylnego wyjścia. Poczekaj chwilę.



Saffy porusza się powoli, przygarbiona i Lorna nagle bardzo chce ją przytulić.  
– Chodźmy. – Wraca i Lorna odsuwa się, żeby Saffy mogła otworzyć dwuczęściowe drzwi. Razem wychodzą do ogrodu. Słońce jest już nisko i drzewa rzucają długie cienie na trawnik.

Idą po nierównej powierzchni w kierunku ziejącej dziury – jest bardzo głęboka i kiedy się zbliżają, Lorna czuje zapach wilgotnej ziemi.

– Policja na pewno sprawdziła, że nie ma tu więcej ciał? – pyta. Czuje się tak samo, jak kiedy czasami odwiedza cmentarz; świadoma obecności martwych ludzi pod ziemią, chociaż wie, że ciała stąd zostały już wywiezione.

Saffy kiwa głową.

– Mieli specjalnie przeszkolone psy. Nie ma niczego więcej, nie martw się...

Lorna obejmuje ramiona Saffy.

– Chodź, zrobimy w końcu tę herbatę, a potem pokażesz mi mój pokój.

\*

Później, po powrocie Toma i Snowy'ego, wszyscy zasiadają stłoczeni do obiadu przy małym drewnianym stole. Saffy odsunęła go od ściany, żeby zrobić miejsce dla Lorny.

– Myśleliście już o imionach? – Lorna ponownie porusza temat dziecka.

– Jeszcze nie – odpowiada Saffy z ustami pełnymi spaghetti po bolońsku.

– Będziesz sprawdzała płęć?

Saffy zerka na Toma.

– Nie. Chcemy mieć niespodziankę.

– Ty chcesz – odpowiada Tom dobrodusznie. – Ja nie miałbym nic przeciwko dowiedzeniu się.

– Po prostu myślę, że byłaby to miła niespodzianka.

– Ale jeśli się dowiemy, będziemy wiedzieli, na jaki kolor pomalować ściany w pokoju dziecięcym!

Saffy wywraca oczami.

– Zawsze praktyczny Tom – mówi z czułością. – Możemy je pomalować na jasnoszaro.

Lorna stara się nie skrzywić. O co chodzi z tą szarością? Co się stało z kolorami?

Saffy wyciąga rękę nad stołem, chwyta dłoń Toma i ścisną ją. Jej córka bardziej przypomina swojego ojca, jeśli chodzi o demonstrowanie uczuć. Widać,

jak bardzo kocha tego mężczyznę. Uświadamia to dotkliwie Lornie, za czym tęskni u Alberto. Właściwie to u wszystkich swoich facetów w przeszłości, może z wyjątkiem Euana. Ale byli przecież tacy młodzi.

Saffy odkłada nóż i widelec, a jej oczy robią się szkliste.

– Ciągłe myślę o babci. Powinna tutaj być, z nami.

– Wiem, kochanie – mówi Lorna łagodnie.

Oczy jej córki wypełniają się łzami.

– Myślisz, że jest szczęśliwa w tamtym miejscu? Martwię się, że jest nieszczęśliwa i nie rozumie, dlaczego tam mieszka. Że ma chwile, kiedy się boi. Myślisz, że mogłybyśmy ją tutaj przywieźć w odwiedzinę?

– To ją może zdezorientować. Poza tym tam się nią dobrze opiekują. To świetny ośrodek. Wszystko dokładnie sprawdziłam. – Saffy zawsze była zbyt zaangażowana. Takie wrażliwe dziecko. Kiedyś, podczas wakacji w Portugalii, gdy miała dziewięć lat, wybuchła płaczem w restauracji, widząc w akwarium żywe homary, które za chwilę miały zostać zjedzone. Minęło kilka dni, zanim doszła do siebie. Zawsze zamartwiała się godzinami o bezdomnych ludzi na ulicach albo o bezpańskie psy.

– Ale... to jednak nie jest *jej* dom.

– Mieszkanie tutaj pewnie stale ci o niej przypomina, prawda?

Twarz Saffy ściąga się w bólu.

– Tak. I bardzo za nią tęsknię.

– Ja też. – Lorna z zaskoczeniem zdaje sobie sprawę, że to prawda. Po urodzeniu się Saffy jej matka dostała bzika na punkcie swojej jedynej wnuczki i obie zawsze były sobie bardzo bliskie. Lorna cieszyła się, że córka i jej babcia tak bardzo się kochają, i naprawdę starała się nie przejmować faktem, że kiedy były wszystkie razem, czuła się jak piąte koło u wozu. Saffy i Rose były do siebie bardzo podobne, widziała to wyraźnie. Jednak podczas gdy jej matka pozwoliła, aby różnice charakteru wbiły klin między je obie, Lorna przysięgła, że nigdy nie dopuści, aby to samo stało się z nią i Saffy.

– Może pokażesz mi, gdzie będzie pokój dziecka? – sugeruje z nadzieją, że trochę to rozchmurzy Saffy.

Twarz jej córki rozjaśnia się. Prowadzi Lornę na korytarz i schodami w górę.

– Tutaj chcemy położyć chodnik, ale nie możemy się zdecydować, jaki. Może z naturalnej wełny... – Wzrusza ramionami. – Coś w tym stylu.

Na szczycie schodów skręcają do małej sypialni. Mierzy nie więcej niż dwa i pół na trzy metry, na ścianie po lewej widnieje kominek, ale Lorna od razu

widzi, że to idealny pokój dla dziecka. W tej chwili jest pusty, z wyjątkiem kilku pudeł w rogu. Wykładzina dywanowa została zerwana, odsłaniając nagie deski podłogowe, a ściany zalepione są wyblakłą tapetą. Jednak gdy tylko Lorna wchodzi do środka, ma wrażenie déjà vu tak silne, że musi się przytrzymać parapetu.

– Co się stało? – W głosie Saffy słychać niepokój. – Dobrze się czujesz?

– Ja po prostu... – Lorna odwraca się do okna wychodzącego na ogród. Widać stąd okwiecone drzewo. Było purpurowe tylko na wiosnę, a potem liście zieleniały i opadały na jesieni. Zakrywały cały trawnik. Odwraca się i wyciąga rękę, dotykając tapety. Pamięta. Pamięta, że leżała w łóżku w tym właśnie pokoju, próbując odnaleźć rysy twarzy w pączkach róż na tapecie.

Odwraca się do córki.

– Wydaje mi się, że to kiedyś była moja sypialnia.

## Theo

Grób wygląda surowo. Żółte róże, które Theo zostawił na nim w zeszłym tygodniu, zdążyły zwiędnąć i zbrązowieć. Upały zapewne przyspieszyły ich rozkład.

– Tata znów jej nie odwiedził, tak? – mówi stojąca tuż obok Jen, wypowiadając na głos to, o czym myślał.

– Dziwisz się? – Usiłuje zachować lekkość w głosie.

W odpowiedzi żona Theo unosi wypielęgnowane brwi. Ścisza lekko jego ramię, ale nie mówi ani słowa. Theo wie, że Jen nie lubi jego ojca – i niby dlaczego miałyby go lubić, zważywszy na to, jak się wobec niej zawsze zachowuje? Nigdy jednak nie mówi o nim złego słowa. Wręcza Theo bukiet jaskrawokolorowych kwiatów, który kupili w drodze tutaj.

– Zostawię cię samego na trochę...

– Nie musisz.

– Wiem, że lubisz z nią rozmawiać.

Theo uśmiecha się do niej blado.

– Wiem, że twoim zdaniem to dziwne. – Kiedyś, na wczesnym etapie znajomości, powiedział jej o tym i natychmiast tego pożałował. Nie chciał, żeby Jen uważała go za żalosego synka mamusi.

– Oczywiście, że nie jest. Po prostu żałuję, że nie miałam okazji jej poznać.

– Pokochałaby cię – mówi prawdę. Wszyscy kochają Jen. Ma żywiołowy charakter i naturalne ciepło. Od pierwszej chwili człowiek czuje się przy niej swobodnie.

Jego żona wspina się na palce i całuje go.

– Będę czekała tam, oglądając stare groby.

– A to akurat *jest* dziwaczne... – Wybuchła śmiechem.

– Hej! Nie dziwaczne, tylko interesujące! – Uśmiecha się do niego przez ramię, odchodząc w kierunku starego, pękniętego nagrobka z dużym aniołem przycupniętym na jego szczycie.

Theo obserwuje ją, w jej długiej powiewnej letniej spódnicy i obcisłej bluzce. Idzie wyprostowana, pewna siebie, a kok jasnorudych włosów na czubku jej głowy chyboce przy każdym kroku, gdy oddała się w kierunku starej części cmentarza.

Odwraca się do grobu mamy.

– Jest bardzo dzielna, mamó – mówi. – Nadal nie zaszła w ciążę i wiem, że się tym martwi. Próbuujemy już niemal od roku. – Zastanawia się, czy byłby aż tak szczery w rozmowie z mamą, gdyby nadal żyła. Pochyliła się, żeby wyjąć zwiędłe róże z wazonu. Smród zgnilizny dochodzący z wody w naczyniu wypełnia jego nozdrza i gardło. Wpycha stary bukiet do plastikowej torby kompostowej i zastępuje go nowym.

Theo odwiedza grób matki co sobotę, przeważnie bez Jen, która pracuje w salonie piękności w mieście i ma tylko jedną wolną sobotę w miesiącu. Za każdym razem Theo ma nadzieję, że zobaczy coś innego niż wędnące kwiaty z poprzedniego tygodnia – coś, co świadczyłoby o odwiedzinach taty. O tym, że mu zależy. Ale od lat nic się nie zmieniło. Brak zainteresowania taty wzrastał stopniowo w ciągu roku lub dwóch lat od śmierci mamy. Tak przynajmniej sądzi. Podejrzewa, że ojciec nie odwiedza już grobu żony, ponieważ jest to dla niego zbyt emocjonalne przeżycie. Jeśli tu nie przyjdzie, może udawać, że nic się nie zdarzyło.

Theo klęka na suchej trawie i przesuwając palcami po dacie wyżłobionej na nagrobku. *Środa, 12 maja 2004.* Dzisiaj upływa czternasta rocznica jej śmierci. Jakim cudem to już czternaście lat, skoro mam wrażenie, jakby stało się to zaledwie wczoraj? Theo był na uniwersytecie w Yorku, kiedy dostał telefon, który zmienił jego życie. Miał dziewiętnaście lat. Drży na samo wspomnienie, mimo upału. Głęboki, władczy głos ojca w słuchawce, pełen emocji. „Upadła”, powiedział. „Spadła ze schodów i zabiła się. Bardzo mi przykro, synu. Tak bardzo mi przykro”. Theo stał akurat w barze unii studenckiej z grupką kolegów, z telefonem w dłoni i nie potrafił zrozumieć, co mówi do niego ojciec, kiedy wszyscy dookoła piją, bawią się i śpiewają. „Musisz wrócić do domu”. Pojechał natychmiast, wdzięczny za to, że balanga dopiero się zaczynała i zdążył wypić tylko połowę kufla piwa. Pamięta podróż z Yorku do Harrogate bardzo wyraźnie, nawet po wszystkich tych latach. Pamięta, że miał nadzieję, że ojciec się pomylił, że zrozumiał coś nie tak, chociaż wiedział doskonale, że z bystrym umysłem taty jest wszystko w porządku.

W szpitalu ojciec wyglądał na złamanego; zmalął i wydawał się stary, z poszarzałą twarzą. „Co ja teraz zrobię?”, powtarzał raz po raz. „Co ja zrobię?”

Theo nigdy nie wrócił na uczelnię, żeby zdobyć tytuł lekarski. Zamiast tego przez resztę roku akademickiego został z tatą w brzydkiej posiadłości, której zawsze nienawidził, w każdym zakątku próbując odnaleźć wspomnienia związane z matką. Wszystko jednak, co widział, gdy zamykał oczy przed snem, to obraz matki spadającej z tych pieprzonych wymyślnych schodów, a potem leżącej u podnóża, połamanej i powyginanej. Podobno leżała tam cały dzień, dopóki ojciec nie wrócił z pracy i jej nie znalazł. Powiedział, że umarła od razu, ale do dzisiejszego dnia Theo nie jest pewny, czy powinien temu wierzyć. Nadal zadrećza się myślą, że mama leżała tam, na tym wypolerowanym parkiecie, w bólu, niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu, choćby zadzwonienia o pomoc. Umarła, kiedy Theo był zajęty pieprzeniem się ze swoją pierwszą dziewczyną w ciasnym pokoju akademika, dzielonym z innymi studentami. Tamtego września przeniósł się z medycyny na kurs cateringu i hotelarstwa, mimo drwin ojca, bo wiedział, że mama cieszyłaby się z tego powodu i powiedziała mu, że życie jest zbyt krótkie.

Cmentarz jest cichy, ale Theo mimo wszystko zniża głos, rozmawiając z mamą. Opisuje artykuł znaleziony w gabinecie taty dwa dni temu.

– Myślę, że ojciec próbuje kogoś odnaleźć – mówi, skubiąc trawę palcami. Wysuszone źdźbła mają teksturę siana. Nie potrafił przestać myśleć o artykule, od kiedy go znalazł. Zapamiętał dwa wymienione tam nazwiska: Saffron Cutler i Rose Grey. *Znajdź ją*. Tylko którą z nich i dlaczego?

Przez wiele lat po śmierci matki ojciec był dla niego enigmą. Ukrywał przed nim wiele, unikał rozmów o ważnych sprawach. W ciągu pierwszych miesięcy po odejściu mamy obaj snuli się po domu, a Theo sądził (naiwnie, jak teraz rozumie), że będą się mogli wzajemnie pocieszyć po stracie. Zamiast tego po tej pierwszej nocy w szpitalu i jednej z rzadkich chwil, kiedy ojciec okazywał emocje, nie zdarzyło się nic. Tylko cisza. Ojciec wrócił do pracy po pogrzebie, zostawiając Theo samemu sobie z jego samotnością i żalem po stracie matki.

Wiedział, że małżeństwo jego rodziców było dalekie od ideału. Z perspektywy czasu widzi, że jego ojciec zawsze był zaborczy. Sposób, w jaki zawsze domagał się, żeby mama zmieniła strój, jeśli sądził, że wygląda zbyt laleczkowato – Theo nigdy nie uważał, że mama wygląda jak cizia. Jen spoliczkowałaby go (i słusznie), gdyby kiedykolwiek wyraził się o niej w ten sposób. Uśmiecha się na myśl o swojej porywczej żonie. Jego mała petardka. Ale mama po prostu

wzdychała dobrodusznie i szła się przebrać w coś przypominającego habit klasztorny, żeby zadowolić męża. Rzadko kiedy spotykała się ze swoimi przyjaciółkami – w zasadzie Theo nie pamięta, żeby w ogóle je miała. Rodzice chodzili na obiady z innymi parami, starszymi, z pracy ojca oraz na formalne gale i przyjęcia, ale mama nigdy nie wybierała się nigdzie sama.

Theo nie ma pojęcia, co porabiała całymi dniami w domu, kiedy ojciec pracował, ale nigdy sama nie pracowała. Kiedyś, gdy miał około szesnastu lat, wrócił do domu wcześniej i zastał ją płaczącą przy toalecie. Miała podpuchnięte oczy i był pewien, że dostrzegł na jej ramieniu zaogniony siniak, który pospiesznie przykryła swetrem, kiedy wszedł do jej sypialni. Zapytana, czy dobrze się czuje, wyznała w rzadkiej chwili szczerości, że czuje się jak więzień. A potem obdarzyła go łzawym uśmiechem i powiedziała, że jest niemądra, że to tylko hormony i żeby się nie przejmował. Theo potem czuł się nieswojo przez kilka kolejnych dni. Zaczął uważniej obserwować rodziców, którzy zupełnie nie przypominali rodziców jego kolegów. „Twój ojciec taki już po prostu jest, kochanie. To genialny człowiek i bardzo ciężko pracuje. Po prostu czasami jest zestresowany”. Nigdy jednak nie widział, żeby ojciec podniósł rękę na matkę. Gdyby to zrobił, Theo zbiłby go na kwaśne jabłko.

– Jest tyle spraw, o które chciałbym cię zapytać – mówi. – I obiecuję, że jeśli kiedyś dopisze mi szczęście i zostanę tatą, nigdy nie odetnę się emocjonalnie od mojego dziecka, tak jak *on*. – Wstaje i otrzepuje dżinsy. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Kocham cię, mamo.

Odchodzi, szukając Jen, która stoi przy ogromnym nagrobku liczącym najwyraźniej dwieście lat. Z grawerunku na płycie wynika, że grób mieści około dziesięciu członków tej samej rodziny. Theo podchodzi do Jen od tyłu i obejmuje ją w talii.

– Załatwione – mówi.

– To co, może pójdziemy na kawę? – Jen odwraca się do niego i marszczy czoło. – Co się stało? Wyglądasz na... zmartwionego.

– Nie wiem. Coś jest nie tak z ojcem. I z tym artykułem. – Opowiedział o nim Jen zaraz po skończeniu pracy, tamtej nocy.

– Może powinieneś go o to zapytać?

– Mój ojciec nie jest taki jak twój. – Jego teść stanowił całkowite przeciwieństwo taty: był serdeczny, życzliwy, zabawny i kochający.

– Wiem, ale jeśli skonfrontujesz się z nim w tej sprawie, nie będzie się mógł wykręcić. Theo – dodaje ciszej – wiesz, że cię kocham, ale jeśli chodzi o twojego

ojca, jesteś... sama nie wiem... zachowujesz się jak ciapa.

– Ciapa! – Wybuchła śmiechem.

– Tak właśnie, ciapa. Zupełnie jakbyś się go bała.

– Przepraszam, poznałaś chyba mojego ojca, nie?

– Tak. Niewątpliwie budzi szacunek i grozę. Nie będę kłamać.

Jego żona stara się być dyplomatyczna. Nawet jej wylewna, pełna życia osobowość nie potrafiła zdobyć serca jego ojca. Theo nigdy jej nie powiedział, że kiedy po raz pierwszy przyprowadził Jen do domu, ojciec stwierdził, że jest prostytutką. Był to jedyny raz, kiedy Theo postawił się ojcu po śmierci matki. Powiedział mu, że kocha Jen i że jeśli jeszcze raz usłyszy z jego ust jakiegokolwiek niemiłe komentarze na jej temat, nigdy więcej się do niego nie odezwie. Ojciec wyglądał na zszokowanego, a potem mruknął pod nosem coś o tym, że ten związek i tak długo nie potrwa. Tymczasem pięć lat później Theo i Jen nadal byli razem, a trzy lata temu się pobrali.

– Ojciec nie powie mi prawdy. Zawsze był politykiem.

– Musi być ktoś, kogo możesz zapytać. Wiem, że twoi dziadkowie nie żyją, ale... może jakiś kuzyn?

Theo bierze ją za rękę i razem wychodzą z cmentarza. Nie zna swoich kuzynów. Jen nie potrafi tego zrozumieć, ponieważ jej rodzina jest spora i wszyscy się ze sobą dogadują.

– Zacznę od zapytania ojca. Jeśli nie da mi satysfakcjonującej odpowiedzi, sam jej poszukam.

– I dobrze. A ja ci pomogę, w ramach oderwania się od problemu. – Uśmiecha się, ale jej oczy lśnią nieco zbyt mocno.

Theo ma wrażenie, jakby obręcz zacisnęła się na jego sercu.

– Jen... możemy pójść z tym do kogoś, zrobić jakieś testy?

Jen potrząsa głową. Rudoblond kosmyk opada jej na oczy.

– Jeszcze nie. Nie jestem jeszcze gotowa stawić temu czoła. Może na razie poczekajmy z tym.

Theo w odpowiedzi całuje ją w dłoń, wracając powoli myślami do wycinka z gazety znalezionej na biurku taty. Jutro, myśli. Jutro się dowiem, czego szuka ojciec i dlaczego.



## Lorna

Jest zbyt ciemno i cicho. Lorna nie może zasnąć na twardym futonie, wiedząc, że jej córka i przyszły zięć są za ścianą. Nadal trudno jest jej oswoić się z myślą, że jej jedyne dziecko uprawiało seks i teraz samo oczekuje potomka. *Dziecko*. Lorna nie może uwierzyć, że będzie babcią.

Tęskni za hałasem San Sebastian – wybuchami śmiechu, piskami nastolatków, mrużeniem muzyki wydobywającej się z pobliskich restauracji z tapas; krzepiącymi odgłosami życia miejskiego, a nie tą okropną ciszą. Potem jej myśli wędrują do Alberto. Lorna odwraca się na bok i sięga po telefon leżący na sosnowej szafce nocnej. Minęła północ. W Hiszpanii jest godzinę później. Alberto, typowy nocny marek, pewnie dalej jest w barze.

Siada, próbując odpędzić od siebie obraz swojego faceta otoczonego stadkiem skąpo ubranych kobiet. Nie ma sensu leżeć tutaj i próbować zasnąć. W przeszłości Lorna cierpiała na bezsenność, a z tego, co czytała na ten temat, najlepiej jest w takim przypadku wstać. Zarzuca na siebie amarantowe kimono i cicho otwiera drzwi pokoju, żeby nie obudzić Saffy i Toma. Na bosaka rusza korytarzykiem w kierunku przyszłej sypialni dziecka. Przyciąga ją ten pokój – to okno do jej przeszłości. Otwiera drzwi, krzywiąc się, kiedy skrzypią w ciemności. Wchodzi do środka.

W oknie nie ma zasłon i promień księżycowego światła uwypukla plamę czarnego werniksu, który przyłgnał jak smoła do jednej z desek podłogowych. Lorna staje w oknie i spogląda na ogród. Dziura w ziemi wygląda w nocy jeszcze bardziej złowieszczo. Na skraju ogrodu ciemnieje gęsta linia lasu. Lorna próbuje przypomnieć sobie więcej.

– Co się tu wydarzyło? – szepcze do swojego odbicia w szybie, ale ono tylko wpatruje się w nią jak upiór z czupryną kręconych włosów i wielkimi udreńczonymi oczami. Odwraca się od okna i lustruje pomieszczenie. Jej łóżko stało w tamtym rogu, przy drzwiach, gdzie teraz znajdują się kartony. Tak, pamięta to. Miało białą ramę z kutego żelaza i kolorową szydełkowaną narzutę

z dużymi żółtymi stokrotkami. Pod łóżkiem Lorna trzymała parę czerwonych lakierków, jak te Dorotki z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Nie myślała o tych butach od bardzo dawna. Jej ulubione. Gdzie się podziały, kiedy przeprowadziła się z matką do Bristolu? A co z łóżkiem i narzutą?

Tapeta wyblakła w wielu miejscach, w innych pożółkła. Kominek wygląda, jakby bardzo potrzebował renowacji, a na drewnianej półce nad nim zalega gruba warstwa kurzu. Najwyraźniej poprzedni wynajemcy nie korzystali z tego pokoju. Saffy i Tom sporo się napracują, jeśli chcą przerobić to pomieszczenie na pokój dziecięcy. Lorna odwraca się z powrotem do okna. Chmura przepływa po niebie, zasłaniając księżyc, i przez chwilę las i ogród wyglądają ponuro i złowieszczo.

Powinna wrócić do łóżka i trochę poczytać. Ma przygotowaną nową powieść Marian Keyes. Owija się szczelniej kimonem. Jest jej zimno i lekko dygocze.

Właśnie zamierza odwrócić się i wyjść, kiedy coś jasnego przyciąga jej wzrok. Błysnięcie światła między drzewami w lesie. Przyciska nos do szyby i przesłania dłońmi oczy. Serce zaczyna jej gwałtowniej bić. Wygląda to jak światło latarki. Czy ktoś tam jest? Obserwuje dom? Mruga, nie odrywając wzroku od punktu światła. Jego strumień przemieszcza się między ciemnymi pniami drzew. A potem nagle znika. Lorna stoi w oknie jeszcze przez dziesięć minut, usiłując dostrzec cokolwiek, ale na zewnątrz nie ma nikogo.

\*

Następnego dnia Lorna nie wspomina o niczym córce. Wie, że Saffy zaczęłyby się tylko zamartwiać, a to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje. Zamiast tego Lorna ubiera się i po śniadaniu – jednym z popisowych smażonych zestawów Toma – w którym Saffy tylko dziobie, stwierdza, że chciałyby się przespacerować po ogrodzie.

– Pójdę z tobą – oferuje Saffy, chcąc wstać od stołu. Tom ma już na sobie stare ciuchy, których używa podczas remontu. Mówi, że chce się zabrać do malowania poręczy na schodach.

– Nie, nie trzeba. Skończ śniadanie, a ja sprawdzę, czy coś jeszcze mi się nie przypomniało.

– Och... okej, dobry pomysł.

Słońce świeci jasno tego poranka, chociaż w powietrzu czuć chłód, a trawę pokrywa rosa. Kiedy Lorna wchodzi na trawnik, wilgoć natychmiast przesiąka

przez boki jej sandałów. Wciąga w płuca świeże, niezanieczyszczone wiejskie powietrze. Pachnie dziś świeżością, jak pranie, które suszyło się na linie. Lorna ignoruje dziurę w ziemi i idzie dalej, docierając do granicy ogrodu, tam, gdzie stoi pięknie ukwiecone purpurowe drzewo. Zastanawia się, co to za gatunek. Postanawia po powrocie do domu zapytać o to Saffy. Odwraca się w stronę domku, upewniając się, że córka jej nie obserwuje, a potem stawia stopę na jednej z grubych gałęzi, na tyle nisko zawieszonych, że może przeskoczyć przez murek. Czynność przychodzi jej tak naturalnie, że musiała to już robić wcześniej. Przytrzymuje się pnia, zeskakując po drugiej stronie.

Teren się tutaj trochę podnosi, a między drzewami wiją się niewyraźne wąskie ścieżki usiane dzwoneczkami. Lorna bada miejsce, w którym zeszłej nocy widziała światło. Nie jest pewna, co spodziewała się znaleźć. Ślady stóp? Ale ziemia jest na to zbyt sucha. A potem coś dostrzega: poletko zmiażdżonych dzwoneczków, zupełnie jakby ktoś niedawno tu stał. Podchodzi bliżej, przyglądając się uważnie gruntowi, i nagle dostrzega coś jeszcze wśród przydeptanych kwiatów. Trzy niedopałki papierosów.

Nie wyobrażała sobie tego wszystkiego zeszłej nocy. Ktoś podkraść się w ciemności od strony lasu i obserwował dom. Obserwował *ich*.

# CZEŚĆ DRUGA

**Rose***Wigilia 1979 roku*

Wioska nigdy nie wyglądała bardziej urokliwie niż tego wieczora, którego poznałam Daphne Hartall.

Ciepłe białe światła rozwieszane między ulicznymi lampami wzdłuż głównej ulicy migotały na tle atramentowego nieba. Chór kościelny stał na kamiennych schodach krzyża na rynku, śpiewając *Cichą noc* przy ogromnej choince, zaś na obrzeżach placu stało kilka krzywych straganów. Melissa Brown, właścicielka jedynej kawiarni w Beggars Nook, zwanej (bardzo oryginalnie) U Melissy, miała otwarte i serwowała gorące napoje i świąteczne babeczki nadziewane bakaliami. Powietrze wypełniał zapach pieczonych kasztanów i grzanego wina.

I w tamte święta byłaś na tyle duża, żeby docenić magię tego wszystkiego.

– Mamusiu, pić.

Spojrzałam w dół, na ciebie. Twój mały zadarty nosek był zaczerwieniony z zimna. Byłaś owinięta po brodę różowym szalikiem, który zrobiłam dla ciebie na drutach. Na dworze panował już mrok, ale nie nadszedł jeszcze czas kolacji.

– Dlaczego nie. – Uśmiechnęłam się, chwytając twoją delikatną, odzianą w wełnianą rękawiczkę dłoń. – Co powiesz na gorącą czekoladę?

Pisnęłaś podekscytowana, ciągnąc mnie za sobą przez plac.

Wtedy właśnie ją zobaczyłam.

Kobietę, która miała zmienić moje życie – chociaż oczywiście wtedy jeszcze tego nie wiedziałam.

Wyglądała na zasmuconą. Była to moja pierwsza myśl. Stała samotnie przy krzyżu, chuchając w nagie dłonie i przyglądając się kołędniczce. Miała na sobie cienki atłasowy płaszcz w kolorze zielonej oliwki, z przyszytymi na nim kolorowymi łatkami, i szerokie, zbyt luźne dla niej spodnie sztruksowe. Na jasne długie włosy z przedziałkiem na środku wcisnęła wyszydełkowany beret, a na ramieniu trzymała dużą torbę. Wiedziałam, że była tu nowa. Wyglądała na nową – a ja zawsze interesowałam się nowo przybyłymi, chociaż jednocześnie

trzymałam się na uboczu. Musiałam. Dla mojego bezpieczeństwa. I dla twojego. Ta prowincjonalna wioska głęboko w Cotswolds była miejscem, do którego przyjeżdżali ludzie, żeby się ukryć. A ja od razu rozpoznałam w nieznanym pokrewną duszę.

– Mamusiu. – Pociągnęłaś mnie niecierpliwie za rękę.

– Przepraszam, Lolly. – Oderwałam wzrok od obcej kobiety i ruszyłam za tobą do kawiarni. Twoje wielkie brązowe oczy rozjaśniły się, kiedy Melissa wręczyła ci gorącą czekoladę w białym plastikowym kubku, z bitą śmietaną na wierzchu. Roześmiałam się i powiedziałam ci, że nigdy nie dasz rady wypić tego wszystkiego. Potem stanęłyśmy przed kawiarnią, oplatając ciepłe kubki palcami. Ty zlizywałaś śmietaną z gorącej czekolady, a ja szukałam nieznanym kobiety wśród grupki ludzi zgromadzonej przy choince. Widziałam, jak przedziera się przez tłum, przygarbiona z zimna, rozglądając się jakby ze strachem. Wyglądała jak zaszczute zwierzę. Czy ja też taka byłam, kiedy przyjechałam tutaj trzy lata temu, nosząc cię pod sercem i zdesperowana, żeby zacząć od nowa?

– Zaczekaj chwileczkę, kochanie. Chcę tylko zamienić kilka słów z Melissą.

Puściłam twoją dłoń i wchodzę do kawiarni. Melissa Brown to dość duża siwiejąca kobieta ścięta na pazia, z przedziałkiem na środku głowy i włosami spiętymi po bokach. Miała około czterdziestu kilku lat i była staroświecka zarówno w wyglądzie, jak i w poglądach. Nigdy nie wyszła za mąż i mieszkała w Beggars Nook przez całe życie, dzięki czemu wiedziała wszystko o wszystkich. No, prawie o wszystkich. Zdawałam sobie sprawę, że jestem dla niej enigmą, ponieważ powiedziała mi to przy wielu okazjach. „Kochana Rose”, mówiła, ściskając moje dłonie w swoich dużych wilgotnych dłoniach. „Jesteś taką enigmą”. Komentarz ów pojawiał się najczęściej, kiedy uniknęłam jednego lub więcej pytań. Melissa zawsze jednak była wobec mnie życzliwa i próbowała wciągnąć mnie w życie wioski.

W kawiarni jest cicho. Większość ludzi nadal gromadzi się przy krzyżu albo odwiedza stragany wypełnione kolorowymi lametami i krzykliwymi dekoracjami. Zdążyłaś już mnie przekonać do kupna jednej z nich: małej złotej wróżki, którą planowałyśmy umieścić na czubku choinki.

– Melissa – zaczęłam cicho, chociaż byliśmy tu tylko my dwie. – Czy wiesz, kim jest ta kobieta, chuda, w berecie zrobionym na szydełku?

Melissa wytarła ręce w kwiecisty fartuch i spojrzała we wskazanym przeze mnie kierunku. Potrząsnęła głową.

– Nigdy przedtem jej nie widziałam. Może jest z sąsiedniej wioski. Och, i zanim zapomnę; Nancy powiedziała, że ktoś był zainteresowany ogłoszeniem, które wywiesiłaś w jej oknie. Tym w sprawie lokatora.

Nancy pracowała w miejscowym sklepie i była młodszą siostrą Melissy. Ogłoszenie specjalnie napisałam bardzo ogólnikowo, prosząc ją o zapisanie danych na wypadek, gdyby znaleźli się chętni. W ten sposób to ja mogłam się z nimi skontaktować, zamiast udzielać wszystkim informacji o sobie.

– Doskonale. – Wiedziałam, że gdyby zainteresowany był mężczyzną, nigdy bym się z nim nie skontaktowała.

Z poprzednią osobą popełniłam błąd. Miała odpowiednią płęć, ale zadawała stanowczo za dużo pytań. Chciała się zaprzyjaźnić. Musiała więc odejść.

– Poproszę Nancy, żeby przekazała ci szczegóły, może jutro, jeśli chcesz?

Kiwnęłam głową, ale myślami byłam już daleko, odchodząc od lady tam, gdzie cię zostawiłam, przy otwartych drzwiach.

Zastygłam. Nie było cię.

Spuściłam cię z oczu tylko na kilka minut. Kretyńska decyzja. Zazwyczaj tego nie robię, ale zrozum, w tamtej chwili poczułam się nietypowo bezpiecznie, otoczona zbiorową radością bożonarodzeniową i tubylcami, którzy tak naprawdę mnie nie znali, ale których ja obserwowałam z daleka przez ostatnie trzy lata, żeby przekonać się, komu mogę tu zaufać. Wszyscy wydawali się szczerzy, pracowici – prawdziwa sól tej ziemi. Poza tym sądziłam, że mogę zaufać również tobie; że od kiedy nauczyłaś się chodzić, wbiłam ci do głowy, żebyś zawsze była ostrożna i nie oddalała się ode mnie, trzymała się blisko. Ale ty przecież byłaś tylko małą dziewczynką – dwuipółlatką oczarowaną blichtrzem świąt Bożego Narodzenia.

*Zniknęłaś.*

– Lolly! – krzyknęłam, nie potrafiąc ukryć paniki w głosie. Wyszłam przed kawiarnię, ogarniając wzrokiem chodniki i plac, grupę kołędników, którzy właśnie skończyli swoją interpretację *Cichej nocy* i zaczęli się rozchodzić. Minęła minuta, najwyżej dwie. Nie mogłaś odejść zbyt daleko, ale nigdzie cię nie widziałam – ani twojego czerwonego paltka, ani różowego szalika, ani czapki z pomponem, w jaskrawe wzorki. Krew zaszumiała mi w uszach.

– Zginęła! Lolly zginęła! – wykrzyknęłam. – Nie widzę jej. Nigdzie jej nie widzę.

Ludzie tłoczyli się wokół, śmiejąc się, rozmawiając i popijając grzane wino. Chciałam na nich wszystkich nawrzeszczeć: ZEJDŹCIE MI Z DROGI! GDZIE

ONA JEST? GDZIE JEST MOJE DZIECKO? Czułam, jak do oczu napływają mi łzy, a panika zacisnęła się na mojej piersi żelazną obręczą.

*Zabrał cię.* To jedyna myśl, do której byłam zdolna. Powtarzałam ją w głowie raz po raz niczym scenę z horroru.

Przeciskałam się przez tłum, wykrzykując twoje imię. Melissa dreptała tuż za mną, usiłując mnie uspokoić, ale ja nie rozumiałam w ogóle, co do mnie mówiła. Ogarnęła mnie panika – ślepa panika. Słyszałam kiedyś, jak ludzie tak to nazywają, i faktycznie tak właśnie się czułam – oślepiąca przez strach.

Przeciskałam się dalej przez tłum, z Melissą za plecami. Słyszałam, jak pyta wszystkich, czy nie widzieli przypadkiem małej dziewczynki w czerwonej budrysówce.

I nagle się pojawiłaś. Zobaczyłam cię poprzez tłum, trzymającą dłoń tajemniczniej kobiety, którą miałam poznać jako Daphne Hartall. Uśmiechałaś się, ale na policzkach miałaś wysychające ślady łez.

Podbiegłam do ciebie i praktycznie wyrwałam cię wysokiej, chudej nieznajomej. Nachyliłam się i przytuliłam cię mocno, wdychając twój znajomy słodki zapach.

– Dzięki Bogu. Dzięki Bogu. Dzięki Bogu.

– Bardzo przepraszam – odezwała się nieznajoma chrapliwym głosem. – Wyglądała na zagubioną, więc powiedziałam, że pomogę jej znaleźć mamę. – Zauważyłam, że trzyma w dłoni twój plastikowy kubek. Jego brzeg był lepki od czekolady.

Wstałam, trzymając cię za rękę i obiecując sobie, że już nigdy, przenigdy cię nie puszcę.

– Widzisz? – usłyszałam za plecami. To Melissa. Jej duże piersi falowały, kiedy sapała, próbując odzyskać oddech. – Wiedziałam... – sap, sap – ... że nic się jej... nie stało.

– Dzięki, Melissa. Przepraszam... za przesadną reakcję.

Kiwnęła głową, przyciskając dłoń do piersi, i powiedziała, że nie ma problemu i że lepiej już wróci do kawiarni. Odchodząc, rzuciła mi jednak dziwne spojrzenie przez ramię. Wiedziałam, co sobie myśli – że jestem nadopiekuńczą matką. Histeryczką.

Zapadła krótka, niewygodna cisza, a potem kobieta powiedziała:

– Jestem Daphne.

– Rose. A to jest Lolly.



Uśmiechnęła się i na chwilę rozjaśniła się cała jej twarz, dzięki czemu przestała wyglądać tak surowo, jej rysy nagle złagodniały. Teraz, kiedy stałam bliżej, dostrzegłam, że końcówki jej długich rzęs są niebieskie.

– Tak, powiedziała mi to. Dość nietypowe imię.

– Tak naprawdę ma na imię Lorna, ale trudno jest jej to wymówić. Ustaliła więc, że ma na imię Lolly, i tak już zostało. Dziękuję raz jeszcze. – Przez moment wahałam się, czy powinnam zadać pytanie. – Jest pani nowa w wiosce?

Potaknęła.

– Zatrzymałam się w jednym z pokoiów Pod Jeleniem i Bazarantem, ale rozglądałam się za czymś na dłużej. Przynajmniej na jakiś czas.

Zastanawiałam się, czy to właśnie ona odpowiedziała na moje ogłoszenie.

– Może będę w stanie pani w tym pomóc. – Uśmiechnęłam się. Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem, odsłaniając białe drobne zęby. A to dopiero miła niespodzianka, pomyślałam. Chyba było nam pisane to spotkanie.

Jakże bardzo się myliłam.

## Saffy

W drodze do babci mama jest nietypowo milcząca. Wygląda przez okno, kiedy przejeżdżamy przez rynek i plac, mijając kawiarnię Beggars Bowl. W oddali, w ostrym świetle słońca lśni iglica kościoła. W nocy spadł deszcz i powietrze jest świeże i czyste, jak dopiero co wyprana pościel. Wszystko wygląda jaśniej i jest wyraźniejsze. Czy mama myśli o Alberto? Nie wymienia zbyt często jego imienia. Wczorajsze popołudnie spędziłam w większości na oprowadzaniu jej po wiosce. Wspominałyśmy babcię, a Tom dyskretnie szedł za nami ze Snowym. Mama instynktownie wydawała się znać drogę do kawiarni, a kiedy wspinała się po nadkruszonych schodach krzyża na placu, powiedziała, że miała uczucie *déjà vu*.

– Tam. – Wskazała palcem na mały budynek obok kościoła. – Jestem pewna, że było tam przedszkole, szkółka niedzielna lub coś w tym stylu.

Zarezerwowałam dla nas lunch w niedzielę Pod Jeleniem i Bazantem, wiedząc, że się jej tam spodoba. Pub wygrał wiele nagród kulinarnych, a moja mama jest największym smakoszem, jakiego znam. Kiedy spacerowałyśmy brukowanymi uliczkami, wydawała się spięta i wciąż pytała, jak łatwo jest wejść w las na tyłach naszego domu. Normalnie mama jest dość niefrasobliwą osobą i zawsze patrzy na wszystko z optymizmem. Kiedy spytałam, co się stało, potrząsnęła tylko głową, niemal rozbijając sobie nos swoimi gigantycznymi kolczykami.

– Nic, moja słodka dziewczuszko. – Wzięła mnie pod łokieć. – Uwielbiam być tutaj razem z tobą. A teraz pokaż mi, gdzie jest ten wspaniały pub. Straszna mam ochotę na pieczeń wołową.

– Dobrze się czujesz? – pytam teraz, kiedy wyjeżdżamy poza wioskę, kierując się ku drodze M4.

Mama odwraca się do mnie z olśniewającym uśmiechem, ale pod fachowym makijażem wygląda na zmęczoną.

– Oczywiście. Dlaczego pytasz?

– Bo nie trajkoczesz jak najęta, jak zwykle. Jesteś trochę... bardziej *milcząca* niż normalnie – staram się być dyplomatyczna.

– Myślę o twojej babci, to wszystko. Czy będzie na tyle przytomna, żeby zdołali ją dzisiaj przesłuchać?

Słońce nagle chowa się za chmurą i wszystko robi się bardziej ponure.

– Ja też się o to martwię. Nie chcę, żeby się bała, ale przynajmniej przyjdą do niej. Poza tym to dobrze, że nie wyjedziesz przynajmniej do soboty. Będziesz mogła odwiedzić babcię jeszcze raz.

Mama wierci się na siedzeniu i poprawia ubranie. Ma na sobie obcisłą dzinsową bluzkę w kroju przypominającą gorset, który trochę za bardzo obciska jej biust, do tego białe dzinsy i beżowe sandaalki na obcasach. Paznokcie u stóp pomalowała na kolor cyklamenowy. Ja nie zajęłam się moimi od Gwiazdki. Nie ma to wprawdzie wielkiego znaczenia, zważywszy na to, że cały czas chodzę w trampkach, nawet w tym upale, a nawet jeśli już zakładam sandały, są to moje poczciwe birkenstocki, które mama zawsze nazywała *po prostu brzydkimi*.

– Zastanawiam się, czy nie zostać na trochę dłużej – przerywa. – Jeżeli nie masz nic przeciwko temu?

Zastanawiam się, co sprawiło, że zdecydowała się przedłużyć swój pobyt tutaj. Myślałam, że tydzień stanowczo jej wystarczy. Do tego czasu pewnie stęskni się już strasznie za Alberto i za plażą.

– Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu – odpowiadam, chociaż nie jest to do końca prawda.

Osobowość mamy wypełnia naszą chatkę tak, że wszystko wydaje się jeszcze mniejsze i ciasniejsze. Nie potrafi nic na to poradzić i automatycznie przejmuje władanie nad przestrzenią. Gotuje dla nas, nawet jeśli nie jesteśmy głodni, albo kiedy właśnie zamierzamy rozłożyć się na sofie, nagabuje mnie, żebym przyniosła rzeczy, które może wsadzić do pralki. Czuję się winna, kiedy zaczyna zmywać naczynia, i uważam, że muszę jej pomóc, mimo że Tom zazwyczaj zostawia brudne naczynia do następnego dnia, bo woli się odprężyć wieczorem przed telewizorem. Tom świetnie sobie z mamą radzi, ale widziałam napięcie na jego twarzy, kiedy zeszłego wieczora gadała do niego non stop w czasie, gdy usiłował obejrzeć *Techników-magików*.

– A co z twoją pracą?

– Mogę wziąć urlop bezpłatny. Poza tym mam bardzo dużo zaległego urlopu.

– Okej. Wiesz, że możesz u nas zostać, ile chcesz, ale obawiam się, że ja muszę pracować. Mam terminy – mówię i tym razem to prawda. Mam nadzieję, że

mama zrozumie, że nie będę miała czasu na całodzienne pogaduszki.

Mama wyciąga rękę i czule poklepuje mnie po udzie, z brzękiem jej licznych bransoletek.

– Nie musisz się w ogóle o mnie martwić. Rób to, co zwykle, i udawaj, że mnie tu nie ma.

Mam ochotę się roześmiać. To akurat w przypadku mojej mamy jest niewykonalne.

– Alberto nie będzie miał nic przeciwko temu?

– Zostaw to mnie. – Macha upierścienioną dłońią lekceważąco. – Wszystko będzie dobrze.

Odganiem niepokój. Nie jestem w stanie powstrzymać się od myśli, że mama ucieka od swojego życia w Hiszpanii i od problemów, które niewątpliwie ma z Alberto. Czuję się winna, że mam Toma i dziecko w drodze, podczas gdy ona nigdy nie była tak naprawdę w stanie ułożyć sobie życia.

Mama wybucha gwałtownym śmiechem, który sprawia, że podskakuję.

– Kochanie, wyglądasz tak strasznie poważnie. Przestań się martwić.

– Wcale się nie martwię.

– Przygryzasz znowu wargę. Zawsze to robisz, kiedy się martwisz. Jestem dorosłą kobietą. Poradzę sobie. Nie musisz się o mnie martwić... to ja powinnam martwić się o *ciebie*.

Marszczę czoło.

– Dlaczego miałabyś się o mnie martwić?

– To znaczy... – Bawi się pierścionkiem na palcu wskazującym. To prezent od taty; śliczna obrączka z szafirem i chociaż rodzice rozstali się wiele lat temu, mama nigdy jej nie zdejmuje. – Tak ogólnie, rozumiesz sama. To rola matki.

Dlaczego mam przeczucie, że czegoś mi nie mówi?

Słońce znów wychyla się zza chmury, jasne i oślepiające, aż muszę opuścić klapkę osłaniającą przed słońcem. Mama mimo wszystko ma rację. Denerwuję się. Boję się, że zwymiotuję moją bezkofeinową herbatę i pół tostów, który przełknęłam, boję się spotkania z policją i przesłuchania babci; tego, co może powiedzieć.

\*

Kiedy docieramy na miejsce, babcia siedzi w swoim fotelu w rogu świetlicy. Słońce sączy się przez okna do środka pomieszczenia i jest tu gorąco i duszno.

Żaluzje są zamknięte. Babcia ma na sobie różowy sweter. Pewnie się gotuje z gorąca.

Dzisiaj nie próbuje układać puzzli. Pograżona w myślach, wpatruje się nieobecny wzrokiem w ogród za oknem. Zastanawiam się, o czym myśli.

– Ojej. – Mama przykłada dłoń do gardła. – Wygląda znacznie drobniej i chudziej niż ostatnim razem, kiedy ją widziałam. – Głos się jej załamuje.

Przelykam zdenerwowanie i zerkam na zegarek. Minęła dziesiąta. Policja powiedziała, że przyjadą około wpół do jedenastej.

Joy, managerka domu opieki – chuda, nadgorliwa kobieta pod sześćdziesiątkę – podchodzi do nas stojących na progu pomieszczenia.

– Rose ma dzisiaj dobry dzień – mówi z uśmiechem, który nie dociera do oczu ukrytych za okularami w rogowej oprawie. Zawsze stwarza atmosferę niepokoju.

– Dam państwu znać, kiedy przybędzie policja. Nie chcę, żeby wchodzili tutaj i przeszkadzali innym rezydentom.

Mama kiwa głową, dziękuje Joy, po czym ruszamy w kierunku babci. Obok jej fotela stoi dwuosobowa kanapa z plecionki. Wbijamy się z mamą w siedzenie.

Babcia nie podnosi głowy, kiedy się do niej przyłączamy. Nadal wpatruje się w jakiś nieokreślony punkt krajobrazu. Założyła sztuczną szczękę. Nie jestem przyzwyczajona do takiego jej widoku – zęby zmieniają kształt jej twarzy, podkreślają zarys jej szczęk i w jakiś sposób przydają jej surowości.

– Hej, babciu – zaczynam, nachylając się do przodu. To ja siedzę bliżej niej.

Mama nachyla się nade mną i chwyta jej dłoń.

– Cieszę się, że cię widzę, mamó. Dobrze wyglądasz.

Babcia odwraca się i spogląda na mamę z obojętną twarzą.

– Kim pani jest?

Serce mi się ściska.

– To ja, Lorna. Twoja córka. – Głos mamy załamuje się lekko.

Na twarzy babci pojawia się lekka panika.

– Ja nie mam córki.

Łzy nabiegają mi do oczu na widok smutnej miny mamy. Mrugam gwałtownie, powstrzymując płacz. To na pewno nikomu by nie pomogło. Mama szybko dochodzi do siebie.

– Oczywiście, że masz. I wnuczkę – mówiąc to jednak puszcza dłoń babci, która spogląda na mnie z błyskiem zrozumienia w oczach.

– Saffy!

Uśmiecham się, próbując nie patrzeć na mamę.

- Hej, babciu.
- Jak się miewa ten twój cudowny mężczyzna?
- Dobrze, dziękuję.
- Mam nadzieję, że nadal dobrze go karmisz.

Wybucham śmiechem. Mama opadła obok mnie na kanapie, całkowicie przybita.

- Dzisiaj nie czwartek. Zawsze odwiedzasz mnie w czwartki.

Czasami zaskakuje mnie, jak bystra potrafi być babcia. Innymi razy z kolei jest tak, jakby ktoś wkradł się do domu opieki pod osłoną nocy i wymazał jej pamięć. Wszystko to jest tym bardziej okrutne, że babcia nie pamięta mamy, chociaż jednocześnie jest świadoma tak wielu rzeczy.

- Jest poniedziałek, masz rację, ale dzisiaj przychodzi policja. Pamiętasz, w zeszłym tygodniu opowiedziałam ci o ciałach w ogrodzie?

Babcia sztywnieje, a mama nachyla się do przodu wyczekująco.

- Dlaczego policja chce się ze mną zobaczyć?
- Chcą ci tylko zadać kilka pytań, to wszystko. Dlatego, że mieszkałaś w tym domu.

Babcia mruży podejrzliwie oczy.

- Postaraj się odpowiedzieć najlepiej jak potrafisz. Ostatnim... ostatnim razem opowiadałaś mi o Sheili. I o Victorze.

- Sheila. Niegrzeczna mała dziewczynka.

Kim ona jest, ta Sheila? Chciałabym wiedzieć więcej, ale muszę się postarać, żeby babcia skoncentrowała się na właściwej sprawie.

- Czy pamiętasz czasy, kiedy mieszkałaś w domku w Cotswolds?

Babcia prostuje się.

- Oczywiście, że tak. Nie jestem, kurwa, głupia.

Jestem w szoku. Babcia nigdy nie mówiła do mnie w ten sposób i nigdy nie słyszałam, żeby przeklinała.

- Wiem, że nie jesteś głupia – odpowiadam cicho.

– Myślę, że powinniśmy zostawić przesłuchanie policji, kochanie. – Głos mamy wcina się w naszą rozmowę.

- Nie przesłuchuję babci. – Rzucam mamie urażone spojrzenie, chociaż wiem, że tak naprawdę robię to. Mama po prostu nie wie, jak sobie radzić z babcią, w przeciwieństwie do mnie. Wszystkie trzy milkniemy. Wiem, że mama w milczeniu rozpamiętuje fakt, że babcia jej nie poznała. Rozumiem, jak bardzo ją to zabolowało. Mnie też czasem to dotyka. Mama nie odwiedzała babci zbyt

często, po tym jak ta zamieszkała w domu opieki. Powinnam ją ostrzec, że może się zdarzyć coś podobnego.

– Jean ją uderzyła – mówi babcia nagle, przerywając ciszę.

Nachylam się do niej.

– Kim jest Jean?

– Jean ją uderzyła. Jean uderzyła ją w głowę i ona upadła na ziemię.

Wstrzymuję oddech, nie chcąc przerywać. Wyczuwam napięcie emanujące z mamy.

Czy to możliwe, że babcia jednak wie coś o tych ciałach?

Czekamy... mija chwila, dwie... Mama otwiera usta, ale ja potrząsam głową. *Nie, mówię bezgłośnie. Nie odzywaj się.*

– Nie wiedziałam, co robić. Wszyscy mówili, że była okropna. Wszyscy mówili, że była zła, z powodu tego, co zrobiła. Victor próbował nas skrzywdzić.

Nachylam się ostrożnie, żeby nie wybić babci z ciągu.

– Babciu... chcesz powiedzieć, że jakaś Jean zabiła kobietę znaną w Skelton Place? – Zerkam na mamę, przerażona.

– Victor... Sheila...

Pocieram skronie. Czuję, że zbiera mi się na ból głowy. Babcia jest dezorientowana, podobnie jak ja. To tylko demencja, tłumaczę sobie. Przed ostatnią wizytą nigdy nie słyszałam, żeby wspominała te imiona.

Na szczęście w tej chwili podchodzi do nas Joy.

– Policja przyjechała – szepcze i rozgląda się, upewniając się, że inni rezydenci nic nie usłyszeli. – Chyba wszystkie powinnyście pójść ze mną.

## Lorna

Idą za Joy do pokoju tuż za korytarzem. Jest w nim kominek i tapeta z wypukłym wzorem, w kolorze pastelowo błękitnym. Saffy podtrzymuje babcię pod ramię, a serce Lorny skrycie pęka na kawałeczki, nie tylko na widok własnej matki postarzałej dużo bardziej niż podczas ostatnich jej odwiedzin sześć miesięcy temu, ale z szoku, że mama jej nie rozpoznała. Lorna zdaje sobie sprawę, że nie odwiedzała jej tak często, jak powinna. Trudno to robić, kiedy się mieszka w Hiszpanii – w każdym razie zawsze tłumaczyła to sobie w ten sposób. Mimo to w głębi duszy wie, że mogłaby przyjeżdżać częściej, gdyby naprawdę tego chciała. To tylko półtorej godziny lotu. Łatwiej jednak było nie myśleć o mamie, powoli gasnącej w domu opieki, i jej coraz bardziej zdezorientowanym umyśle. Łatwiej było zamiast tego skoncentrować się na idiotycznie umięśnionych i całkowicie nieodpowiednich dla niej młodych kochankach. Teraz zżera ją poczucie winy. Była okropną córką.

Dwa fotele z kwiecistym obiciem, ustawione przy kominku, zajmowane są przez dwóch mężczyzn w rozpiętych pod szyją koszulach i spodniach od garnituru. Na obu twarzach lśni warstwa potu. Jest tutaj jeszcze goręcej niż w świetlicy. Starszy z detektywów (Lorna typuje, że czterdziestokilkuletni), z zakolami na czole, błękitnymi oczami i mocno zarysowaną szczęką, wstaje, kiedy wchodzi do pomieszczenia. Młodszy oficer, pod trzydziestkę, niski i krępy, z włosami koloru wody brudnej po myciu naczyń, postawionymi na żel, pozostaje w fotelu. Popija coś, co wygląda jak czekoladowy napój mleczny, z przezroczystego kubka ze Starbucksa.

– Detektyw sierżant Matthew Barnes – przedstawia się starszy policjant, ściskając ręce wszystkim przybyłym nad stolikiem kawowym. – A to mój współpracownik, posterunkowy Ben Worthing. Jesteśmy z wydziału zabójstw policji w Wiltshire. – Ben wita się z nimi skinieniem głowy. Lorna zauważa, że jego wzrok zatrzymuje się nieco dłużej na Saffy.



Sierżant Barnes wraca na swój fotel, a Joy krząta się przy wszystkich, zapraszając panie do zajęcia miejsc na krzesłach naprzeciwko foteli i zbierając zamówienia na kawę i herbatę. Lorna i Saffy siadają po obu stronach babci, która wygląda nagle na bardzo małą i bardzo zdezorientowaną. Palce splotła na udach, a jej wzrok przesuwają się to na jednego, to na drugiego policjanta. Zachowuje się jak zdenerwowane dziecko. Lorna wyciąga rękę i chwyta dłoń matki, żeby ją pokrzepić. Oddycha z ulgą, kiedy Rose jej na to pozwala.

– Rose, nie chcę pani niepokoić – zaczyna sierżant Barnes łagodnie. – To nieformalna rozmowa. W tej chwili po prostu gromadzimy informacje, rozmawiając ze wszystkimi ludźmi w jakikolwiek sposób związanymi z tamtym domem. – Na stoliku przed sobą ma notes i długopis. Otwiera notatnik i zdejmuje skuwkę z długopisu, gotowy do spisania wszystkiego, co powie Rose.

Matka Lorny nie mówi nic, tylko wpatruje się przed siebie i popija herbatę, którą przyniosła służba Joy.

– Na początek chciałbym uzyskać podstawowe informacje, na przykład, kiedy się pani urodziła, Rose?

Jej matka nagle wygląda na spanikowaną. Opuszcza kubek.

– Ja... emm... lipiec... nie, sierpień... 1939 roku, tak myślę...

– Urodziłaś się w 1943 roku, mamo – wtrąca się Lorna. Spogląda na Barnes'a. – Dwudziestego marca 1943 roku.

– Ach tak, tak, oczywiście, 1943. W środku wojny, wie pan. – Rose upija kolejny łyk herbaty i zaciska usta. Lorna zerka nad jej głową na Saffy, która wpatruje się w nią z obawą.

To się zapowiada na prawdziwą katastrofę. Jakim cudem chcą przeprowadzić rozmowę z jej matką, skoro ona nie pamięta nawet własnej daty urodzenia?

– Została u pani zdiagnozowana choroba Alzheimera, tak? – pyta Barnes.

Rose nie odpowiada, więc Lorna czuje się w obowiązku wyjaśnić:

– Tak, w zeszłe lato.

– Dziękuję, pani Lorno. – Sierżant Barnes kiwa głową bez uśmiechu. – A zatem, Rose, mam tu zanotowane, że zaczęła pani wynajmować dom w kwietniu 1981 roku.

Rose potrząsa głową.

– Ja... ja nie wiem.

Barnes zagląda do notesu.

– Wiemy, że pani pierwszy najemca zaczął tam mieszkać w czerwcu 1981 roku. Była to para, która mieszkała tam przez dziesięć lat. Już z nimi

rozmawialiśmy. Ale przedtem mieszkała pani w tamtym miejscu przez niemal cztery lata. Czy ktoś mieszkał z panią?

– Ja... miałam współlokatorkę.

Lorna nigdy o tym nie słyszała. Prostuje się na krześle i dostrzega, że Saffy zareagowała podobnie.

– Współlokatorkę? Mężczyznę czy kobietę? – pyta sierżant.

– Kobietę. Daphne... Daphne Hartall. – Wymawia to nazwisko niemal z upodobaniem, jakby nie robiła tego przez bardzo długi czas i jakby cieszyło ją brzmienie i smak tych słów.

Matka nigdy przedtem nie wspominała o żadnej Daphne.

– Czy pamięta pani, który to był rok?

– Chyba 1979. Nie, 1980... – Siorbie herbatę. Część płynu opryskuje jej różowy sweter. Dłoń Saffy wisi nad kubkiem babci, gotowa w każdej chwili jej pomóc. – To był ostatni rok mojego pobytu w chatce.

– Ile lat miała Daphne?

– Miała... miała tyle samo lat, co ja. Tak sędzę. Czyli po trzydziestce. A może... może czterdzieści... ja... – rzuca spojrzeniem na boki – ja nie pamiętam dokładnie...

– I co się z nią stało?

– Nie pamiętam. Wyjechała. Straciliśmy kontakt.

– Przyjaźniłyście się panie?

– Tak. Tak, byłyśmy przyjaciółkami. – Rose wydaje się rozdrażniona, jak kiedy rozmawiała z Lorną o jej ojcu.

– A czy miała pani jakichś... męskich przyjaciół w tamtym okresie czasu?

Rose drga gwałtownie i trochę herbaty wydobywa się z kubka i ścieka na przód jej swetra.

Saffy spogląda na nią zbolalym wzrokiem.

– Daj, babciu, wezmę od ciebie ten kubek – mówi. Kiedy herbata znajduje się już bezpiecznie w jej dłoniach i zostaje odstawiona na stolik, na twarzy córki Lorny pojawia się wyraźna ulga.

– Rose... – Barnes wraca do przerwanego wątku – jacyś mężczyźni?

Matka Lorny wzrusza ramionami.

– Nie. Nie. Bałyśmy się... Victora.

Lorna marszczy czoło. Znow ten Victor. Kim on jest?

– Bała się pani... – zachęca ją sierżant łagodnie.

– Victor chciał skrzywdzić dziecko. – Babcia dotyka miękkiego brzucha, jakby przypomniawszy sobie nagle, jak to było, gdy była w ciąży. *Czy chodzi jej o mnie?*, zastanawia się Lorna. *Nie może chodzić o mnie. Powiedziała mi, że mój tata umarł, zanim się urodziłam.*

Jej matka zawsze była nadopiekuńcza, gdy Lorna była jeszcze dzieckiem. Nalegała, że będzie wychodziła po nią na przystanek autobusu szkolnego co wieczór, chociaż wszystkie przyjaciółki Lorny mogły same wracać do domu. Nigdy nie pozwalała się jej zbyt oddalać i zawsze musiała wiedzieć, gdzie Lorna się wybiera, o której godzinie wróci, a jeśli ta kiedykolwiek się spóźniła, mama wydzwaniała do rodziców wszystkich jej koleżanek i było to tak żenujące, że Lorna zawsze wracała na czas. Czy to właśnie dlatego tak się zachowywała? Ponieważ bała się mężczyzny o imieniu Victor?

Sierżant Barnes marszczy czoło.

– Kim jest Victor? Czy pamięta pani jego nazwisko?

Rose potrząsa głową.

– To było tak dawno temu... – Spogląda na Saffy. – Nie chcę już odpowiadać na więcej pytań. Chcę obejrzeć *Bargain Hunt*.

– Och, babciu. – Saffy bierze ją za rękę. – Już niedługo skończymy. Prawda, detektywie?

Policjant kiwa głową.

– Jeszcze tylko chwilę, bardzo proszę, Rose. Czy pamięta pani coś jeszcze na temat Victora? Czy kiedykolwiek odwiedzał pani dom?

– Nie. Nie wiem. Ja... – Mruga gwałtownie. – Ja nie pamiętam.

– Czy może mi pani powiedzieć coś więcej o Daphne?

– Nie. Jak już powiedziałam, mieszkała ze mną w tamtym domu przez jakiś czas. Chyba rok. A potem wyjechała. Przeniosła się gdzieś indziej. Tak... wyjechała.

– Czy miała pani jakichś innych współlokatorów w tym okresie?

– Nie. Ach, przepraszam, tak, miałam. Przed Daphne. Ale ona nie została zbyt długo.

– Pamięta pani jej imię i nazwisko?

– Nie...

Sierżant Barnes bierze głęboki oddech.

– Okej, no dobrze, będziemy musieli się temu przyjrzeć. A czy była pani kiedykolwiek świadkiem kłótni lub bójki, gdy ktoś został skrzywdzony w tamtym domu?

– Jean uderzyła ją w głowę.

Serce Lorny ściska się boleśnie.

Barnes zerka na swojego kolegę, a potem znów na matkę Lorny.

– Jean? Kim jest Jean, Rose?

– Jean uderzyła ją w głowę i potem ona już nie wstała.

Sierżant siada prosto, z pozornie obojętną miną, ale Lorna widzi, że kąćki jego ust drgnęły z podniecenia.

– Jean uderzyła Daphne w głowę?

– Nie.

– W takim razie kogo?

Matka Lorny jest wyraźnie zdezorientowana. Wygląda na zmęczoną. Pod oczami ma głębokie cienie.

– Nie wiem.

– Myślę, że mama ma już dosyć, nie sądzi pan? – wtrąca się Lorna. Czuje, że ta sytuacja nie jest w porządku. Jak można uwierzyć w cokolwiek, co powiedziała Rose?

Sierżant Barnes kiwa głową zrezygnowany.

– Okej. – Spogląda na Lornę. – Jeżeli jednak pani mama przypomni sobie coś jeszcze, cokolwiek, niezależnie jak drobnego i nieistotnego, proszę nas poinformować.

\*

Lorna stoi na korytarzu i obserwuje Saffy i Joy, odprowadzające jej matkę do świetlicy. Rose papla coś o programie *Bargain Hunt* i Lorna nadal słyszy jej głos, nawet kiedy mama znika za rogiem: mocny cockneyowski akcent, niewykorzeniony nawet po tych wszystkich latach. Wygląda na to, że rozmowa nie wyrzuciła matce żadnej większej krzywdy, ale Lorna i tak jest wkurzona na sierżanta Barnes'a i ma ochotę mu nawrzucać.

Czai się w korytarzu, dopóki policjant nie wyjdzie z pokoju, a zaraz za nim Ben Worthing. Podchodzi do niego zdecydowanym krokiem.

– Czy to naprawdę było konieczne? – zaczyna. – To starsza kobieta z demencją, do diabła ciężkiego. Mam nadzieję, że nie zamierza pan potraktować poważnie jej paplaniny o Victorze i Jean. Mama jest zdezorientowana, to wszystko. Nie wie, co mówi.

Barnes wydaje się zbity z tropu jej tyradą.

– Musimy przesłuchać wszystkie osoby, które mieszkały w tamtym domu w tym konkretnym czasie – odpowiada cicho. Lorna nie potrafi sobie wyobrazić, żeby ten człowiek kiedykolwiek podniósł głos. – To poważna zbrodnia i potrzebujemy wszystkich informacji, jakie zdołamy zgromadzić. Ale oczywiście tak, rozumiem, że Rose ma demencję. Nie zamierzam brać wszystkiego, co powiedziała, dosłownie. Tym niemniej może w tym coś być i jeśli bym tego nie sprawdził, nie byłbym dobrym policjantem.

– Moja mama nic nie wie. Powiedział pan, że rozmawiał z najemcami tego domu. Czy czegoś się pan od nich dowiedział?

Mężczyzna wzdycha.

– Jeszcze nie, jednak jak już mówiłem, próbujemy ustalić, kto mieszkał w tamtym domku i kiedy. Pracujemy także nad identyfikacją ciała. Kiedy już dowiemy się, kim były te osoby i kiedy dokładnie zmarły, będzie nam łatwiej...

Przerywają im odgłosy głośnego siorbania płynu przez słomkę. Odwracają się do posterunkowego Worthinga, który właśnie spija ostatnie krople swojego mlecznego napoju. Lorna spogląda na niego gniewnie. Na szczęście Worthing ma na tyle rozsądku, żeby okazać skruchę.

– Zaczekam w samochodzie, szefuńciu – rzuca, wychodząc czym prędzej z budynku.

*Szefuńciu?* Serio? Lorna wywraca oczami. Sierżant Barnes najwyraźniej to zauważył, bo rzuca ze śmiertelną powagą:

– Jest nowy. Chyba naoglądał się zbyt wielu odcinków *Sweeneya*.

Usta jej drgają, ale nie zamierza mu dać satysfakcji, śmiejąc się. Nie wywinie się tak łatwo.

Przestępuje z nogi na nogę. Jeden z sandałków obciera ją w piętę, w miejscu niedawnego bąbla.

– I co teraz?

Barnes obdarza ją długim spojrzeniem, którego Lorna nie potrafi rozszyfrować. Zastanawia się, czy przypadkiem nie jest to współczucie.

– Będziemy w kontakcie.

## Saffy

Kiedy wracamy do domu, Tom nadal jeszcze jest w pracy, więc mama mówi, że zabierze się do obiadu, a ja wyprowadzam Snowy'ego na spacer. Nadal jest dość ciepło i słońce prześwituje przez korony drzew. Kiedy przechodzę obok domu numer osiem, wyskakuje z niego Brenda Morrison, nadal w kapciach z owczej skóry.

– Ej! Chcę z tobą porozmawiać! – mówi, patrząc na mnie wilkiem.

Zatrzymuję się i próbuję się uśmiechnąć uprzejmie, zwracając się w jej kierunku. Nigdy nie polubiłam Brendy ani jej męża, Jacka. Żadne z nich nie przywitało nas, kiedy się tu przeprowadziliśmy, nie wspominając o tym, że sprzeciwiają się rozbudowie. Zawsze znajdują powód do narzekania: miejsce, w którym stawiamy nasz kosz na śmieci, odgłosy wiertarek robotników, szczekanie Snowy'ego w ogrodzie.

– Jak się masz, Brenda? – pytam.

– Niezbyt dobrze. Mam już dość tych dziennikarzy, kręcących się tu cały czas. W zeszłym tygodniu jeden był w waszym ogrodzie na tyłach domu. Robił zdjęcia przez płot. To zwyczajnie nie do przyjęcia. Przez to wszystko mój Jack znów dostał zgagi.

– Naprawdę mi przykro. Mnie też nie podoba się, że się tu kręcą.

– Mieszkamy tutaj prawie trzydzieści lat i nigdy nie było tu takich typków.

– Nie mam pojęcia, co zamierzają przez to osiągnąć. Nie ma żadnych nowych informacji i prawdopodobnie nie zmieni się to przez jakiś czas – tłumaczę. Sierżant Barnes powiedział wcześniej coś o przeglądaniu bazy danych osób zaginionych między rokiem 1970 i 1990, z nadzieją na identyfikację ofiar. To może zająć kilka miesięcy.

– Do tego jeszcze w zeszłym tygodniu przyszła policja. Zadawali pytania. – Prze dalej, zupełnie jakbym się w ogóle nie odezwała. – I powiem ci to, co powiedziałam im: mieszkamy tutaj ponad trzydzieści lat i jeśli dwoje ludzi

zamordowano by i zakopano w ogrodzie sąsiadów – zakłada ramiona na piersi – na pewno byśmy zobaczyli. Przede mną nic się nie ukryje.

To akurat mnie nie dziwi.

– Trzydzieści lat? Zatem przyjechaliście tutaj w...

– Osiemdziesiątym szóstym. Kupiliśmy ten dom od miłej starszej pary. Chcieli się przeprowadzić bliżej syna.

– Nie znałaś mojej babci? Rose Grey? Nie mieszkała tutaj w tamtym okresie, ale była właścicielką. Nie wiem, czy tu przychodziła, czy...

Ale Brenda potrząsa głową.

– Nie. Kiedy się tu sprowadziliśmy, w waszym domu mieszkali Beryl i Colin Jenkinsowie i nie pamiętam, żebym poznała jakąś Rose Grey.

Snowy ciągnie smycz. Nachylam się, żeby go pogłaskać.

– A po Jenkinsach mieszkali tu państwo Turnerowie? – pytam, przypominając sobie rozmowę pani McNulty w narożnym sklepie.

Brenda spogląda na mnie ostro i kiedy zaczynam sądzić, że nie zechce odpowiedzieć, nachyla się do mnie i dostrzegam, że mimo całej swojej drażliwości uwielbia plotki. Otula szczerzej swetrem swoją kościstą sylwetkę.

– Turnerowie, Valerie i Stan, wprowadzili się około 1988 albo 1989. Mieli dziwnego syna. Zawsze pakował się w kłopoty.

– Pamiętasz jego imię?

– Harrison. Tak, na pewno Harrison. Pamiętam z powodu George'a Harrisona. Dzikie dziecko. Żal mi było jego mamy i taty. Byli starsi i Stan miał potworny reumatyzm.

– Powiedziałaś to wszystko policji?

– Oczywiście, że tak. W zeszłym tygodniu.

Mam nadzieję, że detektywi zainteresowali się tym Harrisonem. Postanawiam spytać o to sierżanta Barnes'a.

– W każdym razie – zaczynam, starając się nadać mojemu głosowi optymistycznie brzmiące – w tej chwili nie ma tu żadnych dziennikarzy. Może zrobili sobie dzień wolny.

Ale Brenda prycha tylko i wraca do domu, nie zegnając się ze mną.

\*

Później zdaję sprawozdanie Tomowi z mojej rozmowy z sąsiadką, kiedy stoimy razem przy zlewie, zmywając naczynia po obiedzie, zanim mama się do nich

dorwie. I tak już zdążyła poukładać wszystkie sztuce w szufladzie. O wizycie u babci opowiedziałam mu podczas posiłku.

Mama poszła do swojego pokoju, żeby zająć się obtartymi stopami. Nie mam pojęcia, dlaczego się tak upiera przy noszeniu obcasów przez cały czas. Srebrzysta skóra łososia przywarła do naczynia żaroodpornego. Wyładowuję swoją frustrację, szorując zawzięcie dno. Bardzo chcę mieć zmywarkę, ale Bóg jeden wie, kiedy będziemy mogli znowu podjąć rozbudowę kuchni. Wygląda na to, że zanim doczekam się mojej wymarzonej kuchni, minie sporo czasu. Chociaż ogród nie jest już traktowany jako miejsce zbrodni i policja powiedziała, że możemy kontynuować renowację, robotnicy nie mogą wrócić przez kilka miesięcy, bo zaczęli inną pracę. Nie jestem pewna, czy to przypadkiem nie jest wymówka.

– Ten syn może się okazać interesującym wątkiem śledztwa – mówi Tom. – Może rodzice pomogli mu zatuszować sprawę. – Na włosach ma kroplę zaschniętej białej farby. Wrócił do domu z pracy i natychmiast przebrał się w stare ciuchy.

– Zdążę jeszcze położyć jedną warstwę farby przed obiadem – powiedział.

Poręcz schodów jest już niemal skończona i Tom chce się zabrać za pokój dziecienny. Coś mnie jednak powstrzymuje... Za każdym razem, kiedy tam wchodzę, czuję się dziwnie. Dzieje się tak, od kiedy odkryto ciała, i wiem, że to dlatego, że okna tego pokoju wychodzą na ogród z jego gigantyczną dziurą. To stała pamiątka tego, co się wydarzyło. To wszystko. Wiem, że w końcu mi przejdzie. Kiedy cała ta sprawa wreszcie się skończy.

– Babcia wspomniała dzisiaj Jean i Victora – mówię. – Myślę, że jest zdezorientowana, ale – wzdycham – po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie wie czegoś o tych trupach. Zachowuje się, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. Ale po rozmowie z Brendą... – Milknę.

Sierżant Barnes powiedział nam na odchodne, że kobieta, która sprzedała domek babci w 1977 roku, od dawna nie żyje. Nie miała żadnych dzieci, tylko siostrę, z którą już rozmawiali. Dodał, że skontaktowali się również z dwiema rodzinami, które wynajmowały dom od babci między 1981 i 1990 rokiem, ale nie wspomniał nic o synu Turnerów. Powiedział również, że zainteresują się Daphne Hartall i drugą lokatorką. Wygląda na to, że policja ciężko pracuje nad identyfikacją ciał, ale Barnes powiedział, że będzie to długi proces ze względu na zaawansowany stan rozkładu. To chyba gigantyczne przedsięwzięcie.



– Twojej babci musi być bardzo ciężko. I trudno powiedzieć, czy to, co mówi, tak naprawdę coś znaczy, czy to tylko bezładna gadanina prowokowana demencją – mówi Tom, wycierając talerz, który w pewnym momencie prawie wyslizguje mu się z rąk.

– Ostrożnie! To jeden z naszych nieobtłuczonych.

Tom krzywi się. To stały żart na temat jego niezgrabności. Podczas naszego pierwszego spotkania na uniwersytecie w Bournemouth Tom odprowadził mnie do mojego akademika po tym, jak trochę za dużo wypiałam. Od razu wiedziałam, że jest dobrym człowiekiem: zajął się mną, przyniósł mi wodę i zrobił tosta. Pamiętam, że patrzyłam na niego, kiedy przemierzał mój obskurny pokój z tacą, i poczułam przypływ czułości do tego przystojnego, trochę nerdowatego faceta z przyklapniętą blond fryzurą, który starał się mi zaimponować. Nagle potknął się o dywan i talerz wraz z kubkiem poszybowały w powietrze na drugi koniec pokoju. Tom zastygł przerażony, spoglądając mi w oczy. A potem oboje wybuchliśmy śmiechem i to przełamało lody.

Od tamtego czasu zdążył poślizgnąć się na mokrych deskach tarasu, kiedy wraz z agentem nieruchomości rozglądaliśmy się za naszym pierwszym mieszkaniem do wynajęcia, potknął się o pień drzewa i złamał kostkę podczas romantycznego spaceru w lesie, a w zeszłym roku niemal nadepnął na Snowy'ego i naciągnął sobie mięsień w plecach i cierpiał przez tydzień. Nie wspominam nawet o wszystkich szklankach i talerzach, które zdołał upuścić w ciągu kilku lat naszej znajomości. Twierdzi, że jest nieskoordynowany, bo nigdy nie przyzwyczyił się do swoich długich kończyn i tyczkowatej sylwetki. „Jak zbyt szybko rosnący owczarek niemiecki”, zwykł żartować.

Odstawia ostrożnie talerz na blacie kuchennym i z przesadną ostrożnością bierze naczynie żaroodporne z suszarki. Zaczynam się śmiać.

Do kuchni nagle wpada mama, wyraźnie podekscytowana.

– Właśnie wpadłam na doskonały pomysł – mówi. – Powinnyśmy przejrzeć rzeczy babci, nie sądzisz? Całe to gadanie o Jean i Victorze bardzo mnie zaintrygowało.

– Jej rzeczy? – Zabieram ściereczkę Tomowi, żeby wytrzeć dłonie.

– Tak. No wiesz, wszystko, co spakowałyśmy z jej domu w Bristolu.

Marszczę czoło.

– Oddałyśmy sporo na cele dobroczynne. Jej meble i różne drobiazgi.

– Tak, tak, ale zachowałyśmy przecież jej rzeczy osobiste, papiery i tym podobne – mówi niecierpliwie. Kiwam głową, przypominając sobie koperty

i pudła z papierami, które znalazłyśmy w kredensie i nie miałyśmy siły ani ochoty ich wtedy przeglądać. Obiecałyśmy sobie, że zrobimy to później, ale potem zapomniałyśmy i mama wróciła do Hiszpanii. – Co z nimi zrobiłaś?

– Ja... – Próbuję pomyśleć. – Może są w pokoju gościnnym albo na strychu. Nadal mamy sporo do rozpakowania.

Mama unosi brwi, spoglądając na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Ale przecież mieszkacie tutaj od tylu miesięcy!”. Wiem, że ona zapewne rozpakowałaby wszystko w ciągu pierwszego tygodnia.

– No dobrze. Musimy znaleźć właściwe pudełka i je przejrzeć.

– Teraz? – Załamuję się trochę. Miałam w planach schrupanie paczki groszków czekoladowych przed telewizorem, oglądając jakiś lekki serial; coś zabawnego, żeby zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło.

Twarz mamy łagodnieje.

– Przepraszam, kochanie. Pewnie jesteś zmęczona. Zapomniałam już, jak wyczerpujący potrafi być drugi trymestr. Pokaż mi tylko, gdzie one są, zajmę się nimi sama.

Kusząca propozycja, szczerze powiedziawszy, ale nie mogę zwalić całej roboty na mamę. To byłoby nie w porządku.

– Nie, nie trzeba, pomogę ci. Chodźmy.

Rzucam Tomowi rozpaczliwe spojrzenie przez ramię, a on uśmiecha się w odpowiedzi i mówi, że nastawi wodę na herbatę.

\*

Rzeczy babci są na strychu: dwa duże pudła wciśnięte w daleki kąt pomieszczenia, pod okapem. Tom musi pomóc je znieść na dół, po drabinie. Potem wszyscy troje siadamy na podłodze, z gorącymi napojami i zaczynamy przeszukiwać dokumenty. Snowy odpoczywa, z głową na udach Toma.

– Boże, twoja babcia przechowywała mnóstwo śmieci – mówi Tom, przeglądając kupkę starych rachunków.

– Spójrz na to. – Unoszę książkę oprawną w skórę. – To tomik wierszy. Wygląda na bardzo stary. – Otwieram ją. Stronice są pożółkłe i pachną stęchlizną. – O rany...

– Co? – pyta mama.

Ostrożnie wyjmuję kwiatek zasuszony między dwiema stronicami.

– Sprasowana róża. – Jest sucha i krucha, ale ciemny szkarłat jej płatków nadal jest żywy. – Dał jej to ktoś, kogo kochała. – Wkładam kwiat ostrożnie z powrotem między kartki książki i wręczam ją mamie. – To wiersze miłosne.

Oczy mamy lśnią, kiedy bierze tomik i obraca w dłoniach. Wiem doskonale, co czuje. Babcia zawsze była bardzo skryta, nigdy nie opowiadała o swojej przeszłości, miłościach, mężu. Trudno sobie wyobrazić, że miała w ogóle życie, zanim została matką i babką; życie, z którego pochodziła zaszuszone róża z tomiku wierszy. Życie, w którym była zakochana.

– Może mój tata jej to dał – mówi mama. – A co ze starymi zdjęciami? Znalazłaś jakieś?

– Nigdy nie miała ich wiele. – Przypominam sobie, jak kiedyś poprosiłam ją o pokazanie mi jakichś zdjęć dziadka, a ona stwierdziła, że prawie ich nie ma i że w jej czasach ludzie bardzo rzadko robili fotografie, w co trudno mi było uwierzyć, bo przecież nie dorastała w czasach wiktoriańskich.

– Widziałaś kiedyś zdjęcia swojego ojca? – pytam mamę, która nadal wpatruje się w mały tomik poezji. Niechętnie odkłada go na podłogę, tuż obok siebie.

– Nie, nigdy. Powiedziała, że zawieruszyły się podczas przeprowadzki.

– Czyli nic o nim nie wiesz.

– Prawie nic. Mama nie lubiła o nim opowiadać. Twierdziła, że za bardzo ją to stresuje. – Mama zaczyna znów grzebać w pudle. – Powiedziała, że umarł, zanim się urodziłam. Miał atak serca. Nigdy nie odwiedzałyśmy żadnych grobów.

Myślę o mężczyźnie pochowanym w naszym ogrodzie. Przez jedną koszmarną chwilę zastanawiam się, czy nie jest to przypadkiem mój dziadek. Odpędzam tę myśl. To idiotyzm. Nie mogę nagle zacząć wątpić w babcię. Ten zbiór poezji i zaschnięta róża – musieli się kiedyś kochać.

– Czy spotkałaś kiedykolwiek kogoś z rodziny dziadka? – pytam mamę.

Potrzęsa głową.

– Nie. Twoja babcia zawsze mówiła, że jego rodzice umarli młodo, podobnie jak jej, a zarówno ona, jak i ojciec byli jedynakami.

– I nic więcej o nim nie wiedziałaś?

Mama spogląda na mnie znad otwartego pudła, z zastanowieniem wypisanym na twarzy.

– Raczej nic. Chyba darowałam sobie w końcu pytania. Mama nigdy nie chciała o nim rozmawiać. – Powraca do grzebania w kartonie i nagle wydaje

pisk zachwytu, przez który podskakuję z zaskoczenia. Wyjmuje brązową kopertę rozmiarów A4. – Tutaj są zdjęcia.

Zbliżam się do niej na czworakach, pod okno.

– Daj zobaczyć.

Mama wyjmuje stertę różnych rozmiarów fotografii i zaczyna je przeglądać. Na większości z nich widnieje mama w różnym wieku, w ogrodzie domu w Bristolu. Potem jednak wyciąga i wręcza mi kilka z nich.

– Popatrz na te.

Siedzę tak blisko, że niemal wlażłam jej na głowę, tak bardzo chcę natychmiast zobaczyć rzadkie zdjęcia. Wyglądają na wykonane jednym ze starych polaroidów i przedstawiają bardzo młodą mamę, dwu-, może trzyletnią. Na większości fotografii siedzi po turecku w ogrodzie, który przypomina tutejszy, z domkiem widocznym w tle. Jedno zdjęcie przedstawia ją i dużo młodszą babcie, szczuplejszą niż kiedykolwiek, ubraną w spodnie z szerokimi nogawkami i pasiastą koszulkę na ramiączkach.

– O mój Boże. – Mama wpatruje się w kolejną fotografię. Zaglądam jej przez ramię. Przedstawia mamę jako małą dziewczynkę stojącą przed domem w Cotswolds, oplecionym liliową wisterią. Obok niej, nachylona, stoi kobieta, której nie rozpoznaję. Zdjęcie zrobione jest z daleka, więc trudno zobaczyć rysy twarzy, ale nie jest to babcia. Mama spogląda na mnie wielkimi oczami. – Kim jest ta kobieta? Myślisz, że to może być ta cała Daphne?

– Może. – Zabieram jej fotografię i odwracam. Z tyłu napisane jest: Lolly, kwiecień 1980. Skelton Place nr 9. – Kim jest Lolly?

– To ja – mówi mama. – Podobno w taki sposób sama się nazywałam. Nie umiałam wymówić imienia Lorna.

– Nigdy nie słyszałam, żeby babcia nazywała cię w ten sposób.

Mama chichocze.

– Pewnie nakrzyczałam na nią za to. To jedna z rzeczy, które zaczęły mnie zawstydzają, kiedy byłam nastolatką.

Wręczam zdjęcie Tomowi, który zerka na nie i chichocze.

– Niezła fryzura na pazia, Lorna.

– Mama mnie obcinała. Ta grzywka!

Wracam do pudełka, które przeszukiwałam, i wyciągam kopertę, z nadzieją na znalezienie kolejnych fotografii. Zamiast tego znajduję pożółkły wycinek z gazety.

– Co to takiego? – Wyciągam go na zewnątrz. Boję się, że rozpadnie się mi w dłoniach, taki jest stary. – To ze stycznia 1977 roku, z gazety „Thanet Echo”.

– Co? – Tym razem to mama przychodzi do mnie i jednocześnie obie odczytujemy nagłówek:

### ZAGINIONA PONAD TYDZIEŃ TEMU KOBIETA Z BROADSTAIRS PRAWDOPODOBNIIE TRAGICZNIE UTONEŁA.

Sheila Watts, 37 lat, ostatnim razem widziana była w sylwestra w miejscowym pubie, Shire Horse. Całonocni imprezowicze twierdzą, że kobieta przyłączyła się do nich na plaży Viking Bay, żeby kontynuować świętowanie.

Świadkowie powiedzieli policji, że panna Watts była na plaży jeszcze tuż po północy i spostrzeżono ją wchodzącą do morza. Jej ubrania zostały znalezione na brzegu, ale samej Watts nigdy już więcej nie widziano.

Alan Hartall, 38 lat, sąsiad panny Watts, powiedział: – Sheila była typem samotnika. Trzymała się z daleka od wszystkich, chociaż poznałem ją dość dobrze. Ponieważ był akurat sylwester, postanowiła przyłączyć się do nas na drinka, a potem wybrała się z nami na plażę. Tylko ona poszła się wykąpać. Wszyscy pozostali byli zajęci piciem i zapomnieliśmy o niej. Dopiero kiedy nie wróciła do domu, zdałem sobie sprawę, że coś się musiało stać, i zawiadomiłem policję.

Straż Wybrzeża bezskutecznie przeszukała zatokę i miejscowa policja wydała oświadczenie, że panna Watts najprawdopodobniej zmarła na skutek nieszczęśliwego wypadku.

Spoglądam na mamę.

– Sheila! Myślisz, że to o niej mówiła babcia?

Mama wygląda na równie zaintrygowaną jak ja.

– Może ją znała.

– W Broadstairs? Ale ja myślałam, że babcia jest z Londynu.

– Chyba mieszkała w różnych miejscach, zanim się urodziłam.

Przekazuję wycinek Tomowi, który go czyta. Gasnące światło słońca przenikające przez okno z szybkami w ołowianych ramkach rzuca cień na jedną stronę jego twarzy i sprawia, że jego nos wydaje się skrzywiony. Wręcza mi z powrotem artykuł.

– Wygląda na to, że to ważne. – Zerka to na mnie, to na mamę, wypowiadając to, co obie myślimy. – Dlaczego inaczej trzymałaby ten artykuł przez

czterdzieści lat?

## Theo

Theo obserwował ojca uważnie, od kiedy w zeszłym tygodniu natknął się na tamten artykuł. Znajdował wymówki, żeby wpadać do bezdusznej posiadłości między zmianami, zbierając się na odwagę, żeby poruszyć temat pary z Wiltshire. Jego ojciec nigdy nie był szczery w stosunku do niego, ale ostatnio, kiedy Theo odwiedza go w domu, jest traktowany jak intruz i musi się tłumaczyć, po co przyszedł. Chciałby, żeby chociaż raz jego tata był zadowolony z jego wizyty. Obiecał jednak Jen, że zapyta go o sprawę: Jen, która nie bałaby się spytać swojej kochającej, otwartej rodziny o nic.

Dlatego znów tutaj jest, we wtorek, w porze lunchu, przed rozpoczęciem pracy w restauracji. Dlaczego tak cholernie trudno jest poruszyć ten temat z ojcem? Jest przecież dorosłym mężczyzną – tym niemniej przy tacie czuje się znów jak niepewny nastolatek, spełniający życzenie mamy, żeby nie odzywać się, robić wszystko, co każe mu ojciec, żeby ten się nie zdenerwował. Wszystko, żeby tylko się nie rozgniewał.

– Nie potrzebuję więcej jedzenia – warczy tata, kiedy Theo wchodzi do kuchni ze swoją wierną torbą termiczną wypełnioną curry z kurczakiem i zapiekanką wiejską. – Mam już całą zamrażarkę, a i tak jadam przeważnie w klubie golfowym.

Naprawdę, Theo nie wie, po co się w ogóle stara. Ma ogromną ochotę powiedzieć ojcu do słuchu, ale chociaż mama nie żyje od czternastu lat, Theo nadal nie potrafi się zmusić do otwartości. Byłaby nim rozczarowana, wie o tym.

– Właściwie – Theo rzuca torbę na stół – przyszedłem, żeby cię o coś zapytać.  
– Serce bije mu mocno pod koszulką. Wyobraża sobie, że Jen jest przy nim i zachęca go do dalszej rozmowy.

– W takim razie o co chodzi? – Ojciec ma w ręku jeden ze swoich kijów golfowych i poleruje jego końcówkę ściereczką. Kiedyś próbował nauczyć tej gry Theo, gdy ten miał trzynaście lat. Kupił mu zestaw jego własnych kijów i nauczył go nazw ich wszystkich. Theo nienawidził każdej minuty tego czasu,

ale udawał przez ponad rok, żeby zadowolić ojca. Kiedy jednak ten zauważył, że Theo nie ma talentu do golfa, stracił zainteresowanie uczeniem go.

Theo oddycha głęboko.

– W zeszłym tygodniu, kiedy cię odwiedziłem, znalazłem na twoim biurku artykuł o tej parze z Wiltshire, która robiła remont i znalazła w ogrodzie dwa szkielety. Podkreśliłeś nazwiska dwóch kobiet wymienionych w artykule, a obok napisałeś „znajdź ją”.

Ojciec przestaje polerować kij, ale nie podnosi wzroku. Jego muskularne ramiona napinają się, a ścięgna w jego szyi nagle zaczynają rozpychać się pod skórą.

– Szperałeś w moich rzeczach?

– Oczywiście, że nie.

Ojciec wstaje, z kijem golfowym w dłoni. Przez krótką, szaloną chwilę Theo zastanawia się, czy zaraz nim nie oberwie. Ojciec spogląda na niego zimnym wzrokiem.

– W takim razie pilnuj swojego nosa.

Theo stara się ukryć szok. Ojciec nie odzywał się do niego w ten sposób od wielu lat.

– Kogo próbujesz znaleźć?

– Nie słyszałeś mnie? – Ojciec robi dwa kroki w jego kierunku. Na widok jego pociemniałej z gniewu twarzy w Theo budzi się dawny, znajomy strach.

*Nie jesteś już tamtym przestraszonym dzieciakiem, przypomina sobie.*

– Dlaczego nie chcesz o tym porozmawiać? Może mogę ci pomóc.

Ojciec parska nieprzyjemnym śmiechem.

– Ty?!

*Dlaczego jesteś takim chamem?*, myśli Theo. Nie poddaje się jednak i nie cofa się w kierunku drzwi.

– Tak, ja. Znasz tę parę z Wiltshire?

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie skąd ten artykuł?

Ojciec odkłada kij golfowy, opierając go o stół kuchenny, i Theo po cichu oddycha z ulgą.

– Po prostu użyłem gazety do zapisania czegoś. Nie ma to nic wspólnego z tobą.

Kłamie. Jego ojciec musi uważać go za idiotę.

– W takim razie co oznacza „znajdź ją”?



– Dlaczego wszystko musi dla ciebie mieć jakieś ukryte znaczenie? O co chcesz tak naprawdę mnie zapytać, co? O co chodzi? – Wpatruje się w Theo z zaciśniętymi gniewnie ustami. – Jestem dorosłym mężczyzną i nie muszę wszystkiego uzgadniać z tobą, rozumiano?

Theo nie odwraca wzroku. *Co ukrywasz, tato? Bo wiem, że coś ukrywasz.*

– Nie zamierzam bawić się w żadne gierki – stara się utrzymać spokojny, równy ton. – Pytam cię o ten artykuł, to wszystko. Wydajesz się ostatnio dość zaabsorbowany, jakby coś cię dręczyło.

– To ty mnie dręczysz, nic innego – odcina się ojciec.

Theo oddycha głęboko. Nie ma sensu kłócić się z ojcem, kiedy jest w takim nastroju. Unosi rękę do góry.

– Dobrze, w takim razie zostawię cię samego z tym wszystkim. – Bierze torbę ze stołu. – Zakładam, że nie chcesz jedzenia?

Ojciec tylko krzywi się w odpowiedzi.

– W takim razie zabieram je. Zjemy je z Jen. – Wychodzi z kuchni, nie oglądając się za siebie, dopóki nie zasiada za kółko swojego volvo. W głębi duszy ma trochę nadzieję, że ojciec pójdzie za nim i go przeprosi, ale oczywiście tak się nie dzieje. Theo rzuca torbę na siedzenie pasażera i przez kilka minut siedzi w samochodzie, nie włączając silnika. Nachodzi go poczucie winy, jak zawsze zresztą. Czy zachował się niewłaściwie? Może powinien załatwić to trochę inaczej?

*Twój ojciec jest po prostu staroświecki, zwykła mówić dobrodusznie jego mama. Nie umie dobrze okazywać emocji, ale kocha nas oboje. Theo nigdy nie był pewien, czy starała się przekonać jego, czy samą siebie.*

Theo wie, że nie powinien się czuć zaskoczony faktem, iż ojciec niczego nie ujawnił. Po śmierci mamy Theo próbował o niej porozmawiać, ale tata nie dawał się wciągnąć w dyskusję. Pogrzebał swój żal po stracie żony pod kolejnymi warstwami goryczy i gniewu, jak w dobrze upieczonym lasagne.

A teraz to. Dodatkowa tajemnica. Dwa trupy w ogrodzie w Wiltshire, ponad trzysta kilometrów stąd. I do tego słowa „znajdź ją” zapisane zamaszystym charakterem pisma ojca.

Wreszcie uświadamia sobie, że nigdy nie wydobędzie odpowiedzi od taty. Upłynęło zbyt wiele lat, pojawiło się zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Będzie musiał sam zająć się znalezieniem prawdy.

Tylko gdzie zacząć, zastanawia się dużo później, kiedy zmiana w restauracji się kończy. Jest zmęczony fizycznie, bolą go stopy od stania przez cały wieczór, ale umysł pracuje intensywnie i nie chce się wyłączyć.

Google, myśli. Zacznie od Google.

Idzie do laptopa, który stoi na stole kuchennym w ich dwupokojowym wiktoriańskim szeregowcu. Blask monitora jest tutaj jedynym źródłem światła. Odbija się we francuskich oknach, prowadzących do ogrodu.

Zaczyna wstukiwać w wyszukiwarkę „Saffron Cutler”. Pojawia się kilka artykułów o ciałach znalezionych w ogrodzie, ale nic, czego nie zawierał artykuł znaleziony na biurku ojca. Theo szuka dalej: cały szereg historii napisanych przez niejakiego Euana Cutlera, który jest reporterem jednego z brukowców. Wyszukiwanie wiadomości o Rose Grey również nie przynosi rezultatów – nie ma pojęcia, o którą dokładnie Rose Grey chodziło w znalezionym przez niego artykule.

A potem wpisuje dane ojca.

Wyskakuje lista artykułów. Jego tata jest bardzo sławny i trochę trwa, zanim Theo przedrze się przez wszystko. Nie wie, co spodziewa się znaleźć. Na jednej ze stron wymieniono szczegóły całej jego długiej i pełnej sukcesów kariery medycznej. Potem zauważa kolejny artykuł o prywatnej przychodni otwartej w 1974 roku. Jest tam również czarno-białe zdjęcie jego dużo młodszego ojca, stojącego obok jakiegoś innego mężczyzny na formalnym przyjęciu. Theo przygląda się uważniej: pod fotografią widnieje podpis: *Wspólnik z praktyki, Larry Knight*. To dziwne, myśli Theo. O ile wie, ojciec nigdy nie miał żadnego wspólnika w małej prywatnej klinice, którą kiedyś prowadził i którą sprzedał sześć lat temu, po przejściu na emeryturę.

Wpisuje nazwisko ojca i „dr Larry Knight” do wyszukiwarki. Wskakuje kilka artykułów z różnych czasopism naukowych. Wygląda na to, że panowie rozstali się zawodowo około czterech lat po założeniu kliniki. Theo zastanawia się, dlaczego. Ojciec zawsze był dla niego zagadką – nie wie prawie nic o jego przeszłości. Być może Larry Knight udzieli mu jakichś odpowiedzi. Theo zdaje sobie sprawę, że chwyta się brzytwy. Nie ma tu nic, co łączyłoby jego ojca z ciałami znalezionymi w Wiltshire. Może jednak Larry Knight pomoże mu zrozumieć, jak wyglądało życie ojca, zanim poznał mamę Theo; być może nawet znał Rose Grey.

Pociera oczy. Jest wyczerpany, ale jednocześnie nakręcony. Nie może oderwać wzroku od ekranu, chociaż nie widzi na nim żadnych użytecznych informacji.

Mruga gwałtownie, odpędzając zmęczenie, ale nazwisko ojca pływa na ekranie przed nim.

*Dr Victor Carmichael.*

**Rose***Styczeń 1980 roku*

Daphne wprowadziła się do nas w sylwestra. Pojawiła się tuż po lunchu, z jasnymi włosami zaplecionymi w warkocz francuski, drżąc z zimna w swoim cienkim płaszczyku. Miała ze sobą tylko plecak i ubrania na sobie.

Często zastanawiałam się w ciągu tygodni, które nastąpiły później, dlaczego kobieta, która, jak sądziłam, była trzydziestoparolatką, nie miała żadnych własnych rzeczy. Miałam wrażenie, że ostatnie miejsce zamieszkania opuściła w pośpiechu.

Czy zaproszenie obcej osoby do naszego domu było z mojej strony pochopne? Nie sądziłam tak, przynajmniej wtedy. W tamtych czasach Daphne była dla mnie wyłącznie współlokatorką, kimś, kto płacił za wynajem, dzięki czemu miałam dodatkowe źródło dochodów, zamiast pozbywać się resztek spadku po rodzicach. Z jej zachowania w święta Bożego Narodzenia wywnioskowałam, że była równie zdesperowana jak ja, żeby się ukryć. Dałabym sobie rękę uciąć, że tak jak ja uciekała przed mężczyzną.

Nasz pierwszy spędzony wspólnie wieczór był dość niezręczny. Oprowadziłam ją po domu i pokazałam jej pokój, w którym miała mieszkać, żeby zostawiła tam rzeczy. Widziałam dom jej oczami: niepolakierowane klepki, których jeszcze nie zdążyłam zasłonić dywanem, z wyjątkiem twojej sypialni (położyłam różowy dywan, tak jak chciałaś); staroświecka ciasna kuchnia z brązowymi kafelkami; kominki zamiast kaloryferów; stara kuchenka Rayburn, zawsze włączona, na której gotowałam wodę w żeliwnym czajniku.

– Do czego używasz tego pokoju? – spytała Daphne, wskazując na drzwi po lewej, kiedy zeszyliśmy na dół po schodach.

– W tej chwili do niczego – zaprowadziłam ją do pustego pomieszczenia, z żółtobrązową tapetą, którą położył tu ostatni właściciel. – To mały pokój. Myślę, że używano go do przyjmowania gości albo coś w tym stylu.

Zmarszczyła czoło.

– Pewnie mogłabyś zrobić z niego jadalnię.  
– To prawda, ale mamy stół w kuchni.  
– Albo bawialnię dla Lolly?  
– Zazwyczaj bawi się obok mnie w dużym pokoju albo na górze, w swoim pokoju, ale... – spoglądałam na nią z wahaniem – jeśli chcesz, możesz z niego korzystać. Cokolwiek będziesz chciała robić.

Jej twarz rozjaśniła się. Spojrzała na mnie wielkimi oczami.

– Naprawdę? To byłoby świetnie. Chociaż – posmutniała nagle – nie mam już mojej maszyny do szycia.

– Szyłaś?

– Kiedyś robiłam swoje własne ubrania... – Zaczerwieniła się. – W każdym razie odłożę pieniądze i kupię sobie drugą.

Zastanawiałam się, czy sama uszyła ten zielony płaszcz z łatami, który nosiła. Zdecydowanie wyglądał jak coś wykonanego odręcznie.

– Może uda ci się kupić jakąś używaną. Mogę się poprosić.

– Dzięki. – Patrzyła na mnie dłużej, niż się spodziewałam i poczułam się nieco niezręcznie. Jej rzęsy były przyciemnione niebieskim tuszem, którego płatek spadł na jej jasny policzek. Na tęczę miała malutką czarną kropkę, wyglądającą jak pieprzyk. Spuściłam oczy jako pierwsza.

– No dobrze, lepiej zajmę się Lolly – powiedziałam, odwracając się i wchodząc na górę.

Później tego dnia, kiedy już ułożyłam cię pod kołdrą w twoim małym łóżku z żelazną ramą, usiadłyśmy z Daphne na brązowej sztruksowej sofie jak dwoje nerwowych ludzi na pierwszej randce. Daphne nadal miała na sobie płaszcz i granatowe buty na platformach, wyglądające, jakby ich czubki zostały pomalowane flamastrem. Nalałam nam po kieliszku Babychamu, podarowanego mi na Gwiazdkę przez Joela, właściciela pubu Pod Jeleniem i Bażantem. Zaczęłyśmy obserwować płomień w kominku i pękające, skwierczące w ogniu drewno. Zapach był ciężki, odurzający. W tle sączyła się z radia piosenka Blondie *Heart of Glass*.

Widziałam, że Daphne przygląda się skromnemu dużemu pokojowi z tapetą w różowe i niebieskie kwiaty, którą sama położyłam, kiedy się tu wprowadziłyśmy, i ze stojącą lampą w rogu, zupełnie niepasującą do reszty.

– Mam nadzieję, że nie jest dla ciebie zbyt skromnie – powiedziałam. – Przynajmniej mamy łazienkę w domu. Poprzedni właściciele ją zamontowali.

Daphne uśmiechnęła się enigmatycznie, rozglądając się po pokoju.

– Mieszkałam w gorszych warunkach – powiedziała, a ja z całych sił starałam się nie poczuć urażona. Urządziłam ten dom na tyle przytulnie, na ile mogłam, dla ciebie.

– Był tani. – Uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami, siląc się na nonszalancję, chociaż w głębi duszy byłam bardzo dumna z faktu posiadania domu. Było to coś, czego nikt nie mógł mi odebrać. Moje zabezpieczenie. – Nie chciałam wydać wszystkich pieniędzy na urządzenie domu. – Zignorowałam ostrzeżenie agentów nieruchomości, że kalenice na krytym strzechą dachu muszą być wymieniane co dziesięć lat. Wydawało mi się to bardzo odległym terminem. Do tamtej pory mogłam się równie dobrze stąd wyprowadzić.

Daphne uniosła jedną z cienkich, podmalowanych brwi.

– Bycie samotnym rodzicem musi być bardzo trudne.

Kiwnęłam głową. Mimo wszystko lepsze to niż alternatywa, pomyślałam sobie, ale nie powiedziałam tego na głos. Musisz zrozumieć, Lolly, że zawsze byłam bardzo szczerą. Przedtem. Mówiłam ludziom wszystko jak na spowiedzi – ile kosztowała moja nowa bluzka, ile zarabiam, z kim się spotykam – czy chcieli tego słuchać, czy nie. Nauczyłam się na własnych błędach, żeby trzymać buzię na kłódkę.

Pokiwałam głową i upiłam nieco alkoholu.

– Jak dawno temu umarł twój mąż?

– Kiedy byłam w ciąży – odparłam, czując się okropnie z powodu tego kłamstwa.

– To okropne. – Daphne bawiła się nóżką kieliszka. Zerknęła na moją dłoń, zauważając brak obrączki. Nie chciałam się przyznać, że nigdy jej w ogóle nie było.

– Czy kiedyś... czy ty byłaś kiedyś zameżna? – spytałam zamiast tego.

Wzdrygnęła się.

– O matko, nie. Nigdy nie wyjdę za mąż.

– Naprawdę?

– Nie rozumiem, jak ktokolwiek chciałby się uwiązać do jakiegokolwiek faceta.

Czy to dlatego, że ona również była źle traktowana? A może źle ją zrozumiałam? Może jest wolnym duchem, hipiską, wierzącą w wolną miłość? Była atrakcyjna: miała duże oczy z opadającymi powiekami, twarz elfa i długie tlenione włosy z brązowymi odrostami. Byłam pewna, że nie narzekała na brak zainteresowania ze strony mężczyzn. Zawsze uważałam się za stosunkowo

atrakcyjną kobietę, może nie piękną czy wzbudzającą natychmiastowe zainteresowanie, po prostu zwyczajną dziewczynę o naturalnej, nieonieśmielającej urodzie. Daphne była o wiele bardziej urodziwa.

– Hm... – Chrząknęłam. – Wiem, że to delikatna sprawa i pewnie powinniśmy porozmawiać o tym, zanim się tu wprowadziłaś, ale... ze względu na Lolly i w ogóle... lepiej, jeśli nie będziesz miewała... – jak to ująć taktownie? – ...całonocnych gości.

Wpatrywała się we mnie przez kilka chwil, a potem wybuchła głośnym śmiechem.

– Och, Rose! Zobacz, zrobiłaś się cała czerwona. Obiecuję, że nie będę zabawiała mężczyzn w mojej sypialni. Szczerze mówiąc, faceci to ostatnia rzecz, o której teraz myślę.

Upiłam drinka, czując ulgę.

– Masz coś przeciwko paleniu papierosów?

Potrząsam głową.

– Staraj się nie palić w pobliżu Lolly, jeśli możesz.

Wyglądała na lekko zaskoczoną, ale wzruszyła tylko ramionami.

– Nie ma sprawy. Pójdę do ogrodu. – Postawiła kieliszek na stoliku i wstała. Poszłam za nią do kuchni i na zewnątrz, przez tylne wyjście. Stała na tarasie, trzęsąc się z zimna w swoim golfie i cienkim płaszczu. Poczułam się winna, że kazałam jej stać na zewnątrz. Daphne wręczyła mi skręta, a potem stałyśmy w milczeniu, paląc papierosy i przyglądając się cienkiej warstwie lodu pokrywającego płyty chodnikowe przed nami.

– Dziękuję – powiedziała w końcu. – Za to, że zgodziłaś się na wynajęcie mi pokoju. Myślę, że dobrze się nam ułoży.

Nie miałam pojęcia, czy była to sprawka alkoholu, czy nikotyny, a może kombinacji tych dwóch rzeczy, ale nagle poczułam pewność, że Daphne ma rację. Obie pragnęłyśmy tego samego, widziałam to: spokoju i ciszy. Anonimowości.

Stojąc tak z Daphne, pierwszego dnia nowego roku, nigdy nie przypuszczałam, że jej bagaż, jej przeszłość narazi nas na niebezpieczeństwo.

## Lorna

Następnego dnia Lorna oferuje, że wyprowadzi Snowy'ego na spacer, żeby Saffy miała trochę czasu dla siebie. Choć minęły zaledwie cztery dni, widzi po lekko skwaśniałej minie córki, że płacze się jej pod nogami. Im bardziej Lorna stara się pomagać przy domu, tym bardziej Saffy wygląda, jakby zjadła niedojrzałą cytrynę. Lorna myślała, miała nadzieję, że to *makabryczne odkrycie* zbliży je do siebie. Wie, że jest samolubna, ale teraz, kiedy Saffy jest w ciąży, Lorna obawia się, że dystans między nimi jeszcze bardziej się pogłębi.

Zdaje sobie sprawę, że popełniła wiele błędów, kiedy Saffy dorastała. Lorna z radością i ulgą pozwoliła swojej matce przejąć opiekę nad córką. Wozila Saffy do niej w każde lato, żeby zrobić sobie wakacje, móc się zachowywać jak nastolatka, a potem młoda kobieta, chodzić do klubów i pubów, a kiedy ostatecznie rozstała się z Euanem, także zacząć spotykać się z nieodpowiednimi facetami.

A teraz Saffy wreszcie jej potrzebuje. Naprawdę potrzebuje – nawet jeśli jeszcze o tym nie wie.

Zostawia córkę w jej przygnębiającym małym studiu, pochyloną nad komputerem, i wychodzi na słońce. Oddycha głęboko, a potem kaszle, kiedy wiejskie zapachy oblepiają jej gardło. Niebo jest bezchmurne, Lorna ma na sobie lekką bluzkę i dzinsy oraz sandały. Pewnie powinna zabrać ze sobą jakieś buty bez obcasów, bo te nie są najlepszym wyborem na chodzenie po wzgórzach i dolinach Beggars Nook.

Przechodząc zwirowanym podjazdem, ze Snowym na smyczy, zauważa zaparkowaną w pobliżu dużą półciężarówkę. Stojąca na chodniku młoda, dobrze ubrana kobieta w purpurowym garniturze, z czarnymi włosami, które ani drgną na wietrze, przemawia do kamery:

– Może się to wydawać kolejnym zwykłym urokliwym domkiem w Cotswolds – mówi grobowym głosem. – Jednak wygląd może być zwodniczy. W domu na Skelton Place znaleziono dwa ciała. – Odwraca się, wskazując na chatkę. Lorna



zastyga, nie wiedząc, czy powinna iść dalej, czy zostać na miejscu. Twarz dziennikarki rozjaśnia się na jej widok. – A tutaj widzimy jedną z właścicielek. – Podchodzi do Lorny. – Zapewne odkrycie ciała było dla państwa szokiem. – Podtyka mikrofon pod nos Lorny.

– To nie jest mój dom. – Lorna się najeża.

– Och. – Reporterka wygląda na zbitą z tropu, ale zaraz potem włącza się jej profesjonalizm. – Rozumiem, że nie jest pani Saffron Cutler?

– Nie, nie jestem.

– Rozumiem, że ten dom należał kiedyś do babci Saffron, czy to prawda?

– Bez komentarza – odpowiada Lorna. – A teraz przepraszam...

– Cięcie! – krzyczy kamerzysta. Stoi na drodze, a jakiś zirytowany kierowca trąbi na niego, żeby się przesunął. Kamerzysta schodzi na chodnik, ale nie przeprosza i wydaje się, jakby w ogóle nie zauważył kierowcy.

Reporterka rzuca mu mordercze spojrzenie, a potem przenosi wzrok na Lornę.

– Byłoby doskonale, gdybyśmy mogli przeprowadzić z panią wywiad do naszych wiadomości. Heleana Phillips, miło mi poznać. – Wyciąga rękę, ale Lorna nie odwzajemnia gestu.

– Nie ma tutaj żadnej sensacji – mówi nieprzyjemnym tonem. – Nic nie wiemy o ciałach. Wszystko wydarzyło się, zanim moja córka tutaj zamieszkała.

Heleana wsuwa kosmyk gładkich włosów za ucho.

– Cóż – zaczyna uspokajającym głosem, zapewne, żeby się przypochlebić Lornie. – Uważam, że to bardzo interesująca historia. W końcu nie na co dzień znajduje się w ogrodzie dwa szkielety, prawda? Jest pani pewna, że nie ma ich tam więcej?

– Owszem, jestem. – Lorna delikatnie przyciąga Snowy'ego do swoich stóp i oddala się. Zauważa, że kilka starszych pań mieszkających po przeciwnej stronie drogi zebrało się razem na chodniku i obserwuje całą scenkę z dezaprobatą wypisaną na twarzach i rękami założonymi na piersiach. Lorna rozumie, że Heleana i inni reporterzy zwyczajnie wykonują swoją pracę – przyzwyczaiła się do tego, szczególnie że przez jakiś czas żyła z Euanem – ale chciałyby, żeby sobie poszli. Zwłaszcza dla zdrowia Saffy: Lorna widzi, jak jej córka chowa się po kątach, kiedy reporterzy czyhają na zewnątrz – jest jak więźniarka we własnym domu.

Lorna schodzi w dół wzgórza w swoich kompletnie nieprzystosowanych butach, ignorując wołanie Heleany. Serce bije jej szybko, ale nie zwalnia, dopóki nie dociera do pubu Pod Jeleniem i Bażantem u stóp wzgórza. Zatrzymuje się

tam dla złapania oddechu, a potem rusza dalej, w kierunku placu w centrum wioski, który otwiera się przed nią niczym scena z rozkładanej książki trójwymiarowej. Przechodząc obok krzyża i urokliwego małego kościółka, znów opada ją mgliste wspomnienie, frustrująco nieuchwytnie. Krzyż wydaje się jej tak bardzo znajomy, że bezwiednie rusza w jego kierunku. Przysiada na jednym z chłodnych schodków, przyglądając się reszcie placu. Nagle uderza w nią: wspomnienie, z trudem usiłujące się zmaterializować w jej głowie. Pamięta, że przechodziła przez ten plac z dwiema kobietami po bokach, obie trzymały ją za rękę. Jej matka i... ktoś inny. Kobieta bez twarzy. Może ta z fotografii? To bardziej uczucie niż wspomnienie i natychmiast wypełnia ją melancholia, trochę jakby była w żałobie.

*Co jest takiego w tym miejscu?*, zastanawia się, wstając. Kiedy jest tutaj, czuje się otoczona smutkiem, którego nie potrafi wytłumaczyć, zupełnie jakby okryła ją zimna mgła, niczym woal.

Nie, nie może tak być. Musi się wydostać z tego stanu. Przypomnieć sobie, dlaczego tu jest. Powtarza sobie w głowie wszystko, co chce kupić: składniki na tradycyjną hiszpańską paellę dla Saffy i Toma na dziś wieczór. Rusza przez mały mostek do sklepu na rogu i przywiązuje psa do słupka. Zaczyna się już do niego przyzwyczajając. Może nawet zaczyna go lubić.

Sklep narożny nie ma wszystkich składników, których potrzebuje, więc musi improwizować. Przechadzając się po alejkach, zauważa, że kilka osób przygląda się jej uważnie. Ignoruje to. Jest przyzwyczajona, że ludzie się na nią gapią. Płaci, a potem idzie ze Snowym do małej kafejki na drugim rogu – Beggars Bowl.

Można tam wchodzić ze zwierzętami, więc zabiera psa do środka. Jest dość ciasno – miejsca tu tyle, żeby postawić dwa okrągłe stoliki na końcu pomieszczenia. W kolejce przed nią stoi starszy pan z bujną czupryną siwych włosów, rozmawiając z młodym człowiekiem za ladą. Lorna słyszy tylko końcówkę rozmowy:

– ...takie spokojne miejsce, ale teraz wszędzie płaczą się dziennikarze i gliny. Jeden przyszedł do mnie zeszłego wieczoru. Akurat podczas obiadu. Kto puka do drzwi w porze obiadu? Pytam się! Właśnie takie rzeczy dzieją się, kiedy przyjeżdżają młodzi i zaczynają rozbudowywać domy... – Milknie, widząc Lornę. Unosi siwe, krzaczaste brwi, spoglądając na nią, ale przerywa swoją tyradę. Lorna ma ochotę powiedzieć mu, żeby nie przeszkadzał sobie z jej

powodu, ale nie chce pogarszać sprawy z powodu Saffy. To ona będzie musiała żyć tutaj z tymi wieśniakami.

Mężczyzna odbiera kubek od sprzedawcy, kiwa jej głową bez uśmiechu i wychodzi z kawiarni.

– Co podać? – pyta młodzieniec. Jeżeli wie, kim jest, nie daje po sobie tego poznać i Lorna jest mu za to wdzięczna. Zamawia latte i prowadzi niezobowiązującą rozmowę, podczas gdy chłopak szykuje zamówienie. Dowiaduje się, że ma na imię Seth, że wychował się w tej wiosce, jego ciocia była właścicielką tej kawiarni, a on wybiera się w październiku na studia inżynierskie w Nottingham. Lorna uśmiecha się do siebie, wychodząc ze swoją drogocenną latte. Chłopak był pierwszą przyjaźnie nastawioną osobą, jaką spotkała w tej wiosce od chwili przyjazdu.

Zwalnia krok, żeby upić nieco kawy, i nagle słyszy, jak ktoś chrząka głośno tuż za jej ramieniem. Odwraca się i widzi mężczyznę pod sześćdziesiątkę, ubranego w kraciastą koszulę i dzinsy. Ma krótkie siwiejące włosy i wąskie oczy, którymi zdaje się oceniać ją dłużej, niż pozwala na to uprzejmość. Lorna zatrzymuje się, a Snowy układa się u jej stóp.

– Hej – zaczyna mężczyzna, uśmiechając się uprzejmie. – Mieszka pani przy Skelton Place numer dziewięć, prawda? – Ma północny akcent, a w jego posturze jest coś, co wskazuje na to, że kiedyś był wojskowym.

– Nie, przyjechałam tylko w odwiedziny – odpowiada.

– Ja też nie jestem stąd. – Zaskakuje ją tą informacją.

– Och, rozumiem. – Nagle przychodzi jej coś do głowy. – Jest pan dziennikarzem?

Wygląda na zaskoczonego.

– O nie... nie. Ja też przyjechałem w odwiedziny. Mam na imię Glen. – Wyciąga rękę, a Lorna czuje, że byłaby niekulturalna, gdyby jej nie uścisnęła.

– Lorna.

Uścisk jego dłoni jest mocny.

– Słyszałem o tych ciałach na Skelton Place. Wszyscy w wiosce o tym rozmawiają.

– Tak, potrafię sobie to wyobrazić.

Uśmiecha się do niej, nie puszczając jej ręki. Lorna zastanawia się, czy przypadkiem nie próbuje jej poderwać. Musi być dobre piętnaście lat starszy od niej. W zasadzie jest nawet dość przystojny jak na starszego pana, chociaż w jego twarzy jest jakaś surowość. Zabiera rękę.

– W każdym razie muszę już iść. Miło było cię poznać, Glen.

– Mi również – odpowiada, ale zostaje na miejscu.

Lorna, odchodząc, jest pewna, że słyszy, jak Glen woła za nią: „Pozdrów ode mnie Rose”, ale kiedy się odwraca, widzi, jak mężczyzna oddala się w stronę lasu. Marszczy czoło, zastanawiając się, czy nie powinna za nim pójść i zapytać, czy znał jej matkę. Uznaje jednak, że musiało jej się wydawać.

\*

Kiedy Lorna dociera do domu, z ulgą zauważa, że Heleana i jej załoga odjechali. Dzwoni do drzwi i Saffy wpuszcza ją, wyraźnie rozproszona.

– Hej, kochanie – mówi Lorna, odpinając smycz od obroży Snowy’ego. Saffy pochyla się, żeby pocałować jego łepkę, a potem wraca do swojego pokoju. Na monitorze widnieje próbka okładki książki, z nazwiskiem Leon Bronski wypisanym dużymi czerwonymi literami na górze i z groźnie wyglądającą porcelanową lalką stojącą w ogniu. Lorna czytała niektóre z jego książek: są wyjątkowo mroczne.

– Ty to zaprojektowałaś?

Saffy kiwa głową.

– Jego wydawca zatrudnił nas do projektów okładek i marketingu. Plakaty, nagłówki reklam w gazetach, tego typu sprawy. Przebranżowienie. Przerzucił się na horrory. To dobry zarobek. Gość jest bardzo znany.

Lorna krzywi się, wyobrażając sobie, jak bardzo makabryczna musi być ta książka.

– Musiałaś ją przeczytać?

Saffy wybucha śmiechem.

– Owszem. Miałam po niej koszmary. – Odgarnia kosmyk włosów z twarzy, nadal spoglądając na ekran i złowieszczą okładkę. – Cieszę się, że ekipy dziennikarskie wreszcie się stąd zabrały.

– Ja też. Jedna z nich zaczęła mnie dzisiaj. Ale nie martw się, nic im nie powiedziałam. – Unosi siatkę z zakupami. – Przyniosłam produkty na obiad. Nie zdobyłam wszystkiego, co chciałam, ale uda mi się przyrządzić paellę, a przynajmniej coś w tym stylu.

Saffy chrząka, marszcząc czoło, i koncentruje się na ekranie. Lorna uznaje, że najlepiej, jeśli zostawi ją w spokoju i zaniesie zakupy do kuchni. Potem idzie do

dużego pokoju. Wczoraj byli zbyt zmęczeni, żeby przejrzeć do końca rzeczy Rose, poza tym Tom musiał wstać z samego rana do pracy.

Lorna siada, żeby dalej przeglądać pudła. Widzi warstewkę kurzu na listwie przypodłogowej i ledwie powstrzymuje chęć poszukania ściereczki i wytarcia brudu. Zsuwa sandały i podwija nogi pod siebie. Siedzi na twardej podłodze, usiłując się domyślić, czy trzymane w dłoniach papiery to coś ważnego, czy tylko rachunki za zakupy, kiedy dzwoni telefon.

Alberto.

Czuje ścisk w żołądku. Próbowала dodzwonić się do niego od wielu dni. Wysłał kilka zdawkowych esemesów zaraz po jej wyjeździe, ale zawsze, kiedy do niego dzwoniła, włączała się od razu poczta głosowa.

– *Mi tesoro*, tęskniłem – mówi, gdy tylko Lorna odbiera. – Kiedy wracasz do domu?

– Ja też za tobą tęsknię. – Nie jest przekonana, czy to prawda. – Zostaję przynajmniej do weekendu.

– Mieszkanie jest puste bez ciebie. – Wątpi w to. Alberto zazwyczaj siedzi w barze do bardzo późna. Mimo wszystko wygląda na to, że rzeczywiście za nią tęskni. Może jej podejrzenia w stosunku do niego były błędne.

Alberto nie pyta jednak o Saffy ani o Rose, zauważa Lorna z lekkim ukłuciem rozczarowania.

– Jestem tutaj potrzebna. Saffy jest w ciąży... – opowiada mu wszystko, co się wydarzyło od czasu jej przyjazdu do Beggars Nook, ale podejrzewa, że wyłączył się gdzieś po drodze, ponieważ kiedy odpowiada, wydaje się znudzony.

– Mam nadzieję, że wrócisz wkrótce do domu, *mi amor. Me muero por verte*[4].

– Ja też się nie mogę doczekać – kłamie, kończąc rozmowę z ciężkim sercem.

Kolejną godzinę spędza na przeszukiwaniu dokumentów matki, z nadzieją na znalezienie czegoś interesującego, może jakichś nowych zdjęć. Może jej ojca. Przez większość czasu nie myśli o nim, ale czasami jej go brakowało. Pamięta ten jeden raz, w szkole, kiedy miała dziesięć lat, zorganizowano dla nich quiz z wiedzy ogólnej. Przez cały tydzień mieli za zadanie zdobyć jak najwięcej faktów – ale biblioteka była w mieście i bez samochodu Lorna mogła jedynie korzystać ze staroświeckiej encyklopedii mamy, którą miały w domu. Wygrała jej najlepsza przyjaciółka, Anne, ponieważ jej ojciec co wieczór zabierał ją do biblioteki, przez cały tydzień, żeby pomóc jej znaleźć to, czego potrzebowała. Lorna zazdrościła wtedy Anne kochającego ojca, z jego austinem. Lorna zajęła w quizie ostatnie miejsce.

Jej dłoń dotyka artykułu o Sheili, który znaleźli wczoraj. Lorna czyta go jeszcze raz, zastanawiając się, dlaczego matka go zachowała. Czy Sheila była jej przyjaciółką? Czy mama miała nadzieję dowiedzieć się, co się stało z tą kobietą? Lornie wydaje się to dość prostym przypadkiem utonięcia. A potem zauważa fragment tekstu i dziwi się, że nie skojarzyła tego wcześniej.

*Alan Hartall, 38 lat, sąsiad panny Watts powiedział: – Sheila była typem samotnika. Trzymała się z daleka od wszystkich, chociaż poznałem ją dość dobrze.*

Alan Hartall. Czy nie było to nazwisko lokatorki mamy, Daphne? Czy dlatego zachowała ten artykuł? Lorna wstaje i wybiega z pokoju, wchodząc bez pukania do studia Saffy.

Jej córka podnosi wzrok znad komputera.

– O co chodzi, mamó? Jestem już i tak spóźniona przez tych reporterów pukających do drzwi przez większość poranka.

Lorna kładzie przed nią artykuł.

– Przepraszam, kochanie, ale spójrz na to. – Wskazuje palcem odpowiednią linię tekstu. – Alan Hartall. To samo nazwisko, co u Daphne.

Saffy spogląda na matkę z błyskiem w oku.

– Och!

– Musimy to sprawdzić. To może nam pomóc w znalezieniu Daphne, jeśli są jakoś spokrewnieni.

– Przecież wszystko zdarzyło się czterdzieści lat temu. Alan Hartall może już nie żyć.

Lorna wywraca w duchu oczami. Typowa odpowiedź jej pesymistycznej córki.

– A jeśli nie, pewnie jest w wieku naszej babci – mówi. – Musimy spróbować. Może powie nam coś na temat tej całej Daphne.

– Tak... ale... – Saffy zdejmuje gumkę z nadgarstka i związuje włosy w kucyk. – Nie jestem pewna, czy to ma jakiś sens, mamó. Wątpię, żeby babcia w ogóle jeszcze tu mieszkała, kiedy wydarzyły się morderstwa.

– Wiem, ale Daphne może być w stanie rzucić światło na niektóre fakty. Policja przesłuchuje wszystkich mieszkańców tego domu. Poza tym – przelyka głośno – dobrze by było spotkać kogoś, kto znał twoją babcię, kiedy była młoda.

– Powinnyśmy zostawić to policji – mówi Saffy.

– Ale wszystko z nimi trwa całe wieki. – Lorna zaczyna przechadzać się po małym pokoju, coraz bardziej sfrustrowana. Teraz, kiedy wpadła na pomysł, nie umie sobie odpuścić. – Mają tyle osób do przesłuchania. Byli najemcy, dawni

lokatorzy, a nawet jeśli znajdą Daphne, nie powiedzą nam przecież wiele, prawda? Jeśli ona nadal żyje, rozmowa z nią byłaby fascynująca, nie sądzisz? Znała twoją babcię. Mieszkała z nią. I *ze mną*. Może wiedzieć coś na temat tej całej Sheili. Najwyraźniej Sheila jest ważna, inaczej twoja babcia nie trzymałaby tego artykułu. Może wszystkie się przyjaźniły...

– Poprosiłam już tatę, żeby zajął się sprawą Sheili i jej utonięcia.

– Och. Rozumiem. Czy... powiedziałaś mu o dziecku?

Saffy kiwa głową.

– Był zaskoczony, ale chyba szczęśliwy.

– To doskonale. – Lorna stoi przy biurku Saffy, dopóki jej córka nie wzdycha z rezygnacją.

– Okej. W jaki sposób mamy się do tego zabrać? – pyta.

Lorna składa dłonie razem.

– No dobrze, myślę, że powinnaś ponownie skontaktować się z ojcem, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Dzięki swoim koneksjom prasowym może zajrzeć do listy uprawnionych do głosowania w wyborach i sprawdzić, czy jest jakiś Alan Hartall, nadal mieszkający w okolicach Broadstairs. Ale póki co się tym nie przejmuj. Wiem, że masz pracę do skończenia.

Saffy wręcza Lornie wycinek z gazety.

– Zadzwoń do niego później, tylko daj mi to skończyć.

– Świetnie. – Lorna ściska szybko Saffy, a potem wycofuje się do dużego pokoju.

To niezbyt wiele, myśli, przegrzebując pudło, ale na razie to wszystko, co mają.

[4] Hisz. Moja miłości. Bardzo chcę cię zobaczyć.

## Saffy

Wchodzę do dużego pokoju z telefonem komórkowym w dłoni. Mama siedzi na sofie, przyciskając do piersi jedną z musztardowych poduszek. Spogląda na mnie, kiedy wchodzę. Jej oczy błyszczą z podniecenia.

– I co? Rozmawiałaś z nim?

– Tak. Powiedział, że spróbuje się dowiedzieć jak najwięcej jutro. Dzisiaj po południu nie pracuje w redakcji.

Mama zrywa się z sofy i podchodzi do okna. Jej opalone stopy są gołe i przestępuje z jednej na drugą. Jej energia jest niemal namacalna, jak poświata otaczająca dzieciaki ze starej reklamy owsianki Ready Brek, którą mama kiedyś kazała mi obejrzeć na YouTube.

– Czuję, że powinnam zrobić coś więcej, żeby znaleźć Daphne. – Dotyka naszyjnika i przez chwilę przesuwa turkusowe koraliki między palcami. Potem odwraca się do mnie i spogląda na mnie lśniąco oczami. – Jadę do Londynu.

– Co takiego? Dlaczego?

– Pojadę odwiedzić twojego tatę. Nie widziałam się z nim od dnia, kiedy skończyłaś studia. Miło by było się znów spotkać.

To właśnie jest dziwne w przypadku moich rozwiedzionych rodziców. Nadal siebie lubią. Cały dzień wręczenia dyplomów spędzili, pijąc i zaśmiewając się razem, a kiedy powiedziałam Tarze, że są rozwiedzeni, była zszokowana. Często zastanawiałam się, czy gdyby poznali się później w życiu, nie jako nastolatki, byłiby nadal ze sobą.

– Tata może nie być w stanie wygrzebać informacji o Alanie Hartallu – mówię. – Co najwyżej zdobędzie jego adres, a to może ci podać przez telefon.

– Wiem, ale dzięki temu będę miała jakieś zajęcie i przestanę ci przeszkadzać. Masz pracę do skończenia, a ja tylko się tutaj bezużytecznie kręcę. Jutro pojadę pociągiem. Możesz mnie podwieźć na stację? – Zanim mam szansę odpowiedzieć, wyciąga telefon z kieszeni dzinsów. – Jutro jest pociąg do stacji



Paddington o – wpatruje się uważniej w telefon – dziewiątej dwadzieścia osiem rano. – Spogląda na mnie. – Nie za wcześnie dla ciebie?

Mama nadal zakłada, że nie zmieniłam się od czasów nastoletnich, kiedy to wylegiwałam się w łóżku do południa.

– Nie ma sprawy – uważam, że to szalony pomysł, ale przynajmniej będzie poza domem przez jeden dzień, a ja będę miała spokój i ciszę, żeby skończyć zlecenie dla mojej szefowej, Caitlyn. Nie była zadowolona z mojego ostatniego projektu i boję się, że tracę umiejętności. Za bardzo rozpraszała mnie przeprowadzka, babcia, dziecko i mama. No i oczywiście drobiazg w postaci dwóch trupów w ogródku.

– Przestań przygryzać wargę – mówi mama, przechodząc obok mnie. – Nastawię wodę na herbatę.

\*

Kiedy wstaję następnego poranka, mama jest już ubrana i właśnie maluje się przy stole kuchennym. Tom musiał wyjść z domu przed szóstą. Codziennie musi dość długo dojeżdżać do pracy i chyba zaczyna mu się to dawać we znaki. Wczoraj wrócił do domu bardzo późno z powodu opóźnień na kolei. Padł do łóżka wyczerpany, obejmując mój brzuch ramieniem, i natychmiast zasnął.

– Wyglądasz elegancko – mówię i jest to prawda, chociaż ja nigdy nie założyłabym takiego zestawu. Mama ma na sobie obcisły czarno-biały tweedowy żakiet z dużymi guzikami z brązu oraz swoje ulubione obcisłe jasnoczerwone dzinsy i bluzkę z głębokim dekoltem, a do tego ten sam naszyjnik, co wczoraj. Czuję się nieodpowiednio ubrana w moich obszernych ogrodniczkach i cytrynowej koszulce.

– Dziękuję. – Uśmiecha się do mnie promiennie w lusterku puderniczki, a potem odkłada ją i marszczy czoło. – Dobrze się czujesz? Wyglądasz trochę... mizernie.

– Wszystko w porządku. Po prostu nad ranem mam mdłości. – Jej perfumy wywołują u mnie nudności i ból głowy. Ale to nie wszystko. Czuję się trochę niepewnie na myśl o pozostaniu w domu sama, na cały dzień. Przeważnie jestem do tego przyzwyczajona. Poza tym bardzo chcę spędzić trochę czasu bez mamy kręcącej się w pobliżu, ale teraz, kiedy naprawdę wyjeżdża, a Tom jest również w Londynie, uderza mnie, że zostanę tu sama, w tym upiornym domu, w którym zamieszkały duchy dwóch martwych osób.

Próbuję nie patrzeć w kierunku okna, kiedy idę po wodę. Tom uważa, że powinniśmy zatrudnić inną firmę budowlaną. Im szybciej przykryjemy tę dziurę, tym lepiej. Za każdym razem, gdy na nią patrzę, dostaję dreszczy.

Mama odsuwa krzesło obok siebie.

– Usiądź sobie, kochanie. Co mogę ci podać? Tost? Krakery? – Zauważyłam, że zdążyła już zmyć po wczorajszej kolacji i odłożyła wszystko na miejsce. Czuję się jak gość w jej domu – no cóż, technicznie rzecz biorąc, tak właśnie jest. Mama nakarmiła nawet psa, chociaż nigdy nie spodziewałam się, że zrobiłaby coś takiego.

Przynosi mi krakersy, a ja opadam na krzesło i pozwalam się jej sobą zająć. Jestem zbyt zmęczona, żeby protestować. W środku skręca mnie z niepokoju. Czuję się, jakbym to ja miała wsiąść do pociągu do Londynu. Co odkryje tata? Mam wrażenie, że otwieramy puszkę Pandory.

– Jaki jest plan? – pytam, odkładając krakersa, który zupełnie mi nie pomaga.

– Spotykam się z twoim tatą na wczesny lunch. – Zerka na delikatny złoty zegarek. – No dobrze, lepiej już jedźmy. Jesteś pewna, że możesz mnie podwieźć? Mogę wezwać taksówkę.

Wstaję.

– Nie ma sprawy, mamo. Chodźmy.

\*

Mama gada nieprzerwanie przez całą drogę na stację. Zanim tam docieramy, mam już potworny ból głowy. Mama nadal mówi, wysiadając z samochodu:

– Zadzwoń do ciebie później z nowinami. Wrócę taksówką, więc nie martw się o odbieranie mnie...

Samochód za mną trąbi niecierpliwie.

– Mamo, nie wolno mi się tutaj zatrzymywać.

– Okej, okej, idę już, idę. – Zamyka drzwi od strony pasażera i wysyła mi pocałunki, kiedy odjeżdżam.

Droga powrotna do domu jest przyjemnie cicha.

Wchodzę do środka i postanawiam zadzwonić do taty. Odbiera po drugim dzwonku.

– Hej, kochanie. Chciałem do ciebie zadzwonić, ale myślałem, że może jeszcze jest trochę za wcześnie.

Jest wpół do dziesiątej. Co się porobiło z moimi rodzicami?

– Zastanawiałam się, czy udało ci się znaleźć coś o Sheili Watts – pytam.

Po jego oddechu wiem, że gdzieś idzie. Lubię wyobrażać sobie, jak przemierza londyńskie ulice, być może z kawą na wynos, z notesem wetkniętym do kieszeni kurtki, w drodze do pracy. Mój duży przystojny tata.

– Cóż, faktycznie coś znalazłem – mówi.

Prostuję się.

– Naprawdę?

– Znalazłem dokumentację na jej temat w archiwum.

Biorę gwałtowny oddech.

– Naprawdę? Co w niej było? Czy to ta sama Sheila?

– Tak sobie wyobrażam. Jestem bardzo zajęty, ponieważ pracuję nad końcem dużej sprawy, więc przejrzałem wszystko tylko pobieżnie. Nie wyglądało, że jest tam zbyt dużo, niestety. Dziwię się, że jeszcze nie zniszczyli tych dokumentów. Dużo rzeczy w archiwum zostało zapomnianych. Może jednak jakoś się przyda. Mogę zrobić zdjęcia akt i wysłać ci je?

– Byłoby świetnie.

– No dobrze, muszę lecieć. Jestem w pracy, ale napiszę do ciebie później.

– Dzięki, tato.

Kończę rozmowę zaintrygowana. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć te dokumenty.

\*

Muszę oczyścić myśli, zanim podejmę pracę, więc postanawiam zabrać Snowy'ego na spacer. Pies kręci się niecierpliwie wokół moich stóp, kiedy sięgam po smycz i przypinam ją do obroży. Przed wyjściem wyglądam przez małe okienko w drzwiach, sprawdzając, czy na zewnątrz nie kręcą się jacyś dziennikarze. Kiedy widzę, że nikogo nie ma, otwieram drzwi i wychodzę na podjazd. Zapinam kurtkę i ruszam w kierunku wąskiej ścieżki kilka domów stąd, prowadzącej do lasu za posiadłościami na Skelton Place. Mama uważa, że ten las jest upiorny i przytłaczający, ale mi wydaje się piękny i spokojny. Kocham zapach drzew i wilgotnej ziemi, dzwoneczki rosnące niczym fioletowy dywan o tej porze roku, sposób, w jaki słońce połyskuje między liśćmi. Mogę tutaj normalnie odetchnąć, powietrze jest czyste, bez spalin, tylko natura i ja.

Wchodzę głębiej w las, gdzie drzewa rosną tak gęsto, że słońcu trudno jest się przedostać przez gęste korony. Drzę lekko z zimna w mojej cienkiej kurtce.

Snowy ciągnie mnie za sobą, kiedy wędrujemy krętymi ścieżkami, przeskakując przez powykęcane korzenie drzew wystające z ziemi, niczym sieć rur.

Jestem tak pogrążona w swoich myślach, że na początku nie słyszę, że ktoś za mną idzie.

A potem trzaska gałązka – tak głośno, że aż podskakuję i rozglądam się trwożnie.

Kilka metrów dalej stoi mężczyzna. Rozpoznaję go – to on kręcił się przed moim domem w zeszłym tygodniu i jestem pewna, że jechał za mną, kiedy odwiedzałam babcię.

Czuję falę gorąca rozlewającą się na mojej twarzy i suchość w ustach. Snowy przestaje obwąchiwać pień drzewa i staje obok mnie, z postawionymi uszami.

Mężczyzna ma na sobie woskowaną kurtkę i grube buty. Wyobrażam go sobie w jakiejś eleganckiej posiadłości, ze strzelbą myśliwską w ręku.

– Cześć – mówi z uśmiechem.

Kiwam głową w odpowiedzi i idę dalej.

– Saffron, prawda?

Zatrzymuję się. Kim on jest? Dziennikarzem? Odwracam się i mówię, starając się zachować spokój:

– Proszę pana, jeśli jest pan reporterem, nie wiem nic więcej o ciałach znalezionych w moim ogrodzie. Mam o tym tyle samo pojęcia, co pan. Zdarzyło się to na długo przed moim zamieszkaniem.

Mężczyzna unosi dłoń.

– Nie jestem z prasy.

– Och. – Nie wiem, co powiedzieć. Czuję ukłucie niepewności. W lesie nie ma nikogo innego i nagle jestem nieprzyjemnie świadoma, że oto stoję tutaj z jakimś obcym człowiekiem.

– Nazywam się Davies. Jestem prywatnym detektywem.

– Pry... prywatnym detektywem? – Dlaczego prywatny detektyw miałby mnie śledzić w lesie? Dlaczego po prostu nie zapukał do moich drzwi?

– Nie śledziłem pani – mówi z cichym chichotem, zupełnie jakby czytał mi w myślach. – Pomyślałem, że może jest trochę za wcześnie, żeby zapukać do drzwi, więc wybrałem się na przechadzkę po lesie. Jest bardzo piękny.

Marszczę czoło.

– Hm... kto pana wynajął?

– Obawiam się, że nie mogę tego wyjawić. – Rozgląda się po lesie, jakbyśmy prowadzili niezobowiązującą konwersację, na której wcale mu nie zależy, ale po

napięciu całego jego ciała widzę, że to tylko pozory.

– No dobrze. W każdym razie ja nic nie wiem, więc... – Zbieram się do odejścia.

– Zaczekaj! – woła, chociaż nie idzie za mną. Zatrzymuję się i odwracam. – Tak naprawdę muszę porozmawiać z twoją babcią.

– Moją babcią? Dlaczego?

– To... cóż, to sprawa osobista.

– Moja babcia jest w domu opieki i nie chce z nikim rozmawiać.

Przez jego twarz przebiega cień, sprawiający, że wygląda znacznie mniej przyjaźnie.

– Jest chora?

– Ma demencję.

Pociera dłonią zarośniętą brodę.

– Och. A to rzeczywiście utrudnia sprawę, i to znacznie. Widzisz, mój klient naprawdę potrzebuje zdobyć pewną informację od niej. – Jego ton jest teraz chłodniejszy. Zniknęły pozory przyjacielskości.

Serce zaczyna bić mi szybciej.

– Jakiego rodzaju informację?

– Na temat czegoś, co wydarzyło się dawno temu.

– Rozumiem – mówię, chociaż jestem zupełnie zbita z tropu.

– Jak dawno temu twoja babcia wyprowadziła się z tutejszego domu?

– Wiele lat temu. Nie mieszkała tu przez bardzo długi czas.

– Pamiętasz rok?

– Niezupełnie, nie. – Nie zamierzam niczego mu mówić. Wydaje się zastanawiać przez chwilę. Snowy ciągnie smycz niecierpliwie. – Proszę pana, ja naprawdę nic nie wiem. Mama i ja nawet nie zdawałyśmy sobie sprawy, że babcia jest właścicielką tego domu, dopóki nie przeniosła się do domu opieki. Szczerze, nie mogę panu pomóc.

Mężczyzna podchodzi do mnie, sięgając do kieszeni kurtki.

– Czy mogę ci to dać? – Wyciąga małą kremową wizytówkę. Odbieram ją z jego ręki. Z przodu widnieje napis: *G.E. Davies, T&D, prywatni detektywi* i numer telefonu. – Mój klient szuka czegoś, co ma twoja babcia. Jest przekonany, że zatrzymała to przez wiele lat.

Myślę o dwóch tekturowych pudłach pełnych rzeczy babci i postanawiam ponownie je przejrzeć.

– Jakiego rodzaju rzecz?

Mężczyzna wzdycha, wyraźnie sfrustrowany.

– Jakichś dokumentów.

– O co tu tak naprawdę chodzi?

– Ja po prostu wypełniam polecenia, Saffron. – Ścisza głos, chociaż w pobliżu nie ma nikogo. Czuję uderzenie strachu i odsuwam się o krok od detektywa. – Mój klient twierdzi, że ten dokument jest bardzo ważny. Należy do niego i mój klient chce go odzyskać.

– Nawet po tylu latach?

– Tak, zwłaszcza po tylu latach. Jeżeli więc znajdziesz ten dokument, zadzwoń do mnie. Jeśli dostanie się w nieodpowiednie ręce, twoja babcia może mieć całą masę problemów. Rozumiesz?

– W... w jakim kontekście?

– To skomplikowane. Ale bardzo ważne. Rozumiesz to, prawda?

Kiwam głową.

– Dobrze. W takim razie mam nadzieję, że zadzwonisz.

Odwraca się i odchodzi. Ja zostaję na miejscu, obserwując, jak idzie po leśnych ścieżkach, przestępując wystające korzenie, aż w końcu skręca i znika.

## Theo

Dom Larry'ego Knighta to edwardiańska, samodzielnie stojąca budowla z czerwonej cegły w jednym z zamożnych przedmieść Leeds. Po obu stronach pomalowanych na czarno drzwi, w kwadratowych metalowych donicach stoją miniaturowe drzewa z koronami przyciętymi w kulę.

Theo znajduje miejsce do zaparkowania pod dużym drzewem wiśni, zrzucającym kwiaty. Płatki pokrywają cały chodnik pod spodem. Jest piękny wieczór: słońce wisi nisko nad horyzontem, malując na niebie pastelowe smugi. Droga jest pusta i cicha, z wyjątkiem świergotania ptaków i odległego hałasu bawiących się dzieci.

Theo czuje, że miał trochę szczęścia, próbując odnaleźć Larry'ego. Po wykonaniu wielu telefonów wreszcie dotarł do kliniki, w której pracował Knight. Tam też powiedziano mu, zgodnie z tym, czego się spodziewał, że Larry odszedł na emeryturę. Właśnie miał się rozłączyć, kiedy recepcjonistka wyjawiała, że w tej chwili biznes znajduje się w uzdolnionych rękach syna Larry'ego, Hugo. Theo zostawił dla niego wiadomość i Hugo oddzwonił, obiecując, że porozmawia z ojcem. Zaledwie kilka godzin później zadzwonił do Theo sam Larry i zgodził się na spotkanie twarzą w twarz. Dlatego jest tutaj teraz, na nieznanym mu ulicy w Leeds, w piękny środowy wieczór.

Spóźnił się zaledwie kilka minut, ale podejrzewa, że Larry czekał na niego, ponieważ drzwi otwierają się, zanim ma szansę nacisnąć dzwonek. Na progu staje starszy pan, który powiększające się zakola na głowie skompensował, zapuszczając bujną siwą brodę. Ma na sobie sweter założony na koszulę naciągniętą na wystającym brzuchu. Jego łagodne niebieskie oczy marszczą się w kącikach, kiedy się uśmiecha, co właśnie robi, widząc Theo.

– Mój Boże – mówi. – Skóra ściągnięta z ojca, kiedy był w twoim wieku.

– Mam nadzieję, że na tym kończy się podobieństwo. – Theo śmieje się, żeby nadać swoim słowom nieco lżejszy wydźwięk.

Larry wydaje się zaskoczony, ale odsuwa się, żeby wpuścić Theo do środka. Wchodzą na przestronny korytarz. Ściany ozdobione są obszerną kolekcją zdjęć rodzinnych, wszystkie w innym rozmiarze, ale w jakiś sposób pasujące do siebie. Theo przygląda się im pobieżnie. Rodzinne wakacje w egzotycznych miejscach; zdjęcia ze ślubów; osmagane wiatrem dzieci w kaloszach, na plaży; wnuki opatulone kraciatymi kocami, ułożone na miękkich kanapach, a nawet czworonożni ulubieńcy. Miejsce to zupełnie się różni od domu, w którym się wychował: tam jedynym zdjęciem, które wisiało na ścianie, była fotografia ojca odbierającego nagrodę za zawody golfowe w 1984 roku.

Odwraca się do starszego człowieka, zaczynając rozumieć, dlaczego współpraca między nim i ojcem nie wypaliła. Są zupełnymi przeciwieństwami. Theo czuje nagle uderzenie zazdrości na myśl o tym, jak mogłoby wyglądać jego dzieciństwo, gdyby wychowywał się w tej rodzinie, z rodzeństwem w kaloszach, budując zamki z piasku na wietrznych plażach, w domu pełnym psów i kotów, świnek morskich i chomików; w domu pełnym miłości i śmiechu, a nie strachu i zastraszania – gdyby miał życie jak to udokumentowane na ścianach tego korytarza. Chce tego wszystkiego dla siebie i Jen, jeżeli kiedykolwiek im się poszczęści i zostaną rodzicami.

A potem przypomina sobie, jak smutna wydawała się Jen, kiedy wyjeżdżał tego wieczora. Siedziała na sofie z gorącą butelką przyciśniętą do brzucha, a jej piękne bladozielone oczy lśniły od łez, które starała się powstrzymać. Kolejny okres, kolejna zmarnowana szansa. Theo nie chciał jej zostawiać, ale Jen nalegała.

– Tylko przywieź mi z powrotem paczkę Maltesers – powiedziała dobrotliwie, kiedy całował ją na pożegnanie.

– Ma pan piękny dom – mówi Theo szczerze. Na korytarzu pojawiają się dwa podstarzałe golden retrievery z posiwiałymi wąsami. Podchodzą bliżej, machając ogonami, i Theo nachyla się, żeby pogłaskać je po głowach.

Larry uśmiecha się w odpowiedzi.

– Zapraszam. – Poklepuje Theo po plecach, jakby znał go od lat. – Wejźmy do salonu. Może chcesz się napić herbaty? Marge! – krzyczy, zanim Theo ma szansę odpowiedzieć. Starsza wersja kobiety uwiecznionej na zdjęciach, wtulonej w Larry'ego, pojawia się w korytarzu. Jest wysoka, ma wyraźnie zarysowane policzki i siwe włosy sięgające do ramion. Wygląda elegancko w swojej jedwabnej bluzce i granatowych spodniach.

– To jest Theo, chłopak Victora.



– Witaj, Theo. – Ściska mu dłoń serdecznie. – Miło cię poznać. Herbaty?

Theo odpowiada, że z przyjemnością się napije, a potem idzie za Larrym do przytulnego pokoju w przedniej części domu. Przysiada na brzegu sofy, zaś Larry zajmuje fotel. Jeden z retrieverów układa się u jego stóp, a drugi siada obok Theo na kanapie i kładzie mu głowę na kolanach.

Larry chichocze.

– Bonnie cię lubi.

Theo gładzi łeb suki.

– Kocham psy. Mam nadzieję, że pewnego dnia sprawimy sobie z żoną jednego.

– Cóż. – Larry kładzie dłoń na wielkim brzuchu. – Byłem zaskoczony, kiedy się ze mną skontaktowałeś. Nie widziałem Victora od... mój Boże, od wielu lat. Jak on się miewa?

– Dobrze. Przeszedł na emeryturę.

– A jak twoja mama? Byłem na ich ślubie..., kiedy to było? Trzydzieści pięć lat temu?

– Moja mama... umarła czternaście lat temu. To był wypadek.

Larry smutnieje.

– Tak mi przykro. Musiała być jeszcze młoda.

– Tak. Zbyt młoda. – Theo przelżyka głośno. – Wiem, że wydaje się panu dziwna moja prośba o spotkanie, ale... – Spogląda na tego dobrodusznego człowieka z dużą szczęśliwą rodziną i wie, że może być szczery. – Znalazłem u mojego ojca coś, co przyniosło więcej pytań niż odpowiedzi.

– Mów dalej.

– Prowadził pan razem z ojcem klinikę. W latach siedemdziesiątych.

– To prawda. Prywatna praktyka. Pracowaliśmy razem przez kilka lat.

– Zastanawiałem się w związku z tym... – Przerywa, kiedy w pokoju pojawia się Marge z dwoma kubkami. Bierze od niej jeden z nich, uważając, żeby nie rozlać gorącego płynu na łeb Bonnie, która nadal odpoczywa na jego nogach.

– Zastanawiałeś się nad czym? – zachęca go Larry, kiedy Marge wychodzi z pokoju.

Theo koncentruje się na zebraniu myśli.

– Tak naprawdę, nie jestem pewien. Wszystko zaczęło się wkrótce po tym, jak znalazłem na biurku taty wycinek z gazety – waha się. – Słyszał pan o Rose Grey?

Larry zastanawia się.

– Nic mi nie mówi to nazwisko.

– A Saffron Cutler?

Larry potrząsa głową.

– Mój ojciec jest bardzo skryty. Nigdy nie powiedział mi nawet, że miał partnera biznesowego.

Larry przygląda się mu cierpliwie sponad brzegu kubka, czekając na konkluzję.

– Dlaczego zdecydował się pan zakończyć biznes z ojcem?

Larry wygląda na dręczonego poczuciem winy.

– To był zły biznes.

Serce Theo przyspiesza z wyczekiwania... i z obawy przed tym, co może usłyszeć od tego człowieka.

– Czy mój ojciec zrobił coś złego?

– Hmm... nikt nie wie tego na pewno. Oczywiście Victor zawsze utrzymywał, że jest niewinny. Wpłynęła jednak skarga od młodej kobiety. Przykro mi, to nie będzie dla ciebie łatwe.

Theo zbiera się w sobie. Cokolwiek by to było, wie, że najprawdopodobniej przyszło mu to już do głowy.

– Kobieta złożyła skargę, że Victor zachowywał się wobec niej nieprzyzwoicie. W czasie badania.

Theo załamuje się. Ze wszystkich scenariuszy, jakie przyszły mu do głowy, akurat ten został pominięty.

– Czy nie ma pielęgniarek w gabinecie podczas takich badań?

– To były lata siedemdziesiąte – mówi Larry, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Czy ta kobieta pozwała go do sądu?

– Poszła z tym na policję. Ale oczywiście w tej sytuacji to było jej słowo przeciwko jego.

Theo potrafi sobie wyobrazić, że czterdzieści lat temu kobiet nie traktowano poważnie i niezbyt im wierzono.

Budzi się w nim rozpalony do białości gniew na myśl, że jego ojciec mógł być zdolny do czegoś tak potwornego. Upija łyk herbaty, próbując zgasić w sobie ten ogień. Nie może poddać się teraz emocjom. Nie teraz. Jeszcze nie.

– Pamięta pan może nazwisko tej kobiety?

Larry zastanawia się przez kilka chwil.

– Nie, nie pamiętam. Wydaje mi się, że Sandra, ale mogę się mylić. Niestety, popełniła samobójstwo rok później.

Theo czuje bolesne ścisnięcie w żołądku.

– O mój Boże, to *okropne*.

Larry kiwa poważnie głową.

– Wiem.

– Czy poprosił pan po tym wszystkim ojca, żeby opuścił klinikę?

– Chciałem mu wierzyć...

– Ale nie potrafił pan?

Wzdycha ciężko.

– Nie chodziło tylko o to. Były też inne sprawy.

Theo zawsze wiedział, że jego ojciec jest maniakiem kontroli i despota, ale wierzył, że przy okazji jest genialnym lekarzem. Może w domu zachowywał się fatalnie, ale w pracy pomagał zmieniać życie ludzi na lepsze.

– Czy było więcej skarg?

– Nie tego rodzaju, na szczęście. – Larry upija herbatę.

– Ale wspomniał pan o innych problemach?

– Cóż, po prostu przestaliśmy... się dogadywać po jakimś czasie od pojawienia się oskarżeń. Twój ojciec, jak zapewne doskonale wiesz, jest bardzo ambitnym człowiekiem. Ja... ja chyba po prostu pragnąłem spokojniejszego życia. – Theo wyczuwa, że jest w tej sprawie dużo więcej, o czym Larry nie chce mówić.

– Pozostaliście ze sobą w kontakcie?

Kiwa głową.

– Rzadko się spotykaliśmy, głównie na konferencjach. Kilka razy widział się z Marge, chociaż nigdy nie przyprowadzał twojej matki na te wizyty.

Wcale to nie dziwi Theo. Jego ojciec zawsze lubił oddzielać pracę od życia osobistego, poza rzadkimi okazjami, kiedy mama musiała gościć jego kolegów na obiedzie.

– Śledziłem jego karierę. Cieszyłem się, że tak dobrze sobie radzi. Miałem nadzieję... naprawdę... że tamta sprawa to było tylko nieporozumienie między Victorem i tą młodą kobietą.

– Kiedy widział go pan ostatnim razem?

Larry mruży oczy.

– Och, niech pomyślę. To musiało być jakieś czternaście lub piętnaście lat temu. Tak, to było na konferencji na jesieni 2004 roku.

– Czyli kilka miesięcy po śmierci mamy.

Larry wygląda na zakłopotanego.

– Ach... nic o tym nie wspominał, ale nie rozmawiałem z nim zbyt długo. Zamieniliśmy kilka słów, głównie o pracy.

Bonnie uznaje, że na kanapie jest jej za gorąco, więc zeskakuje na podłogę i układa się przy stopach Theo.

– Czy mogę pana o coś zapytać? – Theo odstawia kubek na stolik kawowy. – I bardzo proszę o szczerą odpowiedź. Niech się pan nie martwi moimi uczuciami.

– Oczywiście.

– Sądzi pan, że mój ojciec zachował się nieprzyzwoicie wobec tamtej dziewczyny? Uważa pan, że ona mówiła prawdę?

Twarz Larry'ego ciemnieje.

– No cóż, to byłaby tylko moja opinia. Twojemu ojcu nigdy nie postawiono żadnych formalnych zarzutów. Musisz to zrozumieć. A w tamtych czasach naprawdę chciałem mu wierzyć.

– Rozumiem... a teraz?

Larry milczy przez dłuższą chwilę. Theo niemal widzi, jak starszy pan rozważa odpowiedź.

– Nigdy nie dowiemy się na pewno – mówi wreszcie. – Ale serce podpowiada mi, że ta młoda kobieta nie zmyślała. Cokolwiek zdarzyło się w klinice tamtego dnia, naprawdę wierzyła, że twój ojciec zachował się nieodpowiednio.

Theo sztywnieje i ogarnia go chłód.

Przyjechał tutaj po odpowiedzi, tymczasem ma teraz więcej pytań niż poprzednio.

**Rose***Styczeń 1980 roku*

Tak bardzo przywykłam do tego, że mieszkamy tu tylko we dwie, że na początku czułam się dziwnie, mając w domu kogoś innego, kto dzielił z nami łazienkę i naszą małą kuchnię. Trzeba było pamiętać o uprzejmości przy wyborze kanału telewizyjnego do oglądania. Czułam się, jakby w domu przebywał stały gość i trudno mi było się rozluźnić. Tak samo czułam się, kiedy mieszkała u nas poprzednia lokatorka, Kay, i te uczucia nigdy tak naprawdę nie zniknęły. Miałam nadzieję, że kiedy trochę podrośniesz i pójdiesz do szkoły, zdołam znaleźć sobie jakąś pracę, ale do tego czasu jedynym sposobem zarabiania pieniędzy był wynajem pokoju w naszym domu.

W przeciwieństwie do Kay, z Daphne zaprzyjaźniłam się niemal od razu. Była dla ciebie jak ciocia i chociaż przy mnie głównie milczała, lubiła z tobą rozmawiać, zupełnie jakby czuła się znacznie swobodniej w towarzystwie dzieci. Przesiadывała godzinami na dywaniku z owczej skóry, bawiąc się z tobą twoimi lalkami Sindy. Zrobiła nawet twojej ulubionej lalce kombinezon na drutach, w kolorze szaławii i kremu. Uwielbiałaś ten ciuszek.

Myślałam, że będzie zostawała w swoim pokoju częściej, tymczasem ona każdego wieczora przyłączała się do nas, wręczając mi kubek z herbatą, nawet wtedy, kiedy dopiero co wróciła do domu ze zmiany w pubie. Każdego tygodnia przynosiła drwa do kominka. Była bardzo troskliwa.

Pracowała za gotówkę jako sprzątaczką w Pod Jeleniem i Bażantem, więc nie było jej w domu przez większość popołudni. Z kolei ty chodziłaś do przedszkola przez trzy poranki w tygodniu. Zazwyczaj siadałyśmy do obiadu w tym samym czasie. Daphne lubiła gotować gulasze w jednym z moich starych brązowych naczyń żaroodpornych, które należały jeszcze do moich rodziców. Przez większość dni jeden z nich gotował się na kuchence, a jeśli Daphne czuła przypływ inspiracji, robiła również do niego pierożki. Tej zimy jadłyśmy głównie to: gęste mięsne duszone dania.

– To tanie i łatwe w przygotowaniu – powiedziała kiedyś Daphne, krojąc marchewkę z takim profesjonalizmem, że zaczęłam się zastanawiać, czy kiedyś nie pracowała w restauracji. Godzinami przesiadywała w kuchni, w swoich porozciąganych swetrach (podejrzywałam, że sama zrobiła je na drutach) z dziurami na rękawach, krojąc jakiegokolwiek mięso, które udało jej się zdobyć u rzeźnika. Stawała przy blacie kuchennym z jedną nogą zgiętą w kolanie, jak u flaminga.

– Och, pracowałam w bardzo różnych zawodach – powiedziała, kiedy zapytałam ją o pracę w restauracji. – Czego to ja nie robiłam.

Nawet wtedy, na początku, kiedy wszystko układało się dobrze i nie miałam pojęcia, co nas czeka, było w Daphne coś, co mnie intrygowało. Po tej pierwszej nocy zawarłyśmy niepisaną umowę, żeby nie rozmawiać o naszej przeszłości. Ja jednak bardzo chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o niej, chociaż zdawałam sobie sprawę, że jeśli spróbuję grzebać zbyt głęboko, Daphne może mi się odwdziaczyć, a to z kolei ujawni sprawy, które mogły narazić nas na niebezpieczeństwo.

*Od czego lub od kogo uciekała Daphne?*

Mimo wszystko w ciągu tych tygodni, zwłaszcza pierwszych kilku, czułam się bardziej bezpieczna, mając drugą dorosłą osobę w domu. Czułam, że ktoś się mną opiekuje i było to bardzo przyjemne, niezwykle doznanie; coś, czego nie miałam od czasów Audrey.

Zima była bardzo mroźna. Nasze okna z ołowianymi ramkami zawsze były od wewnątrz nieprzejryste od skroplonej pary, a po wewnętrznej stronie podwójnych szyb pojawiał się szron. Kamienna podłoga w kuchni wydawała się niczym lodowisko pod stopami – chłód było czuć nawet przez skarpetki. Tym niemniej nasz mały domek był przytulny. Byłyśmy tam tylko my trzy, z dala od obcych. Bezpieczne.

Kilka tygodni po wprowadzeniu się Daphne, kiedy leżałaś już w łóżku, a my oglądałyśmy *Hart to Hart* w telewizji, zapytała mnie, czy nie chciałabym się z nią wybrać do pubu któregoś wieczora. Szczerze mówiąc, nie udzielałam się towarzysko – ostatnio były to nieregularne spotkania Instytutu Kobiet z Melissą albo prace w miejscowym kościele, kiedy ty byłaś na zajęciach grupy przedszkolnej, a nawet wtedy martwiłam się, czy to przypadkiem nie za dużo i czy nie robię się zbyt niefrasobliwa.

– Może Joyce i Roy popilnują małej? – zasugerowała. – Nie musimy siedzieć tam do późna.

Joyce i Roy to mili starsi państwo mieszkający w domu obok, podobnym do naszego, ale bez słomianej strzechy. Uwielbiali cię i czasami opiekowali się tobą, kiedy ja chodziłam na demonstrację muzyki dzwonów kościelnych, raz czy dwa w miesiącu. Ufałam im. Nie byli plotkarzami, nie zadawali zbyt wielu pytań, mieli jednego syna, nieco młodszego ode mnie, którego prawie nie widywali, i żadnych wnuków. Dawali ci prezenty na urodziny i na Gwiazdkę: skakanki z ręcznie malowanymi rączkami, figurki z serii Weebles, a gdy Joyce była w swoim ogrodzie przed domem, przycinając róże, zawsze przerywała pracę, żeby się przywitać, kiedy zaś cię widziała, jej twarz promieniała jak wiosenne słońce.

Czułam się niezręcznie, prosząc ich o zaopiekowanie się tobą po to, żebym ja mogła pójść do pubu, ale Daphne wydawała się strasznie podekscytowana taką perspektywą. Ten jej szeroki uśmiech odsłaniający szparę między zębami, potargane włosy zwisające na ramiona... była w tej wiosce jedyną kobietą w moim wieku, którą znałam. Jedno wyjście chyba nam nie zaszkodzi? Wypijemy kilka drinków i w końcu będziemy mogły zachowywać się przez chwilę jak normalne trzydziestoparolatki, zamiast zmieniać się w pustelnice.

Zgodziłam się więc, a kiedy następnego dnia poprosiłam Joyce i Roya o pomoc, zgodzili się z radością. Przyszli do nas wieczorem następnego dnia, czyli w piątek, z paczką cukierków Smarties dla ciebie. Powiedziałam, że możesz położyć się wyjątkowo nieco później, jeśli chcesz spędzić z nimi czas. Mimo to, kiedy machałam ci w progę na pożegnanie, czułam, jak ciężar kładzie mi się na serce. Stałaś między nimi dwojgiem; Roy ubrany w swój brązowy blezer z dużymi guzikami, a Joyce w kwiecistej sukience, światło z korytarza wylewało się na podjazd. A kiedy Joyce zamknęła drzwi, nagle pograżyłyśmy się w ciemności. Powietrze było tak zimne, że nasze oddechy zmieniały się w obłoczki pary. Ziemię pokrywał lśniący szron. Wtuliłyśmy się w siebie, idąc pod rękę do wioski. Ani razu się nie poślizgnęłyśmy. Daphne miała na sobie swój welwetowy płaszcz z łatami, czarny golf i kloszowane burgundowe sztruksy. Szyję owinęła długim szalikiem. Ja przebrałam się w długą sukienkę w kwiaty i kozaki oraz mój gruby kozuch z owczej skóry, który kupiłam w sklepie z używaną odzieżą pięć lat temu. Staralam się powstrzymać wewnętrzne drżenie niepokoju. Byłyśmy same w ciemności, a ja próbowałam nie myśleć o tym, że ktoś może nas obserwować zza żywopłotów. Powtarzałam sobie,

że przecież nikomu nie przyszłoby do głowy szukać mnie tutaj, w Beggars Nook. Zamiast tego próbowałam skoncentrować się na Daphne, mojej lokatorce, osobie, która pomimo wszystkich obietnic złożonych sobie samej po przejściach z Kay stawała się moją przyjaciółką.

– Jesteś pewna, że chcesz iść do pubu Pod Jeleniem i Bazantem, skoro tam pracujesz? – spytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Nie przeszkadza mi to. Jest tam ciepło, mają alkohol, a poza tym dzięki temu nie musimy szukać innego miejsca.

Nienawidziłam prowadzenia samochodu, chociaż zmuszona byłam to od czasu do czasu robić. Wiedząc jednak, że morris marina mojej mamy stał zaparkowany przed moim domem, czułam się nieco bezpieczniej. Dzięki niemu mogłam zawsze uciec z tobą dość szybko, jeżeli byłoby to konieczne.

Z zewnątrz pub był odświętnie przystrojony i wyglądał jak obrazek z pocztówki bożonarodzeniowej. Na drzwiach nadal wisiały udrapowane światełka choinkowe. Kwadratowe wielodzielne okna były zaparowane od wewnątrz, ale widać było zarys sylwetek ludzi bawiących się w środku. Kiedy weszliśmy, uderzyła w nas kakofonia hałasu i woń zwietrzałego alkoholu wymieszany z zapachem orzeszków ziemnych. W rogu grupka starszych mężczyzn grała w rzutki, a z szafy grającej wydobywały się dźwięki piosenki *Don't Bring Me Down* ELO. Joel, właściciel pubu, spojrzał na nas zza baru i uśmiechnął się uprzejmie na mój widok. Jego twarz nieco spochmurniała, kiedy zobaczył Daphne – zastanawiałam się dlaczego. Czułam, że coś jest nie tak, i natychmiast przypomniałam sobie, że tak naprawdę nie znam mojej lokatorki. Nie mogłam się przed nią odsłonić. Ciągłe pilnowanie się było wyczerpujące. Ci biedni strażnicy sprzed pałacu Buckingham też tak się muszą czuć, z tym że ja robiłam to już od lat. Zazwyczaj Joel był pogodnym, jowialnym typem faceta, a kiedy się uśmiechał (działo się to często), wokół ust pojawiały mu się liczne zmarszczki. Pod pięćdziesiątkę, z krzepką i prostolinijną urodą, mówił z ciepłym zachodnim akcentem i uwielbiał swetry w stylu Aran. W przeszłości był dla mnie bardzo miły. Kiedy po raz pierwszy pojawiłam się w wiosce, w ciąży, bojąca się własnego cienia, pomógł mi, gdy błędnie uznałam, że jestem śledzona – ponieważ jakiś mężczyzna (okazał się nim Mick Bracken z farmy na obrzeżach Beggars Nook), który wyprowadzał psa (zresztą na swoim własnym polu), akurat szedł za mną. Joel posadził mnie na jednym ze stołków barowych, zrobił mi kawę i czekał, aż przestanę się trząść. Nie zadawał mi



żadnych pytań, nigdy nie próbował namawiać mnie na opowieści, czego lub kogo się bałam. Po prostu był przy mnie, spokojny i podnoszący na duchu. Często żałowałam, że nie jest w moim typie.

– Czym mogę służyć, drogie panie? – spytał teraz zza baru.

– Czego się napijesz? Ja stawiam. – Daphne sięgnęła do ozdobionej frędzelkami torebki po portmonetkę. – To takie podziękowanie za to, że pozwoliłaś mi u siebie zamieszkać. – Dostrzegłam przelotne spojrzenie, jakie wymieniła z Joelem, i poczułam się dość dziwnie i niepewnie, jakby ci dwoje wiedzieli coś, czego ja nie wiedziałam.

Poprosiłam o wytrawne białe wino, Daphne zamówiła to samo dla siebie i poszłyśmy z nim usiąść w kącie, przy kominku, po drugiej stronie pubu, tam gdzie starsi panowie grali w rzutki.

– Dobrze ci się układa z Joelem? – spytałam, siląc się na obojętność. Strząsnęłam futro. Joel stał odwrócony do nas plecami, nalewając bursztynowy alkohol z butelki przymocowanej na ścianie.

– Raczej tak. Dlaczego pytasz?

– Po prostu wyczuwałam, że... czy ja wiem... jest między wami jakieś napięcie.

Daphne odgarnęła włosy z twarzy. Pomalowała się dziś mocniej niż zazwyczaj. Użyła dużo niebieskiej kredki do oczu, co sprawiało, że jej oczy wydawały się ogromne. Czyżby planowała kogoś poderwać? Zachciało mi się śmiać na samą myśl. Joel był tutaj jedynym kawalerem do wzięcia. Daphne nachyliła się nad stołem i ściszyła głos. Czułam zapach wina w jej oddechu.

– Próbował mnie podrywać. Niedługo po moim przyjeździe. Był bardzo natarczywy, chciał mnie zmusić... no wiesz.

– Co takiego? – Wyplułam wino, które właśnie upiłam. Byłam przerażona. Od czasu do czasu podejrzywałam, że Joel może mieć do mnie słabość, ale nigdy niczego ze mną nie próbował. Nigdy też nie czułam się przy nim niekomfortowo.

– Owszem. Odkurzałam właśnie dywan po zamknięciu pubu po południu. Podeszedł do mnie od tyłu, objął mnie bardzo mocno, tak, że nie dałam rady uciec, i wtulił się twarzą w moją szyję. Przywarł do mnie. – Skrzywiła się z odrazą. – Czułam... – Wzdrygnęła się. – Wszystko.

– O mój Boże. – Zupełnie nie znałam się na ludziach, jak się okazuje. Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że Joel jest zdolny do czegoś takiego. Zawsze wydawał mi się dżentelmenem.

Daphne odchyliła się na oparcie z uśmiechem pełnym samozadowolenia i założyła ręce na piersi.

– Wiem! – powiedziała.

– I... i co zrobiłaś?

– Odepchnęłam go i powiedziałam, że jeśli kiedykolwiek jeszcze spróbuje czegoś podobnego, obetnę mu fiuta.

Niemal zakrztusiłam się winem.

– Od tamtej chwili stale utrudnia mi życie – ciągnęła Daphne. – Zapewne nie lubi, kiedy ktoś odrzuca jego zaloty. Blee. Szczerze mówiąc, jestem cholernie wkurzona na facetów z tym ich przekonaniem, że mogą się zachowywać w taki sposób w stosunku do kobiet. Cóż, nie w moim przypadku.

Podziwiałam jej wojownicze nastawienie – bardzo się w tej chwili różniła od tej nerwowej, roztrzęsionej kobiety, którą spotkałam w Boże Narodzenie. Scementowało to jednak w mojej głowie wszystko, co, jak sądziłam, wiedziałam o jej przeszłości. Musiała paść ofiarą jakiegoś okrutnego mizogina, tak jak ja.

Daphne wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń.

– Musimy się trzymać razem, ty i ja, Rose. Świat jest naprawdę gówniany. Musimy się sobą opiekować.

Zerknęłam w stronę baru, gdzie Joel obsługiwał dwóch starszych gości, śmiejąc się z czegoś, co powiedzieli. Żołądek ścisnął mi się z rozczarowania. Lubiłam go, ale okazało się, że jest taki sam jak inni.

Chyba wyczuł, że się mu przyglądam, bo spojrzał na mnie i rzucił mi ciepły uśmiech.

Nie odwzajemniłam go.

## Lorna

Dostrzega go, zanim on widzi ją. Potężny mężczyzna siedzi w rogu restauracji. Błękitna koszula napina się na szerokich barach. Ma lekko zmierzwione ciemne włosy i cień zarostu na przystojnej twarzy. Czuje łaskotanie w żołądku.

Euan Cutler. Jej niegdysiejszy mąż, kochanek i najlepszy przyjaciel.

Pochyla głowę nad notesem w spiralnej oprawie, żując końcówkę długopisu. Kiedy Lorna zbliża się, wiedziona przez przesadnie wylewnego kelnera, dostrzega plamy po tuszu na palcu wskazującym Euana. Od razu odpływa myślami do czasów, gdy byli małżeństwem i Euan zaczął kurs dziennikarski. Siedział w rogu ich małego mieszkania, zawsze coś pisząc.

Kiedy Lorna podchodzi do stołu, Euan podnosi wzrok znad notesu i odkłada długopis. Ma ten typ urody, przez który wydaje się surowy, może nawet trochę zaciekły, jak bokser przed walką. A potem nagle uśmiecha się i jego rysy natychmiast łagodnieją.

– Lorna! – Wstaje. Przy wzroście prawie stu dziewięćdziesięciu centymetrów góruje nad nią jak wieża. Nachyla się i całuje ją w policzek. Pachnie jak zawsze, piżmowym płynem po goleniu i proszkiem do prania, co zupełnie nie pasuje do jego niedbałego wyglądu.

Lorna opada na krzesło naprzeciwko niego. Czekają na podanie kart dań i zamawiają napoje przed rozpoczęciem rozmowy.

– Dobrze wyglądasz – mówi.

– Ty też. – I to prawda. Euan nieźle się trzyma. Nadal jest potężny, ale szczuplejszy, stracił sporo sadełka w okolicach brzucha. W wieku czterdziestu dwóch lat, mimo zmarszczek wokół oczu, nadal ma w sobie coś chłopięcego.

– Jak ci się powodzi w Hiszpanii?

– Dobrze. Znasz mnie. Nie potrafię usiedzieć w jednym miejscu.

Śmieje się.

– Czyli jak zwykle.

– A co u ciebie? Spotkałeś już kobietę swoich marzeń?

– Jestem za bardzo zajęty pracą.  
– Czyli jak zwykle – odcina się. Spoglądają sobie w oczy.  
– Przykro mi z powodu Rose – mówi Euan, odwracając wzrok.  
– Chodzi ci o demencję czy o trupy? – Lorna próbuje zażartować, ale on się nie śmieje.

– Pewnie jest wam trudno. Tobie i Saffy.

Lorna bawi się serwetką leżącą na jej kolanach. Nie patrzy mu w oczy.

– To trochę tak, jakbyśmy ją stracili, chociaż nadal żyje. Kiedy pojechałam ją odwiedzić... – głos jej się załamuje – ...nie poznała mnie.

Euan sięga nad stołem i ściska jej dłoń.

– Rose była dla mnie dobra... nawet po naszym rozstaniu.

Lorna kiwa głową, wstydząc się guli, która nagle wyrosła jej w gardle. Próbowwała przez cały tydzień być dzielna, optymistyczna, pełna energii – dla Saffy.

– Jest ciężko, bo Rose ciągle jest dezorientowana, a ja nie chcę, żeby Saffy się zamartwiała, ze względu na dziecko. – Spogląda na niego. – Co o tym myślisz? Będziemy czterdziestoparoletnimi dziadkami.

Euan szczerzy zęby w uśmiechu.

– Można się było zapewne tego spodziewać. Saffy nigdy nie była skora do skakania z kwiatka na kwiatek. Urodziła się dorosła, dając słowo. – Cofa rękę.

– Fakt, była bardzo poważnym dzieckiem – potakuje Lorna i oboje uśmiechają się do siebie, wspominając wspólną historię.

Milkną, znów przez chwilę wpatrując się sobie w oczy. Tym razem to Lorna odwraca wzrok jako pierwsza. Musi być zdecydowana i praktyczna. W końcu po to tutaj przyjechała. Nachyla się i wyciąga wycinek artykułu z torebki, a potem podsuwa go Euanowi. Ten zakrywa go dłonią, ale nie podnosi ze stołu.

– Zanim się tym zajmiemy, spójrzmy w kartę dań. Umieram z głodu, a mam tylko półtorej godziny.

– Ojej, jasne.

Chichocze.

– A przecież wiesz, co się dzieje, kiedy zaczynamy rozmawiać.

Kelner przynosi napoje. Euan zamawia stek, a Lorna rybę.

– No dobrze, a teraz w końcu przyjrzyjmy się temu artykułowi. – Bierze wycinek do ręki. – „Thanet Echo”. Ta gazeta jeszcze istnieje.

Lorna wyjaśnia, co odkryła.

– Wygląda na to, że ta cała Sheila się zabiła.

Euan marszczy czoło.

– Albo zmarła na skutek nieszczęśliwego wypadku. Tak czy owak, rozmawiałem już o tym z Saffy. Znalazłem dokumenty.

– Naprawdę? Dotyczące Sheili?

– Tak. Niewiele tego jest, ale obiecałem Saffy, że wyślę jej później kopie. – Wręcza jej wycinek gazety z powrotem. – Chyba nie myślisz, że twoja matka wie cokolwiek o tych ciałach w ogrodzie, co?

Lorna wkłada artykuł z powrotem do torebki.

– Wątpię w to, ale... pewnie to tylko paplanina starszej kobiety, ale opowiadała o jakiejś Jean, która uderzyła kogoś w głowę i tym kimś była Sheila. A potem znalazłam ten artykuł. Do tego dochodzi związek między Alanem Hartallem i Daphne Hartall. Zaintrygował mnie, to wszystko.

– Może powinnaś zostać dziennikarką! – śmieje się Euan.

– Dziwię się, że twoja agencja jeszcze nie wybrała się do Skelton Place, żeby sprawdzić wszystko samemu. – Lorna upija łyk dietetycznej coli.

– Skorzystaliśmy z agencji prasowej i oczywiście opublikowaliśmy artykuł o sprawie. Znacznie ciekawiej zrobi się, jeżeli i kiedy policja zidentyfikuje ofiary i będzie miała teorię na temat tego, kto był odpowiedzialny za zabójstwo. Wtedy obawiam się, że sytuacja się zagęści. Ostrzeż Saffy, dobrze?

Kelner wraca z daniami i żołądek Lorny burczy głośno, kiedy łąduje przed nią talerz z okoniem morskim. Wygląda apetycznie. Zjada kęs.

– Masz jakieś namiary na Alana Hartalla? – pyta z pełnymi ustami.

Euan wbija nóż w stek. Jak się okazuje, nadal lubi wołowinę praktycznie zwęgloną.

– Tylko adresy. Wszystkie zastrzeżone. Znalazłem dwóch Alanów Hartallów mieszkających w okolicy Broadstairs, ale nie mam pojęcia, w jakim są wieku.

– Wybieram się tam dzisiaj po południu.

Spogląda na nią znad steku.

– To półtorej godziny drogi pociągiem.

– Wiem.

– Sporo do zrobienia w jeden dzień. Będziesz ostrożna, prawda?

Lorna śmieje się.

– Wątpię, żeby Alan Hartall, kimkolwiek jest, był niebezpieczny. To już starszy człowiek.

Ale Euan jest poważny. Przesuwa dużą dłoń po zaroście. Zawsze to robi, kiedy jest zaniepokojony.

– Nawet starzy ludzie potrafią być niebezpieczni.

\*

Zanim Lorna dociera do Broadstairs, mija już szesnasta. Jej pociąg powrotny do stacji St. Pancras jest o osiemnastej trzydzieści, więc nie ma zbyt wiele czasu na znalezienie właściwego Alana Hartalla. Stojąc przed wejściem na stację, wdychając powietrze pachnące morzem i frytkami, zaczyna się wahać. *Może to jednak zupełne szaleństwo?* Próba znalezienia Alana Hartalla, który być może dawno już nie żyje albo przeprowadził się zupełnie gdzie indziej, wydaje się bezsensowna.

Pierwszy adres to Pierremont Avenue, według Google Maps zaledwie pięć minut piechotą od stacji. Rusza, prowadzona przez niebieską kropkę na ekranie telefonu, stukając obcasami. Mija rzędy nijakich domów, aż wreszcie przybywa na miejsce. Droga wydaje się długa i stoją przy niej domy o różnym stopniu atrakcyjności i z różnych er. Równie dobrze mogłaby być w innym mieście. Z wyjątkiem krzyku mew nie czuje się tutaj jak w nadmorskiej miejscowości. Niebieska kropka miga, kiedy dociera do domu z lat siedemdziesiątych, przed którym stoi kontener na odpadki. Lorna waha się. Poprawia żakiet i ściąga łopatki. Wiedziona nadzieją, podchodzi do drzwi wejściowych i głośno puka. Dopiero po dłuższej chwili ktoś w końcu otwiera drzwi: kobieta mniej więcej w jej wieku, w leginsach i podkoszulku. Wygląda na całkowicie udręczoną. Do jej nogi przyczepiona jest mała dziewczynka.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczyna Lorna.

– Jeżeli pani coś sprzedaje, nie jestem zainteresowana – mówi kobieta bez uśmiechu.

– Nie, próbuję kogoś znaleźć – mówi szybko Lorna, zanim mieszkanka domu zdecyduje się zatrzaskać jej drzwi przed nosem. – Alana Hartalla.

Kobieta potrząsa głową.

– Przykro mi. Nie ma tu żadnego Alana Hartalla. Dopiero co się wprowadziliśmy.

– A zna pani kogoś o tym imieniu i nazwisku?

Kobieta wygląda na zirytowaną.

– Nie.

Dziewczynka zaczyna płakać.

– Przepraszam... – Nie kończy nawet zdania. Po prostu zamyka Lornie drzwi przed nosem.

Lorna wzdycha ciężko. To naprawdę strata czasu. Dlaczego w ogóle pomyślała, że Alan Hartall, który przyjaźnił się z Sheilą Watts, nadal będzie tutaj mieszkał?

Poprawia torebkę na ramieniu, wychodzi za bramę i staje przy murku, żeby wprowadzić kolejny adres. Wygląda na to, że jest to gdzieś w pobliżu morza. Jeśli jej się nie poszczęści z Hartallem, będzie przynajmniej mogła przejść się na plażę, może kupić sobie gdzieś kawę i podelektować się późnopopołudniowym słońcem. Dzięki Bogu oba adresy są dość blisko siebie.

Strasznie jej gorąco. Zdejmuje zakiet i wkłada go między ucha torebki. Słońce przypieka jej kark. Spogląda na ekran telefonu. Drugi adres to Wrotham Road. Kiedy rusza w dół ulicą, dostrzega w oddali mglistą kreskę błękitu. Morze. Tak już lepiej, myśli z rosnącą w niej radością. Kolejny adres to przebudowane mieszkanie w dużej wiktoriańskiej kamienicy. Naciska dzwonek domofonu mieszkania C i czeka, modląc się, aby udało jej się zdobyć jakąś informację.

Niestety, nikt się nie odzywa, nawet po trzykrotnym zadzwonieniu. Rozczarowanie jest bolesne. I co ma teraz zrobić? Włożyć liścik w drzwi z nadzieją, że Alan Hartall nadal tutaj mieszka? Z nadzieją, że notka nie zostanie znaleziona i wyrzucona przez mieszkańca któregoś z pozostałych mieszkań?

Grzebie w torebce, szukając kartki i długopisu, kiedy nagle słyszy trzaski dochodzące z głośnika telekomu i męski głos:

– Halo?

Czuje uderzenie adrenaliny.

– Halo! Czy to pan Alan Hartall?

– Tak. – Głos jest chrapliwy. Starczy. – Kto mówi?

Nie może w to uwierzyć. Czy to możliwe, że znalazła *tego* Alana Hartalla?

– Mam na imię Lorna. Mam nadzieję, że nie będzie miał mi pan za złe, że zjawiłam się tutaj znienacka, ale próbuję odnaleźć Alana Hartalla, który w latach siedemdziesiątych znał Sheilę Watts.

– Aha – odpowiada bezosobowy głos. – Czy pani jest z policji?

– Nie, nie, nic podobnego. Ja... po prostu chodzi o osobę, którą najprawdopodobniej znała również moja mama. Czy wie pan coś o Sheili Watts?

Następuje przerwa, kiedy Lorna słyszy tylko wyładowania elektrostatyczne w głośniku. Zastanawia się, czy jej rozmówca w ogóle ją usłyszał.

– Halo? – mówi jeszcze raz. Nie dostaje odpowiedzi. Czy powiedziała coś niewłaściwego? Może on również ma początki demencji? Może nie dosłyszy albo...

Jej myśli przerywa gwałtowne otworzenie się drzwi wejściowych. Za progiem staje mężczyzna po siedemdziesiątce, z gęstą czupryną siwych sztywnych włosów. W ręku trzyma laskę, ale wygląda dość żwawo, w dzinsach i podkoszulku.

Ma orzechowe oczy, duży nos i krzaczaste brwi przetykane srebrem.

– Znała pani Sheilę Watts? – pyta.

To on. To musi być on, myśli Lorna.

– Tak! To znaczy nie... niezupełnie. Moja mama ją znała. Tak sędzę. Znalazłam w jej rzeczach wycinek z gazety, z artykułem na temat Sheili.

– Tak, to była smutna sprawa. Wydawała się miłą dziewczyną. Nie to, że mogę pani dużo o niej opowiedzieć. Nie znałem jej zbyt dobrze.

Lorna waha się, zastanawiając się, w jaki sposób najlepiej zadać kolejne pytanie.

– Wie pan, to dość długa historia, ale szukam również innej znajomej mojej mamy. Niejakiej Daphne Hartall. Zastanawiałam się, czy nie jest jakoś z panem spokrewniona.

Mężczyzna wygląda na zaskoczonego. Jego krzaczaste brwi co i rusz podjeżdżają w górę.

– Daphne Hartall to moja siostra.

– Daphne jest pana siostrą? – Wiedziała! Wiedziała, że to nie może być zbieg okoliczności. Hartall nie jest popularnym nazwiskiem.

– Dlaczego pyta pani o Daphne? – W oczach starszego mężczyzny widać ból na wzmiankę tego imienia.

Lorna przestępuje z nogi na nogę. Jak ma to zacząć wyjaśniać?

– Pana siostra była lokatorką mojej mamy w 1980 roku i myślę, że obie znały Sheilę Watts. Pomyślałam, że może mama mieszkała przez jakiś czas również i tutaj, w Broadstairs. Czy zna pan może Rose Grey?

Alan Hartall potrząsa głową, wyraźnie zdezorientowany. Lorna nie ma pojęcia, czy to, co mówi, ma dla niego jakikolwiek sens.

– No cóż, w każdym razie chciałam porozmawiać z Daphne, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o mamie. Ona ma demencję, rozumie pan i...

Alan chrząka.



– Zaraz, chwileczkę – mówi, marszcząc czoło. – Powiada pani, że pani mama znała Daphne w 1980 roku?

– Tak. Mieszkały razem. W Wiltshire.

Mężczyzna cmoka ze zniecierpliwieniem.

– Nie, nie. Coś tutaj jest bardzo nie w porządku. Daphne urodziła się i wychowała w Broadstairs. Nigdy stąd nie wyjechała i... – oczy mu wilgotnieją – umarła. W wieku trzydziestu dwóch lat, na raka. W 1971 roku.

## Saffy

Wchodzę do domu roztrzęsiona po rozmowie z prywatnym detektywem. Dla kogo on pracuje i jakiego rodzaju informacje jego zdaniem posiada babcia? Zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego z Sheilą. Od razu jednak odsuwam tę myśl. Prywatny detektyw pojawił się tutaj dopiero po znalezieniu szkieletów, więc musi to mieć coś wspólnego z tą sprawą. Tylko co? Czy babcia wie więcej, niż jest w stanie nam przekazać?

Idę do kuchni, żeby włączyć czajnik, i irytuję się, widząc, że mama przestawiła go na drugą stronę mikrofalówki. Umieszczam go w zwykłym miejscu. Snowy obgryza zabawkę u moich stóp.

Pukanie do drzwi sprawia, że podskakuję, a potem zastygam.

O Boże, to on; prywatny detektyw. Poszedł za mną do domu. Czy wie, że jestem sama? Czy planuje włamać się tutaj i zmusić mnie do przeszukania domu? Moja wyobraźnia szaleje i muszę włożyć sporo wysiłku, żeby się uspokoić. Snowy zrywa się i biegnie do przedpokoju, szczekając. Ja przekradam się do okna w dużym pokoju i wyglądam na zewnątrz, usiłując zobaczyć, kto to taki. Może to tylko reporter, myślę. Po raz pierwszy mam nadzieję, że tak właśnie jest. Przed domem, obok mojego mini stoi zaparkowany nieznajomy samochód – duży niebieski sedan. Czy to wóz prywatnego detektywa? Jeśli będzie usiłował tu wejść, zadzwonię po policję. Ale nie, zaraz, przed drzwiami widzę dwóch mężczyzn. Rozpoznaję detektywów, z którymi rozmawiałam poprzedniego dnia.

Z ulgą podchodzę do drzwi i otwieram je na oścież. Pewnie mają dla mnie jakieś nowiny, inaczej po co mieliby się fatygować osobiście zamiast po prostu zadzwonić? Zasycha mi w gardle.

– Witaj, Saffron – zaczyna starszy z nich, sierżant Barnes, wyciągając przed siebie legitymację służbową, całkiem niepotrzebnie. – Możemy wejść?

– Naturalnie. – Odsuwam się na bok. Prowadzę ich do dużego pokoju i oferuję coś do picia, za co obaj panowie uprzejmie dziękują.

Sierżant Barnes siada na sofie, a posterunkowy Worthing przysiada na brzegu fotela. Sprawiają wrażenie gigantów w tym niewielkim pokoju, ale natychmiast czuję się bezpieczniej w ich obecności. Na kilka chwil zapada cisza, przerywana tylko ćwierkaniem ptaków.

Siadam po przeciwnej stronie sofy, a sierżant Barnes odwraca się w moim kierunku. Na jego ramieniu dostrzegam tatuaż w postaci sieci pajęczej. Detektyw zauważa, że się mu przyglądam, i obciąga rękaw koszuli.

– Czy pani Cutler jest w domu?

– Hm, nie. Mama... jest dziś w Londynie. – Skoro są tutaj, mogę ich zapytać o nowiny w sprawie Harrisona Turnera, o którym wspomniała Brenda.

Na twarzach policjantów pojawia się niepokój.

– Obawiam się, że mamy niedobre wiadomości.

Kiwam głową, szykując się na najgorsze.

– Okej.

– Wiemy, do kogo należał szkielet mężczyzny zakopanego w ogrodzie.

Nagle zasycha mi w ustach.

– Rozumiem – mówię, zastanawiając się, dlaczego jest to zła wiadomość. No, chyba że go znam. Ale to przecież jest niemożliwe. A potem myślę o babci i czuję, że przewraca mi się w żołądku.

Sierżant Barnes sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki po swój mały czarny notesik i przewraca kilka kartek.

– Czy nazwisko Neil Lewisham coś pani mówi?

Potrząsam głową.

– Nigdy o nim nie słyszałam. – *Przejdźcie już do konkretów.*

– Cóż, jak zapewne potrafi sobie pani wyobrazić, identyfikacja obu ciał była dość trudnym zadaniem, zważywszy na to, że śmierć nastąpiła dawno temu. Przejrzeliśmy jednak listę ludzi, których zaginięcie zgłoszono w latach 1975–1990, ze szczególnym uwzględnieniem południowo-zachodniej Anglii oraz w przedziale wieku 30–45 lat. Niejaki Neil Lewisham, trzydziestodziewięcioletek, zaginął w kwietniu 1980 roku. Zaginięcie zgłosiła jego żona. Chociaż pochodził z Surrey, to zainteresował nas fakt, że jego żona w oświadczeniu napisała, że zamierzał odwiedzić kogoś w okolicach Chippenham, zanim zniknął bez śladu. Oczywiście odbyło się dochodzenie, jednak utknęło w ślepej uliczce. Niestety, żona pana Lewishama zmarła, więc rozmawialiśmy z jego synem. Zgodził się na test DNA, który wyszedł pozytywny.

Czuję się, jakby ktoś nagle wycisnął z moich płuc całe powietrze.

– Czyli chce pan powiedzieć, że ten człowiek umarł w tym domu... kiedy moja babcia nadal tu mieszkała?

– Na to niestety wygląda. Ostatnim razem widziano go na stacji kolejowej w Chippenham siódmego kwietnia 1980 roku. Od tamtej pory nikt go nie widział. Nie próbował również korzystać ze swojego konta bankowego. Możemy więc założyć, że zmarł siódmego kwietnia lub w okolicach tej daty.

– Jest pan absolutnie pewny, że to ten człowiek? DNA... to znaczy... – Marszczę czoło. – Jak? – Przecież żywa tkanka do tej pory musiała się już całkiem rozłożyć.

– Potrafimy wyekstrahować DNA z kości i zębów. DNA jego syna pasuje. To zdecydowanie on.

Czuję, że ogarniają mnie mdłości.

– Ja... ja nie mogę w to uwierzyć.

Detektyw Barnes poprawia się na sofie.

– Przykro mi. – Spogląda mi szczerze w oczy, a potem odwraca notes do góry nogami i stuka długopisem w otwartą stronicę. – Nadal usiłujemy zidentyfikować drugie z ciał. Jak do tej pory możemy jedynie przejrzeć listę kobiet, które zaginęły mniej więcej w tym okresie i szukać ewentualnych związków z Neilem Lewishamem. Dzięki temu, że mamy dzień śmierci, możemy zawęzić okres poszukiwań. Najprawdopodobniej trochę to potrwa, ale nad sprawą pracuje świetna ekipa. Dodatkowo nasi funkcjonariusze rozmawiają z mieszkańcami Beggars Nook, pytają, czy mieszkali tutaj w tamtym czasie i czy cokolwiek pamiętają. Mamy też ludzi sprawdzających historię związaną z tym domem, aby przekonać się, czy ktoś przypadkiem nie zgłaszał zakłócenia porządku lub czegokolwiek innego. Pracujemy również nad wiktymologią.

– Wiktyologia?

– Tak, w kontekście Neila Lewishama. Innymi słowy, gromadzimy wszelkie informacje na temat ofiary, żeby sprawdzić, czy istniał jakiś powód, żeby go zabić. Chcę tylko panią zapewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy.

Przełykam wzbierające nudności.

– A co to oznacza... dla mojej babci?

Barnes strzepuje niewidoczny pyłek ze spodni, żeby uniknąć spojrzenia jej w oczy.

– Będziemy musieli porozmawiać z nią jeszcze raz, sprawdzić, co pamięta. Próbujemy również zlokalizować miejsce pobytu lokatorek pani babci z tamtego

okresu. Kay Groves i oczywiście Daphne Hartall.

Nie mówię im, że moja mama jest właśnie w Kencie, próbując znaleźć Daphne na własną rękę.

– A co z osobami, o których wspominała babcia? O Victorze i Jean?

– No tak, to dużo trudniejsze bez nazwisk.

Spoglądam na młodszego detektywa, który zapisuje coś w swoim notesie. Unosi głowę, czując na sobie moje spojrzenie, i uśmiecha się ze współczuciem.

– Jest jeszcze coś – zaczynam, skupiając uwagę z powrotem na Barnesie. Wyciągam wizytówkę, którą dał mi prywatny detektyw, i wręczam ja mu. – Dzisiaj podczas spaceru w lesie zaczepił mnie mężczyzna. – Streszczam naszą rozmowę. – Pod koniec wydawał się nieco wzburzony, jakby naprawdę bardzo zależało mu na informacji, cokolwiek to może być. Powiedział, że nazywa się Davies.

Sierżant Barnes przygląda się wizytówce ze ściągniętymi brwiami.

– Zajmę się tym – mówi, zapisując sobie numer telefonu Daviesa w notatniku, i oddaje mi wizytówkę. – Jeżeli znajdzie pani to, czego szuka ten człowiek, proszę mnie powiadomić. Odradzam kontaktowanie się z nim.

– W porządku. – Kiwam głową i nagle czuję się tak, jakbym uniosła się nad swoim własnym ciałem i obserwowała całą tę konwersację z góry. Dwa miesiące temu spanikowałabym na myśl o rozmowie z policją, bez Toma u mojego boku.

– Musimy jak najszybciej porozmawiać z Rose. – Barnes wstaje, a Worthing razem z nim. – Zadzwońię do domu opieki, żeby zaaranżować spotkanie i powiadomię panią.

Odprowadzam ich do drzwi. Obserwując, jak odjeżdżają, zdaję sobie nagle sprawę, że nie zapytałam ich w ogóle o Harrisona Turnera. Teraz zresztą wydaje się mi to bezcelowe.

*Babcia mieszkała tutaj, kiedy Neil Lewisham został zamordowany.*

Słyszę nagle jej słowa w głowie. *Jean uderzyła ją w głowę.* Czyżby jej paplanina nie była tak niewinna, jak mi się na początku wydawało? Czy jej komentarze dotyczące Jean, Victora i Sheili były sposobem powiedzenia mi, co tak naprawdę wydarzyło się czterdzieści lat temu?

## Lorna

– Umarła? – Lorna zatacza się i przytrzymuje ściany. – W 1971 roku? Ale... ale to nie może być prawda.

– Chyba wiem, kiedy zmarła moja własna siostra – odpowiada zgryźliwie Alan.

– Oczywiście. Nie miałam na myśli... przepraszam... Ja po prostu nie rozumiem.

Mężczyzna wpatruje się w nią ze ściągniętymi brwiami. Jego twarz łagodnieje.

– Wygląda pani trochę blado. Może chce pani wejść i wypić szklankę wody?

Lorna jest spragniona, ale przypomina sobie słowa Euana. *Nawet starzy ludzie potrafią być niebezpieczni.*

– Hmm... nie, dziękuję, naprawdę nie trzeba. Ja... czy jest tutaj gdzieś w pobliżu kawiarnia?

– Tam, przy plaży. – Wskazuje w kierunku morza. – Naprawdę świetne miejsce.

– Dziękuję.

Mężczyzna przygląda się jej.

– Niech pani powtórzy, jak się nazywa.

– Lorna. Lorna Cutler.

– Naprawdę nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi – mówi nieco łagodniej.

Lorna upewnia się, że jej torba wisi bezpiecznie na jej barku.

– Ja też nie. – Wzdycha. – Musi chodzić o inną Daphne Hartall... ale ten związek z Sheilą...

Alan Hartall milknie, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Może chciałaby pani towarzysza do kawy? Moglibyśmy kupić sobie coś do picia, a pani opowie mi wszystko o tej sprawie. Znałem Sheilę Watts, więc może będę mógł pomóc.

Lorna rozjaśnia się. To chyba nie aż tak nieodpowiedzialne, wybrać się z nim na kawę, prawda? W środku dnia i w publicznym miejscu?

– Byłoby mi bardzo miło.

– W takim razie chodźmy – odpowiada z błyskiem w oku, a Lorna uśmiecha się do niego w przyływie nagłej wdzięczności. Hartall zamyka za sobą drzwi i oboje ruszają w kierunku głównej arterii miasta. To, to rozumiem, myśli Lorna, kiedy przechodzą przez ulicę i kierują się ku pięknym ogrodom, obok sceny z grającym na niej zespołem, w stronę brzegu morza. Wokół spacerują ludzie w szortach i bluzkach z krótkim rękawem, jedzący lody i cieszący się cudowną majową pogodą. Alan mówi coś o swojej lasce do chodzenia i biodrze, które nadaje się do wymiany. Mimo to jest zaskakująco sprawny i idzie szybciej niż ona. Musi co chwilę podbiegać, żeby za nim nadążyć w swoich sandałkach na obcasach.

Prowadzi Lornę do modnej kafejki z muzyką i tarasem wyglądającym na morze. Ludzie kręcą się wokół: niektórzy piją piwo, inni cappuccino w wielkich kolorowych filiżankach ze spodeczkami od kompletu.

– Czego się pan napije? Ja stawiam – mówi Lorna, machnięciem dłoni zbywając jego ofertę, że zapłaci. – Bardzo mi miło, że zgodził się pan ze mną porozmawiać.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się z towarzystwa. – Uśmiecha się szeroko. W lewym policzku robi się mu dołeczek. Mówi, że napiłby się piwa, a Lorna postanawia, że zamówi sobie wino. W końcu przecież nie musi prowadzić wozu. Później może sobie kupić kawę na wynos i wypić ją w pociągu.

Alan znajduje stolik w rogu tarasu wychodzącego na morze i rząd pastelowych kabin plażowych. Lorna czuje, że mogłaby mieszkać w takim miejscu, ze słońcem ogrzewającym jej plecy, muzyką i zgiełkiem miasta. Nagle czuje tęsknotę za San Sebastian.

Alan dziękuje jej za piwo i upija spory łyk. Trunek zostawia mu nad górną wargą wąsy z piany.

– Ach, to mi dobrze zrobiło.

Lorna śmieje się. Wino, słońce i muzyka sprawiły, że poczuła lekki zawrót głowy i przestała być aż tak bardzo rozczarowana z powodu wiedzy, że Daphne umarła, zanim mogła się stać lokatorką jej mamy.

– Powiedz mi, Lorno, co ta cała sprawa ma wspólnego z Sheilą Watts.

Lorna opowiada mu o szczątkach wykopanych w ogrodzie, o artykule dotyczącym Sheili i o lokatorce jej mamy, która również nazywała się Daphne

Hartall. Wyciąga wycinek z gazety i wręcza go Alanowi.

– A potem zobaczyłam to, twoją wypowiedź zacytowaną w artykule.

Alan przygląda się kartce i wręcza ją z powrotem Lornie.

– Nie mam swoich okularów do czytania. Może mogłabyś mi to przeczytać?

Lorna spełnia jego prośbę. Czyta powoli i wyraźnie, bo często ludzie powtarzają jej, że strasznie szybko mówi. Kiedy dociera do końca artykułu, widzi, że Alan spogląda w stronę morza, jakby na poły spodziewał się, że dostrzeże na plaży Sheilę.

– Była dziwna – mówi, nadal wpatrzony w dal. – Trochę samotnica, ale zaprzyjaźniliśmy się. – Spogląda na Lornę. – Mieszkała w apartamencie piętro niżej, pode mną. Ale nie tam, gdzie teraz mieszkam. Na Stone Road.

Lorna nie ma pojęcia, gdzie to jest, ale kiwa potakująco głową.

– Ale nie znałaś Rose Grey? – upewnia się.

Alan potrząsa głową.

– Nie, zdecydowanie nie.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego moja mama zachowała artykuł o Sheili Watts, jeżeli jej nie znała... albo jeśli nie znała jej ta lokatorka.

W odpowiedzi Alan siorbie piwo.

Na plaży Lorna dostrzega nastolatka, który bawi się na brzegu morza z brązowym psiakiem cockapoo. Przenosi wzrok z powrotem na Alana.

– Co się stało tej nocy, której umarła Sheila? Pamiętasz?

– To był sylwester. Poszliśmy całą grupką znajomych do miejscowego pubu, a potem postanowiliśmy przywitać nowy rok na plaży. Sheila nie znała żadnego z moich przyjaciół, ale przyłączyła się do nas. Jak już mówiłem, tak naprawdę trzymała się zawsze na uboczu. Mieszkała w Broadstairs zaledwie od kilku lat. Pochodziła chyba z Londynu. Powiedziała, że sporo podróżowała.

– Moja mama była z Londynu. Może znały się, zanim Sheila przyjechała tutaj.

– Niesiony znad morza wiatr sprawia, że Lorna szczerzej otula się żakietem. Siedzą teraz częściowo w cieniu.

– Może. W każdym razie tamtej nocy Sheila była szczególnie cicha. W pubie prawie się nie odzywała. Siedziała tylko ponuro w kącie i piła. Nie zachowywała się jednak jak ktoś pijany. Kilka razy spytałem ją, co się dzieje. Jak mówiłem, nie byliśmy sobie bliscy, ale trochę ją poznałem przez te dwa lata, podczas których byliśmy sąsiadami. Czasami przychodziła do mnie na herbatę i sporo rozmawialiśmy, na poważne tematy. O śmierci mojej siostry, o tym, że Sheila również straciła kogoś bliskiego. Nie powiedziała kogo. Tamtej nocy



wydawała się roztrzęsiona, na skraju załamania. Szczerze mówiąc, zawsze zastanawiałem się, czy nie jest byłą ćpunką. Była bardzo chuda i paranoiczna.

– Paranoiczna? W związku z czym?

– Była przekonana, że ktoś ją śledzi. Często zastanawiałem się, czy nie jest winna pieniędzy swojemu dilerowi albo coś w tym stylu. – Śmieje się głębokim, chropowatym śmiechem, trochę przypominającym gruźliczy kaszel. – Pewnie próbuję się w tym wszystkim dopatrzeć zbyt wiele, ale Sheila była ostrożna i nieufna. Tak. To pasuje.

– No dobrze, to co się stało tamtej nocy, kiedy dotarliście na plażę?

– Sheila poszła gdzieś sama. Spytałem, czy chce może towarzystwa, ale zbyła mnie. Powiedziała, że czuje się sentymentalnie, jak zawsze przy końcu roku, i że chciałaby zostać sama. Zostałem więc z kolegami, siedzieliśmy i piliśmy, a potem zauważyłem, że Sheila się rozbiera i wchodzi do morza. Szaleństwo, moim osobistym zdaniem. – Wzdryga się. – Morze w grudniu jest lodowate.

– Wyobrażam sobie. – Lorna uśmiecha się szeroko.

– Siedziałem dalej z kumplami, opróżniając kolejne puszki piwa. Wszyscy się ubzdryngoliliśmy i zapomnieliśmy o Sheili. Dopiero później, kiedy zaczęliśmy wracać do domu, zdaliśmy sobie sprawę, że jej z nami nie ma. Mój kolega Phil i ja wróciliśmy na plażę, gdzie zostawiła swoje ubrania, ale nie mogliśmy jej dostrzec w morzu. Zupełnie jakby pochłonęła ją woda. – Krzywi się.

– I wtedy właśnie wszcząłeś alarm?

– Tak. Stało się jasne, że utonęła. Może wypięła więcej, niż przypuszczaliśmy. Czuliśmy się okropnie.

– To straszne. – Pomimo ciepłego dnia Lorna czuje gęsią skórę na ramionach. Chociaż bardzo kocha morze, zawsze ją trochę przerażało. Jest trochę jak nieokiełznana bestia – nigdy nie wiesz, w jakim jest nastroju. Wymaga szacunku. – Myślisz, że to był wypadek czy może samobójstwo?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odpowiada. – To było naprawdę smutne. Nikt nie przyszedł, żeby posprzątać w jej mieszkaniu. Nie sędzę, żeby miała jakąś rodzinę. W końcu sam to zrobiłem. Nie było tego dużo, tylko trochę ciuchów i jedzenie w lodówce i spiżarni. Mieszkanie było w pełni umeblowane, nic tam nie należało do niej, żadnych przedmiotów osobistych, żadnych rupieci, żadnego bałaganu. Po prostu nic, co mogłoby powiedzieć, jaką osobą była Sheila Watts.

– A co z torebką albo z kluczami?

– Klucze miała w spodniach zostawionych na plaży. Nie było żadnej torebki ani portmonetki. Policja sugerowała, że być może ktoś je ukradł, podczas gdy

ona była w wodzie. Fakt, że na plaży było trochę osób.

W głowie Lorny zaczyna się formować pomysł, niczym wywoływana fotografia.

– Sądysz, że mogła sfignować swoją śmierć?

Alan odchyła się na oparcie, otwierając usta z niedowierzaniem.

– To chyba za daleko posunięty wniosek.

– Po prostu... – Lorna próbuje poukładać sobie w głowie wszystkie fragmenty układanki w coś, co ma sens. – To dziwne, że moja mama zachowała ten wycinek z gazety o Sheili i że jej lokatorka nazywała się Daphne Hartall. W końcu nie jest to popularne nazwisko, prawda? To zbyt duży zbieg okoliczności. Musi istnieć jakiś związek.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ja... może jestem bardzo daleko od prawdy, ale... – jej serce trzepocze z ekscytacji – czy nie jest możliwe, że Daphne Hartall, którą znała moja mama, i Sheila Watts, którą znasz ty, to jedna i ta sama osoba?

– Sądysz, że Sheila upozorowała swoją śmierć i ukradła tożsamość mojej siostrze? – Wydaje się sceptyczny.

– Ludzie robią takie rzeczy. Czy Sheila wydawała się choćby trochę zainteresowana twoją siostrą?

– Cóż... – Pociera podbródek. – Tak, przypuszczam, że tak, skoro już o tym wspomniałaś. Poza tym była jedna sprawa, która nie daje mi spokoju. Po śmierci Sheili porządkowałem rzeczy Daphne, które trzymałem w małym pudełku na półce z książkami. Nie mogłem znaleźć jej aktu urodzenia, ale może to dlatego, że jestem bałaganiarzem...

– Sądysz, że Sheila mogła zabrać ten dokument?

Wygląda na zmartwionego.

– Może. W każdym razie miała taką sposobność.

– I był to doskonały sposób na zniknięcie, jeśli ktoś usiłował ją odnaleźć.

Im dłużej Lorna zastanawia się nad tym, tym bardziej jest przekonana, że Sheila Watts i Daphne Hartall to jedna i ta sama osoba.

**Rose***Luty 1980 roku*

W miarę jak dni ciągnęły się w nieskończoność, byłam coraz bardziej zaintrygowana Daphne. Była silna, ale widziałam w niej jednocześnie wrażliwość i delikatność, która rozbudzała we mnie uczucia matczyne, mimo że byłyśmy w tym samym wieku. Chciałam ją chronić tak jak ciebie: tę szczupłą, atrakcyjną kobietę, która – teraz już byłam pewna – była w przeszłości terroryzowana przez mężczyznę, podobnie jak ja.

Po naszym wieczorze w Pod Jeleniem i Bazantem poprzedniego tygodnia – i po jej opowieści o tym, co zrobił Joel – wiedziałam, że powinnyśmy się trzymać razem. Wyglądało na to, że mężczyznom nie można było ufać. Nawet Joel, facet, na którym według mnie można było polegać, okazał się drapieżnikiem czekającym na sposobność, żeby zaatakować. Większość wieczorów spędzałyśmy na długich rozmowach o prawach kobiet.

– Dlaczego mężczyźni sądzą, że klepanie kobiet po tyłku i nazywanie ich „laleczką” jest w porządku? – spytała, obejmując kolana. Rękawy grubego luźnego swetra naciągnęła na dłonie. – Jest przecież 1980 rok, a nie 1950.

Miała absolutną rację. Była taka nowoczesna. Zupełnie inna niż ja: ja mieszkałam tutaj, w tej dziurze, przez ostatnie trzy lata.

Poza tym łatwo było z nią współgzystować. Wydawała się wyczuwać, kiedy chcę być tylko z tobą, i taktownie zostawała w swoim pokoju albo udawała się na spacer po wiosce. Udało jej się zdobyć używaną maszynę do szycia – nieporęcznego starego singera ze stopką – którą ustawiła w małym pokoju na dole. Często słyszałam terkotanie tej maszyny, kiedy wyszywała wzory albo naprawiała swoje dzinsy, przyszywając do nich łaty. Chciała uszyć ci ładną letnią sukienkę i pewnego dnia wróciła do domu z belą żółtego materiału z nadrukiem. Byłaś zachwycona perspektywą. Daphne była zdolna, samowystarczalna ze swoimi praktycznymi umiejętnościami i podziwiałam ją za to.

Zima była naprawdę chłodna; luty gorszy od stycznia. Trawę pokrywał drobny lód, a lasy spowijała mgła, tak że były ledwie widoczne z okna twojej sypialni. Wytrącało mnie to z równowagi, martwiłam się bowiem, że ktoś może obserwować dom. Daphne chyba czuła się podobnie. Pewnego wieczoru, kiedy leżałaś już w łóżku, a my stałyśmy w kuchni, paląc, skulone przy kuchence w poszukiwaniu ciepła, powiedziała:

– To dziwne.

Jej wzrok powędrował w stronę okna. Wypuściła z ust kłęb dymu. Tego dnia była w pracy. Nie zamierzała rezygnować z niej tylko dlatego, że Joel się do niej przystawiał.

– Pomyśl tylko, to miejsce mogłoby być naszym azylem lub zgubą.

Jej słowa zmroziły mnie.

– Co masz przez to na myśli?

Spojrzała na mnie intensywnie, wytrącając mnie nieco z równowagi.

– Myślimy, że jesteśmy tutaj bezpieczne, schowane przed światem i niebezpieczeństwem, ale ono może wcale nie zniknęło, tylko jest tutaj, uwięzione wraz z nami w tym miejscu.

Nigdy jej o tym nie powiedziałam, że się ukrywamy, ale Daphne zdawała się to wiedzieć. Wyczuwać. Może dlatego, że sama była w podobnej sytuacji.

– Chodzi o dom? – spytałam zafrapowana i nieco przestraszona. Co ona usiłuje przez to powiedzieć?

– Nie, o tę całą wioskę. Nie możemy przed nią uciec, Rose. Rozumiesz to?

Zgasłam mój niedopałek i objęłam się ramionami w geście ochronnym.

– Nie mów tak – poprosiłam cichym, przestraszonym głosem.

– Te lasy – ciągnęła tym samym dziwnym tonem. – Czy trzymają wszystkich innych z daleka od nas, czy więżą nas tutaj? – Jej oczy zalśniły, a ja widziałam, że jest przestraszona.

– Jesteśmy tutaj bezpieczne – powiedziałam stanowczo. Nie byłam tylko pewna, czy chcę w ten sposób przekonać siebie, czy ją.

Daphne spojrzała na mnie, zaciągając się papierosem. Wpatrywała się we mnie bez słowa przez kilka sekund.

– Wiem, że nie rozmawiałyśmy ze sobą o naszej przeszłości. To dobrze. Nie powinnyśmy. Nasza przyszłość zaczyna się tutaj.

– Dokładnie – odparłam krzepiącym głosem, próbując ją rozchmurzyć. – Poza tym możemy się chronić wzajemnie, prawda? Wspierać się?

Kiwnęła głową, nadal wpatrując mi się prosto w oczy. Potem zdusiła niedopałek papierosa o zlew i podeszła do mnie tam, gdzie stałam, przy tylnym wyjściu. Jej twarz była tak blisko mojej, że przez jedną szaloną chwilę zastanawiałam się, czy nie zamierza przypadkiem mnie pocałować. Ale ona tylko odgarnęła kosmyk włosów z mojej twarzy.

– Dziękuję ci – powiedziała łagodnie. – Ja czuję to samo. Nie zadawaj pytań i nie kłam.

Czułam, że fala gorąca rozlewa się po mojej szyi i twarzy. Potem Daphne cofnęła się, chrząknęła i ruszyła w stronę kuchni.

– Jesteś taka dobra, Rose – powiedziała, stojąc do mnie plecami. Była przygarbiona i widziałam zarys jej kręgosłupa pod swetrem. – Gdybym poznała cię lata temu, wszystko mogłoby być teraz zupełnie inne.

Podeszłam do niej i delikatnie położyłam dłoń na jej ramieniu.

– Przynajmniej się odnalazłyśmy – powiedziałam. – Żaden mężczyzna nie będzie mógł nas więcej skrzywdzić.

Gdyby tylko mogło być to prawdą.

\*

Następnego poranka zaprowadziłam cię do kościoła na zajęcia grupy przedszkolnej. Miałaś na sobie swoją ulubioną żółtą sukienkę oraz różowoczerwoną czapkę z pomponem, którą zrobiłam dla ciebie na drutach. Poranek był dość mroźny, chodniki pokrywał szron i musiałyśmy iść ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć. Niebo było matowe, bez koloru. Już na rynku skinęłam na przywitanie kilku innym rodzicom, trzymającym za ręce swoje pociechy. Kiedy dotarłyśmy do krzyża, musiałaś oczywiście wbiec po schodach i z nich zbiec, jak to zawsze robiłaś. Kiedy dotarłaś na sam ich szczyt, obróciłaś się z furkotem, jakbyś znajdowała się na jakiejś średniowiecznej scenie.

– Gdzie jest Daffy? – spytałaś, kiedy pomagałam ci zejść ze schodów, w obawie, że się poślizgniesz. Miałaś dopiero dwa i pół roku i niektóre słowa nadal wymawiałaś z trudnością. Daffy jak kaczka. Po tym, jak błędnie wymówiłaś imię Daphne, jakos już tak zostało. – Daffy mnie odbierze?

Cieszyłam się, że lubiłaś Daphne, ale nie byłam pewna, czy ufam jej na tyle, aby powierzyć jej odebranie cię z zajęć grupy przedszkolnej. Nie wiedziałyby, na kogo ma uważać, jeśli on by się tu zjawił. Przez ostatnie trzy lata tłumaczyłam sobie regularnie, że to się nie stanie. Nigdy nas nie znajdzie. Skąd miałyby

wiedzieć, gdzie nas szukać? Mimo to nie przestałam się martwić. W końcu był bardzo sprytnym mężczyzną. I bogatym. Z pewnością miał swoje metody, swoich szpiegów. Nie mogłam sobie pozwolić na rozluźnienie. Nigdy nie przestałam oglądać się za siebie.

– Może któregoś innego dnia, kochanie, ale jeszcze nie teraz. Poza tym o tej porze Daphne będzie w pracy.

Posmutniałaś, ale zaraz potem dostrzegłaś swoją nauczycielkę, pannę Tilling, i od razu pobiegłaś do niej, z rozwianymi na wietrze ciemnymi lokami – tak bardzo przypominającymi jego.

Upewniłam się, że panna Tilling zabrała cię do środka i zaprowadziła do klasy, jak zazwyczaj robiłam to ja przed wyjściem. Kiedy byłam pewna, że jesteś bezpieczna, wychodziłam z zakrystii, zahaczając o kawiarnię Melissy, żeby kupić sobie gorącą czekoladę. Melissa była bardzo zainteresowana Daphne i chciała się o niej jak najwięcej dowiedzieć. Pilnowałam się, żeby nie wygadać zbyt dużo. Melissa była bodajże największą plotkarą w Beggars Nook i jeśli Daphne starała się trzymać w cieniu, to byłam jej winna dyskrecję.

Wreszcie Melissa zorientowała się, że nie dowie się niczego interesującego, i znudzona, zajęła się kolejnymi klientami. Wychodząc z kawiarni, wpadłam na Joela.

Joela, który do tej pory był moim wybawicielem. Pokrzepiającą istotą. Pierwszym mężczyzną od bardzo długiego czasu, któremu zaufałam – i który, po naszym pierwszym spotkaniu, zawsze się mną opiekował i pytał, czy czegoś nie potrzebuję. Kiedy rok temu nagle spadł śnieg, Joel zapukał do moich drzwi i zaoferował, że oczyści mój podjazd. To do niego dzwoniłam, kiedy pękła mi rura. Wpuściłam go do mojego życiowego „przedzamcza”. Kiedy jednak wyobraziłam sobie, jak naprzykrza się Daphne i utrudnia jej życie po tym, jak odrzuciła jego względy, czułam dreszcze odrazy przenikające całe moje ciało.

Właśnie miałam przejść koło niego bez słowa, ale zatrzymał mnie.

– Hej, Rose. Nie widziałem cię od dłuższego czasu. Jak się czujesz?

Zauważyłam, że od kiedy Daphne wprowadziła się do mnie, Joel przestał oferować swoją pomoc i w ogóle interesować się moim samopoczuciem. Uznałam, że to z powodu nieczystego sumienia.

– Dobrze – odparłam sucho.

Wyglądał na przybitego. Miał kraciasty szalik, nasunięty na brodę oraz czarny wełniany krótki płaszcz. Czubek nosa poczerwieniał mu z zimna. Pomimo gniewu na niego moje zdradzieckie serce i tym razem stanęło

przeciwko mnie i poczułam przyływ łagodności na wspomnienie tego, jaki miły był dla mnie przez cały ten czas.

– Czy zrobiłem coś złego? – spytał, wyraźnie zafrasowany. Wsunął dłonie w kieszenie płaszcza. – Mam wrażenie, że jesteś na mnie zła.

W głowie rozdźwięczały mi się słowa Daphne, przypominając mi, że był dokładnie taki, jak reszta z nich.

– Daphne powiedziała mi, co zrobiłeś.

– Ja... słucham? – Wyglądał na autentycznie zdezorientowanego. – Przepraszam, ale zupełnie nie rozumiem.

– Powiedziała, że okazywałeś jej... – ściszyłam głos, chociaż staliśmy dobre dziesięć metrów od kawiarni – nieproszoną uwagę.

Roześmiał się.

– Żartujesz sobie, prawda?

– A wygląda na to, że żartuję?

Spoważniał.

– Daphne kłamie. Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego.

– Dlaczego niby Daphne miałyby kłamać?

– Nie wiem. Ja... – Spuścił wzrok i kopnął czubkiem buta w kawałek lodu na chodniku. Jego szyja zaczęła pokrywać się czerwienią. – Ale to nieprawda. – Spojrzał na mnie. – Nie kłamię, Rose. Przysięgam ci.

Zawsze myślałam o nim jako o opiekuńczym starszym bracie. Ale nie. Nie mogłam wierzyć w to, co teraz mówił. Dokładnie to samo zdarzyło się wcześniej. Zaczęło się od czarowania, obietnic, a potem przyszły kłamstwa i kontrola, kulminując się w strachu, zaszczuciu i znęcaniu się.

Znałam Daphne zaledwie od dwóch miesięcy, ale wiedziałam, że nie mogłaby skłamać w takiej sprawie.

– Muszę już iść – udało mi się wydukać. Kiedy zrobiłam pierwszy krok, Joel chwycił mnie za nadgarstek.

– Hej – powiedział cicho. – Nie możemy tego tak zostawić. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Spojrzałam znacząco na jego palce zaciśnięte na moim nadgarstku i Joel puścił mnie. Jego ramię opadło wzdłuż tułowia.

Odeszłam, przekonana, że mam co do niego rację. Że mam rację co do wszystkich mężczyzn.

Miałam niezachwianą pewność, że Daphne by mnie nie okłamała.

Teraz, siedząc tutaj po wszystkim, co się wydarzyło, i pisząc ten list do ciebie, z całego serca żałuję, że nie mogę cofnąć czasu.



## Theo

Wsiadając do samochodu, Theo nie może przestać myśleć o rozmowie z Larrym. Przednia szyba jest cała obsypana kwiatami wiśni, jak konfetti. Włącza wycieraczki, chociaż nie mogą odgarnąć tego, co nazbierało się w zagłębieniu między szybą i maską.

*Młoda kobieta oskarża jego ojca o molestowanie seksualne, a niecały rok później już nie żyje.*

Uruchamia silnik i wprowadza do nawigacji satelitarnej swój adres domowy. Właśnie ma zjechać z krawężnika i włączyć się w ruch, kiedy widzi truchtającego w jego kierunku Larry'ego. Theo opuszcza szybę.

– Przypomniałem sobie jej nazwisko. Tej kobiety, która oskarżyła twojego ojca. To nie była Sandra, tylko Cynthia. Cynthia Parsons. Miała dwadzieścia trzy lata.

Dwadzieścia trzy. Theo nie sądził, że można się poczuć jeszcze gorzej w związku z tą sytuacją.

Dziękuje Larry'emu i macha na pożegnanie, obserwując jego malejącą sylwetkę w lusterku wstecznym. Skręca za róg. Nagle czuje płomienną nienawiść do swojego ojca. Zaciska palce na kierownicy, wyobrażając sobie, że sztuczna skóra pod jego dłońmi jest tak naprawdę żylastą szyją ojca. Potem jednak rozluźnia chwyt. Nie ma w sobie wrodzonej przemocy. Jest cholernie wściekły na ojca, ale wie, że nigdy nie mógłby go skrzywdzić: jeśli to zrobił, nie byłby w niczym lepszy od niego.

*Ta kobieta mogła przecież kłamać.* Idea wpada mu do głowy i chce w nią uwierzyć – naprawdę chce. Ale nie może. Myśli o Cynthii, walczącej o to, aby jej głos został usłyszany w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy mężczyźni tacy jak jego ojciec dzierżyli w swoich rękach całą władzę. Jeśli postanowi jej nie uwierzyć, nie będzie się niczym od nich różnił. Przez jedną szaloną chwilę odczuwa ulgę, że mamy nie ma już na tym świecie i nie może usłyszeć o tym

wszystkim. Co by zrobiła, gdyby się dowiedziała? Czy miałyby na tyle siły, żeby odejść od ojca?

Z radia płyną dźwięki utworu Arctic Monkeys *R U Mine?*. Theo podkreśla głośność, usiłując zagłuszyć swoje myśli. Co powinien teraz zrobić? Nie ma sensu doprowadzać do konfrontacji z ojcem w tej sprawie. Przecież nie przyzna się nagle. Po prostu znów się rozzłości, a potem zrobi się defensywny i okropny.

A potem przychodzi mu do głowy kolejna myśl.

Jeżeli jego ojciec jest zdolny do napastowania seksualnego, jakie jeszcze inne potworne rzeczy ma na sumieniu?

\*

Jen siedzi w łóżku i ogląda *Przyjaciół*. Theo wstąpił do sklepu na stacji benzynowej, żeby kupić jej gigantyczną paczkę maltesersów, tak jak obiecał. Jej oczy rozjaśniają się, kiedy Theo wchodzi do sypialni, machając czekoladkami zachęcająco, ze sztucznym promiennym uśmiechem przyklejonym do zaniepokojonej twarzy.

– Doskonale. – Unosi się na kolanach, które zapadają się w miękkim materacu. Wyciąga ręce i zarzuca je Theo na szyję. Theo wdrapuje się na łóżko i kładzie obok niej, w ubraniu.

– Jak się czujesz? – pyta, kiedy Jen uклада się z powrotem wygodnie, otwiera paczkę słodyczy i wpycha sobie całą ich garść do buzi.

– Teraz już lepiej – mamrocze z ustami pełnymi maltesersów. Oferuje mu jednego, ale Theo uprzejmie odmawia.

Jen zatrzymuje program telewizyjny, chociaż jest to odcinek, który widzieli oboje już naście razy i jeden z jego ulubionych: ten, w którym dziewczyny tracą mieszkanie na korzyść chłopaków z powodu zakładu. Jen prawdopodobnie potrafiłaby wyrecytować wszystkie dialogi z pamięci. Nazywa to „telewizją dla dodania otuchy” i ma rację. Nie umyka mu fakt, że jest to również odcinek, w którym Phoebe dowiaduje się, że jest w ciąży.

– No więc? – Jen przetyka czekoladki. – Jak ci poszło? – W jej oczach dostrzega niepokój. – Wydajesz się smutny.

Theo wzrusza ramionami.

– No trudno, nie jestem zbyt dobrym aktorem.

– Co powiedział Larry?

– Dostarczył mi kolejnych dowodów na to, że mój ojciec jest kompletnym pieprzonym gnojkiem. Nie żebym potrzebował potwierdzenia.

– Och, kochanie.

Zerka na swoją piękną żonę i nagle nie chce jej o niczym mówić. Nie chce, żeby Jen patrzyła na niego i myślała o tym, że Theo jest spokrewniony z człowiekiem, który zdolny jest do czegoś tak obrzydliwego. Nie chce zniszczyć tego, co mają – niewinnego, nieskomplikowanego życia w ich wiktoriańskim domu, ich snów o dzieciach i psach. Przypomina sobie fotografie na ścianie korytarza w domu Larry’ego Knighta. Myśli o przyszłości, której tak desperacko pragnie dla siebie, Jen i dla ich nienarodzonych dzieci, oraz o upiornym duchu swojego ojca grożącego skażeniem tego wszystkiego.

Nie może jednak trzymać tego przed nią w tajemnicy. Nie będzie tego rodzaju mężczyzną, który ukrywa cokolwiek przed swoją żoną. Nie jest swoim ojcem.

Opowiada jej wszystko.

\*

Później, kiedy już poprzytulali się do siebie, zżarli wszystkie czekoladki i obiecali sobie, że nie pozwolą, aby grzechy jego ojca zniszczyły im życie, Theo wpada na pomysł.

– Myślę, że powinniśmy pojechać do Wiltshire i poznać ludzi, którzy mieszkają w tym domu. Mój tata jest zainteresowany jednym z nich nie bez powodu. Muszę się dowiedzieć dlaczego.

– Jesteś pewien? – pyta Jen. – Może lepiej nie odgrzebywać przeszłości.

Theo przerzuca nogi nad brzegiem łóżka i siada zwrócony plecami do niej.

– Ja... po prostu nie mogę.

Czuje jej dłoń na swoim ramieniu.

– Chodzi o twoją mamę?

Theo odwraca się i spogląda na nią.

– Ciągle myślę o dniu jej śmierci.

– A co konkretnie?

– To był wypadek. Tak przynajmniej wszyscy twierdzili. Ale co, jeśli on coś jej zrobił?

– Jak na przykład co? Zepchnął ją?

– Mnie kiedyś zepchnął ze schodów.

– Och, kochanie...

– Nie mówię ci tego po to, żebyś się nade mną uzalała.

Jen odgarnia rude włosy z twarzy.

– Wiem, że nie. Powiedziałeś, że twój ojciec był w pracy, kiedy to się stało.

– Po prostu nie mogę przestać myśleć o tym, że mógł ją zepchnąć, a potem pojechać do pracy, jakby nigdy nic się nie stało. Wiesz, jak bardzo potrafi się czasem rozzłościć. Może nie chciał. A potem udał, że ją znalazł, kiedy przyjechał do domu. Mama... – Załamuje mu się głos i przerywa, zażenowany. Nie płakał od śmierci mamy. – Nie żyła od wielu godzin, kiedy przyjechał do domu. Tak powiedziała policja. Ale jeżeli był zdolny do napaści na kobietę, kiedy miał ją badać, jeżeli był zdolny do zepchnięcia dziecka ze schodów i bicia mojej mamy... – Myśli o samobójstwie Cynthii Parsons. Larry powiedział mu, że zeskoczyła z dachu piętrowego parkingu. Nie ma żadnych wątpliwości, że jego ojciec jest odpowiedzialny za jej śmierć, nawet jeśli nie zrzucił jej fizycznie.

Jen gładzi go po plecach.

– Nie możesz myśleć w ten sposób – mówi łagodnie. – Sam powiedziałeś, że śmierć twojej mamy go zniszczyła. Wiem, że twój ojciec ma... charakterek, ale miał też bardzo stresującą pracę i niestety wyładowywał swoje frustracje na tobie i twojej mamie. Nie mam jednak żadnych wątpliwości, że zawsze kochał was oboje.

Theo kiwa głową. Czuje gulę w gardle. Pamięta szok i rozpacz na twarzy ojca tamtego dnia.

– Wieści o Cynthii zmieniły... wszystko.

Milkną. Jen nadal gładzi go po plecach.

– Chodźmy – oświadcza nagle. – Pojedźmy do Wiltshire i odnajdźmy tych ludzi. A jeśli nie będą w stanie rzucić żadnego światła na sprawę, to trudno. Zawsze będzie miło spędzić weekend na wyjeździe. Myślę, że oboje tego potrzebujemy, nie sądzisz?

## Saffy

Po wyjściu detektywów dzwonię do mamy, ale od razu włącza się poczta głosowa. Nie zostawiam wiadomości. Obiecała, że zadzwoni do mnie, kiedy będzie w drodze do domu, a nie ma jeszcze piątej po południu. Zastanawiam się, czy jej lunch z tatą był produktywny i czy udało się jej znaleźć Alana Hartalla. Powiedziała, że poinformuje mnie o swoich zamiarach. Typowa mama. Jest taka lekkomyślna, że pewnie nawet nie zastanowiła się nad tym, że chciałabym wiedzieć, kiedy wróci do domu.

Siedzę przy pracy, kiedy nagle zaskakuje mnie pukanie. Podchodzę do drzwi wejściowych i wyglądam przez szybkę. Widzę elegancko ubraną kobietę w bluzce w kropki. Uchylam nieco drzwi.

– Tak?

– Saffron Cutler?

– Tak.

– Witam. Nazywam się Nadia Barrows i jestem z „Daily Mail”. Czy byłoby możliwe...

– Nie jestem zainteresowana. Proszę stąd odejść – mówię stanowczo i zamykam drzwi, zanim ma szansę zareagować. Wracam do pracy. Przez okno widzę pięciosobową grupkę reporterów zebranych razem na końcu podjazdu. Założę się, że chcą mnie przepytac w sprawie babci. W oknie tego pokoju nie ma żaluzji ani zasłon. Czy mnie widzą? To jakiś koszmar. Nie chcę się z tym szarpać sama, kiedy Tom jest w pracy, a mama gdzieś pojechała. Ukrywam twarz w dłoniach i jęczę. Czuję ogarniające mnie mdłości. Snowy ociera się o moje nogi. Pochylam się, żeby pogłaskać go po głowie. On zawsze wyczuwa mój stres.

Telefon brzęczy tuż przy moim uchu i unoszę głowę. Widzę tekst od taty: *Hej, kochanie. Przesłałem ci e-mailem plik o Sheili Watts. Widziałem się z mamą na lunchu. Wygląda dobrze. Zdobyłem kilka adresów Alana Hartalla w Broadstairs, więc pojechała je sprawdzić xx.*

Nie odpowiadam. Zamiast tego otwieram skrzynkę pocztową, nagle czując uderzenie adrenaliny.

Zgodnie z obietnicą tata sfotografował zawartość teczki Sheili Watts. Nie ma tam zbyt wiele: kilka artykułów z różnych regionalnych gazet z okolicy Kentu, dotyczących utonięcia Sheili, a także kilka kartek wyglądających na wyrwane z notatnika w linijkę. Nie jestem w stanie odczytać zapisu stenograficznego; to same kropki i symbole. Widziałam, jak tata korzysta z tego sposobu notowania, spisując wiadomości z poczty głosowej. Idę dalej. Ostatnia fotografia to wycinek z gazety państwowej, tej samej, dla której pracuje tata. Artykuł napisano w 1978 roku i nie traktuje o Sheili, lecz o zbrodni datowanej na wczesne lata pięćdziesiąte. Przeglądam go, nie rozumiejąc jego znaczenia. Może został wsadzony do folderu Sheili przez pomyłkę? Odchylam się na oparcie krzesła, rozczarowana. Nie ma tu nic nowego – chyba że coś w tekście stenograficznym. Właśnie zamierzam zamknąć e-mail, kiedy coś w ostatnim artykule przyciąga mój wzrok. Stopka z nazwiskiem autora. Przyglądam się uważniej. Artykuł został napisany przez Neila Lewishama.

\*

Natychmiast dzwonię do taty. Sądząc po dzwoneczkach telefonu w tle i po ogólnym gwarze, wiem, że nadal jest w pracy. Zaczynam zdawać mu relację krótkimi, urywanymi zdaniami, bez tchu, dopóki tata nie przerywa mi, mówiąc, że właśnie dostał informacje od „źródła”. No tak, oczywiście.

– Twojej babci mogło tam nie być, kiedy wszystko się zdarzyło – mówi. – Sam fakt, że mieszkała w tym domu, nie oznacza, że musiała o tym wiedzieć. Nie, jeśli miała lokatorkę.

– Wiem. To jednak dziwne, bo artykuł w dokumentach, które mi wysłałeś, został napisany przez tego samego człowieka – mówiąc to, czuję gęsią skórę na ramionach. – Wygląda na to, że Neil Lewisham pracował dla „Mirror” w późnych latach siedemdziesiątych.

– Mi też to nazwisko wydawało się znajome – mówi tata. – Chociaż pracował tam na długo przede mną. Zobaczę, co mi się uda znaleźć. Może był freelancerem. Czy artykuł jest o Sheili?

– Nie, wygląda to na jakieś podsumowanie. Nie wspomina nazwiska Sheili. Och – nagle sobie przypominam – czy mógłbyś odcyfrować ten fragment stenografii?

– Tak, widziałem to. Niestety, wygląda mi to na system Pitmana, a ja znam tylko Teeline. Popytam się jednak. Może któryś ze starszych dziennikarzy będzie go znał.

– Dzięki, tato. – Czuję ukłucie wyrzutów sumienia. – Przepraszam, że cię o to proszę. Pewnie jesteś skonany. Kiedy kończysz? – Chciałabym, żeby znalazł sobie jakąś fajną kobietę. Boję się, że za dużo pracuje.

– Nigdy nie powinnaś mnie przepraszać za to, że prosisz mnie o pomoc – mówi łagodnie. – Już niedługo kończę. Och, i Saff, jeżeli nadal będą cię nękali reporterzy, powiedz im, że Euan Cutler z „Mirror” jest twoim tatą. To im zamknie gęby!

Kończę rozmowę, czując się o wiele lepiej. Wstaję i wyglądam za okno w samą porę, żeby dostrzec ostatnią trójkę dziennikarzy zmierzających w dół wzgórza.

\*

Ponownie dzwonię do mamy, ale nie odbiera. To już trzeci telefon od wyjścia detektywów. Niepokój zżera mnie od środka. Mama zawsze odbiera, kiedy dzwonię. Co, jeśli coś się jej stało? Może spotkała się z Alanem Hartallem, który wcale nie jest żadnym starszym panem, tylko psychopata? Mama jest taka napalona, że w ogóle nie myśli o niebezpieczeństwach. Uważa, że jest niezwyciężona. Babcia raczyła mnie niegdyś opowieściami o tym, jak mama, jeszcze jako nastolatka, wracała autostopem z miasta i wiem, że mówiła mi to, żebym pamiętała o zachowaniu bezpieczeństwa, ale naprawdę nie musiała się fatygować. Nigdy nie zachowałabym się tak nieodpowiedzialnie.

Zostawiam wiadomość, prosząc mamę, żeby zadzwoniła do mnie jak najszybciej i że mam ważne nowiny.

Tymczasem mija godzina dwudziesta, a ona nadal się ze mną nie kontaktuje.

Słońce zachodzi już za horyzont. Ostatnie promienie połyskują przez korony drzew lasu za naszym ogrodem. Wewnątrz dom wygląda mrocznie i ponuro, ale jest jeszcze za wcześnie, żeby włączyć światła. Tom wysłał mi esemesa, że złapał pociąg o osiemnastej trzydzieści cztery, więc powinien być w domu za pół godziny. Idę do kuchni, robię sobie herbatę rooibos i opieram się o brzydką szafkę kuchenną, zadowolona, że mam przynajmniej Snowy’ego. Pies leży na moich gołych stopach. Zaczynam się tutaj czuć trochę nieswojo. Taka jest rzeczywistość. Nie chodzi tylko o ciała, chociaż to już i tak jest wystarczająco złe, ale do tego jeszcze spotkanie z prywatnym detektywem i jego upieranie się,

że babcia ma jakiegoś rodzaju informacje, które jego klient chce dostać z powrotem. Przejrzałam jeszcze raz pudła z rzeczami babci, ale nie znalazłam niczego, co mogłoby być tak ważne, że ktoś zdecydował się na wynajęcie prywatnego detektywa.

Babcia. Skoro ode mnie niczego nie wyciągnął, może pojechać do niej. Stawiam kubek z herbatą tak gwałtownie, że część płynu rozlewa się na blacie. Wyciągam telefon z kieszeni i dzwonię do ośrodka opieki.

– Elm Brook, Joy Robbins przy telefonie.

– Joy, cześć, mówi Saffy, wnuczka Rose Grey.

– Och, hej, Saffy, jak...?

– Czy ktoś próbował się dzisiaj kontaktować z wami w sprawie babci? Może niejaki pan Davies?

– Hm... nie, nie sędzę. Dlaczego?

– Miałam tu kilka osób dopytujących mnie o babcię. Jeden człowiek powiedział, że jest prywatnym detektywem. Chciałam się po prostu upewnić, że nie próbował zwracać głowy tobie i babci albo że nie przyjechał do niej z wizytą.

– Ach, rozumiem... to dziwne. Ale nie martw się. – Jej szorstki, zasadniczy głos jest krzepiąco gorliwy. – Nie pozwalamy tutaj tak po prostu każdemu na odwiedzinie.

– Dziękuję. A czy byłoby możliwe... jeśli ktoś pojawi się, żeby się spotkać z babcią, żebyście zadzwonili najpierw do mnie?

– Naturalnie.

– Dziękuję. A jak się miewa dzisiaj babcia? Zamierzam ją odwiedzić jutro, ale...

– W porządku. Jest dzisiaj trochę zdezorientowana. Ciągłe mówi na mnie Melissa.

– Melissa?

Śmieje się.

– Pewnie przypominam jej kogoś, kogo kiedyś znała. Wielu rezydentów domu tak ma. Do zobaczenia jutro.

Właśnie kończę rozmowę, kiedy rozlega się walenie do drzwi, przez co o mały włos nie wypuszczam komórki z ręki, przestraszona. Potem słyszę skrobanie klucza w zamku, głos Toma witającego się ze Snowym i czuję osłabienie z ulgi.

To naprawdę idiotyczne. Jestem rozedrgana i wytrącona z równowagi. Przebywanie w domu samotnie przez cały dzień zdecydowanie źle podziało mi



na nerwy.

Tom nadal ma na głowie kask, w którym wygląda z lekka idiotycznie. Na jego twarzy maluje się zaskoczenie i szok, kiedy rzucam się mu w ramiona.

– Hej, co się stało?

Prowadzę go do dużego pokoju, gdzie przysiadła na sofie i zdejmuję kask. Włosy ma przyklepione do głowy. Obserwuje mnie, gdy krążę nerwowo po pokoju, wypluwając z siebie słowa. Kiedy kończę, wpatruje się we mnie z błyskiem wściekłości w oczach.

– Za kogo, do kurwy nędzy, ten cały Davis się uważa? Zabiję gościa.

– Tom...

– Jak on śmie cię tak straszyć!

– Bardziej martwię się tym, dla kogo pracuje. Nie chciał mi powiedzieć, jakie to informacje, w których posiadaniu jakoby jest babcia. – Wzdycham. – Nie wiem sama, po prostu czuję, jakby to wszystko narastało lawinowo. Tutaj chodzi o jakąś większą sprawę. Czy popełniamy błąd, angażując się głębiej bez znajomości pełnego obrazu sytuacji? Do tego mama pojechała do cholernego Broadstairs, żeby spotkać się z facetem, który może, ale nie musi być prawdziwym Alanem Hartallem, i nie odezwała się do mnie przez cały dzień. Nasz ogród jest sceną przestępstwa, a o dziennikarzach już w ogóle nie wspominam. Nie mogę się ruszyć poza obejście, żeby ktoś nie próbował mnie upolować. Czuję się, jakbym tkwiła w areszcie domowym! – Tyrada pozbawiła mnie tchu, więc opadam obok Toma, chowając głowę w dłoniach. Drżą mi ramiona. – Żałuję, że wyjechaliśmy z Croydon – mówię przez palce. Po policzkach płyną mi łzy, kapiąc na dzinsy. – Mam już tego wszystkiego dosyć, Tom. To miał być dla nas nowy początek. Dla dziecka... nie chcę nawet wchodzić do tamtego pokoju, bo wiem, że jego okna wychodzą na ogród. Ta dziura, gdzie leżały szkielety...

Tom przyciąga mnie do siebie. Chłodna skórzana kurtka przywiera do mojego policzka.

– Wezmę jutro chorobowe. Nie zostawię cię tutaj samej.

Prostuję się zszokowana. Tom nigdy jeszcze nie wziął chorobowego – nawet wtedy, kiedy zatrzał się tak bardzo, że musiał wziąć ze sobą torbę na wymioty do metra.

– Tom, nie możesz...

– Myślę, że są mi to winni, nie sądzisz? I nie chcę, żebyś została jutro sama. Mogę się zająć remontem. Zadzwoń też do robotników, dowiem się, kiedy

wznowią robotę. Jeżeli będą się wymigiwać, znajdziemy innych. Niedługo nie będziemy musieli patrzeć na tę dziurę.

– Mama powinna wrócić... – Myśl o niej sprawia, że znów robi mi się niedobrze ze zmartwienia. – Która godzina?

Tom sprawdza zegarek.

– Właśnie minęło wpół do dziewiątej. – Wstaje i ściąga kurtkę. – To niepodobne do Lorny, zapomnieć zadzwonić, prawda? Zazwyczaj nie rozstaje się ze swoim telefonem.

– Wiem. – Biorę komórkę i próbuję zadzwonić jeszcze raz.

Włącza się poczta elektroniczna.

\*

Mija dziesiąta wieczorem, a mamy nadal nie ma w domu.

Za każdym razem, kiedy słyszę samochód (a nie jest to zbyt częste zjawisko), podbiegam do okna, z nadzieją, że to taksówka. I nic.

– Myślisz, że powinnam zadzwonić na policję? – pytam Toma, który ogląda na DVD *Prawo ulicy*, chociaż żadne z nas nie może się skoncentrować.

– Policja nic nie robi. Poza tym czy nie trzeba odczekać dwudziestu czterech godzin albo coś w ten deseń, zanim zgłosi się zaginięcie dorosłego?

Oddycham głęboko, tłumiąc panikę. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Moje ciało wręcz ocieka nerwową energią. Wiem, że mama jest wolnym duchem i nigdy się o nią nie martwię, kiedy jest w Hiszpanii. Jednak coś jest nie w porządku. Wiem, że zadzwoniłaby do mnie. W końcu jest to nasza wspólna sprawa.

Odsuwam szare zasłony w kwiatki, które zabraliśmy z naszego mieszkania w Croydon i które nie do końca pasują do tego okna. Na zewnątrz jest ciemno. Nie ma nawet latarni ulicznej, tylko księżyc – cienki srebrny rożek na niebie, częściowo przesłonięty przez chmurę. Noc wydaje się ciężka i przytłaczająca, niczym gruby koc okrywający mój samochód i motorynkę Toma, wyolbrzymiając nieszkodliwe cienie i sprawiając, że wyglądają niebezpiecznie.

– Odejdź od okna – prosi Tom łagodnie. – Jestem pewien, że nic jej nie jest.

– To dlaczego do mnie nie zadzwoniła? – zawodzę, zaciskając dłonie w pięści u boków.

Nie jestem w stanie otrząsnąć się z uczucia, że przytrafiło się jej coś złego. Coś, co jest związane z tym domem i całą tą sprawą.

W co myśmy się wplątali?

## Lorna

W pociągu powrotnym do Londynu Lorna, trzymając w ręku karmelowe macchiato, znajduje sobie miejsce przy oknie. Siada, wdzięczna, że nikt nie zajął siedzenia obok niej, dzięki czemu może się rozciągnąć. Jest zmęczona i trochę pijana. Nie powinna wypijać tego ostatniego kieliszka wina.

Minęła już ósma wieczorem, a ona nadal musi jeszcze dojechać z Londynu do Chippenham. Opiera głowę o szybę, kiedy pociąg wytacza się ze stacji. Przygląda się purpurowo-brzoskwiniowym smugom na niebie, malowanym przez zachodzące słońce i zastanawia się nad swoją rozmową z Alanem oraz podejrzeniem, że Daphne i Sheila to jedna i ta sama osoba. Nie może się doczekać, kiedy opowie to Saffy.

Prostuje się nagle. Saffy! Nie zadzwoniła do niej przez cały dzień. Cholera, obiecała przecież, że zadzwoni w drodze do domu. Grzebie w torebce. Gdzie jest komórka? Ma tyle rupieci w środku; stare rachunki, wizytówki, notes, dwa długopisy, portmonetkę i przybory do makijażu. Im dłużej jednak szuka telefonu, tym bardziej się upewnia, że go nie ma. Wyrzuca zawartość torebki na siedzenie obok. Musiała go zgubić. A może zostawiła go na stole, przed wyjściem z kafejki? Jęczy głośno, strasząc mężczyznę siedzącego naprzeciwko niej. Całe jej życie jest na tym telefonie. Nie zna żadnych numerów na pamięć. Kto by znał w dzisiejszych czasach? Nagle czuje się obnażona i bezbronna bez tego urządzenia. W duszy przeklina współczesny świat i zdobycze technologii, które uczyniły ją tak zależną od głupiej małej maszyny. Tłumi w sobie chęć wykrzyczenia frustracji. Co ona teraz robi? Ma tylko nadzieję, że przed stacją w Chippenham jest postój taksówek, inaczej czeka ją długi spacer powrotny do Beggars Nook. To przynajmniej siedem kilometrów. Poza tym bez telefonu nie będzie wiedziała, gdzie iść.

No cóż, teraz już nic nie może z tym zrobić. Przygląda się hrabstwu Kent za oknami. Nie ma wyboru, jak tylko dopić swoją kawę i spróbować się zrelaksować.

\*

Zanim drugi pociąg dociera do Chippenham, jest już po dwudziestej trzeciej. Lorna ma nadzieję, że Saffy i Tom nie martwią się o nią zbyt. Czuje ukłucie winy, bo najprawdopodobniej jeszcze nie śpią, ponieważ nie ma swojego klucza.

Stacja jest opustoszała: pozostali trzej pasażerowie, którzy tutaj wysiedli, znikają w ciemnościach nocy. Lorna dygocze w swoim tweedowym zakiecie i otula się nim szczelniej. Stukanie jej obcasów odbija się echem na pustej platformie. Idzie szybko, bardzo chcąc być już w domu, z Saffy, żeby opowiedzieć jej wszystko, czego się dzisiaj dowiedziała.

Przy wyjściu nie ma żadnych taksówek, tylko pusta droga. I co ona ma teraz zrobić? Może mogłaby od kogoś pożyczyć telefon na chwilę? Przy drzwiach stoi młody człowiek, którego rozpoznaje z pociągu. U stóp odzianych w czerwone trampki Nike, zupełnie niepasujące do garnituru, ma teczkę, a na uszach słuchawki. Stoi z pochyloną głową, przeglądając telefon.

Lorna podchodzi do niego, zdając sobie sprawę, że pewnie wygląda jak wariatka. Gość wyjmuje słuchawki z uszu.

– Przepraszam, czy mogłabym skorzystać z pana telefonu, żeby zadzwonić po taksówkę?

– Jasne – odpowiada bez uśmiechu. – Zadzwonię po nią dla pani. Mam numer w telefonie. Gdzie chce pani jechać?

– Beggars Nook.

Śmieje się.

– Beggars Nook? Gdzie to jest, do cholery?

Zmusza się do uśmiechu.

– To wioska niedaleko stąd.

Mężczyzna dzwoni po taksówkę. W pewnym momencie zakrywa dłonią głośnik.

– Imię? – szepcze.

– Lorna – odpowiada cicho, nie bardzo wiedząc, dlaczego też szepcze. Mężczyzna rzuca jej dziwne spojrzenie.

– Taksówka będzie tutaj za dziesięć minut – mówi, rozłączając się.

– Dziękuję. Naprawdę bardzo...

– Muszę iść. Moja podwózka przybyła – przerywa jej i truchtem podbiega do forda fiesty, który właśnie podjechał pod stację. Lorna obserwuje, jak samochód

odjeżdża, świadoma, że jest tu teraz całkiem sama.

Na szczęście nie musi czekać zbyt długo, zanim pojawia się taksówka. Opada z ulgą na tylne siedzenie. Do Beggars Nook jest tylko piętnaście minut drogi.

– Który numer? – pyta kierowca, przejeżdżając przez wioskę w stronę domu Saffy.

– Skelton Place numer dziewięć. Może być gdziekolwiek w pobliżu – odpowiada. Nie pamięta dokładnie, gdzie na wzgórzu znajduje się dom Saffy. Płaci i wysiada. Taksówka odjeżdża i po chwili tylne światła mrugają i znikają za zakrętem, zostawiając ją samą w całkowitej ciemności. Czuje się, jakby pochłaniała ją czerni. Dlaczego nie ma tutaj żadnych lamp ulicznych? Zaczyna wchodzić na wzgórze, maszerując wzdłuż drogi. Na pewno to już niedaleko, powtarza sobie. Tutaj jest ścieżka prowadząca do lasu i skrzynka pocztowa. Saffy mieszka dwa domy dalej.

Słyszy kroki za plecami i włosy jeżą się jej na karku. Kiedy wysiadała z taksówki, nikogo nie było w pobliżu.

Wszystko dzieje się tak nagle: czuje rękę sięgającą z tyłu i zasłaniającą jej usta, drugie ramię zaciska się na jej piersi niczym stalowa obręcz. Lorna myśli, że to przecież nie może się dziać w małej wioseczce takiej, jak Beggars Nook. Nie może nawet krzyknąć, bo dłoń napastnika blokuje jej usta. Próbuje kopać, ale ramię na piersi tylko zaciska się mocniej tak, że prawie nie może oddychać.

Napastnik ciągnie ją do tyłu, w kierunku ścieżki i lasu. Lorna usiłuje walczyć, wbija obcasy w chodnik, ale tamten jest zbyt silny. Jeden obcas łamie się z trzaskiem i odpada. Jest tak przerażona, że czuje, że za chwilę się zsika. Zachowaj spokój, powtarza sobie. Zachowaj spokój. Spokój. Spokój.

Są już na ścieżce, między dwoma drzewami ukrytymi za wysokimi żywopłotami. Nikt nie będzie w stanie jej zobaczyć.

– Posłuchaj – warczy jej w ucho napastnik. Czuje jego gorący oddech na szyi. – Jeżeli zrobisz, co ci każę, nie skrzywdzę cię.

*Usiłuje mnie zgwałcić*, myśli Lorna. *Wszystko, byle mnie tylko nie zabił. Nie zabij mnie*, prosi w duchu. Nie może zostawić Saffy bez pomocy. Wkrótce zostanie babcią.

– Potrzebuję informacji o Rose Grey.

Przez chwilę Lorna jest tak zdumiona, że zapomina się bać. To nie jest żaden przypadkowy atak. Napastnik zna jej matkę. Rozpoznaje ten głos.

Może tylko kiwnąć głową.

– Musisz ją zapytać, gdzie schowała dowody. To ważne. Jeśli tego nie zrobisz, skrzywdzę twoją córkę.

*O Boże. Nie Saffy. Nie.*

– Wszystko, zrobię wszystko – mamrocze.

– Zabiorę teraz dłoń. Jeżeli zaczniesz krzyczeć, wrócę. Jeśli pójdziesz na policję, dowiem się. A przecież nie chcesz, żebym złożył wizytę Rose, prawda? Wiem, gdzie jest jej dom opieki.

Krew pulsuje głośno w uszach Lorny. Kiwa głową potakująco. Mężczyzna cofa rękę, którą zasłaniał jej usta, ale nadal trzyma ją w stalowej obręczy uścisku, więc nie widzi jego twarzy.

– Podaj mi numer swojego telefonu – mówi.

– Ja... zgubiłam telefon.

– Jasne, oczywiście.

Chce jej się płakać.

– Naprawdę. Możesz sprawdzić w mojej torebce. – Nadal trzyma ją na ramieniu, przygniecioną ciężarem jego ciała.

– W takim razie zadzwoń pod numer na wizytówce. Twoja córka będzie wiedziała, o jaką wizytówkę chodzi.

Puszcza ją i popycha tak gwałtownie, że Lorna traci równowagę, upada, uderzając kolanami na twarde chodnik. Krzyczy z bólu. Słyszy, jak kroki napastnika szybko się oddalają w stronę lasu, ale nie śmie popatrzeć za nim, dopóki ten nie zniknie.

Podnosi się. Nogi ma jak z galarety. Na kolanie dzinsów widać dziurę przybrudzoną na brzegach krwią i kurzem ulicznym. Kulejąc, wychodzi ze ścieżki na ulicę i skręca w lewo, zatrzymując się tylko po to, żeby podnieść oderwany obcas. Cała dygocze ze strachu. Krzaki i żywopłoty osłaniające tutejsze domy jednocześnie mogą ukryć przestępstwo, myśli Lorna, i z trudem podąża w stronę domu. Mogła zostać zgwałcona i zamordowana tutaj, na tej ulicy i nikt by niczego nie zobaczył.

Odczuwa ulgę, widząc dom numer dziewięć. Światło w dużym pokoju nadal się pali, przesączaając się przez niedopasowane zasłony w oknie. Lorna, kuśtykając, rusza podjazdem do domu. Jej but z odłamanym obcasem zapada się w żwir. Zanim dociera do drzwi, te otwierają się gwałtownie i na progu pojawia się jej córka, z wyrazem przerażenia i ulgi na twarzy.

– Mamo! – krzyczy, chwytając ją w objęcia. – O mój Boże, tak się martwiliśmy! Wszystko w porządku? Co się stało?

Lornie udaje się potaknąć, kiedy Saffy wprowadza ją do domu i sadza na sofie. Tom stoi przy kominku, tak przerażony na jej widok, że Lorna musi z całej siły powstrzymać się od wybuchnięcia histerycznym śmiechem.

– On... on mnie złapał – mówi. – Ten pieprzony gnój mnie złapał. Musiał na mnie czekać... Zgubiłam telefon. Przepraszam, że nie zadzwoniłam.

– O Boże! Nie przejmuj się tym na razie. – Saffy siada obok mamy i chwyta ją za rękę. – Kolano ci krwawi. Dobrze się czujesz? Kto cię złapał?

– Myślę, że to był ten sam gość, co wczoraj. Glen, tak się przedstawił.

Saffy marszczy czoło.

– Wczoraj? Gość?

Lorna przełyka łzy. Nie może się teraz rozkleić. Musi być silna dla swojej córki, która wygląda na przerażoną.

– Zatrzymał mnie, kiedy wyprowadzałam Snowy’ego na spacer. Wydawał się dość sympatyczny, ale kiedy odchodziłam, usłyszałam, jak mówi coś o twojej babci. Myślałam, że się przesłyszałam, ale...

Tom zaczyna krążyć nerwowo po pokoju.

– To po prostu nie do uwierzenia! Musimy zadzwonić na policję. Saffy, podaj mi numer do sierżanta Barnes’a. – Trzyma telefon w dłoni, w pełnej gotowości.

– Nie! – krzyczy Lorna, wstając. Chwieje się na jednym obcasie i zaraz musi usiąść z powrotem. Lakier na jej paznokciach jest poodpryskiwany, a stopy ma potwornie brudne. – Nie możemy się skontaktować z policją. Powiedział, że się dowie. I że wie, gdzie mieszka babcia.

Lorna opowiada im wszystko, a raczej prawie wszystko. Omija część, w której Glen groził, że skrzywdzi Saffy. Nie chce wystraszyć córki bardziej niż trzeba: cały ten stres i zmartwienia na pewno nie wpłyną dobrze na dziecko.

– Powiedział coś o tym, że babcia pogrzebała jakieś dowody, a on chce wiedzieć gdzie.

– Dowody? – Twarz Saffy blednie. – Tak powiedział? Chodzi o dokumenty, które miała babcia?

– Ja... nie wiem. Chyba nie mówił nic konkretnego o dokumentach, ale nie pamiętam dobrze. Chciał, żebym zapytała twoją babcie. Wspomniał o wizytówce – mówi Lorna. – Nie wiem, o czym on mówił.

– Ten gnojek. – Saffy wzdycha gwałtownie. – To ten sam facet.

– To znaczy?

– Spotkałam kogoś wcześniej. Powiedział, że jest prywatnym detektywem i został zatrudniony przez kogoś do odnalezienia pliku dokumentów lub czegoś

podobnego, co było w posiadaniu babci. Na początku starał się być miły, ale w miarę rozmowy zaczęłam się czuć coraz bardziej niepewnie. On... – Dygocze nagle. – Był dość intensywny. Pod koniec zaczęłam się go poważnie bać. Odchodząc, dał mi swoją wizytówkę z nazwiskiem G.E. Davies... Glen. To musi być ten sam człowiek. – Podchodzi do stolika kawowego i bierze coś z niego. – Proszę. – Wręcza to Lornie.

– Nie może być licencjonowanym prywatnym detektywem, skoro napada na kobiety na ulicy.

Lorna bierze wizytówkę z rąk swojej córki. Karteczka wygląda na dość prymitywną, niedopracowaną i wykonaną nieprofesjonalnie. Oddaje ją Saffy.

– Wiem, że specyficznym powiedział „dowody”...

Saffy pociąga za kosmyk włosów. Wygląda na zestresowaną.

– Odwiedziła mnie dzisiaj policja – mówi. Lorna wysłuchuje opowieści córki o wizycie detektywów. – Przed ich wyjściem podałam im numer telefonu Daviesa. Powiedzieli, że go sprawdzą. Powinniśmy opowiedzieć im również o tym.

Lorna nie może tego wszystkiego ogarnąć. Najpierw dowiedziała się, że jej matka mieszkała tutaj w czasie, gdy miało miejsce przynajmniej jedno z morderstw, a teraz jeszcze to. Musi istnieć jakiś związek. Nachyla się, żeby ściągnąć buty. Musi sprawdzić, czy nie da się przykleić odłamanego obcasa.

– W co, do cholery, była wmieszana Rose? – Tom przestaje krążyć po pokoju. Stoi z założonymi na piersi rękami i wpatruje się w Lornę z wściekłością, jakby to była jej wina. To ona jest tutaj rodzicem: musi opanować tę sytuację.

– No dobrze, pójdźmy się wszyscy położyć – mówi, wstając. – Pojadę z tobą jutro do domu opieki, kochanie. Zobaczymy, czego się nam uda dowiedzieć.

– Mamo...

Lorna unosi rękę powstrzymującym gestem i spogląda na przerażoną twarz Saffy, a potem na rozeźlonego Toma. – Oboje musicie odpocząć – mówi najbardziej autorytatywnym tonem, jaki potrafi z siebie wykrzesać. – Porozmawiamy o tej sprawie jutro. – Kuśtykając, wychodzi z pokoju i wspina się po schodach. Z każdym krokiem kolano daje się jej boleśnie we znaki. Rośnie w niej wściekłość. Jak ten człowiek śmie grozić jej rodzinie. Jutro kupi alarmy odstrasające i kilka gazów pieprzowych. Jeśli ten człowiek jeszcze raz pojawi się w pobliżu jej córki, Lorna go zabije.



**Lorna***Luty 1980 roku*

Dzień po tym, jak wpadłam na Joela na rynku, spadł śnieg.

Obudziłaś mnie, wpadając do mojego pokoju i skacząc na łóżko; aniołek w długiej białej koszuli nocnej.

– Śnieg! Śnieg! – wykrzyknęłaś, potrząsając mnie, żebym się obudziła, a potem ciągnąc mnie do okna. Drewniana klepka była chłodna pod stopami. Wyglądałaś tak słodko: wielkie oczy zaokrąglone z zachwytu i długie ciemne włosy opadające kosmykami na ramiona. Gęste duże płatki śniegu opadały szybko, tworząc białą pierzynę na ziemi. Niebo miało idealnie perłowy kolor i wydawało się, że cały świat owinięty jest puszystym kocem.

– Nie idziemy dzisiaj na kółko przedszkolne! Nie zamierzam wychodzić w taką pogodę – powiedziałam, wdrapując się z powrotem do łóżka i otulając kołdrą.

Zaklaskałaś w dłonie podekscytowana.

– Bałwan!

– Tak, bałwan, ale później.

W tej chwili w drzwiach sypialni stanęła Daphne. Miała na sobie kilka warstw ubrań i grube skarpety, w które wsunęła spodnie od pizamy. Wyglądała, jakby miała na sobie staroświeckie bryczesy. Jej długie jasne włosy tworzyły kudłatą aureolę wokół twarzy.

– Jest cholernie zimno – powiedziała, chuchając teatralnie w dłonie.

– Śnieg! Śnieg! – zaśpiewałaś, chwytając ją za ręce i skacząc, jakbyście bawiły się w dwuosobowe kółko graniaste. Daphne odrzuciła głowę do tyłu ze śmiechem i kiedy tak przyglądałam się wam obu, czułam, że serce wypełnia mi się radością. My trzy w tym małym domku, bezpieczne i nieskrępowane, osłonięte przed światem.

Nie potrzebowałyśmy nikogo więcej.

Rozpaliliśmy w kominku w dużym pokoju, a Daphne zrobiła nam gorącą czekoladę, podgrzewając mleko na kuchence. Ja przejrzałam wszystkie szafki kuchenne, upewniając się, że mamy wystarczająco dużo jedzenia na kilka kolejnych dni, w razie gdybyśmy nie mogły pójść do sklepu. Zazwyczaj kupowałam większość rzeczy w spożywczym w wiosce, ale raz w miesiącu musiałam jeździć do dużego supermarketu Safeway przy rondzie, trzy kilometry za wioską. Na szczęście ostatnim razem byłam tam zaledwie tydzień temu.

– Mamy mnóstwo puszek z fasolką i kólkami makaronowymi w sosie pomidorowym – oznajmiłam. – Zamroziłam też wczoraj chleb.

– I mamy kilka porcji mojej zupy – powiedziała Daphne, wręczając mi kubek z czekoladą.

Siedziałas już przy stole kuchennym, siorbiąc głośno gorący napój i machając nogami. Nadal miałaś na sobie koszulę nocną, ale założyłaś już swoje żółte kalosze, lewy na prawą nogę, a prawy na lewą.

– Lolly, kochanie, musisz się ubrać, zanim wyjdiesz na dwór.

– Daffy – powiedziałaś, wstając.

– Jesteś już dużą dziewczynką, możesz się ubrać sama. – Wywróciłam oczami, spoglądając na Daphne, która uśmiechnęła się do ciebie błogo.

– Oczywiście, że ci pomogę – powiedziała, biorąc cię za rękę. – Chodź, księżniczko Lollipop, znajdziemy dla ciebie dużo ciepłych ubranek.

Zawsze nazywała cię księżniczką Lollipop, a ty to uwielbiałaś. Kochałaś ją.

Daphne spędziła z tobą wiele godzin tego dnia, lepiąc bałwana w ogrodzie. Przyglądałam się wam przez jakiś czas przez okno, śmiejąc się za każdym razem, kiedy odpadała mu głowa – co następowało dość często.

– To trudniejsze, niż ci się wydaje – powiedziała bezgłośnie Daphne.

Śnieg nadal padał, osadzając się na czapkach i waszych włosach, wyglądając jak malutkie białe kwiatki wplecione w wasze warkocze.

Wreszcie zebrałam się w sobie i również wyszłam na dwór. Nienawidziłam zimna, ale Daphne chyba w ogóle go nie odczuwała. Ty też nie, chociaż twoje rękawiczki były przemoczone, a nosek i policzki zrobiły się czerwone. Śnieg sięgał już niemal do krawędzi twoich kaloszy. Daphne nie miała zimowych butów, więc założyła zniszczone platformy, które nie wyglądały na nieprzemakalne.

– Musimy tylko znaleźć jakieś rodzyunki i marchewkę w ramach oczu i nosa – powiedziała do ciebie, kończąc lepienie. Stała, z dłońmi na biodrach,

podziwiając swoje dzieło. Wbiegłaś do domu i po chwili wychyłaś triumfalnie, niosąc małą przywiedłą marchewkę i dwa duże rodziniki sułtańskie.

– Wyglądacie obie na przemarznięte na kość – powiedziałam. Śnieg był teraz rzadszy, pojedyncze płatki od czasu do czasu opadały, wirując, na ziemię. – Chodźcie, zrobię nam fasolkę po bretońsku na toście.

\*

Później, kiedy ty bawiłaś się swoimi lalkami w sypialni, usiadłyśmy z Daphne przy kominku, popijając gorącą herbatę. Jej palce nadal były czerwone z zimna. Wyciągnęła nogi na kanapie, opierając stopy na moich udach.

Zesztywniałam, zażenowana jej poufałością. Daphne jednak nie była zupełnie skrepowana.

– Połóż sobie nogi tutaj. – Poklepała moją kostkę. Zawahałam się, a potem przesunęłam nogi tak, że moje stopy opierały się o jej udo. – Widzisz? Tak jest wygodniej, prawda?

Uśmiechnęłam się do niej. Faktycznie, miała rację. Było to coś, co robiło się z siostrą. Całkowicie naturalne. Nie musiałam się przecież czuć z tego powodu niezręcznie. Rozluźniłam się, uśmiechając się do Daphne sponad kubka.

Znałam ją od niecałych dwóch miesięcy, ale zdołała się bez wysiłku stać częścią naszego życia. A teraz siedziałyśmy sobie tutaj, całkiem swobodne w stosunku do siebie. Mogłyśmy milczeć, bez potrzeby lub oczekiwania, że ta druga osoba musi podtrzymać rozmowę. Nagle zdałam sobie sprawę, że Daphne nigdy jeszcze mnie nie zezłościła. Była interesująca, inteligentna, niezależna i zabawna. Była życzliwa i troskliwa – zawsze bawiła się z tobą, robiła na drutach ubranka dla twoich misiów i lalek, przynosiła drobne prezenciki, jak na przykład twoje ulubione ciasto biszkoptowe albo szyszki z lasu, które malowała na srebrno i stawiała na parapecie. Całymi godzinami siedziała pochylona nad swoją maszyną do szycia, szyjąc ubranka dla ciebie. W zeszłym tygodniu przyniosła do domu ogromną monsterę z liśćmi tak wielkimi, że zasłaniały jej głowę, kiedy wносиła roślinę przez drzwi. Teraz monstera stała w rogu, przy kominku. Nie miałam serca powiedzieć Daphne, że nie umiem dbać o rośliny. Niemal zawsze umierały pod moją opieką.

– Masz jakieś siostry? – spytałam, zapominając o regule niezadawania pytań o życie prywatne. Poczulałam, że Daphne sztywnieje, ale ku mojemu zaskoczeniu odpowiedziała, potrząsając przecząco głową.

– Nie.

– Ja też nie. A co z twoimi rodzicami?

Daphne sęczyła powoli gorącą czekoladę. Ogień w kominku trzaskał wesoło. Wszystko, co wiedziałam o mojej lokatorce, to fakt, że wychowała się na południu Londynu, niedaleko od miejsca, w którym ja mieszkałam z rodzicami, ale wyprowadziła się, kiedy miała jedenaście lat. Od tamtej pory, jak sama twierdziła, mieszkała „w wielu różnych miejscach”.

Potrząsnęła głową.

– To długa i nudna historia. Jestem czarną owcą. Wiesz, jak to jest?

Nie wiedziałam, ale i tak kiwnęłam głową potakująco.

Daphne odwróciła ode mnie twarz, nie mówiąc już nic więcej, tylko wpatrując się w ogień wielkimi, smutnymi oczami.

Po kilku minutach spojrzała mi znów prosto w oczy. Coś się zmieniło w jej wyrazie twarzy.

– Zawsze trzymałam się z daleka od innych ludzi. Miejsca, w których mieszkałam, ludzie, u których wynajmowałam pokój, zawsze trzymałam ich na dystans, ale ty... – Jej spojrzenie złagodniało. – Ty jesteś jedyną osobą, którą dopuściłam tak blisko do siebie, Rose. Od bardzo, bardzo długiego czasu. Mam nadzieję, że nie będę tego żałować.

Poczułam, że się rumienię.

– Oczywiście, że nie, ale czy mogę spytać: dlaczego ja?

– Nie wiem. Po prostu czuję, że jesteśmy takie same.

Miała rację. Ja też to czułam: obie byłyśmy samowystarczalne, zdeterminowane, silne, ale jednocześnie złamane. Daphne była pierwszą osobą, której pozwoliłam się do siebie tak zbliżyć od czasu mojej ucieczki w tę koszmarną noc trzy lata temu. Miałam wrażenie, że Daphne czuje to samo.

Jako jedyne dziecko nigdy nie wiedziałam, jak to jest posiadać rodzeństwo, ale bliskość odczuwana w stosunku do Daphne w tej chwili była dokładnie tym, co sobie na ten temat wyobrażałam. Zerknęłam na nią i nasz wzrok się spotkał. Poczułam łaskotanie w żołądku. To było coś więcej niż siostrzana relacja. Tak naprawdę wiedziałam. Im bardziej poznawałam Daphne, tym głębsze stawały się moje uczucia. Policzki zapłonęły mi na myśl, że może się domyślić.

Daphne uśmiechnęła się do mnie.

– I oczywiście z Lolly. My trzy jesteśmy jak rodzina, której zawsze pragnęłam.

– Ja też – powiedziałam, przepełniona emocjami.

Uśmiechnęliśmy się do siebie nieśmiało. Daphne wyciągnęła rękę i ścisnęła lekko moje palce. W tej chwili wiedziałam, że zrobię dla niej wszystko: chciałam się nią opiekować i chronić ją. Nigdy nie czułam czegoś takiego w stosunku do innej osoby, z wyjątkiem ciebie i może Audrey. Z perspektywy czasu wiem, że w tamtej chwili zakochiwałam się w Daphne.

A potem do pokoju wpadłaś ty, z na wpół ubraną Barbie. Rzuciłaś ją na nogi Daphne.

– Nie mogę – zawyłaś. Daphne roześmiała się i wciągnęła cię na kolana, ubierając lalkę.

Był to najwspanialszy dzień. Siedziałyśmy we trzy, skulone na sofie, zadowolone i bezpieczne, ogień trzaskał w kominku, a za oknem padał śnieg.

Szkoda, że nie mogło tak zostać już na zawsze. Naprawdę żałuję.

# CZEŚĆ TRZECIA

## Theo

W czwartek rano Theo niespodziewanie zostaje sam w gabinecie ojca i jest to okazja, której nie może przepuścić.

Okazja do powęszenia.

Nie jest to zachowanie typowe dla Theo. Nigdy przedtem tego nie robił. Nie zaglądał do telefonu Jen ani nie próbował włamywać się do jej e-mailów, jak niektórzy z jego kolegów robili w stosunku do swoich lepszych połówek. Wzajemne zaufanie jest dla niego bardzo ważne i wie, że Jen czuje to samo.

Mój ojciec jest potencjalnym zbrojeńcem, który coś ukrywa, tłumaczy sobie, żeby uspokoić sumienie.

Nie planował dziś odwiedzin u taty, zwłaszcza po wizycie u Larry'ego, ale poczucie winy w związku z kłótnią między nim i ojcem nie dawało mu spokoju. Przeleżał bez zmruczenia oka niemal całą noc i chociaż przepelniała go wściekłość i rozczarowanie, poczucie winy zdołało wkraść się w jego serce.

Jen uśmiechnęła się do niego znacząco, kiedy powiedział, że zamierza wpaść do ojca przed pracą.

– Nadal jest twoim tatą – powiedziała łagodnie i pocałowała go na pożegnanie. Kiedy jednak Theo przyjechał na miejsce, nikogo tam nie było, oprócz Mavis, która właśnie wychodziła.

– Pański ojciec jest w klubie golfowym – powiedziała. – Wróci późno.

Theo uniósł plecak.

– Przyniosłem mu jedzenie – skłamał. – Nie przejmuj się mną. Możesz iść. Ja się tu sam oporządzę.

– Jesteś dobrym synem – powiedziała gospoia, klepiąc go lekko po policzku, a potem odeszła szybko podjazdem do szosy, żeby zdążyć na autobus.

Teraz, kiedy Theo stoi w gabinecie ojca, czuje się jak najgorszy syn na świecie. Nawet jako dziecko wiedział doskonale, żeby nigdy nie wchodzić do gabinetu taty bez jego pozwolenia. Było to zabronione i groziło losem gorszym od śmierci, jeśli kiedykolwiek odważyłby się sprzeciwić poleceniom ojca. Oczywiście nigdy

tego nie zrobił. Jako dziecko nie był zainteresowany: gabinet był pełny nudnych rzeczy związanych z pracą ojca i brzydkich trofeów golfowych. Teraz jednak... teraz jego serce bije szybko z wyczekiwania. Ojciec nie chce mu niczego powiedzieć, ale Theo wie, że ten gabinet to skarbiec kryjący w sobie tajemnice.

Theo rozgląda się po pomieszczeniu, ogarnia wzrokiem boazerię na ścianach, wbudowane w ścianę półki, oszkloną gablotkę i biurko z blatem wyłożonym ciemnozieloną skórą. Gdzie zacząć? Czego szukać? W gabinecie pachnie kosztownymi piżmowymi perfumami i wypolerowanym drewnem. To idiotyczne, ale Theo zawsze uważał, że jego ojciec pachnie jak ktoś *ważny*.

Podchodzi do półek z książkami za biurkiem. Pod nimi, po obu stronach znajdują się drzwiczki kredensu – tego samego, w którym ojciec szperał w zeszłym tygodniu, kiedy Theo zastał go w jednym z jego „humorów”. Pochyla się i otwiera jedną szafkę. Za drzwiczkami widzi schludnie ułożoną stertę segregatorów. Wyciąga jeden z nich i przegląda zawartość: wygląda to jak stara rachunkowość podatkowa. Wkłada segregator z powrotem na miejsce, upewniając się, że wszystko jest w należytej kolejności. Jest przekonany, że jest to coś, co jego ojciec z pewnością by zauważył. Próbuje otworzyć drugą szafkę, ale jest zamknięta na klucz. Cholera. Nie pomyślał o tym. Dlaczego ojciec miałby zamykać szafkę na klucz? Czy było w niej coś, co chciał uchronić przed wzrokiem innych? Mavis nie ma tutaj wstępu nawet po to, żeby posprzątać. Theo próbuje otworzyć szuflady biurka. O dziwo, te nie są zamknięte, ale też ich zawartość jest nieciekawa; trochę rachunków spiętych klipsem, opakowanie długopisów Bic, eleganckie (i drogie) pióro wieczne, kilka dyplomów z klubu golfowego i buteleczka z lekami. Theo sprawdza, co to takiego. Lekarstwa na ciśnienie. Theo nie wiedział nawet, że jego ojciec ma problemy z nadciśnieniem. Odstawia buteleczkę na miejsce. Musi tu być coś jeszcze, myśli. Jego wzrok wędruje z powrotem do zamkniętej części kredensu. Musi się do niego dostać, bez względu na konsekwencje. Otwiera szufladę biurka i znajduje dwa duże spinacze. Zgina je w kształt litery V i wsuwa jeden z końców do zamka. Próbował tego kiedyś z grupką znajomych. To było w szkole. Chcieli się dostać do gabloty, w której zgromadzono kolekcję medali sportowych: Theo i jego kumple zamierzali zrobić kawał jednemu z zawodników szkolnej drużyny rugby. Pamięta, że musi nacisnąć na jeden spinacz, jednocześnie kręcąc drugim.

– Dalej, ty cholero, otwieraj się – syczy przez zaciśnięte zęby. Wreszcie słyszy kliknięcie i drzwiczki odskakują. Theo przysiada na piętach, zdumiony, że sztuczka zadziałała.



A potem czuje zawód. Szafka jest pusta. Cały ten wysiłek na nic, bo jak się okazuje, ojciec zamknął nieużywaną szafkę. Theo rozgląda się, jakby miał to być jakiś głupi dowcip. Na poły spodziewa się zobaczyć ojca stojącego w drzwiach i naśmiewającego się z niego. Ale nie – jest tutaj sam. Dlaczego ojciec zamknął pustą szafkę? No chyba, że przeniósł jej zawartość gdzieś indziej – w bezpieczniejsze miejsce. Zagląda głębiej do szafki, ostrożnie naciskając na półki. Najniższa z nich lekko skrzypi pod jego ręką. Przygląda jej się uważniej: jest poluzowana. Naciska ją i wierzch odskakuje, odsłaniając coś w rodzaju skrytki. Serce Theo bije gwałtownie. Coś tam jest: mała kupka wycinków z gazet i czarna teczka z plastiku rozmiaru A4. Theo wyciąga wycinki. Wszystkie pochodzą z 2004 roku, z lokalnych gazet i dotyczą wypadku mamy. Rozumie, dlaczego ojciec mógłby chcieć je zatrzymać, ale po co je ukrywać? Może po prostu o nich zapomniał, myśli, odkładając je na miejsce.

Otwiera teczkę. W środku znajduje się kilkanaście przezroczystych plastikowych koszulek. Przegląda je. W każdej znajduje się zdjęcie. Nic więcej. Wyciąga pierwsze z nich. Jest kolorowe, w przygaszonych jesiennych odcieniach. Przedstawia kobietę w jego wieku, najwyraźniej nieświadomą, że ktoś ją fotografuje. Jest w zaawansowanej ciąży. Sądząc po stylu fryzury i ubrania, zdjęcie zrobiono pod koniec lat sześćdziesiątych lub na początku lat siedemdziesiątych. Obraca zdjęcie, spodziewając się daty, może imienia, ale na odwrocie nic nie jest napisane. Przegląda resztę fotografii. Są podobne: zdjęcia kobiet zrobione z ukrycia. Nic więcej. Ostatnie zostało wykonane stosunkowo niedawno, może dziesięć lat temu, maksymalnie piętnaście. Dlaczego ojciec ma teczkę z fotografiami tych przypadkowych kobiet?

Nagle przychodzi mu do głowy odrażająca myśl: może ojciec je molestował i teraz nabawił się obsesji na ich punkcie. Może je prześladowuje? Przez jego głowę przelatuje miriada obrzydliwych myśli, niczym scenariusz horroru. Zamyka teczkę z trzaskiem. Nie, myśli. To nie może być to. Jeśli jego ojciec byłby seryjnym przestępcą na tle seksualnym, to czy przynajmniej część z tych kobiet nie zgłosiłaby się na policję, nie złożyła skargi? O ile wie, nikt tego nie zrobił poza Cynthią Parsons. Zastanawia się, czy ona jest jedną z tych sfotografowanych kobiet. Otwiera teczkę ponownie i wraca do pierwszego zdjęcia. Gdyby tylko miał jakieś nazwiska. Sięga po telefon schowany w tylnej kieszeni i robi zdjęcie pierwszym pięciu fotografiom, chociaż nie bardzo wie dlaczego.

Podskakuje na dźwięk chrzczenia żwiru pod oponami. Wstaje i wygląda przez okno gabinetu. Tata parkuje właśnie swojego mercedesa na podjeździe, obok starego volvo. *Cholera*. Theo myślał, że będzie miał trochę więcej czasu. Ojciec zobaczy jego samochód i domyśli się, że tu jest. W domu. Sam. Było to coś, czego nie robił od wyprowadzki po skończeniu uniwersytetu.

Wpycha teczkę z powrotem do skrytki i opuszcza półkę, a potem zatrzaskuje szafkę. Serce bije mu tak mocno, że czuje pulsowanie w uszach. Boi się pomyśleć, jak wściekły będzie jego ojciec, jeśli zastanie go w swoim gabinecie. Próbuje z powrotem zamknąć szafkę na klucz, ale dłubanie spinaczem w zamku nie zdaje rezultatu. Na czole wykwita mu pot. Nie ma wyboru, jak tylko zostawić szafkę w spokoju i mieć nadzieję, że ojciec uzna, że zapomniał ją zamknąć.

Podchodzi ponownie do okna. Tata stoi na podjeździe ze zmarszczonym czołem, przyglądając się samochodowi Theo. Jedną dłonią gładzi się po potylicy. Potem spogląda nagle w górę, na okno swojego gabinetu i Theo musi przykucnąć. *Cholera*, został zauważony?

Na czworakach odpełza od okna i wychodzi z gabinetu, zbiegając wystawnymi schodami. Jego adidasy skrzypią na parkiecie, kiedy biegnie do kuchni. Słyszy zgrzytanie klucza taty w zamku. Theo nalewa sobie wody i przysiadła przy wyspie kuchennej, próbując odzyskać dech i stworzyć wrażenie, że siedział tutaj przez cały czas.

Podeszwy kosztownych butów ojca stukają o parkiet holu, odbijając się echem od ścian. I nagle ojciec pojawia się, dwumetrowa sylwetka przesłania otwór drzwiowy.

– Co ty tu robisz? – warczy groźnie.

– Mavis mnie wpuściła. Chciałem się z tobą zobaczyć... przeprosić cię za tamten dzień.

Ojciec przygląda mu się podejrzliwie, jakby nie był przekonany, czy powinien mu wierzyć.

– Powiedziała mi, że niedługo wrócisz. – Kłamstwo przychodzi Theo zaskakująco łatwo, ale i tak się czerwieni, jak kiedyś w szkole, gdy przyłapał go na nim nauczyciel.

Ojciec podchodzi do czajnika i włącza go. Wygląda na zmęczonego. Pod oczami ma nowe zmarszczki. Zakłada dłonie na plecy i robi coś w rodzaju ćwiczenia rozciągającego.

– Masz wystarczająco jedzenia? – pyta Theo.

– Oczywiście, że tak. Jestem dorosłym człowiekiem. Potrafię się sobą zająć. Odbyłem obowiązkową służbę wojskową.

Chryste, myśli Theo, tylko nie ta stara śpiewka. Ojciec należał do ostatniego rocznika ludzi zmuszonych do odsłużenia swojego w wojsku i nigdy nie pozwalał Theo o tym zapomnieć.

Theo przygląda się, jak ojciec robi sobie herbatę; jego opalone ramiona wystające z rękawów koszulki polo wyglądają na bardzo napięte. Theo zawsze sądził, że doskonale wie, jakim rodzajem człowieka jest jego ojciec. Stanowczy, surowy, staroświecki, inteligentny, z dawnej arystokracji, wykształcony i kontrolujący – tak. Ale nie jest zбочeńcem.

Ani dewiantem prześladowującym innych ludzi. Ani psychopata.

*Czy taki właśnie jesteś, tato?*

Przyglądając się, jak ojciec wyciska torebkę z herbatą o ściankę kubka, Theo zastanawia się, czy kiedykolwiek w ogóle kochał tego człowieka. Żałował go, to prawda, miał poczucie obowiązku w stosunku do niego, odpowiedzialność za niego po śmierci matki, ale miłość? Nie jest przekonany. Może kiedy był dzieckiem, nadal pełnym nadziei, że jego tacie na nim zależy i że stanie się ojcem, którego zawsze pragnął Theo. Zdaje sobie sprawę z zaskoczeniem, że nie lubi swojego taty. To zimny, twardy człowiek i Theo ma dość znajdowania usprawiedliwień dla niego w swojej własnej głowie.

Mógłby stąd wyjść, teraz, natychmiast, nie oglądając się za siebie. Gdyby nie fakt, że w głębi duszy martwi się, że mama byłaby zawiedziona, pewnie tak by zrobił. Wątpi, żeby tatę to obeszło, gdyby już nigdy go nie odwiedził.

– No dobrze. – Zeskakuje ze stołka barowego. – Pójdę już.

Ojciec odwraca się, spoglądając na niego zaskoczony.

– Nie chcesz się napić herbaty?

Theo waha się. Czyżby ojciec chciał, żeby został? Jego intencje można odczytać równie łatwo jak zamysły kamiennej rzeźby. Czy to wyciągnięcie ręki? A potem przypomina sobie słowa Larry’ego, oskarżenie złożone przez Cynthię Parson o występki o charakterze seksualnym. Przypomina sobie czerwone oczy matki i ukrywane siniaki. Przypomina sobie, jak chował się po kątach przerażony jako dziecko, kiedy ojciec był w jednym ze swoich gorszych nastrojów. Kiedy jednak spogląda w błękitne oczy tego mężczyzny, z białkami żółknącymi ze starości, czuje ukłucie współczucia. To stary człowiek. Prawdopodobnie samotny.

– Okej – mówi.

## Saffy

Następnego dnia Tom bierze chorobowe, zgodnie z obietnicą złożoną zeszłej nocy, mimo że powtarzam mu, że nie ma takiej potrzeby.

– Chcę się po prostu upewnić, że ten człowiek nie wróci – mówi przy śniadaniu. Za oknem pada, pierwszy raz od wielu tygodni, i wewnątrz domku panuje chłód i wilgoć. Okna powinny zostać wymienione, chociaż nie sądzę, żebyśmy zaczęli myśleć o tym poważnie, zważywszy na to, co się dzieje – nie wspominając o wydatkach. Rozbudowa kuchni będzie wystarczająco droga. Przeciąg wciska się przez szpary w źle dopasowanych ramach okiennych. Dygoczę w swojej piżamie, siedząc przy stole kuchennym i obejmując dłońmi kubek z herbatą z czerwono krzewu – jedyną rzeczą, którą jestem w stanie przełknąć. Jestem wyczerpana po nocy spędzonej bez zmruczenia powiek, przewracając się z boku na bok i martwiąc się o mamę i z powodu człowieka, który przedstawia się jako Glen Davies.

– Nie chcę, żebyś miał przeze mnie kłopoty – mówię. W tej samej chwili do pokoju wchodzi mama z brudnymi ubraniami. Nie miałam nawet szansy porozmawiać z nią o tym, jak poszło jej z Alanem Hartallem.

– Czy mogę skorzystać z pralki? – pyta. – Kończą mi się czyste rzeczy. Dzięki Bogu, przywiozłam ze sobą zapasową parę butów. Nie mogę uwierzyć, że moje ulubione sandały się zepsuły.

– Daj mi je. Spróbuję naprawić. – Tom wstaje i odnosi pusty talerz i kubek do zlewozmywaka. Ma już na sobie opryskane farbą džinsy z dziurami na kolanach. Chce zacząć malować mały pokój. Wiem, że to jego sposób na ponowne wzbudzenie u mnie radości z powodu dziecka i z faktu posiadania domu. Chce odciągnąć mój umysł od wszystkiego innego. Nie potrafię wyznać mu, że z każdym mijającym dniem czuję się tutaj coraz mniej jak we własnym domu.

Mój telefon wibruje i na wyświetlaczu pojawia się nazwisko taty.

– Czy mama dotarła wczoraj do domu? – to pierwsza rzecz, o którą pyta.

– Tak – odpowiadam, zerkając na mamę, która mi się przygląda. – Zgubiła telefon. Wszystko jest... wszystko jest w porządku. – Nie chcę go martwić, wspominając, że mama została napadnięta i że grożono jej w drodze tutaj.

– To twój ojciec? Mogę z nim porozmawiać? – Wstaje i odbiera mi słuchawkę, zanim mam szansę cokolwiek powiedzieć.

Przykłada ją do ucha.

– Euan? Tak, to ja. – Wychodzi z pokoju do holu, tak że nie jestem w stanie usłyszeć, o czym rozmawiają.

– Niekulturalne – mówię do Toma i śmiejemy się nerwowo. Tom siada obok mnie.

Mama wraca pięć minut później i wręcza mi moją komórkę. Nie mówi, o czym rozmawiała z tatą. Szykuje sobie herbatę i przyłącza się do nas przy stole.

– Mam pomysł – oznajmia. – Myślę, że powinniśmy pojechać do Hiszpanii. Możecie się u mnie zatrzymać na jakiś czas.

Niemal wypluwam herbatę.

– Żartujesz sobie?

– Uważam, że pozostanie tutaj jest niebezpieczne.

– Ale co z naszą pracą? I z babcią? Nie możemy tak po prostu... wyjechać.

– W Hiszpanii też są domy opieki – mówi mama. – Babcię też możemy ze sobą zabrać.

– Jeżeli wyjedziemy, nasze problemy nadal będą na nas czekały po powrocie – stwierdza pragmatycznie Tom. – Nie możemy tak po prostu uciec, Lorna.

Na tym właśnie polega problem z mamą. Przez całe życie uważała, że ucieczka to odpowiedź na wszystkie problemy.

Od czego dokładnie próbuje uciec tym razem? Czy czegoś może mi nie mówić?

\*

W drodze do babci mama opowiada mi o swojej wizycie u Alana Hartalla. Tom został w domu ze Snowym na straży. Zadeklarował, że zerwie tapetę w małej sypialni. Kiedy to powiedział, na twarzy mamy pojawił się smutek. Pamiętała tę tapetę. W dzieciństwie ten pokój należał do niej – to jej związek z przeszłością.

Wychodząc, upewniłam się, że Tom ma numer telefonu do detektywa Barnes'a, na wypadek gdyby znów pojawił się Davies, wędząc koło domu. Później, kiedy wrócę, sama do niego zadzwonię i opowiem, co przytrafiło się mamie. Daviesowi nie może ujdąć na sucho atakowanie kobiet na ulicy.

– Myślę, że Sheila ukradła tożsamość Daphne Hartall. Jestem pewna, że lokatorka twojej babci i Sheila to jedna i ta sama osoba.

– Okłamała babcię?

Mama wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Mogłybyśmy ją o to zapytać, kiedy dotrzemy na miejsce. W każdym razie poprosiłam twojego tatę, żeby dowiedział się, czego może, o Sheili Watts i Daphne Hartall.

– Już go pytałam o Sheilę – objaśniam jej sytuację z dokumentami i to, że znalazłam nazwisko Neila Lewishama pod jednym z artykułów związanych z inną sprawą. – Naprawdę musimy iść z tym na policję – dodaję, wiedząc, że mama się ze mną nie zgodzi. – Sierżant Barnes może nam pomóc to wszystko rozplątać.

– Dla kogo pracuje Davies i co wie? – mówi mama. – Matko, co za gówno.

– Mamo!

– Przepraszam, ale to prawda. A próba wyciągnięcia czegokolwiek z babci jest równie łatwa i bezbolesna jak rwanie zębów.

Deszcz rozpadał się na dobre. Wycieraczki skrzypią, pracując na najwyższych obrotach. Musiałam podkręcić grzanie, bo widziałam, że mama cała dygocze z zimna, ubrana w swoją cieniutką marynarkę. Nie chciała pożyczyć kurtki przeciwdeszczowej ani od Toma, ani ode mnie. Jej ciemne loki, podobne do moich, ale krótsze, jeszcze bardziej się poskręcały.

Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, babcia siedzi jak zwykle na swoim krześle przy oszklonych drzwiach wychodzących na ogród. I jak zawsze myślę na ten widok, że musi tęsknić za krzątaniem się w swojej szklarni, za zajmowaniem się rzodkiewkami oraz sadzeniem cebulek kwiatów na działce. Stukanie deszczu o okna firmy Velux w połączeniu z tropikalnym wręcz upałem nadaje pomieszczeniu wrażenie przytulności. Babcia ma na sobie zielony sweter, który kupiłam jej na święta dwa lata temu. Przed nią na stoliku leży niedokończona układanka – ta, którą zajmowałyśmy się wcześniej, przedstawiająca psa. Włosy babci są przerzedzone i wyglądają jak kępki waty wokół jej twarzy. Czuję bolesne ukłucie w sercu, widząc ją tak małą i bezbronną każdego tygodnia.

Uśmiecha się do mamy i do mnie, kiedy siadamy na krzesłach obok niej. Jest to jednak uprzejmy uśmiech, którym obdarza się nieznajomych.

– W czym mogę pomóc? – pyta. Czuję, jak mama sztywnieje obok mnie.

– Babciu, to ja, Saffy.

Jej oczy rozjaśniają się.

– Saffy!

– I twoja córka, Lorna – dodaje mama.

– Lolly!

Ocieram łzę, która wypłynęła z kącika oka. Mam nadzieję, że nikt tego nie zauważył. Nigdy nie słyszałam, żeby nazywała mamę tym zdrobnieniem, i zastanawiam się, czy babcia cofnęła się do przeszłości, do czasów, gdy mama była jeszcze małą dziewczynką.

– Tak. – Ulga w głosie mamy jest niemal namacalna. Chwyta dłoń babci. – To ja, Lolly.

– Przepraszam cię, Lolly. – Twarz babci wykrzywia się w smutku. – Tak bardzo mi przykro. – Łzy zaczynają jej płynąć po pomarszczonych policzkach, a ja czuję, że za chwilę pęknie mi serce.

– Za co mnie przepraszasz? – pyta mama łagodnie, spoglądając z niepokojem to na babcię, to na mnie. – Nie musisz mnie za nic przepraszać.

– Czy policjanci tu wrócą?

– Nic się nie martw policją. Ja się z nimi rozmówię – oświadcza stanowczo mama, wyciągając chusteczkę jak magik i wręczając ją babci. Zawsze wydaje się mieć jedną w pogotowiu. Nie mam pojęcia, gdzie ona je wszystkie chowa w tych swoich obcisłych ubraniach. Babcia bierze ją i ociera łzy.

– Mamo. – Moja mama waha się i rzuca mi zaniepokojone spojrzenie. – Czy mogę cię o coś zapytać? Pamiętasz może człowieka o nazwisku Neil Lewisham?

Babcia mruga gwałtownie, spoglądając na nią błękitnymi oczami, ale nie odpowiada.

– A co z Sheilą Watts? – Mama próbuje szczęścia.

– Sheilą Watts?

– Tak. Wspominałaś ją wcześniej, pamiętasz?

Babcia spogląda na mnie, nadal ocierając policzki.

– Jean uderzyła ją w głowę. Jean uderzyła ją w głowę i już więcej nie wstała.

– Jean uderzyła Sheilę? – pytam.

– Nie. Jean uderzyła Susan. Susan umarła – mówi babcia niecierpliwie, jakbyśmy powinny wiedzieć, o czym opowiada.

Susan? Kim, do cholery, jest Susan?

– Czy Susan została pochowana w ogrodzie? – pytam spokojnie, nie chcąc jej zestresować.

– Nie wiem, czy jest w ogrodzie. – Babcia marszczy czoło i zaczyna drzeć papierową chusteczkę w dłoniach. – Nie wiem, gdzie ją położyli.

– Kim są oni, babciu?

– Ludzie, którzy przyszli ją zabrać, oczywiście. Przecież nie zostawiliby jej tam krwawiącej, prawda?

Kątem oka dostrzegam skonsternowaną minę mamy.

– Więc Susan nie żyje? – pytam. Żołądek ściska mi się ze strachu. Pamięć babci jest niczym rozbity witraż: jego fragmenty oddzielnie nic nie znaczą, ale jeśli złoży się je w odpowiedniej kolejności, mogą powiedzieć wszystko. – Pamiętasz może jej nazwisko? Susan?

– Wallace. Nazywała się Susan Wallace.

Słyszę, jak mama gwałtownie wzdycha.

– I powiadasz, że Jean zabiła Susan Wallace i pogrzebała ją w ogrodzie?

Babcia potrząsa głową, wyraźnie zestresowana.

– Nie, nie, nie, nie pochowała jej. Nie. Ale Jean uderzyła ją w głowę. Uderzyła ją w głowę i tamta umarła.

– I to się zdarzyło w 1980 roku, kiedy mieszkałaś w domku w Cotswolds? – pyta mama, nachylając się w stronę babci.

– Ja... ja nie wiem. – Babcia zaczyna wyłamywać ręce. Chusteczka leży w strzępkach na jej kolanach. – Nie pamiętam, kiedy to się stało... wszystko jest takie zamglone. – Krzywi się płacząco, a potem spogląda na mnie.

– Powiedźże no, kto to jest? – pyta nagle, niespodziewanie, zupełnie jakby konwersacja przed chwilą w ogóle nie miała miejsca. Wskazuje palcem na mamę.

– To Lorna, twoja córka – mówię zawiedziona.

– Och, tak... tak... – Odwraca się od nas i wpatruje w mokre od deszczu okno. Zerkam na mamę.

– Chyba chwilowo odpłynęła.



**Rose***Luty 1980 roku*

Spędziłyśmy kilka cudownych dni w zasypanym śniegiem domu. Mogłabym żyć w ten sposób do końca życia – tylko my trzy, odcięte od reszty świata. Oglądałyśmy czarno-białe filmy w telewizji, jadłyśmy domową zupę Daphne, a ja zrobiłam ciasto, specjalnie dla ciebie. To było jak druga Gwiazdka. Niestety, czwartego dnia z niepokojem zauważyłam, że drogi się przecierają, została na nich tylko śnieżna breja. Zaspasy śnieżne na poboczach pozołkły. Zabrałam cię na zajęcia grupy przedszkolnej; chodniki były śliskie pod podeszwami kaloszy, bo śnieg zmienił się w lód.

Kiedy wróciłam z powrotem do domu, Daphne zakładała właśnie swój cienki patchworkowy płaszcz. Włosy związała w koński ogon.

– Dokąd się wybierasz? – spytałam zaskoczona.

– Do pracy. Nie mogę tu zostać do końca życia – odpowiedziała, naciągając na głowę swoją zrobioną na szydełku czapkę. – Chociaż bardzo bym chciała. Nie mam ochoty, żeby Joel mnie wyrzucił.

Byłam zaskoczona, że jeszcze tego nie zrobił, po tym jak odrzuciła jego zaloty. Nadal próbowałam pogodzić Joela, jakiego wydawało mi się, że znałam, z Joelem, o którym opowiadała Daphne. Niestety, jak się później zorientowałam, byłam wtedy (i chyba zawsze) bardzo naiwna, jeśli chodzi o mężczyzn. Nie mogłam już dłużej ufać swojemu własnemu osądowi.

Zastanawiałam się, czy Joel bał się tego, co może zrobić Daphne, jeśli postanowi ją zwolnić. Daphne była porywcza i zdeterminowana, jeżeli zechciała. Widziałam, jak opieprzyła śmieciarzy, którzy nie sprzątnęli jednej torby na śmieci, i jak nawrzeszczała na jednego z miejscowych nastolatków za kopanie gołębia.

Bez niej w domu było dziwnie pusto i złapałam się na tym, że liczę godziny do jej powrotu, próbując odwrócić moją uwagę czynnościami takimi, jak nastawienie prania, wymycie podłogi w kuchni, a potem wycieczka na rynek

miejski, żeby odebrać cię z zajęć grupy przedszkolnej. Sklep na rogu był otwarty, ale kawiarnia Melissy nadal była zamknięta.

Wiedziałam, że Daphne kończy zmianę o siedemnastej, tuż przed otwarciem pubu wieczorem. Zazwyczaj była w domu pół godziny później.

Tymczasem minęło wpół do szóstej, a jej wciąż nie było.

Do tego czasu zrobiło się już ciemno, chociaż światło odbijane przez śnieg rozjaśniało krajobraz. Noc była bezchmurna. Na niebie widać było gwiazdy, a na horyzoncie sylwetkę otaczającego nas lasu.

– Gdzie Daffy? – spytałaś, kiedy szykowałam ci paluszki rybne. Zazwyczaj Daphne jadła z nami i rzucałaś teraz tęskne spojrzenia na puste krzesło i matę, którą zawsze używała – tę w duże purpurowe kwiaty.

– Powinna wrócić już niedługo – starałam się utrzymać lekki ton, chociaż tak naprawdę przepełniał mnie strach. Co, jeśli stało się jej coś złego? Co, jeśli Joel, wściekły na nią za to, że go odrzuciła, skrzywdził ją? Doświadczenia z przeszłości przemknęły mi przez głowę i zadrzałam na myśl, że mogłaby przechodzić teraz przez coś podobnego.

Po odczekaniu kolejnej godziny nie mogłam już tego dłużej znieść. Zabrałam cię do Joyce i Roya i poprosiłam ich, żeby popilnowali cię do czasu mojego powrotu. Byli zachwyceni z twoich odwiedzin, tak jak się spodziewałam. Nie chciałam cię wprawdzie zostawiać, ale nie mogłam przestać myśleć o tym, że Daphne być może jest gdzieś tam, w tarapatach. Ruszyłam więc przez brudny wodnisty śnieg do pubu, odcinającego się niczym latarnia morska na tle ciemnej ściany lasu, ze światełkami choinkowymi dekorującymi drzwi i bursztynowożółtą poświatą z okien, odbijającą się od chodnika. Pobliska rzeka była atramentowo czarna i złowieszcza. Od razu wyobraziłam sobie Daphne wpadającą do niej. Nie, powiedziałam sobie. Nie musiała się nawet zbliżyć do mostu. To całkiem w przeciwną stronę niż Skelton Place. Zadrzałam pod paltem, dochodząc do pubu. Próbowałam zajrzeć do środka przez okna w ołowianych ramkach, ale trudno było dostrzec zarysy twarzy, tylko sylwetki ludzi tłoczących się przy barze. Pomyślałam, że może została na drinka, chociaż zazwyczaj wracała prosto do domu. Do nas. A potem pomyślałam, że może mimo tego, co mi powiedziała, Joel się jej jednak podobał. Poczułam uderzenie rozczarowania nią. Po wszystkim, co sobie powiedziałyśmy, po obietnicach, które złożyłyśmy co do mężczyzn – o tym, że nie potrzebujemy ich w swoim życiu, o tym, że od tej chwili będziemy się trzymać razem. Myślałam, *miałam nadzieję*, że Daphne była taka jak ja.

Odetchnęłam głęboko, żeby się uspokoić, gotowa na konfrontację z Joelem.

– Rose.

Odwróciłam się. Przy krzakach w pobliżu mostu ktoś się czał.

Z cienia wynurzyła się kobieta, ale nie wyglądała jak Daphne. Miała krótkie kasztanowe włosy uczesane w postrzępioną fryzurę na elfka.

Westchnęłam gwałtownie, kiedy weszła w krąg światła. Daphne. Jej długie jasne włosy zniknęły.

– Co ty robisz? I co zrobiłaś z włosami? – syknęłam.

Wyglądała na przerażoną.

– To peruka. Noszę ją w torbie, na wszelki wypadek. – Rozejrzała się dookoła ukradkiem. – Znalazł mnie, Rose. Chyba mnie znalazł.

## Theo

W restauracji jest pełno klientów, jak zawsze w piątkowy wieczór, i Theo nie ma czasu myśleć, szykując kurczaka w czosnku, przysmażane ziemniaki i swoje popisowe danie, wołowinę Wellington. Zazwyczaj uwielbia to szybkie tempo, czuje wyrzut adrenaliny, szykując kolejne dania i wykrzykując polecenia do podległych mu pracowników. Uprzejmie. Nie jest Gordonem Ramsayem. Tego wieczoru jednak ma migrenę z niewyspania. Chociaż ojciec po przyłapaniu go w kuchni zachowywał się nawet dość przyjaźnie, rozmawiając z nim przy herbacie, Theo nie mógł zapomnieć o słowach Larry'ego i tych dziwnych fotografiach. Cieszył się, że następnego dnia pojedzie z Jen do Cotswolds i spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej o ciałach z ogrodu i możliwym związku z jego ojcem. Myśl o tym pomaga mu przetrwać dzisiejszy wieczór. Jeżeli nawet niczego się nie dowiedzą, będzie miał przynajmniej szansę wyjechać z Jen z miasta.

Przez całą pięciogodzinną zmianę nie przerywa pracy i zwalnia dopiero po dwudziestej drugiej. Zaczyna sprzątać. Jego kolega, Noah, opowiada coś o filmie, który który oglądał zeszłej nocy. Nagle podchodzi do niego jedna z kelnerek, Isla.

– Klient chciał pogratulować szefowi kuchni – mówi z szerokim uśmiechem, niemal z dumą, zupełnie jakby pracował w restauracji z gwiazdkami Michelina. Coś takiego zdarzyło się Theo tylko raz, chociaż drugi szef kuchni, Perry, doświadczył tego kilkakrotnie. Na szczęście dzisiaj nie pracuje, więc Theo wie, że klient zdecydowanie musi mieć na myśli jego.

Restauracja jest mała, zaledwie na około dziesięć stolików, ułożonych w linii prostej po dwa obok siebie. Isla prowadzi go wzdłuż przejścia, między stolikami, wciąż jeszcze zajętych przez ludzi kończących obiad. W rogu przy oknach na całą ścianę, wyglądających na główną ulicę miasta, siedzi starszy mężczyzna w znajomej koszuli od Ralphi Laurena i materiałowych spodniach.

Theo zastyga. To jego ojciec.

– Proszę bardzo. – Isla robi gest „tadam” i klepie Theo po plecach. – Jesteśmy bardzo dumni z naszego szefa kuchni – oświadcza z błyskiem w oku, a potem, na szczęście, odchodzi, nie zdając sobie sprawy, że klient jest ojcem Theo.

– Co... co ty tu robisz? – pyta Theo. Talerz ojca jest pusty. Stolik numer osiem. Małże. Jest zaskoczony. Tata preferuje tradycyjny obiad z pieczenią. Musiał osiągnąć jego wysokie standardy, skoro zjadł wszystko.

– Czy ojciec nie może przyjść do restauracji, w której jego syn jest szefem kuchni? – Odchyła się na oparcie krzesła i zakłada ręce na szerokiej piersi. – Dobra robota, synu. Smakowało mi.

Theo mruga, niepewny, czy dobrze usłyszał.

– Po prostu... pracuję tutaj od dwóch lat i pierwszy raz...

– Chciałem się przekonać na własne oczy. – Ojciec się rozgląda. – Bardzo przyjemnie. – Na ustach ma przyklepiony zastygły grymas uśmiechu. Theo wie, że restauracja nie jest wystarczająco elegancka dla ojca, więc po co w ogóle udaje? Dlaczego tak naprawdę się tutaj zjawiał?

Theo przestępuje z nogi na nogę.

– Ja... cóż, miło mi, że ci się podoba, ale muszę wracać do kuchni.

Ojciec kiwa głową. Mocne oświetlenie restauracji sprawia, że wygląda bladziej niż zwykle. Kiedy Theo odwraca się, żeby odejść, tamten rzuca:

– Naprawdę kochałem twoją matkę, wiesz?

Theo zatrzymuje się, z mocno walącym sercem.

– Wiem, że uważasz, że tak nie było.

– Nigdy tego nie powiedziałem – odpowiada skołowany Theo.

– Nie byłem zawsze najlepszym mężem. – Ramiona ojca są sztywne, ściągnięte do tyłu. – Znam swoje wady. Ale nigdy bym jej nie skrzywdził.

Theo przypomina sobie siniaki, które starała się ukryć matka, i wie, że ojciec gada kompletne bzdury o krzywdzeniu jej. Zastanawia się, czy naprawdę wierzy w to, co mówi. Czyżby przepisał w myślach całą historię, żeby móc jakoś żyć z potwornościami, których był sprawcą? A może kochał matkę na swój własny, pokręcony sposób.

– Jej śmierć była wypadkiem.

Theo czuje ogarniający go chłód. Tata wie. Wie, że Theo szperał w jego gabinecie. Znalazł otwartą szafkę. Dlaczego inaczej miałyby się tu pojawić i rozmawiać o matce?

– A Cynthia Parsons? – słowa wylatują mu z ust, zanim jest w stanie zarejestrować, co mówi. Krzywi się. Nie powinien poruszać tutaj tego tematu.

Jest w pracy, a to zbyt poważna rozmowa, żeby przeprowadzać ją podczas pięciominutowej przerwy.

Cała krew odpływa z twarzy ojca.

– Co wiesz o Cynthii Parsons?

– Wiem, że złożyła na ciebie skargę – mówi cicho Theo, żeby nie zaniepokoić innych klientów. Pewnie wygląda to dość dziwnie; on w swoim białym fartuchu kucharskim, rozmawiający bardzo intensywnie ze starszym panem. Inni ludzie mogą pomyśleć, że ojciec składa zażalenie. To może źle wyglądać.

– To było bardzo dawno temu.

– Molestowanie seksualne – wypluwa z siebie Theo, nie potrafiąc ukryć odrazy w głosie.

– Nic o tym nie wiesz – warczy ojciec. – I doceniłbym, gdybyś na przyszłość przyszedł do mnie, zamiast robić coś za moimi plecami.

– Jasne. – Theo wzrusza ramionami, starając się sprawiać wrażenie niewzruszonego, chociaż serce wali mu jak młotem, a dłonie pocą się na myśl o konfrontacji z ojcem. – Bo jesteś bardzo otwarty, jeśli chodzi o przekazywanie informacji. Próbowałem cię pytać wcześniej, ale nigdy nie byłeś ze mną szczery.

– Smuci mnie to, że czujesz potrzebę węszenia w moich sprawach.

Theo zakłada ręce na piersi. Czy powinien zaprzeczyć? Nie ma sensu.

– Wiem, że byłeś w moim gabinecie – mówi ojciec ze śmiertelnym spokojem. – Zostawiłeś otwarte drzwiczki do szafki.

– Dlaczego trzymasz w niej teczkę ze zdjęciami przypadkowych kobiet i plik wycinków gazetowych z artykułami o mamie?

Ojciec wpatruje się w niego z kamienną twarzą. Theo podejrzewa, że zanim tutaj przyszedł, przećwiczył sobie dokładnie, co powiedzieć.

– Artykuły są stare, z czasów gdy twoja mama umarła. Zapomniałem o nich. A folder to tylko pacjentki, którym pomogłem w ciągu wielu lat, to wszystko. Nie zrozumiałbyś, bo nie jesteś lekarzem, ale my przywiązujemy się do ludzi, którym pomagamy. Chciałem je pamiętać.

Coś się tutaj nie zgadza.

– W takim razie dlaczego trzymasz to wszystko pod kluczem?

Ojciec prychnął.

– Och, daruj sobie już to odgrywanie Colombo, na litość boską. Robisz z igły widły. Po prostu o nich zapomniałem. Wiesz, że przeszedłem na emeryturę dawno temu. – Zakłada nogę na nogę, spoglądając na Theo z samozadowoleniem wypisanym na twarzy.

Theo odsuwa krzesło, ogłupiały. Nie może pozwolić ojcu się z tego wywinąć. Nie teraz, kiedy się pojawił. Nie teraz, kiedy poruszył ten temat.

– Więc Cynthia kłamała, tak?

Ojciec poprawia spodnie naciągnięte na kolanie.

– To skomplikowane. Nie zrobiłem nic złego. Cynthia miała chłopaka, wpadła w histerię i próbowała oskarżyć mnie o niewłaściwe zachowanie. Nie byłem wtedy jeszcze z twoją matką. Spotkaliśmy się później. Nie musiałem zmuszać kobiet, żeby ze mną były, Theo.

Theo chce mu wierzyć, ale nie może. Ojciec jest zbyt miły, zbyt skory do pomocy. Zupełnie jakby został przyparty do muru.

– W takim razie o co chodzi z tym artykułem na twoim biurku i napisem „znajdź ją”? Dlaczego...

– Dlaczego, dlaczego, dlaczego? – wypluwa z siebie ojciec. – Pomyślałem, że przyjdę tutaj, spróbuję ci wytłumaczyć, będę miły, ale nie. To ci nie wystarcza, co? Zrzedzisz jak matka. – Chwyta kurtkę i wstaje.

– Posłuchaj, tato. To nie jest rozmowa na takie miejsce. Kończę za pół godziny. Mogę przyjechać i...

Zanim kończy zdanie, jego ojciec przeciska się obok niego. Theo traci równowagę i wpada na stolik za nim, na szczęście pusty.

Ojciec odwraca się, zupełnie nieprzejęty tym, że zrobił krzywdę synowi.

– Nigdy więcej nie grzeb w moich pieprzonych rzeczach – syczy. W restauracji robi się cicho. Wszyscy spoglądają na Theo, kiedy jego ojciec wychodzi, trzaskając drzwiami.

## Saffy

Jest późne piątkowe popołudnie. Słyszę mamę w dużym pokoju, rozmawiającą z Alberto. Musiała skorzystać z mojej komórki. Jej telefon powinien pojawić się za dzień lub dwa – udało się jej go odnaleźć, dzwoniąc do kawiarni w Broadstairs, gdzie go zgubiła. Na szczęście jakiś dobry samarytanin oddał go obsłudze lokalu. Z tego, co słyszę, mama tłumaczy Alberto, że chce zostać na kolejny tydzień. To prawda, że mnie denerwuje, z tym swoim zamartwianiem się, robieniem zamieszania i nieustanną paplaniną, ale mimo wszystko, gdyby wyjechała jutro, tęskniłabym za nią. Myśl o spędzaniu długich dni samotnie w tym domu, z dziennikarzami krążącymi w pobliżu jak stado głodnych wilków i z jakimś podejrzanym prywatnym detektywem czającym się w lesie sprawia, że zaczynam panikować. Nie pomaga fakt, że moje dni wypełnione są projektowaniem okładek złowieszczych powieści. Poza tym tak wiele jeszcze nie wiemy o babci, jej przeszłości i o tych dwóch ciałach z ogrodu. O Sheili, Jean i Susan. To oczywiste, że babcia o czymś wie, tylko gubi się w swoich własnych myślach – tak jak w tej grze, w którą grała ze mną w dzieciństwie, w której górna część papierowego ciała nie pasuje do dolnej części. Cały czas czuję się trochę wylękniona i nie wiem, czy to hormony, czy cała ta sytuacja – a może jedno i drugie.

Ostatniej nocy zadzwoniłam do sierżanta Barnesa i opowiedziałam mu wszystko o napaści Glena Daviesa na mamę. Mama próbowała mnie powstrzymać, mówiąc, że groził jej na wypadek, gdyby poszła z tym na policję, ale uważam, że postąpiłam właściwie.

Przylepiam uśmiech na twarz, kiedy mama pojawia się w kuchni, gdzie szykuję herbatę. Wręczam jej kubek, który bierze, trochę nieobecna. Skończyłam już na dzisiaj pracę, choć wiele nie zrobiłam, bo mama wsadzała co godzinę głowę przez drzwi do mojego gabinetu i pytała, czy dobrze się czuję i czy czegoś nie potrzebuję.



– Chyba nie jest zbyt zadowolony – zaczyna, popijając herbatę w zamyśleniu. – Chyba zamierza się wyprowadzić.

– Co takiego? Bo nie ma cię na każde jego zawołanie?

Mama krzywi się.

– Nie. Nie chodzi tylko o to. Od jakiegoś czasu czegoś brakowało w naszym związku. Poza tym on i całe moje życie tam w tej chwili wydaje się odległe o milion kilometrów. Nie mogę stąd wyjechać. Jeszcze nie. Twoja babcia coś wie, to oczywiście. Musimy dotrzeć do sedna. Dowiedzieć się, o czym wie i czy kogoś próbuje chronić.

– Czy twoja szefowa nie będzie zła, jeśli weźmiesz kolejny tydzień wolnego?

– Nic jej nie będzie. Jest mi winna mnóstwo wakacji, Saffy – mówi zdecydowanie. – Zostaw to mnie. Nie mogę jeszcze wrócić do Hiszpanii. Najpierw musimy rozwikłać tę całą sprawę.

Wzdycham.

– Ale ona może się nigdy nie rozwiązać.

– Oczywiście, że ją rozwiążemy – prycha mama. Tak właśnie wszystko działa w jej świecie. I mama robi wszystko, żeby tak było. – Jeżeli twoja babcia coś wie na temat ciał, kim byli ci ludzie i kto ich zabił, to zapewne milczała przez wszystkie te lata ze strachu. Policja na pewno to zrozumie.

Odwracam się, zaciskając dłonie na kubku. Czuję mdłości. Z kuchennego okna widzę dziurę w ziemi – rozkopany grób. Ponure odkrycie, które zaczęło to wszystko. Nawet pewni siebie robotnicy nie chcą tu wrócić i wcale ich nie winię. Wygląda na to, że utknęliśmy w tym bagnie na jakiś czas. Zawsze już będziemy wiedzieli, że zamordowano tu dwie osoby. Tak bardzo żałuję, że w ogóle zaplanowaliśmy rozbudowę kuchni. Gdyby nie to, mieszkalibyśmy sobie tutaj w błogiej nieświadomości i nic z tego by się teraz nie działo.

\*

Decyduję się położyć wcześniej – nie ma nawet dziesiątej wieczorem. Przez cały dzień czułam mdłości i nie wiem, czy to ciąża, czy stres.

Leżę w kąpielni, dopóki woda nie robi się chłodna. Jestem prawie w osiemnastym tygodniu i widzę mój wypukły brzuch pod wodą. Pępek zmienił kształt i wystaje bardziej niż zazwyczaj. Wychodzę ostrożnie z wanny i wycieram się, a potem zakładam moją najwygodniejszą piżamę. Gramolę się do łóżka. Kołdra jest cudownie chłodna. Słyszę Toma i mamę, rozmawiających

na dole. Nie jestem w stanie zrozumieć, o czym mówią, ale zapewne coś na temat babci. W zasadzie nasze wszystkie konwersacje krążą wokół niej. Przewracam się na bok i podciągam kolana pod brzuch. To powinien być mój najszczęśliwszy okres, oczekiwanie na przybycie dziecka, remont domu. Tymczasem wszystko wydaje się szare i zbrukane. Przewracam się na plecy i rozglądam po pokoju. Czy był to pokój babci, kiedy jeszcze tu mieszkała? Musiała postawić łóżko w ten sam sposób, zwrócone do kominka z kutego żelaza na przeciwległej ścianie, z oknem wychodzącym na podjazd po prawej. Mimo zmęczenia wstaję, podchodzę do okna i odsuwam zasłony, zastanawiając się, czy Glen Davies nie czai się gdzieś tam w mroku.

Czuję napięcie w podbrzuszu, a potem mam wrażenie, jakbym się zsiusiała. Biegnę do łazienki z bijącym mocno sercem, czując gorąco rozlewające się po twarzy. W panice ściągam spodnie od pizamy i siadam na toalecie. O Boże, o Boże... nie mogę oddychać. Widzę smugę czerwieni w kroczu spodni. Krew. Nie powinnam krwawić. Owca

– Tom! – krzyczę.

Słyszę, jak wbiega głośno na górę i wpada do łazienki.

– Co się stało? Co... – Pewnie widzi szok i rozpacz na mojej twarzy, ponieważ delikatnie pomaga mi wstać z sedesu. – Idź się ubrać. Musimy jechać do szpitala.

Zakładam stare granatowe spodnie od dresu, których nie nosiłam od lat, a do tego niepasujący kolorem sweter. Mama staje w drzwiach z poszarzałą twarzą.

– Czy to coś z dzieckiem?

– Nie wiem, nie wiem! – krzyczę, ściągając włosy w kucyk. W gardle mi zasycha. – Jest nadal tak wcześnie, mamo. To dopiero osiemnasty tydzień.

Mama chwyta mnie w ramiona, a ja płaczę, właściwie skomlę, i jestem tak bardzo wdzięczna, że tu jest.

Podróż do szpitala pamiętam jak przez mgłę. Tom prowadzi zbyt szybko, a mama pociesza mnie na tylnym siedzeniu.

– Myślisz, że to poronienie? – pytam ją raz po raz.

– Nie wiem, kochanie, nie wiem. – Odgarnia włosy z mojej twarzy, a mi przypominają się wszystkie te chwile, gdy też to robiła, kiedy byłam dzieckiem i budziłam się z koszmarów albo gdy byłam chora. Pamiętam, że babcia robiła to samo, kiedy zostawałam z nią na lato – jak pozwalała mi przychodzić do siebie do łóżka, kiedy budziłam się w nocy przestraszona.

– Krwi jest mało, więcej, kiedy się podcieram, wiesz... – Próbuję chwycić się resztek nadziei.

– Zobaczmy, co powiedzą lekarze.

Nie wiemy dokładnie, dokąd się udać, więc kierujemy się od razu na ostry dyżur, ale tam odsyłają nas na porodówkę. Musieli zadzwonić i uprzedzić ich o naszym przybyciu, bo przy wejściu wita nas dobrotliwie wyglądająca pielęgniarka i prowadzi na oddział, gdzie na łózkach, podpięte do różnych maszyn leżą dwie kobiety w różnym stopniu zaawansowania ciąży. W powietrzu unosi się słodkawy zapach środka dezynfekującego. Jestem zbyt przerażona, żeby płakać. Pielęgniarka każe mi położyć się na łóżku. Trzymam Toma za rękę spoconą dłonią. Po wyjaśnieniach na temat krwi pielęgniarka szybko wychodzi i za chwilę wraca z maszyną do USG. Zaciąga cienkie niebieskie zasłony wokół nas. Jest spokojna. Moja buzia płonie, ale ciało jest lodowate z przerażenia. Tom ma poszarzałą twarz, mama stoi po drugiej stronie łóżka, po raz pierwszy nie wiedząc, co powiedzieć. Pielęgniarka, Gail, podsuwa mój sweter do góry, a ja podwijam spodnie, żeby odsłonić brzuch. Ręce mi się trzęsą. Gail uśmiecha się do mnie promiennie, ale po jej spojrzeniu widzę, że jest zaniepokojona. Koncentruje się na ekranie, przesuając powoli sondę po moim brzuchu. Ścisza mnie w piersi. Zerkam na Toma i potrząsam ze smutkiem głową. *Straciliśmy je.*

A potem Gail spogląda na nas wszystkich z szerokim uśmiechem i nagle chce mi się płakać.

– Serce dziecka bije prawidłowo – mówi. – Być może to jakaś infekcja dróg moczowych, co często powoduje plamienie. Zrobimy badania moczu, ale musi pani być ostrożna i obserwować uważnie, co się dzieje. Jeżeli plamienie się powtórzy, proszę natychmiast do nas zadzwonić.

Gail wychodzi po pojemnik na mocz, a mama i Tom zaczynają mnie ścisnąć, oboje naraz.

\*

Zanim wracamy do domu – zaopatrzeni w antybiotyki po potwierdzeniu infekcji i w numer telefonu na wypadek, gdyby pojawiły się kolejne kłopoty – mija północ.

Wchodzimy do środka. Tom nadal jest przesadnie ożywiony, odreagowując stres.

– Nigdy nie byłam tak przerażona – mówię, kiedy wchodzimy na korytarz. Całe to wydarzenie nadało rzeczom inny sens. Od tej chwili postanowiłam, że będę robić wszystko, co w mojej mocy, żeby chronić tę ciążę. Zasłaniam mój brzuch dłońmi w ochronnym geście, przysięgając w duchu, że moje dziecko będzie bezpieczne, bez względu na koszt.

Spodziewam się, że Snowy wybiegnie nam na przywitanie, ale nie ma po nim śladu.

– Zimno tu jakoś – zauważa mama. Ma na sobie tylko lekki tweedowy zakiet zarzucony na letnią bluzeczkę, ale ma rację: czuję przeciąg dochodzący z tyłu domu. Tom włącza światło, w drodze do kuchni. Otwiera drzwi i wzdycha gwałtownie:

– Co, do cholery?

Mama spogląda na mnie z niepokojem i uniesieniem, jakie czułam zaledwie chwilę temu, znika, zastąpione obawą. *Snowy*. Przyspieszam. Tom stoi na środku kuchni, przestraszony. Tylne drzwi są otwarte na oścież a Snowy'ego nigdzie nie widać.

Szuflady zostały wyciągnięte z szafek, najwyraźniej w pośpiechu, więc długopisy, stare rachunki, opłaty za podatek komunalny i wszystko inne, przedtem powpychane gdzie bądź, teraz leży porozrzucane na podłodze.

– Gdzie jest Snowy? – krzyczę, rozglądając się rozpaczliwie.

Mama biegnie do dużego pokoju, a potem wraca do nas.

– Lepiej zadzwoń po policję – mówi stłumionym głosem. – Wygląda na to, że ktoś się do was włamał.

– Zaczekaj. – Tom chwyta nóż z drewnianego stojaka obok mikrofalówki. – Zadzwońcie pod 999 i zostańcie tutaj. Włamywacze mogą nadal być w domu.

**Rose***Luty / Marzec 1980 roku*

Daphne była nerwowa i spięta, kiedy prowadziłam ją do domu. Dziwna peruka wyglądała bardzo nienaturalnie, zupełnie jakby wylądowało jej na głowie dzikie stworzenie. Co chwila rozglądała się nerwowo, zerkając w kierunku żywopłotów, jakby spodziewała się, że w każdej chwili ktoś może z nich wyskoczyć.

– Joel powiedział mi, że dzisiaj w pubie pojawił się jakiś mężczyzna i wypytywał o mnie – powiedziała bez tchu. Szłyśmy tak szybko, jak mogłyśmy. Objęłam ją ramieniem, usiłując ją pocieszyć, ale czułam, jak cała dygocze. Wydawała się taka bezbronna jak wtedy, kiedy spotkałam ją pierwszy raz, podczas Wigilii. – W końcu mnie znalazł. Może powinnam wyjechać, Rose. Może powinnam stąd zniknąć.

Ogarnął mnie lęk. Nie chciałam, żeby wyjeżdżała.

– Nie możesz od razu wyciągać ostatecznych wniosków. Jeszcze nie. Najpierw musisz się dowiedzieć więcej – powiedziałam, próbując ją uspokoić, chociaż byłam pewna, że gdyby to mnie dotyczyła ta sytuacja, też chciałabym uciec. – Nie wracaj do pracy w pubie. Przyczaj się na jakiś czas w domu.

Daphne pokiwała głową, przygarbiona tak bardzo, że jej ramiona dotykały uszu.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzałam, prowadząc ją przez ciemność. Żałuję, że nie była to prawda.

\*

Daphne za bardzo się bała wyjść z domu. Spinała się za każdym razem, kiedy ktoś pukał do drzwi albo słyszeliśmy jakiś ruch na drodze. Jej twarz była blada i ściągnięta strachem. Paliła jeszcze więcej niż zwykle. Całymi godzinami

usiłowałam ją uspokoić i w miarę upływu dni wydawało mi się, że w końcu powoli do niej docieram i że może zostanie.

A potem, pewnego dnia, kiedy byłaś na zajęciach grupy przedszkolnej, przyszła do mnie, kiedy odkurzałam w dużym pokoju.

– Muszę je obciąć. Są zbyt charakterystyczne.

Jej włosy. Jej piękne, gęste włosy koloru słomy. Włosy, których jej zazdrościłam. Włosy, o których głaskaniu marzyłam.

Przerwałam sprzątanie. Jej duże, głęboko osadzone oczy spoglądały na mnie błagalnie.

– Pomożesz mi? Nie chcę iść do fryzjera.

Cofnęłam się o krok przerażona.

– Żartujesz, prawda? Chcesz, żebym obcięła ci włosy?

– Proszę.

Jak mogłam odmówić, kiedy patrzyła na mnie w taki sposób? Chciałam jej pomóc. Chciałam, żeby była bezpieczna. Żebyśmy wszystkie trzy były bezpieczne. Nie byłam jednak fryzjerką. Kiedyś przycięłam ci grzywkę i strasznie spaprałam robotę. Nadal odrastała.

– Mam też pudełko z farbą. Czekoladowy brąz. Jedyne kolor, który mieli w sklepie na rogu. Kupiłam ją kilka tygodni temu, na wszelki wypadek. Z mniejszym prawdopodobieństwem rozpozna mnie z taką fryzurą. Przez większość życia miałam długie blond włosy.

Posmutniałam.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie. – Podeszła do mnie tak blisko, że widziałam jej blade piegi na nosie i zielone kropki na jej tęczęwkach. Moje serce zatrzepotało nagle jak spłoszony motyl. Daphne chwyciła mnie za rękę.

– Chodź – wyprowadziła mnie z pokoju i pociągnęła na górę. – Zróbmy to teraz, zanim będziesz musiała pójść po Lolly.

\*

Koniec końców nie wyglądało to źle. Lepiej niż sądziłam. Kiedy byłam dzieckiem, moja sąsiadka była fryzjerką i zawsze z fascynacją przyglądałam się, jak obcinała włosy, używając dwóch palców jako swego rodzaju linijki, wzdłuż której prowadziła nożyczki. Nowy styl naprawdę pasował do elfiej twarzy Daphne, chociaż musiałam wielokrotnie wszystko poprawiać, żeby wyrównać

długość włosów. Daphne w ogóle to nie przeszkadzało. Wydawała się zupełnie niezainteresowana swoim wyglądem. Rozumiałam ją. Ja byłam taka sama, od kiedy uciekłam od mojego dawnego życia. Najważniejsze było przetrwanie.

Kiedy jednak ty zobaczyłaś zmianę, rozplakałaś się.

– Nie, Daffy. Chłopiec! – powiedziałaś, krzywiąc się. Zawsze tak reagowałaś również na zmiany mojej fryzury. Daphne wyglądała na załamana, a ja zbeształam cię za to, że byłaś niegrzeczna. Pobiegłaś obrażona do swojego pokoju. Zapewniłam Daphne, że się przyzwyczaisz, i oczywiście tak się stało.

Do tego weekendu, pierwszego marca, śnieg niemal całkiem stopniał, pozostawiając małe łąty na większych wysokościach, wyglądające jak porzucone białe pranie. W sobotę Daphne wyszła z domu po raz pierwszy od tygodnia, znacznie bardziej pewna siebie po zmianie fryzury. Po powrocie oznajmiła, że znalazła nową pracę.

– Na farmie – powiedziała, zdejmując płaszcz. Pasiasty szalik zostawiła owinięty wokół szyi. W domu nadal było koszmarnie zimno, na zewnątrz wydawało się chłodniej niż w poprzednim tygodniu. Paliłam cały czas w kominku w dużym pokoju, ale nie robiło to żadnej różnicy, chyba że siedziało się tuż przy nim. Planowałam zainstalować centralne ogrzewanie, ale nigdy jakoś nie przyszedł odpowiedni moment, żeby zatrudnić obcych ludzi, wpuścić ich do chaty, naszego bezpiecznego miejsca, a do tego jeszcze dochodziły koszty.

– Ale to spory kawałek stąd – odparłam. Farma położona była po drugiej stronie wioski. – Co dokładnie będziesz tam robiła? – spytałam, kiedy wręczyła mi kubek. W kuchni było tak zimno, że doskonale widać było parę unoszącą się znad ciepłego płynu.

– Różne rzeczy. Czesanie koni, nawożenie, takie tam. Wolę przebywać ze zwierzętami niż z ludźmi. Oczywiście z wyjątkiem ciebie i Lolly. – Upiła trochę herbaty, przyglądając mi się znad brzegu kubka, a ja poczułam, jak serce mi mięknie.

Daphne zaczęła więc pracować na farmie. Chodziła tam na piechotę, trzy kilometry dziennie, ze zrobioną na szydełku czapką naciągniętą głęboko na nową fryzurę, bez względu na pogodę. Wracała do domu, pachnąc końmi i sianem, ale szczęśliwa, z rumieńcami na policzkach i lśniącymi oczami – wolna niczym tygrys wypuszczony na wolność po latach więzienia w zoo. Spacerowała po farmie, szczęśliwa, że jest na świeżym powietrzu, a nie zamknięta w pubie, obmacywana przez właścicieli i obdarzana lubieżnymi

spojrzeniami pijanych klientów. Z ulgą obserwowałam, że z dnia na dzień wydaje się coraz mniej przerażona, że ktoś ją tutaj znajdzie.

– Może ty też zaczniesz? – powiedziała po kilku dniach pracy. – Byłoby fajnie pracować razem. Przez większość czasu jestem sama, więc zachowanie dyskrecji jest łatwe. To naprawdę bardzo miłe, kiedy nikt nie zadaje ci pytań. Farmer, Mick, jest trochę opryskliwy, ale zostawia mi w pracy dużo swobody. Jest tam jeszcze jeden gość, Sean. Też nowy. Przystojny, jeśli lubisz ten typ.

Ale tak naprawdę trudno by mi było znaleźć jakąkolwiek pracę. Miałaś zacząć szkołę dopiero za dwa lata.

– Może kiedy Lolly zacznie chodzić do szkoły – odparłam.

Obliczyłam sobie, że mam wystarczająco dużo oszczędności, żeby wykonać kilka pomniejszych napraw w domu i zostanie mi jeszcze tyle, żeby przetrzymać do czasu, kiedy Lolly zacznie się uczyć. Nie brałam od Daphne dużo za jej sypialnię – w końcu dom nie był luksusowy – a do tego dokładała jeszcze jedną trzecią wydatków na jedzenie. Zauważyłam, że jeśli chodzi o pieniądze, jest bardzo sprytna. Zawsze próbowała kupować rzeczy w przecenie: puszki w sklepie naróżnym, przecenione, ponieważ kończyła im się data ważności, nie wspominając o pieniądzach, które zaoszczędziłam na ubraniach dla ciebie, ponieważ sama je szyła.

W tamtej chwili wiedziałam już, że żywię głębokie uczucia do Daphne – uczucia, których nie miałam od czasu mojego ostatniego związku z Audrey. Nie pozwalałam nikomu się do siebie zbliżyć po tym, jak mnie skrzywdziła. Nie mogłam jednak nic poradzić na to, co czułam do Daphne. Nie miałam pojęcia, czy ona również mnie kocha. Czasami, kiedy dotykała mojego policzka, podchodziła za blisko albo kładła mi stopy na kolanach, kiedy siedzieliśmy na sofie, zastanawiałam się, czy przypadkiem nie odwzajemnia moich uczuć. Za bardzo się jednak bałam, żeby zrobić cokolwiek z tą sytuacją. Nie chciałam przekroczyć granicy. Nie zamierzałam sprawić, żeby chciała się stąd wyprowadzić.

Byliśmy tak szczęśliwi, że zapomnieliśmy o zachowaniu czujności, chociaż powinniśmy zawsze uważać. Powinniśmy mieć się na baczności, szczególnie po tym, jak okazało się, że ktoś szuka Daphne. Tymczasem mijały kolejne tygodnie i tajemniczy mężczyzna nigdy więcej nie pojawił się w naszej wiosce i to fałszywe poczucie bezpieczeństwa uspiło naszą czujność. Naiwnie myśleliśmy, że zmiana fryzury i koloru włosów wystarczy, żeby ukryć Daphne w wiosce. Jakież byliśmy głupi.



Powinniśmy być przygotowani, ale nie byliśmy.

Kiedy więc stanął u naszych drzwi tamtego wietrznego wieczoru na początku kwietnia, zaskoczył nas kompletnie.

## Lorna

– Cóż. – Jeden z dwóch funkcjonariuszy policji wchodzi do dużego pokoju, gdzie Lorna i Saffy siedzą obok siebie, obejmując dłońmi kubki z herbatą. Adrenalina nie pozwala im zmrużyć oka, chociaż obie są wyczerpane. Nadal mają na sobie płaszcze. Dwóch policjantów przeczesuje dom od dwudziestu minut. – Wygląda na to, że nic nie zostało skradzione. Bizuteria, elektronika... to bardzo dziwne włamanie.

Lorna wymienia spojrzenie ze swoją córką. Jest absolutnie pewna, że była to robota tego drania Daviesa. Zawartość pudeł, w których zgromadziły rzeczy jej matki, leży rozrzucona po podłodze. Najwyraźniej Davies szukał „dowodu”, który wedle jego przekonania jej matka ukryła gdzieś w tym domu. Jeśli w ogóle istnieje taka rzecz, Lorna zastanawia się, czy detektyw ją znalazł. Jeżeli tak, może zostawi je w końcu w spokoju.

Wcześniej, po tym, jak Tom zdołał ustalić, że nikogo nie ma w domu, Saffy kazała mu wyjść i poszukać Snowy’ego.

– Co, jeśli ten włamywacz coś mu zrobił? – spytała z pobladłą twarzą, wpatrując się w niego wielkimi smutnymi oczami. Lornie serce pękało na ten widok. Po wszystkim, przez co przeszła do tej pory jej córka, teraz jeszcze i to. Jest tak bardzo przywiązana do tego cholernego psa. Tom zaczekał na przyjazd policji i dopiero wtedy zostawił je w domu. Nie było go już od ponad kwadransa i przez cały ten czas Saffy siedziała w napięciu, przygryzając wargę. Wygląda na absolutnie wyczerpaną, myśli Lorna. Pod oczami ma sińce. Minęła już pierwsza w nocy. Lorna chciałaby bardzo uchronić Saffy od tego wszystkiego. Nigdy nie była szczególnie surową matką, w przeciwieństwie do Rose. Pozwalała Saffy oglądać filmy przeznaczone dla widzów od lat piętnastu, kiedy ta miała dopiero dziesięć lat. Nie przeszkadzałoby jej, gdyby Saffy chciała baraszkować do późna w nocy (nie to, że jej córka to robiła), jeść babeczki czekoladowe na śniadanie lub pić wino na Gwiazdkę. Gdy Saffy zadała jej pytanie, co się dzieje na świecie – np. w sprawie światowej klęski głodu albo

szajki pedofili – Lorna zawsze odpowiadała jej szczerze, chociaż czasem było to brutalne. Pamięta, jak kiedyś, gdy była młodsza od Saffy, ale już w związku małżeńskim z Euanem, mieszkając ponad sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, w Kencie, matka powiedziała jej: „Nigdy nie przestanę się o ciebie martwić. Bez względu na to, ile będziesz miała lat”. Lorna starała się nie myśleć w ten sam sposób, kiedy Saffy była nastolatką, wiedząc, jak to jest być stłamszoną przez kochającą, ale z gruntu nadopiekuńczą rodzicielkę. Ale teraz... teraz martwi się o swoją córkę bardziej niż kiedykolwiek. Wreszcie rozumie, co miała na myśli jej własna matka lata temu.

– Na miejscu pań wymieniłbym te drzwi wyjściowe z kuchni – dodaje jeden z policjantów – rudy, przystojny, trochę w typie Damiana Lewisa. – Nie są zbyt bezpieczne. Intruz mógł je sforsować jednym kopnięciem. Zamek do drzwi znaleźliśmy wyłamany, na podłodze. Położyłem go na blacie w kuchni. Musicie ściągnąć kogoś do naprawy. Z tymi lasami na tyłach ogrodu... – Potrząsa głową i wsadza notes do kieszeni munduru.

– Wiem, ale nie chcieliśmy tego jeszcze robić, ponieważ planujemy rozbudowę kuchni – mówi Saffy.

– W każdym razie zmieniłbym przynajmniej zamki, no i zastanowił się nad założeniem alarmu.

Lorna markotnieje. Nie będą w stanie porządnie się odprężyć, dopóki nie wymienią tych drzwi.

Rudowłosy oficer i jego partner dopijają herbatę, którą przygotowała im Lorna, a potem wychodzą. Po ich zniknięciu Lorna czuje się jak obnażona. Stanowią łatwy cel.

– Musimy wszystko powiedzieć detektywowi Barnesowi – mówi cicho Saffy. – Obie wiemy doskonale, że to nie było żadne włamanie. – Wygląda tak młodo, opatulona w duży puchowy płaszcz.

– Policja to załatwi. Podałam im moje nazwisko. – Lorna wstaje, zbiera kubki ze stolika kawowego i zanoszą je do kuchni.

Tylne drzwi wejściowe, które udało jej się zamknąć, nagle otwierają się gwałtownie, wpuszczając o środka powiew wiatru i deszcz. Saffy piszczy z przerażenia. Lorna odskakuje od zlewu, gotowa bronić córki przed intruzem, ale to Tom. To tylko Tom. Jego włosy pociemniały od deszczu i wilgoci i przylegają płasko do jego głowy. Na smyczy trzyma Snowy’ego. Lorna przykładą dłoń do trzepoczącego serca i oddycha głęboko.

Saffy rzuca się Tomowi w ramiona.

– Dzięki Bogu! Strasznie się już zaczynałam martwić. – Nachyla się i całuje wilgotny łeppek Snowy’ego. – Och, mój chłopczyk, mój śliczny mały chłopczyk.

Lorna nie może się powstrzymać od skrzywienia: czuje odór mokrej sierści nawet z tej odległości.

– Znalazłem go wężącego w lesie. Wydaje się, że nic mu się nie stało – mówi Tom, odpinając smycz od obroży. Zamyka drzwi, mocując się z podmuchami wiatru, i podpira je krzesłem, żeby się nie otworzyły. – Póki co musi wystarczyć. – Sięga po zamek leżący na blacie. – Będę musiał go przykręcić z powrotem. Mam kilka śrubek w skrzynce z narzędziami. – Wychodzi z pokoju, trzymając zamek w ręce.

Saffy chwyta podziurawiony stary ręcznik z wieszaka i wyciera łapy psu. Snowy jest ubrudzony błotem po brzuch, liże czule twarz Saffy, szczęśliwy z powrotu do domu.

Tom wraca ze skrzynką z narzędziami.

– Zajmę się tym od razu – mówi, wyciągając elektryczną wiertarko-wkrętarkę.

– Za chwilę pojawi się Brenda, marudząc na temat hałasu – mówi Saffy.

– Niech przychodzi. Już ja jej powiem do słuchu – mówi Lorna.

– A co, jeśli ten włamywacz wróci i znów wykopie drzwi? – pyta Saffy. – Nie wiem, czy będę w stanie zasnąć, wiedząc, że ktoś tutaj był i szperał w naszych rzeczach. Czuję się... zbrukana.

– Wątpię, żeby wrócił tutaj dzisiaj w nocy – mówi Tom, trzymając śrubkę w zębach.

– Zgadzam się. – Lorna ma nadzieję, że jej głos brzmi dużo pewniej, niż się czuje. – Chodź, kochanie, musisz się trochę przespać. Posprzątam wszystko jutro rano.

Saffy kiwa głową i wnosi Snowy’ego na górę. Lorna stoi w kuchni, przyglądając się, jak Tom naprawia zamek. Czuje nerwowe ściskanie w żołądku. Tom kończy pracę i zaczyna ziewać.

– Boże, jestem wykończony.

Lorna każe mu iść spać i mówi, że powyłącza światła na dole. Obserwuje, jak Tom wspina się po schodach na górę, i przyrządza sobie herbatę bezkofeinową. Siada na niewygodnej sofie w dużym pokoju, w półmroku, otoczona bałaganem.

Opada na kolana i sięga po fotografię, która została rzucona w poblizze kominka. Przedstawia jej matkę i tajemniczą Daphne Hartall, która tak naprawdę mogła być Sheilą Watts, stojące w ogrodzie na tyłach domu. Tego

dnia chyba było chłodno, bo obie kobiety opatulone są płaszcami i szalikami. Uśmiechają się szeroko. Lorna zastanawia się, kto zrobił to zdjęcie. Może ona?

– Co mi umknęło? – mruży cicho, spoglądając na kobiety z fotografii. *Co takiego zrobiłyście?*

## Lorna

Lorna wstaje wcześnie następnego poranka. Zasnęła na sofie, nadal w swoim tweedowym żakiecie, przykrywając się puchową kurtką Saffy i przytulając policzek do zdjęcia Daphne i babci Saffy.

Blask słońca wdziera się do dużego pokoju przez szczeliny między niedopasowanymi zasłonami, rozlewając się na podłodze i podświetlając drobinki kurzu wirujące w powietrzu. Lorna zerka na zegarek na nadgarstku. Minęła już dziewiąta. Siada i przeciąga się. Wszystko ją boli. Na górze nadal panuje cisza. Lorna nie chce budzić młodych. Potrzebują wypoczynku. Cieszy się, że dzisiaj jest sobota i żadne z nich nie musi pracować. Markotnieje, widząc bałagan na podłodze, i wszystkie wydarzenia wczorajszej nocy powracają. Tak nie może być. Musi coś zrobić.

Wstaje i idzie do kuchni. Terakotowe płytki są lodowate pod jej nagimi stopami. Z ulgą dostrzega, że krzesło podstawione pod klamkę tylnych drzwi nadal jest w tym samym miejscu.

Otwiera lodówkę. Nie ma mleka. Wybierze się na zakupy. Przynajmniej to jedno może zrobić dla Saffy i Toma. Praktyczne rzeczy, które trochę im ulżą w nawale problemów.

Zakłada świeże ubranie, chwytając torebkę i po cichu wychodzi z domu. Na zewnątrz spotyka listonosza, starszego pana w przepisowych szortach Royal Mail. Mężczyzna uśmiecha się uprzejmie i wręcza jej wyściełaną kopertę. Jej telefon. Bez niego była zagubiona. Odbiera przesyłkę z podziękowaniami i włącza aparat. Jest prawie rozładowany. Zauważa dziesięć nieodebranych telefonów od Saffy. Wrzuca telefon do torby.

Czyste błękitne niebo zwodzi oczy; wiatr jest dość chłodny. Lorna pilnuje, by iść środkiem drogi w dół zbrocza, żeby nikt nie zdołał jej wciągnąć w przydrożne krzaki. Za każdym razem, kiedy w pobliżu trzaska gałązka, jeżą jej się włosy na karku – ale zazwyczaj okazuje się, że to tylko ktoś wyprowadza psa albo jakaś parka wybrała się na poranny spacer. Lorna daje się ować swojej wyobraźni.

Nie, nie może na to pozwolić. Musi być silna dla swojej córki. U podnóża wzgórza mija pub Pod Jeleniem i Bażantem. Przy jednym ze stolików bistro siedzi para młodych ludzi, popijając kawę z pianką. Kiwiają jej głową na przywitanie, kiedy ich mija. Wyglądają na zakochanych w sobie. Pewnie przyjechali tutaj na weekend. Lorna myśli o Alberto. Tak naprawdę bardziej kocha jego ideę niż jego samego. Orientuje się, że wcale ją nie obchodzi, że Alberto najprawdopodobniej w tej właśnie chwili wyprowadza się z jej mieszkania.

Przechodząc przez rynek, spogląda na kościół, stojący naprzeciwko krzyża, za żelazną bramą, która w tej chwili jest uchylona. To piękna budowla, z iglicą, witrażami, z przylegającym do niej małym cmentarzykiem, pełnym wyszukanych starych nagrobków. Lorna zatrzymuje się przy płocie, przyglądając się kościołowi. Nagle czuje uderzenie uczucia *déjà vu*. W jej myślach krystalizuje się wspomnienie. Idzie z mamą i jest zdenerwowana. Na policzkach ma łzy. A potem wspomnienie gaśnie jak zdmuchnięty płomień świeczki. Lorna stoi jeszcze przez chwilę przy bramie, próbując przywołać je z powrotem, ale nie czuje nic poza głębokim smutkiem, który nagle przygniata ją do ziemi. Czyżby były na pogrzebie? Czy zmarł ktoś, kogo znały? Lorna walczy ze łzami, powtarzając sobie, że jest śmieszna. To tylko uczucie. Nie ma pojęcia, dlaczego nagle zrobiła się taka smutna.

Oddycha głęboko i rusza w kierunku małej kawiarni po przeciwnej stronie rynku, gdzie zamawia latte, zadowolona z faktu, że Seth znów jest przy barze. Próbuje stłumić melancholię, która ją spowiła, zadając mu nieistotne pytania, żeby odwrócić swoją uwagę od tego, jak się czuje. Wraz z Sethem przy barze jest również starsza kobieta. Musi mieć przynajmniej osiemdziesiąt lat. Jest puszysta, przysadzista, ma potrójny podbródek i rumiane policzki. Porusza się zwawo, mimo że musi opierać się na lasce, i obserwuje Seta przy pracy. Na nosie ma małe okulary w złotych oprawkach, a jej gęste siwe włosy zebrane są w górze przy pomocy spinki. Uśmiecha się na powitanie do Lorny.

– Jestem Melissa, cioteczna babka Seta – mówi. Czterdzieści lat temu byłam właścicielką tego miejsca. Nie zmieniło się zbyt wiele od tamtego czasu.

Lorna prostuje się, czując uderzenie adrenaliny. Przedstawia się kobiecie.

– Jestem tu w odwiedzinach u córki, która mieszka na Skelton Place. Kiedyś mieszkała tam moja mama. Dawno temu, w latach siedemdziesiątych.

– Och doprawdy? A jak się nazywa? Mieszkam w tej wiosce całe życie, więc pewnie ją znałam.

– Ma na imię Rose. Rose Grey...

Melissa rozdziawia usta.

– Lolly? – wzdycha.

Lorna przełyka głośno ślinę.

– Tak. Czy my się znamy?

Melissa składa dłonie.

– Tak. Z czasów, gdy byłaś małą dziewczynką. Widywałam cię wiele razy...  
och, tak cudownie cię znów spotkać. Powiedz mi, jak się miewa Rose? Było mi  
bardzo przykro, że nie miałam szansy się z nią pożegnać. I z tobą. Obie  
wyjechałyście w strasznym pośpiechu.

– Doprawdy? – Lorna zastanawia się, czy miało to coś wspólnego z ciałami  
zakopanymi w ogrodzie.

Seth wręcza Lornie latte.

– Świat jest mały – mówi, chichocząc, kiedy Lorna uiszcza zapłatę.

– Wiele osób tutaj mieszka w tej wiosce od dziesięcioleci. Całe pokolenia –  
mówi Melissa. – Seth tego nie rozumie. Jego mama wyprowadziła się lata temu.  
Przyjechał tu do pracy w wakacje tylko dlatego, że znam właściciela. – Klepie  
go czule po plecach. Chłopak uśmiecha się do niej szeroko.

Lorna jednak nadal czuje oszołomienie. Stoi przed nią kobieta, która znała jej  
mamę za młodu. Nie może w to uwierzyć.

– Jaka była moja mama w tamtych czasach? Wie pani, dlaczego tak nagle  
stąd wyjechała? – pyta zdeterminowana, aby sprowadzić konwersację na  
właściwe tory. Nie zamierza przepuścić tej okazji.

– Nawet się nie pożegnała. Po prostu jak stała, tak wyjechała. Była bardzo  
tajemnicza. I bardzo roztrzęsiona. Nerwowa, rozumiesz. Zawsze martwiła się  
o ciebie. Kiedyś odeszłaś od niej w Wigilię i daję słowo, myślałam, że Rose  
zejdzie na zawał serca. Ale potem znalazła sobie współlokatorkę i się zmieniła.  
Była szczęśliwsza. Były sobie bardzo bliskie.

– Pamięta pani Daphne Hartall?

– Daphne! No właśnie. Nie mogłam sobie przypomnieć jej imienia, dopiero  
kiedy je powiedziałaś. Daphne. Atrakcyjna kobieta. Pracowała na farmie. –  
Ścisza głos i rozgląda się dyskretnie, chociaż w kafejce nie ma żadnych innych  
klientów. – Słyszałam coś o ciałach zakopanych w ogrodzie tamtego domu.  
Koszmarna sprawa. Powiadają, że jedno zidentyfikowali. Facet zmarł w 1980  
roku. Byłam zszokowana, kiedy o tym przeczytałam.



– Tak – mówi Lorna. – Moja córka dowiedziała się o tym zaledwie wczoraj. Kojarzy go pani? Neil Lewisham.

Kobieta marszczy czoło i potrząsa głową.

– Nie. Chyba nie był miejscowy.

– Mama mieszkała wtedy w domu na Skelton Place.

– No tak, ale nie uwierzę, że Rose cokolwiek o tym wiedziała. Nie skrzywdziłaby nawet muchy. Poza tym miała ciebie. Mała dziewczynka w domu; Rose nie zrobiłaby niczego, co mogłoby cię narazić na niebezpieczeństwo.

– Tak, wiem o tym, ale podejrzewam, że ludzie i tak będą o tym plotkować.

– Owszem, ale większość nie będzie pamiętała Rose. Ja ją znałam. Zawsze zależało mi na jej bezpieczeństwie. Jak ona się miewa? Pewnie nie może uwierzyć w tę całą aferę, prawda?

– Mama jest... niestety mama cierpi na demencję i mieszka w domu opieki.

– Och, tak mi przykro – mówi Melissa. – Wydawała się naprawdę przemiłą kobietą. Przypominasz mi ją, wiesz? Oczywiście jesteś trochę bardziej smagła.

Lorna uśmiecha się, chociaż w głębi duszy nigdy nie uważała się za podobną do matki. Rose ma bladą cerę, jasne oczy, jest wyższa i mniej zaokrąglona. Lorna pewnie odziedziczyła urodę po tacie.

– Czy mama wspominała kiedyś o moim tacie? – pyta.

Melissa potrząsa głową tak gwałtownie, że trzęsą się jej podbródki.

– Nie. Nie lubiła opowiadać o swojej przeszłości. Wszyscy chyba zakładali, że jest wdową, chociaż ja w to nie wierzyłam.

– Naprawdę? – Lorna jest zaskoczona. – Mi zawsze właśnie to mówiła, że ojciec umarł, zanim się urodziłam.

– Kiedy przyjechała do Beggars Nook, była w ciąży. Zdecydowanie nikogo nie miała. I była bardzo skryta.

– Czy wie pani coś więcej o Daphne? Co się z nią stało?

– Nie, raczej nie. Od czasu do czasu przychodziła do kawiarni, ale była równie zamknięta w sobie, co Rose. Może nawet bardziej. Przeważnie trzymały się razem i z dala od wszystkich innych. Zwłaszcza później.

– Później?

– Tak. Wkrótce przed wyjazdem.

– Czy Daphne wyjechała przed moją mamą?

– Zawsze zakładałam, że opuściły to miejsce w tym samym czasie. Wyprowadziły się gdzieś razem. Zastanawiałam się... – Przerywa. – Nie. To nie

moja sprawa. Nie jestem plotkarą, a poza tym wszystko to zdarzyło się bardzo dawno temu.

Seth prycha, a Melissa beszta go żartobliwie.

– Zastanawiała się pani nad czym? – naciska Lorna.

Melissa zerka na Seta wstydliwie.

– Teraz świat jest zupełnie inny. Tego typu rzeczy są bardziej jawne. Tak czy owak, były... *feministkami* – wypowiada to słowo szeptem, jakby było to coś wstydliwego.

Seth wywraca oczami, spoglądając na Lornę.

– Ach, ci starzy ludzie. – Śmieje się. Lorna nie widzi żadnego problemu. Sama uważa się za feministkę. Dlaczego Melissa robi z tego coś grzesznego? A potem nagle doznaje olśnienia.

– Chce pani powiedzieć, że moja mama i Daphne były kochankami?

– Cóż. – Rumieńce Melissy nabierają dużo bardziej intensywnej barwy. Krzyżuje ramiona pod obfitym biustem. – Nie powiedziałam tego, ale oczywiście krążyły plotki. W wioskach takich jak ta ludzie zawsze gadają.

Lorna upija kawy, żeby przesłonić uśmiech.

– Więc ty też nie wiesz, co się stało z Daphne? – pyta Melissa.

– Nie. Mama nigdy o niej nie wspominała. Dowiedziałyśmy się o jej istnieniu dopiero niedawno.

– Cóż, przekaz Rose uściski ode mnie, dobrze? Zawsze bardzo ją lubiałam. Ciebie też. Naprawdę cudownie jest przekonać się, że wyrosłaś na taką piękną kobietę.

Lorna się rumieni.

– Dziękuję, to bardzo miłe z pani strony. – Zapisuje swój numer telefonu na serwetce i podaje ją starszej pani. – Jeżeli coś sobie pani przypomni... bardzo trudno jest w tej chwili wypytywać o cokolwiek mamę, rozumie pani... przez jej demencję, ale każda informacja, jaką pani może mieć... Bardzo chciałabym się dowiedzieć, co się stało z Daphne.

Melissa kiwa głową.

– Oczywiście. – Wkłada serwetkę do swojego grubego swetra zapinanego na guziki.

Lorna kupuje kilka croissantów, a potem przechodzi przez most, zmierzając do sklepu narożnego, żeby kupić mleko. Wracając do domu, zastanawia się nad sprawą swojej mamy i Daphne. Czy rzeczywiście były w sobie zakochane, a potem się na przykład pokłóciły? Czy dlatego Daphne nigdy nie pojawiała się

w ich życiu po wyprowadzce z Beggars Nook? I dlaczego wyjechały obie tak nagle? O ile wiedziała, jej mama nigdy nie miała chłopaka. Dlaczego uważała, że musi ukrywać swoją orientację seksualną przed Lorną przez wszystkie te lata?

Tak wiele nie wie o swojej własnej mamie. Nigdy jej nie pytała, nawet kiedy już była dorosła. Czy była aż tak bardzo zajęta samą sobą, że nie dostrzegła tego, co skrywa się za nudną fasadą niezależności? Nie interesowała się tą sprawą i zwyczajnie zaakceptowała nieobecność ojca w jej życiu. Przyjęła wersję wydarzeń mamy. Z perspektywy czasu Lorna widzi, że w jej historyjce jest kilka nieścisłości. Zawsze była treściwa – mama nigdy nie rozwodziła się nad tą sprawą. Lorna zresztą wcale się nie dopytywała. Nigdy nie była szczególnie dociekliwym dzieckiem.

Czuje przypływ poczucia winy i żalu. Tyle straconych lat, kiedy mogła naprawdę poznać swoją mamę.

Kiedy dociera do domu, widzi drzwi wejściowe otwarte na oścież i Saffy stojącą w progu, emanującą lękiem. Coś się stało.

– O co chodzi?

Saffy nadal jest w piżamie.

– Dzwoniła policja. Chcą jeszcze raz porozmawiać z babcią. Dzisiaj!

**Saffy**

Mama próbowała mnie przekonać, żebym została w domu, ale nie mogłam. Muszę być na miejscu, kiedy policja będzie rozmawiać z babcią. Muszę ją chronić, najlepiej jak potrafię. Prowadzę samochód, a mama siedzi na miejscu pasażera, wyraźnie spięta. Wiedziałam, że policja będzie chciała znów porozmawiać z babcią, ale fakt, że stało się to tak szybko, trochę mnie niepokoi. Teraz, kiedy wiedzą, że Neil Lewisham umarł, kiedy babcia mieszkała nadal na Skelton Place, czy stała się ich podejrzaną?

– Nie mogę uwierzyć, że babcia coś o tym wiedziała. Co ty na ten temat sądzisz? – mówię, kiedy skręcamy w stronę autostrady. Mama milczy. Najeżam się. – Co sądzisz?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że nie wiedziała, kochanie, ale...

– Ale co? – rzucam ostro. – Chyba nie myślisz, że babcia jest zdolna do popełnienia morderstwa.

Mama prycha.

– Oczywiście, że nie, ale nie oznacza to, że czegoś nie wie. Może była na miejscu, kiedy wszystko się wydarzyło? Może nawet pomogła zatuszować sprawę.

Nie chcę w to wierzyć.

– Babcia jest najstateczniejszą, najbardziej praworządną osobą, jaką znam. Nie ma mowy, żeby zrobiła coś takiego. – Widzę, że mama zaciska zęby, i czuję rosnącą we mnie irytację. – Nie mogę uwierzyć, że w ogóle masz jakiegokolwiek wątpliwości. To twoja matka!

– Nie jest ideałem, tylko człowiekiem jak my wszyscy.

Zaciskam dłonie mocniej na kierownicy i milczę, bo nie mogę zagwarantować w tej chwili, że wszystkie urazy i żale, które żywiłam do mamy przez tak wiele lat, nie wyleją się ze mnie nagle.

– Poza tym – ciągnie mama – ciągle wspomina o tej całej Jean, która uderzyła kogoś w głowę. Może była czegoś świadkiem?

– Oczywiście, że nie! Wymyśla po prostu jakieś przypadkowe imiona!

– Ale co do Sheili miała rację, prawda? Sheila istniała naprawdę. Powiedziałam ci już, co usłyszałam od Alana... i to, że moim zdaniem Daphne tak naprawdę jest Sheilą Watts.

– Nie wiemy tego na pewno. Za chwilę powiesz mi, że twoim zdaniem to Daphne jest tym drugim trupem z ogrodu... Myślisz może, że babcia zabiła również ją?

Mama nie odpowiada.

– Uważasz, że to Daphne?

– Wcale tego nie mówiłam. Ale rozmawiałam wcześniej z Melissą, która powiedziała, że twoja babcia i Daphne wyprowadziły się z Cotswolds w tym samym czasie. Nie mam ochoty myśleć źle o mojej własnej mamie, tak jak i ty, ale musimy spojrzeć na fakty.

– To idiotyczne. Mówisz tak tylko dlatego, że nie wierzysz w babcię. To, że nigdy nie pofatygowałaś się... – Przerywam. Powiedziałam zbyt wiele.

Mama milczy przez kilka sekund.

– Co chciałaś powiedzieć?

– Nic. Zapomnij.

– Nie. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, sugeruję, żebyś to zrobiła.

Spoglądam na nią. Usta mamy zaciśnięte są w wąską gniewną kreskę. Nie klóciłyśmy się od lat – od kiedy byłam nastolatką, a ona besztła mnie za nieposprzątany pokój.

– W porządku. Uważam, że trochę... zaniedbywałaś babcię.

– Zaniedbywałam?

– Owszem. Pojechałaś sobie do Hiszpanii, zostawiając opuszczoną starszą panią całkiem samą. Prawie jej nie odwiedzałaś. Ile razy tak naprawdę widziałas się z babcią w ciągu ostatnich sześciu lat? Raz, może dwa razy do roku?

– To niesprawiedliwe.

– Ale prawdziwe. A ja? Ile razy widziałas się ze mną? A kiedy już się pojawiaasz, przyciągasz ze sobą jednego ze swoich koszmarnych facetów. I nie udawaj, że cieszysz się z powodu tego dziecka. – Rozkręciłam się i nie mogę przestać, chociaż zdaję sobie sprawę, że zachowuję się okropnie. – Widziałam po twojej minie, jaka byłaś rozczarowana, kiedy ci o tym powiedziałam! To, że żałowałaś urodzenia mnie tak młodo, nie znaczy, że jestem taka sama jak ty. Nie mogłaś się doczekać lata, żeby się mnie pozbyć i móc zachowywać się jak

nastolatka, zostawiając ojca i zadając się z innymi facetami. I ty się dziwisz, dlaczego jestem bardziej związana z babcią niż z tobą!

Zapada pełna napięcia cisza. Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. Nie śmiem spojrzeć na mamę. Nie jestem osobą, która lubi konfrontacje. To pewnie ta burza hormonów. Tak czy inaczej, wiem doskonale, że właśnie tak to postrzegam od wielu lat. Właściwie to czuję ulgę, że w końcu to z siebie wyrzuciłam.

Jedziemy dalej w pełnej napięcia, niewygodnej ciszy. Nogi mi się trzęsą. Kątem oka widzę, że mama ociera łzę z policzka, i zaczyna mnie zżerać poczucie winy.

– Przepraszam – mówię. – Wcale tak nie myślę.

– Owszem, myślisz – odpowiada cicho mama.

– To te moje hormony. Czuję się taka... taka... *wściekła!*

– Wiem. – Rzuca mi łzawy uśmiech. – I zgadzam się z tobą, że nie zawsze byłam najlepszą matką. Popelniałam błędy...

– Mamo, przestań!

– To prawda. Ty również będziesz je popełniać, bez względu na to, co teraz sobie myślisz. Ale nigdy nie żałowałam, że cię miałam. Ani przez sekundę. Naprawdę boli mnie, że tak myślisz.

Przełykam gulę, która nagle wyrosła mi w gardle.

Dojeżdżamy do Elm Brook. Stawiam samochód na miejscu parkingowym.

Kiedy wrzucam dźwignię biegów na neutralną pozycję, mama przykrywa moją dłoń swoją.

– Wszystko między nami w porządku?

– Oczywiście. – Jeżeli ja czuję strach na myśl o byciu matką w wieku dwudziestu czterech lat, mogę sobie jedynie wyobrazić, jak przerażona musiała być moja szesnastoletnia ciężarna mama. Nigdy nie powinnam była mówić tych okropieństw.

Joy wita nas w drzwiach, jak zwykle z roztrzepaną fryzurą. Wygląda dzisiaj na bardziej zestresowaną niż normalnie, ale rozumiem dlaczego. Prawdopodobnie nigdy przedtem nie musiała borykać się z policją, która przyjechała, żeby przesłuchać jednego z jej rezydentów.

Mama jest poważna, kiedy gromadzimy się w lobby. Chce mi się rzygać na widok brzydkiego dywanu w zakrętasy.

– Czy policja już przyjechała? – pyta mama.

– Są tam. – Joy wskazuje na pokój, w którym rozmawialiśmy ostatnim razem.  
– Pójdę po Rose. Nadal jest w swojej sypialni. Miała ciężką noc. Przyniosę wam herbaty.

Żołądek kurczy mi się z niepokoju.

– W jakim sensie miała ciężką noc? – pytam.

– Wciąż się budziła z krzykiem. Czasami to się zdarza. Pacjenci zapominają, gdzie się znajdują. W każdym razie, jeśli nie macie nic przeciwko temu, zaczekajcie tutaj. – Otwiera drzwi i odsuwa się, żebyśmy mogły przejść obok niej. – Pójdę po Rose.

Detektyw Barnes już czeka w pokoju, tym razem w asyście innej osoby, kobiety w moim wieku. Siedzą na tych samych fotelach, ustawionych po obu stronach kominka. Wstają, kiedy wchodzimy do środka. Barnes przedstawia kobietę jako posterunkową Lucindę Webb. Kobieta ma miedzianą grzywę, rozlewającą się na ramiona jej bluzki we wzorki. Dostrzegam, że tym razem Joy wstawiła do pokoju tylko dwa dodatkowe krzesła.

– Siadaj sobie. – Mama wskazuje na jedno z nich. – Ja mogę postać.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. Siadaj!

Zachowujemy się w stosunku do siebie bardzo nienaturalnie. Jesteśmy nadzwyczaj uprzejme. Spełniam jej polecenie.

Zapada niewygodna cisza, więc z wdzięcznością przyjmuję pojawienie się Joy, która wprowadza babcię do pokoju. Widok babci sprawia, że do oczu napływają mi łzy: wygląda na bardzo wystraszoną, jak mała nieśmiała dziewczynka. Mam ochotę objąć ją i zabrać daleko stąd od tego wszystkiego. Wydaje się chudsza niż zazwyczaj, w swoim różowym sweterku zrobionym na drutach i plisowanej spódnicy. Martwię się, że niewystarczająco dobrze się odżywia. Dostrzegam na jej szyi znajomy złoty łańcuszek z wisiorkiem oraz kolczyki od kompletu w uszach. Zastanawiam się, czy przypadkiem któraś z opiekunek nie założyła babci tych ozdób, żeby ta poczuła się nieco ładniej. Babcia siada obok mnie, mrugając gwałtownie jak mały ptaszek.

Wyciągam rękę i ściskam jej dłoń.

– Babciu...

– Kim pani jest? – pyta, a ja czuję się, jakby ktoś wbił mi sztylet prosto w serce.

– To ja, Saffy. – Próbuję się nie rozpląkać.

Zanim babcia ma szansę odpowiedzieć, mama przykuca przy jej krześle.

– Mamo – mówi. – Nie musisz się bać. Policja chce tylko zadać ci kilka kolejnych pytań.

– Dlaczego? – Babcia spogląda na mnie, zdumiona, lecz z nikłym błyskiem zrozumienia w oczach. Ściskam jej dłoń.

– Wszystko jest dobrze, babciu – mówię pokrzepiająco. Mama wstaje i zawisa nade mną, przez co jeżą mi się włosy na karku. Szkoda, że nie ma dla niej krzesła. Dlaczego Joy nie przyniosła trzech?

Sierżant Barnes ma podwinęte rękawy koszuli. Dziś nie jest tak gorąco jak ostatnim razem, ale mimo wszystko na jego czole lśni pot.

– Witaj, Rose – zaczyna. – Nie musisz się o nic martwić. Jak powiedziała twoja córka, chcemy tylko zadać ci kilka pytań, okej?

– No dobrze. – Babcia składa dłonie na brzuchu. Joy wraca wreszcie z dodatkowym krzesłem i mama siada.

Sierżant Barnes wydaje się nieco zirytowany tym małym zamieszaniem. Kiedy Joy w końcu wychodzi, ciągnie dalej:

– Rose, czy nazwisko Neil Lewisham coś ci mówi?

Babcia spogląda na mnie, a ja uśmiecham się zachęcająco.

– Nie sądzę – odpowiada.

Barnes przesuwając fotografię po drewnianym stoliku w naszą stronę. Babcia wpatruje się w nią, nadal trzymając mnie jedną delikatną, kruchą dłonią za rękę. Nachylam się, żeby lepiej się przyjrzeć. Ze zdjęcia przygląda się nam mężczyzna z krótkimi jasnymi włosami. Wygląda zwyczajnie, jak przeciętny facet. Nie ma w nim nic, co by go wyróżniało. Ma na sobie długi czarny płaszcz, jedną rękę chowa w kieszeni, w drugiej zaś trzyma papierosa.

– To właśnie jest człowiek, którego znaleźliśmy martwego w twoim dawnym domu, Rose – mówi z powagą Barnes. – Sądzymy, że zginął w 1980 roku, kiedy jeszcze tam mieszkałaś.

Oczy babci robią się okrągłe z przestrawu.

– Babciu, nie denerwuj się – mówię łagodnie. – Co pamiętasz na temat tego człowieka?

– Chciał nas dorwać – mówi babcia, spoglądając na Barnesa.

Wpatruję się w nią ze zdumieniem. Uznałam, że nie będzie miała pojęcia, kim jest ten mężczyzna. Nie jestem w stanie spojrzeć na mamę. Nie powiedziałam policji o dokumentach dotyczących Sheili ani o artykule napisanym przez Neila Lewishama. Bałam się, że niechcący wpłacę babcię w kłopoty.



– Co masz na myśli, Rose? – pyta posterunkowa Webb. Ma łagodny głos i zdaje sobie sprawę, że właśnie po to Barnes zabrał ją dzisiaj ze sobą. Kobieca ręka.

W ustach mi zaschło i nadal jestem wyczerpana po wydarzeniach wczorajszej nocy. Zauważam, że Joy wbrew obietnicy nie przyniosła nam herbaty.

– Zrobiłaś mu krzywdę, Rose? A może to była Daphne? – Głos Lucindy Webb jest kojący, niczym miód rozpuszczony w ciepłej wodzie dla obolałego gardła.

Babcia wysuwa dłoń z mojej i dotyka swoich siwych włosów.

– Nie pamiętam...

– Miał z tobą romans? A może z Daphne?

– Nie, nie sędzę...

– Czy przyszedł do was do domu, Rose? Pamiętasz to?

– Był wściekły – mówi babcia, nagle spokojniejsza. Kładzie dłoń na udach. – Był wściekły.

– Dlaczego był wściekły?

Sztywnieję. Czy babcia naprawdę może coś takiego pamiętać? A może znów coś się jej poplątało.

– Próbował nas skrzywdzić.

– Dlaczego miałby to zrobić? – pyta posterunkowa Webb.

– Bo dowiedział się o Sheili.

Widzę, że mama zastygła i ucichła. Nie wiem, czy powinnam coś powiedzieć. Co, jeśli babcia będzie miała przez to dodatkowe kłopoty?

– Kim jest Sheila? – pyta Webb tym samym kojącym głosem.

Babcia wpatruje się w milczeniu w swoje kolana.

Mama zerka na mnie, a potem przenosi wzrok na dwójkę detektywów.

– Ja... myślę, że mama mówi o niejkiej Sheili Watts. Ostatnio dowiedziałam się, że być może przywłaszczyła sobie tożsamość Daphne Hartall.

Webb i Barnes nachylają się w kierunku mamy.

– Proszę mówić dalej – zachęca sierżant.

– Sheila Watts utonęła pod koniec lat siedemdziesiątych. Moja mama zachowała artykuł o tym wydarzeniu. Zaczęłam trochę szperać i, krótko mówiąc, okazuje się, że Sheila Watts być może sfingowała swoją śmierć i ukradła tożsamość prawdziwej Daphne Hartall.

Przez wyrazistą twarz Barnes'a przebiega cień irytacji.

– Dlaczego nie wspomniała pani o tym wcześniej?

– Przepraszam, ale w ciągu ostatnich kilku dni tyle się wydarzyło. Zamierzałam wam wszystko powiedzieć.

– Oczywiście. – Barnes wygląda na nieco zawstydzonego. Spogląda znów na babcię. – Neil Lewisham był dziennikarzem śledczym. – Ma grobowy głos, jak spiker radiowy odczytujący informację o zbliżającym się końcu świata. – Podobno często szedł w tango i, według jego syna, miał bardzo burzliwy związek ze swoją żoną. Czy przyjechał tutaj tamtego dnia, aż do Beggars Nook, żeby zobaczyć się z Daphne dlatego, że dowiedział się, iż tak naprawdę jest Sheilą Watts? Rose? – W jego głosie słychać nutę natarczywości, jakby wiedział, że ta rozmowa to wyścig z czasem i za chwilę babcia może stracić poczucie rzeczywistości.

– Czy Neil Lewisham dowiedział się prawdy o Daphne? – powtarza Webb, zwracając się do babci tym swoim gładkim, słodkim głosem. – Że tak naprawdę jest Sheilą?

– Nie. – Babcia spogląda na detektywów, bawiąc się naszyjnikiem. – Dowiedział się o Jean.

**Rose***Kwiecień 1980 roku*

Dzień przed pojawieniem się Neila Lewishama był idealny.

Wielkanoc wypadła w pierwszy weekend kwietnia. Świątoważyśmy ją tylko we trzy. Daphne ugotowała jajka, które dostała na farmie, a potem usiadłyśmy przy stole, malując je. Śmiałaś się z zabawnych twarzy, które malowała Daphne. Była zaskakująco dobra w te klocki. W niedzielę wielkanocną schowałyśmy w ogrodzie czekoladowe małe jajeczka. Opakowania z kolorowej folii połyskiwały spod roślin i krzewów. Dzień był słoneczny, choć nieco chłodny. Nigdy nie zapomnę zachwyty w twoich oczach ani twoich podekscytowanych pisków, kiedy szukałaś czekoladek. Ja stałam z Daphne przy tylnym wejściu do domu, obserwując cię z dumą.

Później tego samego dnia, kiedy już spałaś, Daphne i ja usiadłyśmy przy kominku, pijąc wino i rozmawiając. Nagle Daphne spojrzała na mnie. Jej oczy wydawały się ogromne w świetle rzucanym przez płomień.

– Rose... chcę ci coś powiedzieć, ale boję się, że zniszczy to naszą przyjaźń.

Przysunęłam się do niej bliżej, z nadzieją, że usłyszę wszystko to, co sama czułam.

– Nic, co mi powiesz, nie będzie w stanie zniszczyć naszej przyjaźni – powiedziałam cicho.

Daphne chwyciła moją dłoń i przysunęła się tak blisko, że nasze twarze dzieliło teraz zaledwie kilka centymetrów. Odgarnęła czule włosy z mojej twarzy. Nachyliłam się do niej i serce zatrzepotało mi jak spłoszony motyl, kiedy jej usta musnęły moje. Przyciągnęła mnie bliżej i pocałowała głęboko. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do swojej sypialni, gdzie zostałam aż do wczesnego poranka, gdy wymknęłam się z jej pokoju i wróciłam do swojego łóżka, żebyś nie przestraszyła się, kiedy przyjdiesz mnie szukać nad ranem i nie zastaniesz mnie śpiącej jak zwykle u siebie.

Chciałam do końca życia spijać rozkosz cudownych chwil tamtego dnia, przyglądać się każdej jego chwili przez lupę; gardłowy śmiech Daphne, twoje radosne piski, promienie słońca odbijające się od kolorowych sreberek owalnych słodczy, zapach czekolady i pyłków roślinnych w powietrzu. Oddałabym wszystko, żeby móc przeżywać ten dzień na okrągło.

Bo następnego dnia wszystko się zmieniło.

\*

Pojawił się w poniedziałek wieczorem, kiedy kładłam cię spać.

Słyszałam dobiegające mnie odgłosy rozmowy – stłumione, ale byłam pewna, że jeden z nich należał do mężczyzny. Serce załomotało mi gwałtowniej w piersi. Nigdy nikt nas nie odwiedzał. Opatuliłam cię szybko kołdrą i wyszłam, zamykając za sobą drzwi do twojej sypialni. Pociłam się pod pachami na myśl o tym, kto mógłby zawitać do naszego domu. Czy to ten mężczyzna, którego tak bardzo bała się Daphne? Czyżby nas znalazł?

Zbiegłam na dół, odgrywając w głowie różnorakie scenariusze. Daphne jednak nie miała gościa. Była sama.

– Kto to był? – spytałam cicho, nie chcąc cię przestraszyć krzykami. – Słyszałam, jak z kimś rozmawiałaś.

Daphne potrząsnęła głową i ruszyła do dużego pokoju, a ja za nią. Stała na środku, obejmując się ramionami. Jej twarz była tak blada, jakby za chwilę miała zemdleć.

– To on – wyszeptała. – O Boże, Rose, znalazł mnie. Znalazł...

Poczułam zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– Gdzie... gdzie on teraz jest?

– Poszedł do ogrodu. Od zewnątrz. Powiedziałam, że z nim tam porozmawiam. Nie wiedziałam, co mam robić.

– Musimy zadzwonić na policję. – Ruszyłam w stronę pomarańczowego telefonu przy sofie, ale Daphne powstrzymała mnie, zanim zdołałam do niego dotrzeć.

– Nie możemy. Nie rozumiesz? To niczego nie zmieni. Nigdy przedtem nie zmieniło. Policja nie pomogła mi wtedy, więc dlaczego mieliby to zrobić teraz?

Zwiesiłam głowę.

Później żałowałam, że nie zadzwoniłyśmy na policję. Może wtedy nic takiego by się nie stało. Strach sprawia, że ludzie robią różne dziwne rzeczy. Zaćmiewa

umysły. A ja byłam przerażona przez tak długi czas. Musisz mi uwierzyć.

Daphne położyła dłoń na moim ramieniu.

– Muszę z nim porozmawiać, spróbować przekonać go, żeby zostawił mnie w spokoju. Nie wiem, czy to poskutkuje. – Załkała krótko. – Boję się, Rose. On... on nie jest miłym człowiekiem.

Jej słowa przywołały w mojej głowie wspomnienia twojego ojca i tego, co mi robił. Co bym zrobiła, gdyby postanowił pojawić się tu bez zapowiedzi, tak jak Neil?

Przyciągam Daphne i przytulam ją, całując czubek jej głowy.

– Wszystko będzie dobrze. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało – oświadczyłam z mocą. – Załatwimy to razem. Chodź. – Odsunęłam się od niej, wzięłam za rękę i poprowadziłam do kuchni. Przez okno dostrzegłam mężczyznę palącego w ogrodzie. Nie myślałam wtedy o swoim bezpieczeństwie, ani nawet, przyznając ze wstydem, o twoim. Wmówiłam sobie, że Neil nie jest nami zainteresowany. Chodziło mu tylko o Daphne. To jej szukał.

Otworzyłam tylne drzwi. Daphne wyszła jako pierwsza na taras.

– Witaj, Jean – powiedział. Światło wydostające się z kuchni oświetliło mu twarz. Miał bardzo jasną karnację i niemal przezroczyste rzęsy. Ubrany był w czarny płaszcz od Harringtona, a pod spodem miał białą podkoszulkę i dżinsy. Śmierdział zwietrzałym alkoholem.

*Jean?*

– Kto to jest? – Gestem głowy wskazał na mnie.

– Moja najlepsza przyjaciółka – odparła Daphne, odwracając się i spoglądając na mnie. W momencie, gdy nasz wzrok się spotkał, przepłynęło między nami jakieś niewypowiedziane porozumienie. Byłyśmy dwiema trzydziestokilkuletnimi kobietami, które znały się od czterech miesięcy – nie miałam prawdziwej przyjaciółki od czasu szkoły – a mimo to słowo „przyjaciółka” nie oddawało w pełni intensywności moich uczuć do Daphne.

– Lepiej bądź ostrożna. – Spojrzał na mnie, mrużąc oczy, z miną wyrażającą zadowolenie z siebie. – Nie masz pojęcia, do czego zdolna jest ta kobieta.

Zaczyna się, pomyślałam. Teraz będzie próbował przedstawić Daphne jako złą osobę. Widziałam kiedyś czarno-biały film na ten temat. Jak nazywano facetów takich, jak ten tutaj? Gaslighterzy?

Stałam w ogrodzie, dygocząc w moim sweterku i długiej spódnicy. Nic nie mówiłam, tylko wpatrywałam się w niego groźnie. Mężczyzna zaciągnął się papierosem i bardzo powoli, celowo wypuścił dym w moim kierunku. W tamtej

chwili poczułam do niego intensywną nienawiść. Daphne ruszyła w jego stronę, ale ja chwyciłam ją za rękę, próbując przyciągnąć ją do siebie.

– Nie musisz tego robić – powiedziałam.

Daphne potrząsnęła głową. Zdumiała mnie jej nagła uległość, zwłaszcza po tych wszystkich przemowach o potrzebie postawienia się facetom. Daphne strząsnęła moją dłoń, idąc dalej w jego kierunku. Wyglądała mizernie w swoim bawełnianym swetrze i dzinsach z rozszerzonymi nogawkami. Miała na sobie swoje wierne buty, które zapadały się w trawie. Stała obok niego, zwrócona do mnie plecami. Z sąsiedniego ogrodu docierał do mnie słaby zapach ogniska. Poza plamą światła z otwartych drzwi cały ogród był pogrążony w ciemności. Był to taki mrok, którego można doświadczyć tylko na prowincji, gdzie powietrze jest czyste, nie ma zbyt wielu lamp ulicznych, a okolica otoczona jest gęstym lasem. Żywopłot po jednej stronie był dość wysoki, zasłaniając ewentualny widok sąsiadom.

O czym wtedy myślałam? Czy to planowałam? Zapewne na jakimś poziomie musiałam.

Czekałam przy tylnym wejściu do domu. Obserwując. Przysłuchując się. Niczym zwierzę gotowe w każdej chwili zaatakować. Ich głosy płynęły w moim kierunku.

– Po tych wszystkich latach... – Słyszałam, jak mówił. Widziałam żar jego papierosa; punkcik bursztynowego światła w ciemności, niczym jakiś zagubiony robaczek świętojański. – Wiedziałem, że cię znajdę, nawet z tą kretyńską, brzydką fryzurą. Nie możesz się przede mną ukryć, *Jean*.

– Mam na imię Daphne – odparła stanowczo. Zauważyłam, że jej ramiona stężały. Miała długą, elegancką szyję, zwłaszcza teraz, kiedy skróciła włosy. – Nie mam pojęcia, dlaczego pan upiera się przy nazywaniu mnie Jean. Nie jestem osobą, za którą mnie pan bierze.

Mężczyzna ściszył głos, ale nadal go słyszałam.

– Oboje wiemy, kim jesteś. – W jego słowach brzmiała groźba, chociaż nie byłam pewna, skąd się bierze. A przynajmniej jeszcze nie wtedy. – Zrobię karierę, demaskując cię przed światem.

Zastanawiałam się, co ma na myśli. A potem nagle rozjaśniło mi się w głowie. Ten człowiek był policjantem. Nie dziwota, że Daphne nie chciała, żebym zadzwoniła na komendę. Był jednym z nich; mężczyzn, którzy nadużywali swojej władzy. Mężczyzn, którym inni ludzie automatycznie wierzyli.

Mężczyzn takich jak Victor Carmichael.

Victor był skurwielem prezentującym się jako filar społeczności, szanowny pan lekarz. Nikt nigdy nie uwierzyłby w moją wersję wydarzeń. Próbował zniszczyć mi życie i wyglądało na to, że Neil zrobił to samo z życiem Daphne.

– Znowu ucieknę. – W ciemnościach jej głos brzmiał słabiutko, niepewnie.

– A ja zawsze cię znajdę.

– Nie tym razem.

– Sfingowanie własnej śmierci. Muszę przyznać, że to akurat było sprytne. Ale nie jesteś wystarczająco pomysłowa, Jean.

Krew huczała mi w uszach. Nie chciałam, żeby Daphne odeszła. Zdałam sobie sprawę, że ją kocham. Nie chciałam żyć bez niej. Pragnęłam, żeby wszystko zostało tak jak teraz: my trzy mieszkające bezpiecznie w chatce – a przynajmniej do czasu, kiedy pojawił się Neil i wszystko zepsuł.

Czy zrobiłam to z powodu Victora i tego, jak mnie traktował? A może myśli o tym, że Daphne ucieknie i nigdy nie będzie mogła ze mną – z nami – być? Czułam się taka wściekła. Miałam już dosyć tej sytuacji i mojej bezsilności. Raz w życiu chciałam być aktywna, a nie pasywna. To ja chciałam kontrolować sytuację.

Sprawić, że cała ta sytuacja zniknie, przestanie istnieć. Że *on* stąd zniknie.

Obserwowałam, jak przesuwa palcem po policzku Daphne i po jej szyi. Jego twarz była blisko jej. A potem chwycił Daphne za ramiona i przycisnął ją do ściany.

– Jesteś kłamczuchą – warknął. Zobaczyłam strach na jej twarzy i natychmiast przeniosło mnie to w czasy, gdy Victor uderzył mnie po raz pierwszy. Kiedy zdałam sobie sprawę, że nie wszyscy mężczyźni są tak mili i życzliwi jak mój ojciec. Naiwna mała idiotka.

Ale przestałam już być tą osobą. Zmieniłaś mnie. Daphne mnie zmieniła. Musiałam ją chronić. Musiałam chronić życie, jakie miałyśmy we trzy.

– Zostaw ją w spokoju – zawołałam z progu domu.

Miałam wrażenie, że oglądam film poklatkowy: Strach w oczach Daphne, szyderczy uśmiech na ustach Neila, zupełnie jakby kręciła go władza nad słabszą kobietą.

Nie pamiętam, kiedy wyciągnęłam nóż do chleba ze stojaka na blacie kuchennym.

Nie pamiętam, kiedy przemierzyłam taras i wbiłam ostrze tuż pod jego żebra, jednym płynnym ruchem.

Wszystko stało się tak szybko.

Puściłam nóż, zszokowana tym, co zrobiłam. Zatoczyłam się do tyłu, dostrzegając przerażenie wymalowane na twarzy Daphne.

– Ty suko! – wychrypiał Neil, opadając na kolana. – Ty pierdolona suko. – Chwył za rączkę noża, wystającą z jego brzucha.

Zasłoniłam usta dłońmi. O Boże, o Boże, *co ja zrobiłam?*

Neil przewrócił się na plecy na trawę, nadal trzymając rączkę noża obiema dłońmi. Krew szybko przesiąkała jego koszulę, szkarłat na białym tle. Było jej tak dużo, tak bardzo dużo. Zaczęłam wymiotować z przerażenia.

Daphne natychmiast podbiegła do mnie, obejmując moje ramiona.

– Wszystko w porządku – powiedziała cicho. – Nic się nie stało... och, Rose, Rose...

– Policja. Muszę zadzwonić na policję. – Nie mogłam złapać tchu.

Neil leżał teraz na wznak na ziemi, mrugając szybko powiekami zwieńczonymi jasnym rzędkiem rzęs. Daphne pochyliła się i wyciągnęła nóż z jego rany. Niestety, chyba pogorszyło to tylko sprawę, bo krew zaczęła wypływać szybciej, przeciekając mu przez palce, kiedy próbował przyciskać ranę dłonią, jęcząc z bólu.

Zdjęłam sweter.

– Szybko, spróbujmy to zatamować – powiedziałam.

Daphne potrząsnęła głową.

– On umiera, Rose. – Jej głos był szorstki, obojętny, rzeczowy.

– Muszę zawiadomić policję. – Rozpłakałam się.

– Nie. Nie musisz.

– Owszem, muszę. Możemy go uratować!

– Chcesz go ratować? Takiego człowieka? Tego tyrana, tego śmierdzącego, cholernego gnojka?

– Ja...

Przerwał nam jęk Neila. Przyklękłam obok niego i przycisnęłam zwinięty w kulkę sweter do jego brzucha. Nagle chwycił moje ręce z taką siłą, że straciłam równowagę i prawie się przewróciłam.

– Teraz obie jesteście morderczyniami – syknął, opluwając sobie brodę śliną. – Jesteście obie takie same.

Drgnęłam z szoku.

– Co takiego?

– To Jean Burdon. – Wycelował palcem w Daphne, która stała tuż za mną. – Jean Burdon.



– Zamknij się – syknęłam. W ustach mi zaschło. – Przestań gadać. Próbuję ci pomóc. – Uklęłam i nachyliłam się nad nim. Czułam do niego odrazę, ale nie mogłam pozwolić mu umrzeć. Ogarnęła mnie panika. – Daphne! – krzyknęłam za siebie przez ramię. – Zadzwoń po karetkę.

Daphne przyklęła obok mnie.

– Po nikogo nie zadzwonię, Rose – powiedziała spokojnie. Poczułam jej dłoń na moim ramieniu. – Musimy pozwolić Neilowi umrzeć.

Jego oczy były teraz zamknięte, a twarz błyszczała od potu. Czy już umarł? Nie mogłam opanować drżenia całego ciała. Nie odrywałam oczu od tego człowieka, z woskową twarzą, leżącego na moim trawniku.

Daphne chwyciła mnie za ramię i pociągnęła w górę, stawiając na nogi.

– Jeżeli zadzwonimy po karetkę, szpital poinformuje policję i pójdziesz do więzienia – szepnęła. – Zabiorą ci Lolly. Nigdy więcej już jej nie zobaczysz. Nie chcesz iść do więzienia, Rose. Uwierz mi.

Co chciała przez to powiedzieć? Czyżby wiedziała to z doświadczenia?

Zamknęłam oczy. Co się stanie z tobą, jeśli ja pójdę do więzienia? Kiedy ponownie spojrzałam przed siebie, Daphne wpatrywała się we mnie z powagą wypisaną na jej pięknej twarzy. Chwyciła mnie za rękę, uspokajając mnie i ściągając na ziemię. Wygładziła mi włosy, odgarnęła je z mojego czoła, pocałowała mnie w usta, wycalowała twarz.

– Proszę, posłuchaj mnie, Rose – zaczęła cichym, łagodnym tonem. – Tak będzie najlepiej.

Odwróciliśmy się znów do Neila, stojąc nad nim i patrząc, jak powoli uchodzi z niego życie.

Był czyimś synem. Może czyimś bratem. Może mężem i ojcem. A ja go *zabiłam*.

Miałam szansę go uratować, tymczasem nie zrobiłam nic. Stałyśmy z Daphne, obejmując się, a ja byłam zbyt zszokowana, żeby płakać. Czekaliśmy, aż na pewno wyzionie ducha.

– I co teraz? – spytałam.

– Chyba musimy go pochować – odparła Daphne.

– Pochować? – westchnęłam gwałtownie. – Pochować go gdzie? W lesie?

– Nie, nie w lesie. To zbyt niebezpieczne. Ktoś może nas zobaczyć. Musimy to zrobić tutaj, w ogrodzie.

Zasłoniłam usta dłonią.

– Nie mogę – odparłam przez palce. – Nie tutaj. Nie w miejscu, gdzie bawi się Lolly. Nie tam, gdzie ukryliśmy wielkanocne jajka... – Rozpłakałam się nagle. Gorące łzy spływały mi po policzkach strumieniami.

– Rose – powiedziała łagodnie. – Nie jesteś złą osobą. Próbowалаś mnie chronić. – Uniosła dłonie i ostrożnie wytarła łzę. – I za to będę ci wdzięczna do końca życia. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś. Ale teraz musisz być silna. Dla Lolly.

Pokiwałam głową. Miała rację. Nie miałam wyboru. A przynajmniej tak sobie wtedy powtarzałam.

Dopiero później – dużo później, po kilku godzinach kopania w ogrodzie i grzebania dorosłego mężczyzny razem z moim swetrem – pozwoliłam sobie pomyśleć o tym, co powiedział umierający Neil.

*Teraz obie jesteście morderczyniami.*

### Saffy

– Co masz na myśli, babciu? – pytam. – Kim jest Jean?

– Jean Burdon – mówi babcia z cieniem zniecierpliwienia w głosie. – Neil Lewisham myślał, że Daphne była Jean Burdon.

Dostrzegam nagłą wymianę zszokowanych spojrzeń między detektywami. Mama wydaje z siebie cichy okrzyk.

– Kto to jest Jean Burdon? – pytam zdezorientowana. Dlaczego to nazwisko z czymś mi się kojarzy? A potem przypomina mi się artykuł w teczce dotyczącej Sheili: dotyczył jakiegoś Burdona. Czy ta osoba miała na imię Jean? Nie czytałam go zbyt uważnie. Nie rozpoznałam nazwiska i uznałam, że artykuł znalazł się w tej teczce przypadkiem. Naprawdę miałam ochotę palnąć się w łeb. Powinnam porządnie przeczytać ten wycinek. Gdybym zauważyła, że dotyczył jakiejś Jean, pewnie skojarzyłabym sobie paplaninę babci.

*Jean uderzyła ją w głowę.*

– Słyszała pani o Mary Bell? – pyta sierżant Barnes.

Kiwam głową.

– Była skazaną nieletnią morderczynią.

– Dokładnie. Sprawa Jean Burdon była bardzo podobna, tylko dziesięć lat wcześniej. Kiedy wyszła z więzienia, nadal była młodą kobietą. Nadano jej nową tożsamość i słuch po niej zaginął. – Spogląda na babcię. – Czy to właśnie ją miałaś na myśli, Rose? Jean Burdon, która zabiła swoją przyjaciółkę na początku lat pięćdziesiątych? We wschodnim Londynie?

Czuję się wstrząśnięta. Widzę, że mama przygląda się babci z przerażeniem.

Babcia kiwa głową. Składa dłonie na kolanach.

– I czy to prawda? – pyta posterunkowa Webb, nachylając się do przodu w swoim fotelu. – Czy Daphne to rzeczywiście Jean Burdon?

– Ja... – Babcia wyłamuje dłonie.

– Rose. – Policjantka opiera łokcie na stoliku. – Czy Daphne zabiła Neila Lewishama?

Babcia zaciska usta. Jej twarz na chwilę spowija mrok i zastanawiam się, o czym teraz myśli.

– Kim jest Neil Lewisham? – pyta, spoglądając na mnie. Kim są ci ludzie? – Macha ręką w kierunku policji i mamy. Markotnieję.

– Myślę, że babcia ma już dosyć – mówię, biorąc ją za rękę.

– Rose, pamiętasz może, czy Daphne zabiła Neila Lewishama? – naciska Barnes. Wydaje się zdesperowany, żeby nie przerywać rozmowy, ale babcia potrząsa głową, wpatrując się w niego z niezrozumieniem. Odmawia dalszej konwersacji.

Dwójka detektywów wymienia zrezygnowane spojrzenia.

– Musimy do tego wrócić innego dnia – mówi sierżant Barnes do mnie i do mamy.

Dopiero kiedy wychodzimy z pokoju, słyszę, jak posterunkowa Webb mówi do swojego kolegi po fachu:

– Myślę, że powinniśmy zbadać, czy te drugie zwłoki to nie jest przypadkiem ta cała Daphne Hartall.

\*

– Słyszałaś o Jean Burdon? – pytam mamę w drodze do domu. Po wcześniejszej sprzeczce napięcie między nami jest niemal namacalne.

– Oczywiście, że tak – odpowiada rzeczowo. – Ty może jesteś za młoda, żeby znać tę sprawę. A potem sprawa Mary Bell przyćmiła zbrodnię Jean Burdon.

– Kogo zabiła Burdon?

– Inną małą dziewczynkę. Jean miała wtedy dziesięć lat. Jej ofiara również. Oczywiście to było przed moim urodzeniem, ale pamiętam, że o tym czytałam.

Czuję się chora.

– Boże, to okropne. Wyobraź sobie, że miałabyś się dowiedzieć czegoś takiego o swojej lokatorce.

Mama kiwa ponuro głową.

– Myślisz, że Daphne zabiła Neila Lewishama, ponieważ dowiedział się, że tak naprawdę nazywa się Jean Burdon? – pytam.

Mama spogląda na mnie zboląłym wzrokiem.

– To możliwe, zwłaszcza jeśli gość był dziennikarzem. To ma sens.

– Ale z drugiej strony – mówię, czując suchość w ustach – jeśli Daphne jest tym drugim ciałem, w takim razie kto zabił ją?

\*

Kiedy wracamy do domu, Toma nie ma – wyszedł na spacer ze Snowym. Idę od razu do mojej pracowni i zaglądam do artykułu, który ojciec przesłał mi wraz z innymi dokumentami dotyczącymi Sheili. To krótki tekst w formie opisu sondy ulicznej, w której Neil pyta, co stało się z Jean Burdon i zagaduje przypadkowe osoby, czy może widziały zabójczynię.

Potem wpisuję nazwisko Jean w wyszukiwarkę Google i po chwili spoglądam na długą listę linków. To przeważnie doniesienia w gazetach oraz ziarniste czarno-białe zdjęcie pyzatej dziewczynki obciętej na pazia. Wchodzę na stronę ze zdjęciem.

17 lutego 1951

THE DAILY MAIL

JEDENASTOLETANIA DZIEWCZYNIKA SKAZANA ZA MORDERSTWO

Sąd Old Bailey skazał dzisiaj jedenastoletnią dziewczynkę na dożywotnie więzienie po tym, jak uznano ją winną morderstwa.

Jean Burdon zachowała spokój i nie okazała żadnych emocji, kiedy po czterogodzinnych naradach ława przysięgłych odczytała werdykt uznający jej winę.

Jean Burdon „uderzyła tęnym narzędziem w skroń” dziesięcioletniej Susan Wallace podczas niesprovokowanego ataku 20 czerwca zeszłego roku. Susan została znaleziona martwa w opuszczonym, zburzonym przez bomby budynku przez dwóch przechodzących obok chłopców.

Sędzia Downing opisał Burdon jako osobę niebezpieczną dla innych dzieci i powiedział, że zostanie ona umieszczona na oddziale wzmożonego nadzoru „na wiele lat”.

\*

Mama wchodzi do pokoju z kubkiem herbaty.

– Proszę. Rooibos. – Stawia go ostrożnie na moim biurku. – Nie mam pojęcia, jak możesz pić to świństwo. Od samego zapachu robi mi się niedobrze.

– Spójrz na to. – Pokazuję mamie artykuł, który czyta, zaglądając mi przez ramię. – Sądziś, że Daphne Hartall naprawdę mogłaby być tą osobą?

– Cóż, możliwe, że Sheila Watts była nową tożsamością Jean Burdon.

– I babcia się o tym dowiedziała?

– Musiała. Wspomniała również Susan Wallace, nie pamiętasz? Kiedy mówiła o Jean.

– Nie uważasz, że jest po prostu zdezorientowana i opowiada o tym, bo była to zapewne dość głośna sprawa za czasów jej dzieciństwa? – pytam z nadzieją.

Mama spogląda na mnie z niepokojem.

– Nie, nie sądzę – odpowiada. – Przykro mi.

Czuję łzy napływające mi do oczu.

– Policja pewnie uzna, że Daphne zabiła Neila Lewishama, prawda? I że babcia się o tym dowiedziała i zabiła Daphne. Teraz mają motyw.

Mama klepie mnie po ramieniu.

– Potrzebują więcej dowodów, zanim będą mogli podążać tym tropem. Nie martw się – mówi, chociaż bez przekonania.

– Sądziś, że ten prywatny detektyw pracuje dla Daphne/Sheili/Jean, jakkolwiek ma na imię? Oczywiście pod warunkiem, że nie jest drugim trupem.

– Dlaczego tak mówisz?

– No wiesz, Davies powiedział, że jego klient szuka ważnych dokumentów i podobno nazwał je dowodami. Co innego miałby mieć na myśli? Wiemy, że jest niezłym zbirzem, a osoba, dla której pracuje, wydaje się bardzo zdesperowana.

– Powiedziałam policji wszystko, co wiem o Glenie Daviesie. Mam nadzieję, że porozmawiają z nim i zmuszą go do przyznania się, dla kogo pracuje.

– Daphne była we właściwym wieku... – mówię ze zwątpieniem, masując skronie. Czuję nadciągający ból głowy.

Myślę o babci – nie o tym, jak się teraz czuje, ale o tym, jaka była, kiedy dorastałam. Silna, niezawodna, uprzejma, lecz zamknięta w sobie. Najwyraźniej miała więcej tajemnic, niż kiedykolwiek podejrzewałyśmy z mamą. Zawsze była niezwykle lojalna, oddana i opiekuńcza, jak lwica. Jeżeli drugie ciało to Daphne, która tak naprawdę była Jean Burdon, mogła stać się niezrównowazona, niebezpieczna. Czy babcia zabiła ją, żeby chronić swoją córkę? Kładę dłoń na brzuchu, przypominając sobie, jak silny obudził się we mnie instynkt opiekuńczy, kiedy wróciliśmy ze szpitala.

– Nie wierzę, że babcia jest zabójczynią – myślę na głos. Spoglądam na mamę, która przysiadła na małym krzeselku w rogu. Wydaje się mnie nie słuchać. –

Mamo?

– Musimy porozmawiać... o tym, co powiedziałaś w samochodzie.

Odwracam się z powrotem do komputera.

– Mamy znacznie ważniejsze rzeczy na głowie.

– Nie chcę, żeby były między nami jakieś niewyjaśnione sprawy. Bardzo cię kocham.

– A ja ciebie. Proszę, możemy po prostu o tym zapomnieć? To była głupia kłótnia.

Mama otwiera usta z zamiarem powiedzenia czegoś więcej, ale przerywa nam pukanie do drzwi. Spoglądamy na siebie. Moja pierwsza myśl to Davies.

– Zostań tutaj. – Mama wstaje i idzie do drzwi wejściowych. Odchylam się na oparcie krzesła i obserwuję, jak mama spogląda przez okno. – To młode małżeństwo – mówi zaskoczona.

– Nie dziennikarze? – Jest sobotnie popołudnie. Kto inny miałby się tutaj pojawić o tej porze?

– Nie wyglądają na takich. – Otwiera drzwi. Wstaję i podchodzę do niej, zastanawiając się, kim są ci ludzie. Z zaskoczeniem spoglądam na parę przed trzydziestką stojącą przed wejściem: drobną śliczną kobietę z kokiem skręconym na głowie jak ananas i wysokiego mężczyznę z gąszczem ciemnych, przyklapniętych włosów i ciepłym spojrzeniem brązowych oczu. Ma przystojną, przyjazną twarz, a kiedy się uśmiecha, w policzkach robią mu się dołeczki. Jest niemal tak wysoki jak Tom. Wygląda na dość zrelaksowanego, w zwykłym podkoszulku i dżinsach.

– Hej – mówi, czerwieniąc się lekko. – Jestem Theo Carmichael, a to moja żona, Jen. – Kobieta uśmiecha się na przywitanie. – Wiem, że to zabrzmiało jak szaleństwo, i mam nadzieję, że nie mają panie nic przeciwko naszemu pojawieniu się tutaj bez uprzedzenia...

Wpatruję się w nich skonsternowana. Czy to którzyś z naszych sąsiadów? A może świadkowie Jehowy?

– Niedawno znalazłem ten artykuł na biurku mojego taty. – Wręcza mi wycinek z gazety. Przeglądam go. Dotyczy ciał znalezionych w ogrodzie. Ktoś podkreślił moje imię oraz imię babci. Na dole, zamaszystym charakterem widnieje dopisek: „znajdź ją”.

– To dziwne. – Przekazuję papier mamie. – Jestem Saffron Cutler, a Rose Grey to moja babcia. Powiedział pan, że znalazł ten artykuł na biurku swojego ojca? Jak on się nazywa?

– Victor Carmichael. Chyba znał pani babcię. – Mężczyzna ma lekki akcent z Yorkshire.

Victor. Jestem zbyt zaskoczona, żeby od razu odpowiedzieć.

– Moja babcia wspominała jakiegoś Victora. Nie rozumialiśmy, co chciała powiedzieć. Cierpi na demencję – dodaję, kiedy nieznajomy spogląda na mnie zdezorientowany. Przyglądam się obojgu przybyszom. – Chcą państwo wejść do środka? – pytam.

Oboje kiwają z wdzięcznością głowami, a ja odsuwam się w głąb korytarza, robiąc dla nich miejsce. Prowadzę ich do dużego pokoju.

– Co ty robisz? – pyta bezgłośnie mama.

– Wydają się w porządku – szepczę w odpowiedzi. – Potrzebujemy informacji.

Theo i Jen siadają na sofie. Theo kładzie plecak przy swoich stopach.

– Chcą państwo coś do picia? – pyta mama, kiedy siadam w fotelu pod oknem.

– Nie, dziękujemy – mówi Jen. – Zatrzymaliśmy się w pokoju nad tutejszym pubem i zjedliśmy późny lunch.

– Przyjechaliśmy tutaj z Yorkshire – mówi Theo, kiedy mama przysiadła na krześle obok kominka. – Może przejdę od razu do sedna sprawy. Myślę, że mój tata coś ukrywa. Ostatnio zachowuje się bardzo dziwnie. – Chichocze nerwowo. – A przynajmniej dziwniej niż zazwyczaj. Nie chciał mi powiedzieć, dlaczego napisał słowa „znajdź ją” na artykule. Nie chciał również podzielić się żadnymi informacjami, kiedy go o to poprosiłem. Bronił się i był bardzo nieprzyjemny, a potem znalazłem u niego teczkę, ukrytą w szafce, w sekretnym schowku. Była wypełniona fotografiami kobiet. Zastanawiałem się, czy jedna z nich to może twoja babcia. – Wyciąga w moją stronę telefon. Wstaję i zaczynam przeglądać zdjęcia. Wszystkie przedstawiają ładne młode kobiety. Jedna z nich jest w zaawansowanej ciąży.

– Nie. – Zwracam mu telefon. – Żadna z nich nie jest moją babcią.

Siadam z powrotem na fotelu.

– Och. – Theo wygląda na rozczarowanego. – Powiedziała pani, że pani babcia wspominała coś o Victorze? Co o nim mówiła?

Rzucam mamie niepewne spojrzenie.

– Hmm... – Spoglądam na Theo. – Powiedziała coś o tym, że chciał skrzywdzić dziecko.

Wyglądają na zszokowanych.

– Skrzywdzić dziecko? Mój ojciec jest lekarzem. Może nie jest doskonały – twarz Theo przesłania chmura – ale skrzywdzić dziecko?



Jen chwyta go za rękę.

Zapada niewygodna cisza, którą przerywa mama.

– Ile lat ma twój ojciec? Moja mama, Rose, jest już po siedemdziesiątce.

– Tata był starszy, kiedy się urodziłem. Mama była dużo młodsza od niego.

Ojciec ma siedemdziesiąt sześć lat.

– Czyli są w tym samym wieku. Może kiedyś się spotykali?

Theo wzrusza ramionami.

– Naprawdę nie wiem. Czy Rose powiedziała coś jeszcze o moim ojcu?

– Często wszystko jej się płacze – zaczynam w ramach wyjaśnienia. – Wymienia wiele imion. Victora wspomniała kilkakrotnie, ale wydawała się... przerażona.

Theo blednie.

– Przerażona?

– Może to nie jest najodpowiedniejsze słowo. – Ściągam brwi, usiłując sobie przypomnieć. – Zdenerwowana. Zdecydowanie twierdziła, że Victor chciał skrzywdzić dziecko. W jej ustach brzmiał... przepraszam, to, co powiem, nie będzie przyjemne, ale z jej słów wynikało, że nie był dobrym człowiekiem.

Theo i jego żona wymieniają spojrzenia.

– Według mnie ojciec nie jest dobrym człowiekiem – mamrocze Theo, nagle sprawiając wrażenie bardzo nieszczęśliwego. Współczuję mu.

– Od czasu odkrycia ciała w ogrodzie wszystko zrobiło się bardzo dziwne – mówi mama. – Słyszeliście może o Daphne Hartall?

Theo potrząsa głową.

– Była lokatorką mojej mamy. Mieszkały razem w tym domu w 1980 roku. Naszym zdaniem ta kobieta nazywała się również Sheila Watts.

– Nie słyszałem o niej – mówi Theo. Palce jego dłoni wciąż splecione są z palcami Jen. Widzę, że pragną odpowiedzi równie desperacko jak my.

– Próbujemy ją znaleźć... to znaczy policja próbuje – ciągnie mama. – Jest jeszcze coś. Kilka dni temu skontaktował się ze mną i z Saffy pewien mężczyzna. Twierdził, że jest prywatnym detektywem, chociaż pewnej nocy, kiedy wracałam do domu na piechotę, zaatakował mnie...

Jen wydaje stłumiony okrzyk przerażenia.

– To okropne.

– Owszem, to było straszne – potwierdza mama. – Powiedział nam, że jego klient wynajął go do znalezienia jakichś dokumentów, które jakoby posiada moja mama. Nazwał je *dowodami*.

- Dowodami? – Jen marszczy czoło.
- Tak. Nie zdradził nam szczegółów, ale byłam naprawdę przerażona.
- Jak on się nazywa? – pyta Theo. – Powiedział, dla kogo pracuje?
- Nie. Nie chciał powiedzieć, ale podał nam swoje nazwisko. Glen Davies.
- Zaraz, chwileczkę. – Theo się prostuje. – Glen Davies?
- Tak mi się przedstawił – potwierdza mama. – Myślimy też, że włamał się tutaj, szukając tych tak zwanych dowodów.
- Znam Glena Daviesa. – Theo błędnie. – Pracuje dla mojego ojca.

## Theo

– Pracuje dla twojego ojca? – wykrzykuje młodsza kobieta. Saffron. Jej duże brązowe oczy są wielkie jak spodki. Spogląda na Theo z niedowierzaniem. Theo czuje mdłości na myśl, że sługus ojca, gość od brudnej roboty (zawsze myślał o nim w ten sposób), przyjechał tutaj i terroryzuje te kobiety.

– Tak. – Zakłada nogę na nogę, a potem zmienia pozycję i stawia stopy obok siebie. Żałuje, że jednak nie poprosił o napój, bo strasznie mu zaschło w ustach. – Zna mojego ojca od lat. Nie wiem nawet, w jaki sposób się poznali. Przed nim tata miał innego człowieka, podobny typ, były wojskowy, ale ten odszedł na emeryturę. Wiem jednak z całą pewnością, że Glen Davies zdecydowanie nie jest prywatnym detektywem.

– W takim razie co dokładnie robi dla twojego taty? – pyta starsza kobieta. Laura, a może Lorna? Theo ma trudności z rejestrowaniem informacji, od kiedy tu przyszedł.

Wzrusza ramionami. Co on niby może wiedzieć na ten temat? Nigdy nie był pewien.

– Zawsze zakładałem, że jest kimś w rodzaju ochroniarza ojca. Pojawia się od czasu do czasu w domu. Sprawdza alarmy przeciwwłamaniowe, udziela ojcu porad, tego typu sprawy. Tata jest bardzo bogatym człowiekiem. Odniósł sukces w swojej dziedzinie.

– Cóż, jak dla mnie Glen Davies jest pieprzonym zbirem, ot co – mówi Laura. Nie: Lorna. Theo jest pewien, że kobieta ma na imię Lorna. – Włamał się do naszego domu, kiedy moja córka musiała pojechać do szpitala. Zupełnie jakby czekał zaczajony na zewnątrz, wypatrując okazji, kiedy stąd wyjdziemy. To wszystko musi mieć coś wspólnego z twoim ojcem. – Lorna wstaje i zaczyna przechadzać się po pokoju, machając rękoma, kiedy mówi. Theo obserwuje ją zaczarowany. Jest w niej coś bardzo znajomego. Zupełnie jakby już kiedyś ją spotkał, tylko nie wie, gdzie. – A te zdjęcia... – Zatrzymuje się i odwraca do Theo. Wyciąga rękę. – Mogę je zobaczyć?

Theo podaje jej telefon. Wszyscy obserwują z nadzieją Lornę, kiedy ta przegląda fotografie. A potem wydaje z siebie sfrustrowany jęk i oddaje Theo aparat.

– Nikogo nie rozpoznaję. Miałam nadzieję, że zobaczę moją mamę.

– Przecież już to sprawdziłam – mówi Saffron.

– Wiem. Chciałam się sama o tym przekonać. – Lorna rzuca córce przepraszający uśmiech, a Theo czuje ukłucie tęsknoty za swoją własną matką.

Odbiera telefon z rąk Lorny, czując jej frustrację.

– Pamięta pani może, o co Glen panią wypytywał? Tamtej nocy, kiedy... panią zaatakował.

– Tylko o dowody. To wszystko. Aha, i jeszcze mi groził. Powiedział, że zrobi krzywdę mi albo Saffy – wzdryga się – jeżeli pójdę z tym na policję.

Theo przetyka, starając się stłumić narastającą w nim panikę. Czy jego ojciec ma coś wspólnego z morderstwami, które miały tu miejsce? Może ta teczka ze zdjęciami kobiet to fałszywy trop? Chyba że to ofiary ojca.

– Myślę, że mama przed kimś uciekała. Kobieta, która знаła ją w tamtych czasach, pamięta, że mama była znerwicowana i skryta. Poza tym, kiedy pojawiła się tutaj, była podobno w ciąży. – Lorna siada z powrotem na krześle. Buzuje nerwową energią, jak fajerwerk, który zaraz wybuchnie.

– I pani myśli, że Rose uciekała przed moim ojcem?

Lorna spogląda na swoją córkę, a potem z powrotem na Theo.

– Owszem, zaczynam tak myśleć. Moja mama była zawsze bardzo skryta, jeśli chodziło o ojca. Mówiła, że miał na imię William, ale nigdy nie widziałam jego zdjęć ani nigdy o nim nie rozmawiała. Zupełnie jakby chciała o nim zapomnieć.

Theo myśli o Cynthii Parsons. Czy Rose również była ofiarą jego ojca? Jakaś była dziewczyna, która ukrywała się przed nim ze strachu? Była dziewczyna, która zaszła z nim w ciążę?

– Kochanie – mówi Jen łagodnie, opierając rękę na jego ramieniu. Theo wie, co zaraz powie. On również o tym myślał. Lorna wygląda zupełnie jak jego ojciec: te same kręcone ciemne włosy, szeroki nos, kształt oczu i brody. To właśnie dlatego wydała się mu taka znajoma, kiedy tu przyszli – wyglądała jak jego lustrzane odbicie.

– Myślę, że Victor może być moim ojcem – mówi Lorna, zanim Theo jest w stanie wypowiedzieć swoje podejrzenia na głos.

Saffron zasłania usta dłońmi.

– O mój Boże – wykrzykuje, zrywając się z fotela. – Oczywiście!

– Ja też tak myślę – mówi powoli Theo. – Jesteś do niego bardzo podobna.  
Zapada niewygodna cisza.

– A zatem to dziecko, które miał skrzywdzić, to byłam ja? – mówi w końcu Lorna. – A jeżeli chciał skrzywdzić mnie, to czy chciał również skrzywdzić moją matkę? Dlaczego przed nim uciekała?

Theo czuje narastający w nim wstyd – wstyd przez związek ze swoim okropnym ojcem. Chce im powiedzieć, że on zupełnie go nie przypomina.

– Myślę, że mój ojciec znęcał się nad moją mamą. Widziałem... siniaki. Kontrolował ją i manipulował nią.

– Czy nadal jest z twoją mamą? – pyta Lorna.  
Theo chrząka.

– Mama umarła. Spadła ze schodów.

– Bardzo mi przykro.

Saffron nadal stoi, przyglądając się wszystkim z rozdziawioną buzią. Moja siostrzenica, myśli Theo.

– W takim razie twój tata musi być tym klientem, o którym mówił Glen Davies? – upewnia się Lorna. Nadal siedzi nachylona na krześle, z uniesionymi pytająco brwiami, opierając łokcie o uda. – A jeśli tak, czy oznacza to, że był zamieszany w morderstwa?

Theo przenosi ciężar z jednego pośladka na drugi. Ta sofa naprawdę jest niewygodna. Cholera. Ciała w ogrodzie. Wycinek z gazety. Zatrudnienie Glена Daviesa, żeby nastraszyć te kobiety, swoją własną rodzinę. To dokładnie coś w jego stylu – zrobiłby to bez wahania, jeśli oznaczało to, że w ten sposób się ochroni. Ale morderstwo? Tego się nie spodziewał nawet w najgorszych snach.

\*

Po powrocie do pokoju Pod Jeleniem i Bazantem Theo czuje się wyczerpany. Rzuca się na łożo z baldachimem. Za oknami otwieranymi do góry widać las. Gardło boli Theo od ciągłego gadania dziś po południu.

Jen wdrapuje się do łóżka i kładzie obok niego.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówi. – Masz siostrę przyrodną.

– Uhm, a mój ojciec jest potencjalnym mordercą – odpowiada. Nadal mrozi go na samą myśl o tym. – Inaczej po co zatrudniałby Glена Daviesa? Co on zrobił? I czego tak desperacko szuka za jego pośrednictwem?

– Och, kochanie. – Wtula się w jego bok i kładzie mu głowę na piersi. – Tak mi przykro. Sądziś, że twój ojciec wiedział, że ma córkę?

– Nie jestem pewien. Nie wiem już, czy miał ten artykuł z powodu odkopania ciał, ponieważ uznał, że ktoś może odkryć jakieś jego brudne tajemnice, czy dlatego, że artykuł wskazał mu miejsce pobytu Rose. Tak czy owak, morderstwo? – jęczy. – To zupełnie inne rzecz. Poza tym... – Przerywa, niezdolny do wypowiedzenia swoich myśli na głos.

– Poza tym co? – Jen unosi się i siada na łóżku.

Theo oddycha głęboko.

– Jeżeli mój ojciec jest zdolny do popełnienia morderstwa, rzuca to nowe światło na wypadek mojej mamy. – On również siada, naprzeciwko żony. – Jen, co, jeśli tata zabił moją mamę?

**Rose***Kwiecień 1980 roku*

Nie mogłam wstać z łóżka przez dwa dni. Czułam się, jakbym przechodziła załamanie nerwowe. Chciałam się od tego wszystkiego odciąć: od obrazu noża wbijającego się w bok Neila, od przerażenia wypisanego na jego twarzy, od krwi wypływającej z rany, od dziury, którą wykopałyśmy w ogrodzie, od zapachu wilgotnej ziemi, robaków, które uciekały spod łopat, głuchego odgłosu ciała lądującego na dnie prowizorycznego grobu. Obrazy przesączały się do moich snów, zmieniając je w koszmary. Mój uczynek, jego śmierć otworzyły tamę powstrzymującą powódź dawnych uczuć i lęków.

Daphne była fantastyczna. Zajmowała się tobą, odprowadzała cię na zajęcia grupy przedszkolnej, a potem odbierała cię, gotowała dla ciebie, prała twoje rzeczy i troszczyła się o twoje bezpieczeństwo. Była jedyną osobą oprócz mnie, której mogłam cię powierzyć, może poza Joyce i Royem z sąsiedztwa.

– Rose, kochanie – powiedziała, siadając na brzegu łóżka następnego wieczora. – Musisz w końcu coś zjeść.

Było już ciemno, a ty dawno spałaś, opatulona w kołdrę w swoim łóżeczku. Daphne przyprowadziła cię wcześniej, żebyś mogła powiedzieć dobranoc. Przytuliłam cię tak mocno, jakby twoja niewinność mogła wyleczyć moje czarne serce. A potem słuchałam twojego chichotu, dobiegającego z twojego pokoju, kiedy Daphne czytała ci bajkę na dobranoc, obdarzając wszystkich bohaterów książki zabawnymi głosami.

Daphne trzymała w ręku kubek z jakimś płynem.

– Wypij to. Dolałam tu trochę whisky. Jesteś w szoku, to wszystko. Za kilka dni poczujesz się jak nowo narodzona.

Nowo narodzona. Bardzo nietypowe słowo w ustach Daphne. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że jest równie zagubiona jak ja.

– Jestem morderczynią. – Usiadłam, biorąc kubek do ręki. – Przekroczyłam granicę. Odebrałam życie. Nigdy sobie z tym nie poradzę. – Nie mogłam

przestać myśleć o kopczyku świeżej ziemi w pobliżu naszego tarasu – brązowej łacie na trawniku, znaczącej grób Levishama. Nigdy już nie będę mogła wyjść do ogrodu ani wyjrzeć przez okno kuchenne bez przypomnienia sobie o tym.

– Musisz – odparła surowo. – Nie możesz tak tutaj zostać, użalając się nad sobą bez końca, Rose. Jesteś matką. To największy dar pod słońcem. Oczyszczyłaś ten świat z jednego naprawdę złego człowieka. Szkoda, że nie możemy zrobić tego samego z pozostałymi. – Roześmiała się, żeby obrócić to w żart, ale coś w jej oczach kazało mi myśleć, że gdybym nagle zgodziła się na morderczą krucjatę, poszłaby ze mną. Dwie trzydziestoparoletnie samozwańcze strażniczki prawa.

– Nie czułabym się na siłach – powiedziałam, próbując się roześmiać.

Daphne odgarnęła delikatnie włosy z mojej twarzy.

– Wiem. Jesteś zbyt kochana. Zbyt dobra. – Pocałowała mnie w czoło.

– Zostaniesz ze mną dziś w nocy? – spytałam. – Nie chcę być sama.

– Oczywiście. – Wdrapała się do łóżka obok mnie, w ubraniu i naciągnęła kołdrę na nas obie. Czulałam jej stopę w skarpetce dotykającą moje nagie nogi. Popijałam herbatę, czując ciepło od whisky spływające po gardle.

– Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę jego twarz.

– Wiem – powiedziała pocieszająco.

– Chcę tylko, żeby te obrazy zniknęły z mojej głowy.

– Znikną.

– Naprawdę? – Przyjrzałam się jej uważnie. – Wydajesz się sporo o tym wiedzieć. – Zawahałam się. Musiałam ją spytać, ale przerażała mnie perspektywa odpowiedzi. Co ja zrobię, jeśli okaże się, że Neil mówił prawdę?

Chwyciłam jej dłoń, czując jej kościste palce pod opuszkami. Ty i ona byłyście jedynymi osobami na całym świecie, które kochałam.

– Proszę, powiedz mi prawdę. Nie zniosę kłamstw. Żadnych więcej kłamstw. Ale muszę wiedzieć. Czy Neil miał rację? Czy jesteś Jean Burdon?

Spoglądała na mnie przez bardzo długą chwilę. W przygaszonym świetle jej źrenice były wielkie, zasłaniały większość tęczówki. Kiedy już myślałam, że mi nie odpowie, otworzyła usta:

– A czy wtedy nadal byś mnie kochała, Rose?

Czy bym ją kochała? Musiałam się nad tym zastanowić. Może gdybym właśnie nie zabiła człowieka, wywaliłabym ją natychmiast z domu.

– Muszę znać prawdę.

Jej oczy wypełniły się łzami.



– Nie chciałam tego zrobić – powiedziała tak cicho, że prawie jej nie usłyszałam. – To był wypadek. Miałam dziesięć lat. Moje dzieciństwo... nie było dobre, Rose, ale nigdy nikogo nie skrzywdziłam. Musisz mi uwierzyć.

Wpatrzyłam się w nią. Była wtedy dzieckiem. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że teraz mogłaby kogoś skrzywdzić. To ja zabiłam Neila. I byłam w niej tak zakochana, że uwierzyłabym we wszystko, co mi powiedziała.

Przesiedziałyśmy większość tej nocy, rozmawiając. Po raz pierwszy od naszego spotkania Daphne otworzyła się przede mną. Opowiedziała mi historię Jean Burdon – małej dziewczynki, którą gazety nazywały „nikczemną”. Opowiedziała o tym, jak była zaniedbywana; jak ojciec znęcał się nad nią i ją wykorzystywał; jak całymi dniami włączyła się sama po opuszczonych zbombardowanych ulicach wschodniego Londynu.

– A potem znalazłam sobie przyjaciółkę – powiedziała z twarzą szarą, bezbarwną w blasku księżyca. – Byłam taka szczęśliwa, że wreszcie komuś na mnie zależy. Nie byłam rozwinięta emocjonalnie. Nie znałam się na związkach międzyludzkich, zwłaszcza między dziećmi. Miałam w sobie tę wściekłość... – Załkała cicho, a ja ścisnęłam jej dłoń pocieszająco. – W każdym razie, kiedy Susan, bo tak miała na imię, uznała w końcu, że już nie chce być moją przyjaciółką, krew zalała mi oczy. Podobno wzięłam cegłę i uderzyłam Susan w głowę. Ale ja nic z tego nie pamiętam. Myślę, że mogłam ją popchnąć, a ona upadła i może uderzyła się wtedy w głowę.

– Och, Daphne.

– Oczywiście poszłam do więzienia. To znaczy, nie było to więzienie dla dorosłych, tylko oddział ze wzmożonym nadzorem. Odbyłam resocjalizację dzięki kilku życzliwym dorosłym, którzy nauczyli mnie odróżniać dobro od zła, coś, czego nigdy nie zrobili moi rodzice. – Podciągnęła koc pod brodę i zadrżała, bardziej z powodu wspomnień niż z zimna.

– To musiało być okropne.

– Znacznie mniej niż dom, w którym się wychowywałam.

Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Moje własne dzieciństwo było cudowne. Byłam jedynaczką i miałam dwoje dobrych, troskliwych rodziców.

Pozwoliłam Daphne opowiadać tej nocy o jej dzieciństwie, jej życiu: w jaki sposób dostała nową tożsamość jako Sheila Watts, jak ukradła tożsamość Daphne Hartall swojemu przyjacielowi, Alanowi, kiedy zorientowała się, że pewien dziennikarz, Neil Lewisham, odkrył, kim tak naprawdę była.

Nie opowiedziałam jej mojej historii. Nie wtedy. Trzymałam ją w tajemnicy tak długo, że opowiedzenie jej na głos byłoby zbyt trudne.

Poza tym nie chciałam, żeby cokolwiek się między nami zmieniło. Daphne mogłaby się poczuć niekomfortowo, gdyby poznała moją opowieść. Pozwoliłam jej więc nadal wierzyć w to, że byłam wdową i że mój „mąż” zmarł, zanim się urodziłaś.

Nie opowiedziałam jej nawet o mojej ostatniej dziewczynie.

Audrey i ja byłyśmy ze sobą przez długi czas. Nie ukrywałyśmy swojej orientacji seksualnej: nie miałyśmy przed kim. Moi rodzice nie żyli, a Audrey pochodziła z bardzo liberalnej, intelektualnej rodziny akademickiej. Nawet w latach siedemdziesiątych, epoce wolnej miłości i rewolucji seksualnej, nadal byli tacy, którzy nas osądzali i nie mieli najmniejszych zahamowań, żeby wyrazić głośno swoją dezaprobatę.

Kiedy jednak skończyłam trzydzieści lat, zapragnęłam jednej rzeczy, której Audrey nie mogła mi dać.

Dziecka.

I właśnie wtedy poznałam Victora.

## Lorna

– Musimy zadzwonić do detektywa Barnesa – mówi Lorna następnego dnia z samego rana.

– Może nie powinniśmy im przeszkadzać w niedzielę? – pyta Saffy, siedząca na sofie, okutana welurowym szlafrokiem w kolorze bakłazana. Wygląda trochę blado. Tom nadal jest w łóżku. Po wyjściu Theo i Jen rozmawiali zeszłej nocy do bardzo późna. O siódmej rano Lorna już dawno nie spała i była pogrążona w rozmowie ze swoją szefową w Hiszpanii. Powiedziała jej, że potrzebuje więcej czasu wolnego. O dziwo, wykazała się zrozumieniem.

– Oczywiście. To ważne – powiedziała zdecydowanym głosem.

Chociaż nadal jest wcześnie, słońce wdziera się do pokoju przez zasłony, zdecydowanie polepszając samopoczucie Lorny. Bardzo tego potrzebuje po wydarzeniach poprzedniej nocy. Jedynym pozytywem niedawnych rewelacji jest to, że być może ma brata przyrodniego. Reszta informacji jednak... Victor Carmichael jest jej ojcem – człowiek, który zrobił Bóg wie jakie okropności. Jaką trzeba być osobą, żeby wysłać zabijakę takiego jak Glen Davies, żeby ją nastraszył? Ją – własną córkę Victora. Tak, trzeba być człowiekiem, który nie cofnie się przed morderstwem. Czy miał coś wspólnego z ukryciem dwóch nieboszczyków w ogrodzie? Czy teraz panikuje, bo nagle dopada go przeszłość i Carmichael zmartwił się, że wszystko się wyda po tylu latach? Jakie „dowody” przeciwko niemu posiada jej matka?

Do tego wszystkiego dochodzi Saffy. Lorna zerka na swoją córkę, która wpatruje się w dal niewidzącym spojrzeniem, obgryzając paznokieć kciuka. Lorna nie zdawała sobie sprawy z gniewu i frustracji, jakie odczuwała przez wszystkie te lata. Czy była złą matką? Słowa jej córki nadal ranią jej serce jak sztylet. Lorna nie wie, jak zmienić tę sytuację na lepsze.

Bierze telefon ze stolika kawowego.

– Możesz wstawić wodę na herbatę, kochanie? Ja zadzwonię do detektywa Barnesa. – Zdążyła już wypić dwa kubki kawy i czuje się rozedrgana. Saffy

niemrawo wyrywa się z odrętwienia, wstaje z sofy i idzie do kuchni. Lorna słyszy, jak jej córka krząta się, otwierając szafki i stawiając kubki na blacie.

Sierżant Barnes odbiera od razu. Lorna zaczyna streszczać mu wydarzenia z wczorajszego wieczora. Mówi tak szybko, że policjant musi często prosić ją o powtórzenie.

– No proszę, dobra robota – mówi na koniec. – Wyślemy dzisiaj kogoś, żeby porozmawiał z Victorem Carmichaelem.

– On mieszka w Yorkshire...

– To nie stanowi problemu. A teraz, kiedy wiemy już, dla kogo pracuje Glen Davies, powinniśmy go znaleźć z łatwością.

Lorna czuje ulgę. Od kiedy Davies zaatakował ją na ulicy, cały czas czuła się spięta. Może teraz go zamkną.

– Jak zapewne pani zgaduje – dodaje Barnes – wizytówka, którą pani wręczył, była fałszywa. Numer telefonu to prawdopodobnie nielegalna komórka na kartę. Kiedy jeden z naszych funkcjonariuszy próbował na nią zadzwonić, nikt nie odebrał. Możemy również zorganizować dla pani test DNA. Kiedy Theo wraca do domu?

– Zostają do jutra. Mam jego numer. Jestem pewna, że nie miałby nic przeciwko temu, żebym go panu podała.

– Doskonale. Będę panią informował na bieżąco.

Kończy rozmowę, a Lorna przyłącza się do Saffy w kuchni. Jej córka wpatruje się w lodówkę.

– Skończyło się mleko. Znowu. Jak to się dzieje, że aż tyle zużywamy? – jęczy płaczliwie.

– Przepraszam – mówi Lorna. – Zużyłam resztkę dzisiaj rano do kawy. Może wrócisz do łóżka? A ja wybiorę się po świeże mleko. – Gładzi ramię Saffy. Jej welurowa piżama jest niczym futerko pluszowego misia. – Zrobię dzisiaj coś dobrego na obiad. Coś pożywnego.

– Dzięki, mam. Mogłabyś zabrać ze sobą Snowy’ego?

Lorna zgadza się i obserwuje Saffy człapiącą korytarzem i po schodach na górę. Jej córka wygląda, jakby na jej ramionach spoczywał ciężar całego świata.

\*

Lorna wychodzi ze sklepu na rogu, trzymając w ręku siatkę z zakupami, i wpada na Melisę.

– Miło cię znów widzieć – mówi starsza pani, uśmiechając się radośnie. Na nosie ma parę okularów do czytania, na łańcuszku, który zawiesiła sobie na szyi. Lorna zastanawia się, jakie to uczucie, mieszkać w tej samej miejscowości przez całe życie. Ona jest tutaj niecałe dwa tygodnie i już zaczyna się czuć przytłoczona.

– Po naszym spotkaniu dużo myślałam. – Melissa ścisza głos i opiera się mocniej na swojej lasce. – O Rose. I o Daphne...

– Och, naprawdę? – Lorna stara się nie robić sobie nadziei. W końcu od tamtego czasu minęło już czterdzieści lat. Które z jej wspomnień z tamtego okresu mogą się przydać?

– Może wpadniesz do mnie na herbatę? Mój dom jest tu niedaleko, nad rzeką. Od strony krzyża dobiega Lornę płacz dziecka i kojący głos jego matki.

– Byłoby mi bardzo miło – odpowiada. Wyczuwa, że Melissa najprawdopodobniej czuje się samotna i ma ochotę na wycieczkę w dawne czasy. Dzięki temu jednak Saffy i Tom będą mieli trochę czasu dla siebie. Poza tym Lorna chciałaby się dowiedzieć czegoś więcej o swojej matce, gdy była jeszcze młoda. I oczywiście o tajemniczej Daphne. Potrzebuje czegoś, żeby oderwać się od rzeczywistości, do czasu spotkania z Theo i Jen, na które umówili się później.

– Nie przeszkadzają pani zwierzęta? – pyta, odwiązując smycz Snowy’ego od latarni. – To pies mojej córki.

– Oczywiście, że nie. – Melissa zarzuca swoją parcianą torbę na ramię. Idzie powoli, opierając się na lasce. Przechodzą przez mostek i przez chwilę zdążają wzdłuż rzeki. Snowy zatrzymuje się, żeby obwąchać pień wierzby płaczącej. Wreszcie docierają do rzędu domków położonych po przeciwnej stronie wioski w stosunku do domu Saffy. Chatka Melissy jest mniejsza, w zabudowie szeregowej, ale zbudowana z tego samego charakterystycznego kamienia z Cotswolds i w stylu, jakiego można się spodziewać po Beggars Nook.

Lorna wchodzi za Melissą przez drzwi, wiodące bezpośrednio do dużego pokoju z nisko zawieszonym belkowanym sufitem. Wnętrze jest staroświeckie; sofy z dużymi podłokietnikami, z kwiecistym obiciem, dekoracyjne talerze na ścianach. Ma w sobie jednak urok, a poza tym jest czyste i uporządkowane, co jest ważne dla Lorny. Nie znosi bałaganu. Zastanawia się, czy Melissa kiedykolwiek wyszła za mąż albo miała dzieci.

– Rozgość się – mówi, wskazując na kanapę. – Herbaty?

Lorna odpowiada, że z chęcią, i nawet oferuje jej przygotowanie, ale Melissa oczywiście nie chce o tym słyszeć. Jest niesamowicie niezależna. Poza tym widać

wyraźnie, że w swoim własnym domu czuje się o wiele pewniej. Odstawiła nawet laskę pod ścianę. Lorna sadowi się na sofie, a Snowy u jej stóp.

Wkrótce Melissa wraca z dwoma kubkami herbaty. Wręcza jeden Lornie, a potem zapada się w nieco wytartym fotelu naprzeciwko, obok małego okna z ołowianymi ramkami.

– Śliczny kominek – mówi Lorna. Jest zrobiony z kutego żelaza i zasłonięty ekranem. Półka nad kominkiem jest pełna małych figurek i ramek ze zdjęciami. Lorna zastanawia się, jak dużo czasu zajmuje odkurzenie tego wszystkiego. Tak czy owak, nigdzie nie widzi nawet odrobiny kurzu.

– Dziękuję. Mamy je we wszystkich pokojach, chociaż nigdy nie używałam tych w sypialni. Wątpię, żeby w dzisiejszych czasach ktokolwiek z nich korzystał, ale te chatki zostały zbudowane na długo przed centralnym ogrzewaniem – chichocze.

– Nadaje temu miejscu charakter. – Lorna popija herbatę, rozmyślając o kominku w domu Saffy. Zastanawia się, czy te w sypialniach były używane od czasu, gdy mieszkała tam jej matka. – W każdym razie proszę powiedzieć, co chciała mi pani przekazać przed sklepem?

Melissa odstawia kubek na stolik obok fotela i ściąga usta, wywołując przy tym ruch drżenia podbródków.

– Cóż, twój widok i rozmowa o Rose przypomniała mi to wszystko.

– Co konkretnie?

– Tę dziwną jesień.

Lorna zdejmuje zakiet. Jest dość ciepły dzień, ale Melissa mimo wszystko ma włączone grzanie i w dużym pokoju jest jak w piekarniku. Czuje, że plecy zaczynają się jej pocić.

– Jesień 1980 roku?

– Tak.

– W jakim sensie była dziwna?

– Cóż. – Melissa składa ręce na brzuchu. – Właśnie wtedy zaczęłam dostrzegać, że z Rose jest coś niezupełnie w porządku.

– Naprawdę? – Lorna nachyla się, żeby odstawić kubek. Herbata sprawia, że jest jej jeszcze bardziej gorąco.

– Jak już mówiłam, zawsze była cicha i trzymała się na uboczu. Było oczywiste, że jest oddaną samotną matką. Nigdy nie wspominała o mężu. Wydawała się wiecznie roztrzęsiona, spięta i przesadnie martwiła się o twoje bezpieczeństwo. Ale, ale, powtarzam się, przecież już ci to mówiłam. Mimo że

Rose starała się trzymać na uboczu, jednocześnie chciała być częścią naszej społeczności. Dwa razy w miesiącu pomagała w kościelnej kawiarni, należała do lokalnej grupy Instytutu Kobiet. A potem, na początku lata, przestała. Zupełnie odcięła się od nas wszystkich w wiosce.

– A co z Daphne?

– Och, Daphne nadal widywaliśmy, jak zwykle. Przez jakiś czas pracowała w pubie, a potem przeniosła się do pracy na miejscowej farmie. Od czasu do czasu pojawiały się w wiosce obie, razem z tobą, stąd wiedzieliśmy, że z Rose wszystko nadal jest w porządku. Wydaje mi się, że uważała, że nie potrzebuje nikogo poza Daphne. Były bardzo... samowystarczalne.

– I uważała pani, że być może są w związku?

– Tak, chyba tak, chociaż nie obnosiły się z tym. To były inne czasy.

– Dlaczego uważa pani, że tamta jesień była dziwna?

– Zdarzyła się osobliwa rzecz. Rose mnie zaczepiła. Pamiętam, że była to Noc Guya Fawkesa. Mieliśmy w wiosce zabawę na farmie, ze sztucznymi ogniami i tym podobnymi rzeczami. Widziałam ją tam razem z Daphne i tobą. Wydawała się jeszcze bardziej spięta niż zwykle, ale w tamtej chwili pomyślałam, że to może z powodu dużej imprezy. Chyba nie lubiła dużych zgromadzeń. Może nie czuła się bezpiecznie. W każdym razie później, dużo później, złapała mnie na osobności i powiedziała mi, że boi się o swoje życie.

– O mój Boże – wzdycha głośno Lorna. Tego się nie spodziewała. – Czy powiedziała, dlaczego?

– To było po tym, kiedy powiedziałam jej, że w kawiarni pojawił się ktoś, kto jej szukał. Rose spytała, kto to był, ale nie pamiętałam jego imienia. Widziałam go wtedy po raz pierwszy. Później, kiedy Rose już się stąd wyprowadziła, pojawiał się przez jakiś czas w wiosce, ale potem pewnie wyjechał, bo nigdy więcej go nie widziałam. W każdym razie Rose powiedziała, że zrobiła coś i teraz boi się, że cię jej odbiorą. Naprawdę była roztrzęsiona. Cała ta sytuacja była bardzo dziwna. Próbowałam ją uspokoić, ale Rose była strasznie nieufna i bardzo się bała powiedzieć mi cokolwiek.

Czy bała się Victora? Lorna zaczyna skubać polakierowany paznokieć. Czyżby Victor znalazł jej matkę i dlatego właśnie wyprowadziła się w takim pośpiechu? Nie żegnając się z nikim?

– Czy ten człowiek przedstawił się pani?

Melissa potrząsa głową.

– Nie... nie przypominam sobie.

– A czy moja mama wspomniała może coś o Victorze?

Melissa marszczy czoło.

– Nie wiem... może. To było tak dawno. Pamiętam tylko, że potwornie się przeraziła, kiedy powiedziałam, że ktoś jej szukał. Dlaczego pytasz? Kim jest Victor?

– Myślę, że to mój ojciec i że moja mama przed nim uciekała.

– Och, to okropne, ale teraz wszystko nabiera sensu. Rose naprawdę wystraszyła się tamtej nocy. Jak już mówiłam, kiedy tu przyjechała, założyliśmy, że jest wdową.

Lorna poprawia się na siedzeniu.

– To nie może być zbieg okoliczności, prawda? Mama dowiadyuje się, że ktoś jej poszukuje, i ucieka. – Wzdycha. – Nie pamiętam zbyt wiele z mojego życia tutaj. Daphne też nie pamiętam, więc musiały rozstać się w którymś momencie, kiedy jeszcze byłam mała. Po wyprowadzce stąd zamieszkałyśmy z mamą w Bristolu.

– Wydawały się bardzo sobie bliskie.

– Kocham moją mamę, ale jest trochę dziwna. Przez wszystkie te lata nie przypominam sobie, żeby była z kimkolwiek w związku, kobietą lub mężczyzną. Koncentrowała się na mnie, a potem, kiedy już opuściłam gniazdo rodzinne, na mojej córce.

– Tym niemniej w tamtą noc coś ją poważnie przestraszyło – mówi Melissa ze smutkiem. – Powiedziała... – Spogląda w stronę kominka, marszcząc czoło. – Powiedziała coś naprawdę dziwnego.

– Co mianowicie?

– Powiedziała: „Jeżeli stanie się ze mną coś złego, szukaj w kominku”.

Lorna marszczy czoło.

– W kominku? Którym? U pani w domu?

– Nie, nie sędzę. – Śmieje się Melissa. – Uznałam, że mówi o swoim kominku, ale nie jestem pewna...

Serce Lorny zaczyna bić szybciej. Kominek. Jej mama musiała mówić o dowodach, których Victor tak desperacko szukał. Czy przez cały czas były tam ukryte?

– A czy... – ledwie może powstrzymać podniecenie – czy kiedykolwiek pani to sprawdziła?

– Nie. Nie myślałam o tym zbyt wiele, szczerze mówiąc. Po wyjeździe Rose słyszałam, że nadal jest właścicielką domu i zaczęła go wynajmować. Czyli nic



się jej nie stało. Gdyby znaleźli ją, sama nie wiem, martwą w domu albo coś w tym stylu, to może wtedy tak, zrobiłabym to, o co mnie prosiła, ale kiedy wyjechała, wprowadzili się tam inni ludzie. Jakies dziesięć lat po jej zniknięciu, około 1990 roku, wpadłam na agenta nieruchomości, który sprawdzał wasz dom, i spytałam go o Rose. Powiedział, że nadal jest właścicielką i że wynajmuje Skelton Place. Uznałam więc, że udało się jej uciec przed mężczyzną, którego tak bardzo się bała.

Boże! Łzy częściowo oslepiają Lornę, kiedy myśli o swojej matce, samotnej i przerażonej, wychowującej córkę bez żadnej pomocy.

– Te ciała w ogrodzie – mówi nagle Melissa. – Czy policja wie, kto to był?

– Jednym z nich był dziennikarz, Neil Lewisham, już panią o niego pytałam. Drugie nadal próbują zidentyfikować. Ale może moja mama i Daphne wcale się nie rozstały i ten drugi szkielet należy do Daphne?

Melissa zachłystuje się powietrzem.

– Ale kto miały ją zabić?

Lorna wbija wzrok w swoje dłonie.

– Obawiam się, że policja uzna, że to moja mama...

– Nie, nie, to niemożliwe – mówi Melissa z emfazą. – Rose nigdy w życiu nie skrzywdziłaby Daphne ani nie pozwoliłaby na to nikomu innemu. Nie bez zadzwonienia na policję albo bez zareagowania w jakikolwiek sposób.

– Chyba że to nie moja mama ją zabiła – mówi Lorna, przełykając głośno.

### Saffy

– Co ty robisz? – pyta Tom, kiedy wyskakuję z łóżka i zaczynam się pośpiesznie ubierać. – Myślałem, że zostaniemy trochę dłużej w łóżku. – Unosi sugestywnie brwi. – No wiesz, skoro Lorna wyszła na jakiś czas.

– Przykro mi. Chcę odwiedzić babcię. Po prostu czuję, że muszę ją zobaczyć. Spędzić z nią trochę czasu.

– Pamiętaj, że spotykamy się dzisiaj z Theo i jego żoną. Zdążysz wrócić na czas?

– Tak. – Wciągam podkoszulek, którego nie nosiłam jakieś dwa lata, spodnie od dresu i spinam włosy gumką w niedbały kok.

Tom siada na łóżku. Jest nagi od pasa w górę i przez chwilę czuję iskierkę pożądania, która jednak szybko gaśnie. Głowę mam pełną innych myśli.

– Pojadę z tobą – mówi. – Nie widziałem twojej babci od wieków i...

– Nie – warczę i natychmiast orientuję się, że wypadło to zbyt ostro. – Nie – powtarzam łagodniej. – Nie trzeba. Myślę, że babcia będzie bardziej skłonna do rozmowy, jeżeli pojadę do niej sama.

Tom spogląda na mnie z niepokojem wypisanym na twarzy.

– Martwię się o ciebie, Saff. Tyle się wydarzyło, a teraz zamierzasz pognać niemal do Bristolu.

– To nie potrwa długo. – Siadam na brzegu łóżka, żeby założyć skarpetki. – Chcę zapytać babcię o Victora, teraz, kiedy wiem o wiele więcej. Myślę, że łatwiej będzie bez...

– Bez twojej mamy?

Kiwam głową z poczuciem winy.

Tom bierze mnie za rękę.

– Czy wszystko między wami jest w porządku? Wczoraj po powrocie zauważyłem dziwne napięcie. Wiem, że miałyście bardzo intensywne spotkanie z Theo i dowiedziałyście się o Victorze, ale... to było coś innego. Jakaś nerwowa atmosfera.

- Trochę się pokłóciłyśmy. Powiedziałam parę rzeczy, których nie powinnam.
- Och, Saff.
- Wiem. Nie jestem z tego dumna. Mama naprawdę się stara. A ja bardzo ją kocham, ale...
- Hej. – Podnosi ręce w geście poddania. – Nie musisz mi się z tego spowiadać. Wiem, że sprawy między tobą i mamą są skomplikowane.
- Wiesz, moja babcia była zawsze o wiele mniej skomplikowana. A raczej – śmieję się – tak sądziłam.
- Tom przyciąga mnie do siebie i całuje.
- Jedź ostrożnie – mówi. – I nie zostawaj tam zbyt długo, inaczej twoja mama zdąży przemeblować cały dom!

\*

Kiedy przyjeżdżam, babcia leży w łóżku. Joy informuje mnie, że bardzo źle spała tej nocy, a ja próbuję opanować mdlące fale lęku przelewające się przez mój żołądek, kiedy ruszam korytarzem w stronę babcinego pokoju. Millie, cudowna pielęgniarka babci, ostrzegła mnie, że pewnego dnia Rose może w ogóle mnie nie rozpoznać; że małe chwile przytomności umysłu będą się zdarzały coraz rzadziej, dopóki całkowicie nie znikną. Wiem, że do tej pory mieliśmy ogromne szczęście. Któregoś dnia babcia zniknie, a jej miejsce zajmie starsza kobieta, która nie pamięta, kim jest, nie wspominając o tym, kim ja jestem. Stara kobieta bez wspomnień, terażniejszości ani przeszłości.

Babcia siedzi na łóżku, oparta na dwóch wielkich poduszkach, przykryta po pachy kocami. Jej ręce złożone na okryciu wyglądają na kruche, kościste, jej skóra jest niczym papier ryżowy, poprzecinany błękitnymi nitkami żyłek. Oczy ma zamknięte. Staję w progu i obserwuję ją przez chwilę; niemal przezrocyste powieki, rzęsy, niegdyś długie i ciemne, teraz przerzedzone, ocieniają jej pomarszczone różowe policzki. Wygląda dużo starzej niż na swoje siedemdziesiąt sześć lat – skurczona figurka w ogromnym łóżku. Na stoliku obok stoi ramka z fotografią przedstawiającą nastoletnią mnie, zrobiona w ogrodzie babcinego domu w Bristolu, pod jabłonią. Przytulam na niej czarnego labradora babci, Bruce'a. Nie byłam w pokoju babci, od kiedy przeniosła się tutaj w zeszłym roku, i widok zdjęcia sprawia, że gula staje mi w gardle. Muszę się skoncentrować na powstrzymaniu płaczu. Nie chcę, żeby babcia zobaczyła mnie w takim stanie. Po cichu, żeby jej nie obudzić, siadam na

krześle przy oknie. Naprzeciwko znajduje się drugie, duże okno, za którym widać kwitnące drzewo. Różowe płatki przesłaniają połowę szyby. Babci na pewno podoba się ten widok, myślę, chwytając jedną z jej delikatnych dłoni. Żałuję, że nie mogę się cofnąć w czasie do chwil, gdy nie miała jeszcze demencji. Wszystkie te lata, kiedy siedziałam w jej dużym pokoju, tylko z nią, wszystkie te stracone okazje do rozmów, do tego, aby poznać przeszłość babci.

Nad łóżkiem zamontowany jest stolik na jedzenie, zupełnie jakby była w szpitalu. Stoją na nim szklanka i dzbanek z wodą. Nalewam jej trochę, na wypadek gdyby chciała się napić po przebudzeniu. A potem siedzę z nią, po prostu ciesząc się przebywaniem z babcią tak jak kiedyś – tylko ja i ona.

\*

Sprawdzam właśnie w telefonie e-maile, których nie odczytałam w ciągu tygodnia, kiedy słyszę kasznięcie. Spoglądam na babcię i widzę, że się obudziła. Leży, wpatrując się przed siebie przez kilka minut, jakby próbowała zebrać myśli. Potem zauważa mnie i jej oczy rozszerzają się.

– Kim jesteś? – szepcze chrapliwie.

Wręczam jej szklankę z wodą, którą podnosi do ust drżącą dłonią.

– To ja, babciu. Saffy. – Wskazuję na zdjęcie ze stolika. – Twoja wnuczka, pamiętasz?

Ale w jej oczach widzę zdezorientowanie, bezradność i strach.

Zaczynam więc opowiadać: o Skelton Place, o Snowym, mamie, domu w Bristolu, z tynkiem kamyczkowym i szklarnią – cokolwiek, byle przypomnieć jej, kim jest.

– Zawsze pokazywałaś mi pomidory rosnące w szklarni, pamiętasz? Uczyłaś mnie, jak sadzić nasiona i rzodkiewki. – Przerывam, żeby uspokoić emocje. – A teraz ja sama będę miała dziecko.

– Dziecko. – Uśmiecha się. Jej twarz się rozświecila i nagle znów jest moją babcią; moją cudowną, dobrą, spokojną, miłą babcią, która uwielbiała szydełkowanie, pracę w ogrodzie, oglądanie programów telewizyjnych w środku dnia i maczanie herbatników z kremem w zbyt mocno zaparzonej herbacie.

Nachylam się i chwytam ją za rękę.

– Będiesz prababcią. Wyobraź to sobie – mówię, starając się utrzymać lekkość głosu.

– Wyobraź to sobie – powtarza, a jej oczy lśnią. Nie założyła sztucznej szczęki i wygląda przez to dużo starzej; dolna połowa jej twarzy przypomina kukielkę z widowiska *Punch i Judy*. A potem jej oczy zasnuwają się mgłą.

– Będiesz dobrą matką, prawda? Zaopiekujesz się dzieckiem?

– Oczywiście, że tak. A Tom będzie dobrym ojcem.

– Tom... Tom – powtarza i nagle na jej twarzy pojawia się zrozumienie. – Tom jest dobrym człowiekiem.

– To prawda.

– Masz ogromne szczęście. Neil nie był dobrym człowiekiem. Victor też nie.

Victor. Cieszę się, że o nim wspomniała. To moja szansa.

– Czy Victor był twoim mężem, babciu? – pytam.

Babcia prychnie śmiechem.

– Oczywiście, że nie. Nigdy nie byłam zamężna.

– Ale Victor jest tatą Lorny. Tatą Lolly?

Jej duże brązowe oczy spoglądają prosto w moje.

– Tak... tak, myślę, że tak.

– Myślisz?

Krzywi się.

– Wszystko jest strasznie zamglone. Moje wspomnienia. Nie zawsze są wyraźne.

– Wiem – mówię łagodnie. – Wiem, babciu.

Jej oczy wypełniają się łzami, a mnie również zbiera się na płacz.

– Wszystko jest dobrze – mówię. – Wszystko dobrze, babciu.

– Wcale nie. – Z jej oka wypływa łza i ścieka po pomarszczonym policzku. – Nawet po wszystkich tych latach tęsknię za nią.

Serce ściska mi się ze smutku.

– Za kim tęsknisz, babciu?

– Tęsknię za nią.

Zastanawiam się, czy mówi o Daphne.

– Co się z nią stało? – pytam, chociaż nie jestem do końca pewna, czy chcę usłyszeć odpowiedź. Co, jeśli babcia przyzna mi się teraz, że ją zabiła i pogrzebała obok Neila? Co zrobię z tą informacją? Jest teraz starą kobietą, a ja ją kocham. Chcę ją chronić. Co dobrego przyniesie przyznanie się do winy? Po raz pierwszy od czasu, gdy zaczął się ten horror, nie jestem pewna, czy chcę dotrzeć do prawdy. Może rzeczywiście najlepiej jest, kiedy sekrety pozostają w ukryciu.

– Czy Victor ją skrzywdził, babciu?

Kiwa głową. Policzki ma już mokre od łez.

– Tak. Skrzywdził ją. Nie jest miłym człowiekiem.

– Wiem. Nie wygląda na dobrego człowieka.

– Podszedł ją – mówi babcia.

– Podszedł Daphne?

Babcia potrząsa głową.

– Nie, nie.

– Podszedł ciebie?

Spogląda na mnie i mruga. Potem wyciąga dłoń i zakłada mi włosy za uszy.

– Kocham cię – mówi.

– Och, babciu, ja też cię kocham.

– Kocham też Lolly. Nie pozwól Victorowi jej znaleźć. – Zamyka oczy. –  
Trzymaj ją z dala od niebezpieczeństwa.

– Babciu, Victor jest teraz tylko starym człowiekiem. Nie skrzywdzi jej.

Kiedy babcia otwiera oczy, widzę, że moją ukochaną babcię zastąpił ktoś obcy.

– Kim pani jest? – pyta, jakby nasza rozmowa przed chwilą w ogóle się nie odbyła.

Siedzę więc dalej i cierpliwie powtarzam wszystko, co powiedziałam wcześniej, z nadzieją, że babcia do mnie wróci.

\*

Później, kiedy wracam do samochodu, dzwoni sierżant Barnes.

Znaleźli Glana Daviesa. Został aresztowany.

**Rose***Lato 1980 roku*

Mój strach i paranoja pogarszały się. Przy każdym hałasie myślałam, że to policja stoi u drzwi z zamiarem aresztowania mnie. Za każdym razem, kiedy wkraczałam do wioski, martwiłam się, że ludzie o mnie mówią, że w jakiś sposób wiedzą, co zrobiłam. W gazecie ukazał się artykuł o zniknięciu Neila Lewishama i kiedy zobaczyłam jego twarz w gazecie, musiałam wyjść ze sklepu, tak wielka ogarnęła mnie panika. Nie radziłam sobie psychicznie z faktem, że zabiłam człowieka – nawet kiedy próbowałam przekonać samą siebie, że zrobiłam to z bardzo dobrego powodu.

Daphne była cudowna. W ciągu kolejnych kilku miesięcy stała się moją opoką. Zamówiła kilka płyt chodnikowych u miejscowego kamieniarza i powiedziała, że „upiększy ogród”. Ja jednak wiedziałam, co tak naprawdę robi. Planowała wydłużyć taras, żeby zakryć miejsce, w którym pochowałyśmy Neila. Po to, żebym nie musiała patrzeć na plamę trawy niepasującej do reszty trawnika.

– Gdzie się nauczyłaś robić takie rzeczy? – spytałam pewnego dnia, kiedy Daphne przysłała do kuchni po położeniu płytek. Na policzku miała smużkę błota.

Rozejrzała się, upewniając się, że nikt nas nie słucha.

– W więzieniu – powiedziała, czerwieniąc się. Na chwilę opuściła maskę twardzielki. – Byłam tam przez długi czas.

– Och, Daphne.

Próbowałam być silna, dla niej i dla ciebie, ale koszmary nadal mnie dręczyły i budziłam się w nocy zlana potem. Twarz Neila zmieniała się w twarz Victora i byłam przekonana, że ten w końcu nas znajdzie. Przecież Neilowi się udało.

Nadal nie opowiedziałam Daphne o Victorze, ale im bardziej się w sobie zakochiwałyśmy, tym trudniej było powstrzymać się przed rozmowami o mojej przeszłości. Nie to, żeby Daphne się dopytywała albo naciskała. Ona

również nie opowiadała o swoim życiu jako Jean. Obie po prostu chciałyśmy żyć tu i teraz – zupełnie jakbyśmy nie istniały, zanim siebie odnalazłyśmy.

– Musisz przestać się zadreć z powodu Neila – powtarzała Daphne wielokrotnie, kiedy przychodziłam do niej roztrzęsiona, zapłakana, kompletnie owładnięta poczuciem winy i strachem. Brała mnie wtedy w ramiona, całowała i zapewniała, że wszystko będzie w porządku.

– Nikt się nigdy nie dowie – powiedziała, ale ja poczułam się tylko gorzej – pozbawiona kontroli nad sprawą i bezbronna.

Zastanawiało mnie, jakim cudem Daphne wydaje się w ogóle nie przejmować Neilem ani tym, że jego gnijące szczątki spoczywały teraz w naszym ogrodzie. Jego zniknięcie zostało przecież opisane w gazetach. Neil był żonaty i miał małego synka. Poczucie winy w stosunku do tych dwojga powoli mnie wykańczało. Mimo nowych płytek i większego tarasu nienawidziłam tam wychodzić, a kiedy już to robiłam, natychmiast zalewały mnie wspomnienia tamtej nocy. Było mi trudno, zwłaszcza w ciągu tego upalnego lata, ponieważ chciałaś się przez cały czas bawić w ogrodzie.

– Ja z nią pójdę – mówiła Daphne, dotykając delikatnie mojego ramienia. A ja przyglądałam się z okna kuchennego, niczym więzień, jak siadała z tobą w ogrodzie i obserwowała, jak kopiała swoją małą łopatką ziemię i tworzyłaś małe ogródki. Z całych sił próbowałam nie krzywić się na myśl o tym, że ciało mężczyzny, którego zabiłam, leży niecałe dziesięć metrów dalej. W nocy śniłam o tym, że schodzę na dół i widzę, że ktoś powyrywał płyty, odsłaniając dziurę w ziemi – była pusta; ciało zniknęło. Innymi razy martwiłam się, że może wykopałyśmy zbyt płytki grób albo coś w ten deseń, że całkiem przypadkiem jakiś lis albo pies sąsiada znajdzie zwłoki i je wykopie; albo że Neil nadal żył – że przeżył atak nożem i teraz chce się zemścić.

– Żadne zwierzę teraz nie zdoła go wykopać. Położyłam płyty chodnikowe. Nie martw się – zapewniła mnie Daphne, kiedy zwierzyłam się jej z tych myśli. Większość nocy zakradała się do mojego pokoju, kiedy ty już spałaś. Obecność jej ciepłego ciała obok mnie była naprawdę pokrzepiająca. Nie czułam się aż tak samotna z moimi mrocznymi myślami. Pewnej upalnej lipcowej nocy, kiedy leżałyśmy objęte i przykryte jedynie białym prześcieradłem, spytała:

– Sądzisz, że jesteś biseksualna?

Uniosłam się, podpierając na łokciu, żeby na nią spojrzeć. Światło księżyca podkreślało jej wystające kości policzkowe.

– Dlaczego o to pytasz?



– Bo byłaś zamężna.

– Hmm... tak naprawdę nigdy nie wyszłam za mąż.

W półmroku jej oczy wydawały się ogromne.

– Co takiego? Ale ojciec Lolly...

– Nie jestem wdową. Uciekłam od niego. Był... jest psychopata.

Poczułam, jak sztywnieje.

– Zastanawiałam się, czy ty też przypadkiem od czegoś nie uciekasz. Zawsze byłaś taka... skryta. Tak samo jak ja. Chociaż każda z nas ucieka przed innego rodzaju sytuacją, jak się okazuje. – Wyciągnęła rękę i dotknęła mojego policzka.

– A ja myślałam, że może po prostu jesteś nieśmiała. – Podciągnęła prześcieradło, okrywając piersi. Po wielu dniach spędzonych z tobą w ogrodzie jej ramiona były pięknie opalone. – A więc tata Lolly nadal gdzieś tam jest?

Pokiwałam głową.

– Ma na imię Victor.

– Victor – powtórzyła powoli. – To dość wytworne imię.

– Nigdy ze sobą nie byliśmy. Romantycznie – dodałam, próbując ją uspokoić. – To... to skomplikowana sprawa. – Nie chciałam jej opowiadać o Victorze i o tym, co mi zrobił. Nie chciałam, żeby tkwiło to między nami niczym demoniczna obecność, zatruwająca to, co było między nami. – Przed nim przez długi czas miałam dziewczynę, Audrey. A co z tobą?

Zaśmiała się w ciemności.

– Uprawiałam seks z mężczyznami, ale nigdy jakoś nie czułam się z tym okej. Potem zdałam sobie sprawę, że wolę kobiety.

Czuję ukłucie zazdrości.

– Chyba nie powinniśmy koniecznie wszystkiego definiować.

– Nie robię tego. Po prostu zastanawiałam się nad ojcem Lolly, to wszystko. Zawsze chciałam mieć dzieci, ale teraz już za późno. Mam czterdzieści lat.

To mnie zaskoczyło. Wyglądała dużo młodziej.

– Naprawdę? Nie wyglądasz.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Położyłam się z powrotem tak, że obie byłyśmy przykryte prześcieradłem i zwrócone ku sobie twarzami. Na ścianach za jej plecami tańczyły cienie.

– Czy to w ogóle kiedyś zanika? – szepnęłam w ciemności.

– Co?

– Poczucie winy. Z powodu odebrania komuś życia.

Na początku Daphne nic nie powiedziała i zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem jej nie uraziłam.

– Nigdy nie wybaczę sobie tego, co zrobiłam Susan – odezwała się nagle ze smutkiem. – Zapłaciłam za to; odsiedziałam swoje, zrujnowałam sobie życie, ale nigdy się z tym nie pogodzę.

– Byłaś tylko dzieckiem. Jakie *ja* miałam wytłumaczenie?

– Miłość – odparła łagodnie, odnajdując moją dłoń pod przykryciem. – Zrobiłaś to z miłości.

## Lorna

Saffy wpatruje się w matkę z rozdziawionymi ustami.

– W kominku? Którym? W domu są aż cztery.

– W tym już sprawdzałam – mówi niepewnie Lorna, wskazując na kominek w dużym pokoju, a potem odwraca ubrudzone kurzem dłonie.

– Kiedy się tu wprowadziliśmy, korzystaliśmy z niego dość regularnie. – Usta Saffy drgają niekontrolowanie. – Jeżeli coś tam było, zapewne zostało spalone na popiół dawno temu.

Tom wchodzi do pokoju i wręcza im obu kubki z herbatą. Lorna wypła już tego dnia tak dużo, że nie czuje w ustach nic prócz smaku herbaty. Tym niemniej bierze swój kubek. Saffy również, a Tom przyłącza się do niej na sofie. Saffy wróciła z wizyty u babci przygnębiona. Powiedziała, że stan babci się pogarsza. Lorna czuje się winna za to, że nie towarzyszyła jej dzisiaj. Wie, że wkrótce będzie musiała wrócić do Hiszpanii. Jej szefowa nie może czekać w nieskończoność, rezerwując jej etat, nie wspominając o mieszkaniu i niezakończonych sprawach z Alberto. Z drugiej strony nie chce zostawiać tutaj Saffy i swojej mamy. Słowa córki nadal boją, kiedy o nich myśli. Nie chciałyby, żeby Saffy pomyślała, że Lorna ją porzuca.

Saffy zrywa się z sofy.

– Sprawdźmy na górze – mówi.

– Nie mamy wiele czasu – przypomina Tom. – Powiedziałaś, że o czternastej spotykamy się z Theo.

– Mamy jeszcze pół godziny, a to ważne. Chodźcie.

Lorna zamierza wstać z fotela, ale waha się.

– Zastanawiam się, co to może być za dowód. Narzędzie zbrodni? Może nóż?

Saffy podpira się rękami na biodrach i Lorna widzi teraz wyraźnie zarys jej brzuszka ciążowego.

– Nie bądź śmieszna, mamó. Davies powiedział, że to jakieś dokumenty, i tego będziemy się trzymać.

Tom marszczy czoło i również wstaje.

– Dlaczego Victor tak bardzo chce odzyskać jakieś stare dokumenty? Co takiego mogłoby w nich być, że wskazuje na jego związek z morderstwami?

– Najlepiej, jeśli sami się o tym przekonamy – mówi Saffy niecierpliwie. Chwyta Toma za rękę. – Chodź.

Lorna rusza za nimi po schodach w górę. Snowy drepcze im po piętach i szczerka podekscytowany, wyczuwając adrenalinę krążącą we krwi swoich państwa. Najpierw idą do pokoju Saffy i Toma. Łóżko nie jest zasłane, a na oparciu krzesła pod oknem wiszą rzucone niedbale ubrania Toma. Saffy podchodzi do małego kominka z kutego żelaza.

– Ja to zrobię. – Tom rusza za nią pospiesznie. – Nie chcę, żebyś się przeciążała.

Saffy i Lorna obserwują go, jak wspina się na palce i zaczyna macać ręką wewnątrz ściany kominkowej. Saffy nagle odskakuje z piskiem, kiedy Tom wytrząsa na podłogę wyglądającego groźnie pająka.

– Nic tu nie ma – mówi, otrzepując włosy z kurzu i pajęczyn.

– Sprawdźmy w twoim pokoju, mamó – mówi Saffy. – Boże drogi – dodaje, kiedy wchodzi do nienagannie wysprzątanej sypialni. – Możesz sobie trochę pobałaganić, wiesz?

Kominek tutaj jest trochę mniejszy niż ten w pokoju Saffy i ma drewniane obramowanie, z wyrzeźbionymi na nim kwiatami. Dość szybko orientują się, że tutaj też niczego nie ma.

– Mała sypialnia... – zaczyna Lorna, ale Saffy jest już w drodze do pokoju.

Mała sypialnia jest pusta, z wyjątkiem kartonów postawionych w kącie. Lorna widzi, gdzie Tom zaczął zdzierać tapetę.

– To zabawne, że kiedyś był to mój pokój. – Lorna podchodzi do okna i wygląda na ogród. Usiłuje sobie wyobrazić mamę z Daphne, kopiące grób i ukrywające ciało, ale nie potrafi. To zupełnie jakby wyobrazić sobie Snowy'ego z ludzką głową.

– Wygląda na to, że tutaj też niczego nie ma – mówi Saffy. Lorna odwraca się i widzi, że jej córka sprawdza przestrzeń wokół kominka, zaś nachylony nad nią Tom sięga w głąb ściany kominkowej. Wyglądają jak para komików na występie.

– Myślicie, że Davies to znalazł?

Lorna wzdycha.

– Może Melissa coś źle zapamiętała. W końcu było to dawno temu.

Saffy podchodzi do niej i staje obok. Lorna obejmuje jej ramiona. Stoją tak przez chwilę, w pokoju, który kiedyś należał do Lorny, wpatrując się w kominek, jakby miał odpowiedzi na wszystkie pytania.

\*

Właśnie zamierzają wyjść z domu na spotkanie z Theo i Jen, kiedy dzwoni telefon Saffy.

Sięga do torebki i odbiera, bezgłośnie mówiąc, że to sierżant Barnes.

Lorna czuje ściskanie w żołądku. O co chodzi tym razem? Czy rozmawiali z Victorem?

– Okej – mówi Saffy, rzucając im obojgu zaniepokojone spojrzenie. – Rozumiem. I jest pan tego pewien? Rozumiem... – Wsuwa kosmyk włosów za ucho. – Tak. Nie ma sprawy. Dziękuję.

Kończy połączenie i wkłada telefon z powrotem do torebki.

– O co chodzi? – pyta Tom.

– Ekipa z kryminalistyki przebadła drugie ciało pod kątem danych o użębieniu Jean Burdon, które dostali z więzienia. Wyniki właśnie przysły i nie ma zbieżności. To nie ona.

**Rose***Wrzesień 1980 roku*

Problem z miłością jest taki, że ona cię oślepia. A ja byłam tak zaślepiona moimi uczuciami do Daphne, że aż kręciło mi się od nich w głowie.

Złamałam moją jedyną zasadę, od kiedy uciekłam od Victora – żeby trzymać się z dala od wszystkich.

Ale jedno nie dawało mi spokoju. Daphne wiedziała o mnie za dużo. A ja z kolei wiedziałam zbyt dużo o niej. O jej skradzionej tożsamości, o niesławie Jean Burdon, o jej uwięzieniu.

Wiedziałam, że ją kocham, ale czy nasze zbrodnie miały nas związać? Utrudnić nam rozstanie? Żadna z nas nie doniosłaby na tę drugą...

Co by się stało z Daphne, gdyby jej prawdziwe dane kiedykolwiek wypłynęły na światło dzienne? Zaczęłaby być szkalowana przez samozwańczych strażników moralności. Jej nową tożsamością po opuszczeniu więzienia była Sheila Watts, ale Daphne porzuciła ją tego dnia, którego „utonąła”, więc teraz nie było żadnych kuratorów sądowych mających na nią baczenie, żadnych przedstawicieli prawa, którzy mogli zapobiec ponownemu morderstwu. Nie myślałam jednak, że Daphne chciałaby kogoś zabić. Ufałam jej. W końcu obie byłyśmy teraz morderczyniami. Poza tym była przecież niewinnym dzieckiem, wykorzystywanym, zanedbywanym, znajdującym ujście swojej frustracji i cierpienia w agresji. Powinnam być mądrzejsza. Miałam przecież trzydzieści sześć lat.

Nie. Jeżeli już, Daphne miała nade mną całkowitą władzę. Mogła dosłownie zaprowadzić policję prosto do trupa.

Wmówiłam sobie jednak, że było warto, bo nasza miłość była prawdziwa: czysta, realna i na zawsze. Wierzyłam, że nigdy nie dojdzie do tego, że jedna z nas będzie musiała użyć swojej wiedzy w ramach emocjonalnego szantażu, żeby zmusić tę drugą do pozostania. Daphne nie była manipulatką. Nie lubiła gier. Nie musiałam się martwić.

Daphne nie była taka jak Victor.  
A przynajmniej tak sobie wtedy myślałam.

\*

Był piękny wczesnojesienny poranek, drzewa dopiero zaczęły zrzucić liście. Uwielbiałaś chodzić wśród nich, szurając butami, w drodze na zajęcia grupy przedszkolnej. Wioska wyglądała prześlicznie, otoczona czerwienią, złotem i brązem. Było rześko, ale słonecznie. Po odprowadzeniu cię na zajęcia postanowiłam wrócić do domu dłuższą drogą, przez las. Było cicho, słońce przebijało się przez korony drzew i idąc tak, z dłońmi schowanymi w kieszeni futra, czułam się tak bardzo szczęśliwa. Skręcając za róg ścieżki prowadzącej do domu, dostrzegłam kogoś stojącego w ogrodzie, przy kamiennym murku oddzielającym posesję od lasu. Zatrzymałam się i ukryłam za sporym drzewem. To była Daphne – w towarzystwie mężczyzny. Serce zabiło mi mocniej, a żołądek ścisnął się boleśnie. Kto to był tym razem? Miałam nadzieję, że nie kolejny dziennikarz pragnący ujawnić prawdziwą tożsamość Daphne.

Zastanawiałam się, czy to może Sean, jeden z pomocników na farmie. Nigdy go nie spotkałam, ale Daphne się z nim zaprzyjaźniła, i to bardzo. Wyglądało na to, że dawał jej różne rzeczy – nadprogramowe jajka, puszkę farby, butelkę mleka. Miałam nadzieję, że nie przywłaszczał sobie tego wszystkiego nielegalnie, ale Daphne powiedziała, że Sean jest „w porządku”, co w jej ustach było dość sporym komplementem. Przeszło mi wprawdzie przez myśl, że Sean może przystawia się do Daphne, ale ufałam jej. Wiedziałam, że mnie kocha.

Kiedy jednak przyjrzałam się bliżej, zobaczyłam, że to Joel.

Lekki wiatr niósł ich głosy w moim kierunku.

– Myślę, że powinieneś już sobie pójść – powiedziała Daphne. Ruszyłam się z zamiarem wyjścia z za drzewa. Znów ją nachodził? Jego odpowiedź jednak wbiła mnie w ziemię.

– Nie rozumiem, dlaczego nakłamałaś jej o mnie – powiedział, wyrzucając ramiona w powietrze, zdenerwowany. Widziałam, nawet z tej odległości, że jest autentycznie zdezorientowany. – Rose i ja byliśmy przyjaciółmi, a teraz nie rozmawia ze mną od miesiący. Kiedy widzę ją na ulicy, unika mnie.

– To jej wybór.

– Zwróciłaś ją przeciwko mnie, wmawiając jej, że jestem jakimś... jakimś zbokiem.

– Nie bądź śmieszny.

– Nigdy się do ciebie nie zalecałem, nigdy cię nie nękałem. Jediną rzeczą, którą zrobiłem, to powiedziałem ci, co do niej czuję. Czy dlatego to zrobiłaś? Żebyśmy broń Boże ze sobą nie byli?

– Wbij sobie do tej swojej tępej głowy, że Rose nie jest zainteresowana i nigdy nie będzie, bez względu na to, co jej powiedziałam – syknęła. Gniew na jej twarzy zupełnie mnie zaskoczył. Zazwyczaj była taka spokojna, beztroska. Zawsze podziwiałam jej cierpliwość i życzliwość. To znaczy, oczywiście nie była święta. Martwiła się, tak jak ja. Denerwowała ją niesprawiedliwość i nierówność. Była niezależna i zdolna, ale nigdy małostkowa lub niesprawiedliwa – a przynajmniej tak zawsze o niej myślałam. Jeżeli jednak Joel mówił prawdę – jeśli okłamała mnie w sprawie jego rzekomego przystawiania się do niej, była to największa manipulacja, jaką można było zastosować.

– Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałaś, prawda? Nie wtedy. Myślałaś, że ona też być może mnie lubi i postanowiłaś zapobiec rozwojowi sytuacji. Może oszukałaś wszystkich dookoła, Daphne, tą swoją anielską grą, ale ja widzę, kim naprawdę jesteś.

– Spierdalaj, dobra? – warknęła. – Zostaw nas w spokoju.

Wciągnęłam powietrze tak gwałtownie, że zabolalo mnie w piersi. Czekałam na reakcję Joela, ale on tylko smutno potrząsnął głową.

– Mam nadzieję, że jej nie wykorzystujesz. Rose jest dobrą osobą.

– Oczywiście, że jej nie wykorzystuję.

Joel spojrzal w kierunku domku.

– Masz tutaj dobre życie. Dach nad głową. Miłość, rodzinę.

Daphne zalozyła ramiona na piersi. Miała na sobie obszerny beżowy sweter i kremowe bryczesy, które kupiłam jej na urodziny. Włosy zaczęły jej odrastać i teraz sięgały ramion, chociaż zostawiła je ciemne. Lubiłam tę fryzurę. Jej policzki były zaczerwienione od zimna, a oczy płonęły emocjami. Wyglądała pięknie.

– Kocham Rose.

– Mam taką nadzieję. Wydajesz się zazdrosna.

– Może jestem.

Kopała ziemię czubkami moich kaloszy, które nosiła do pracy.

– Cóż, i tak nie byłaby zainteresowana tobą, bez względu na to, czy coś jej powiedziałam.



Westchnął.

– Ale przynajmniej wtedy mogliśmy nadal być przyjaciółmi. A może tego też nie chcesz?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Czy Rose widuje się z kimkolwiek poza tobą?

– Zawsze była samotniczką. To nie moja wina.

Potrząsnął głową.

– Melissa powiedziała mi, że Rose prawie przestała przychodzić na granie na dzwonach i na spotkania grupy Instytutu Kobiet.

– To jej decyzja, nie moja. Po prostu chcemy spędzać cały nasz czas razem. Nie pamiętasz, jak to jest? Ten pierwszy etap zakochania, kiedy wszystko, czego pragniemy, to ta druga osoba? Przestań robić z igły widły. Nigdy nie powstrzymywałam Rose od robienia czegoś, co chciałyby robić. I vice versa.

Nie mogłam stać w ukryciu ani chwili dłużej. Nie mogłam tego słuchać. To nie było w porządku. Wyszłam z cienia drzewa i ruszyłam w stronę ogrodu. Wspięłam się na murek i zeskoczyłam na trawę. Szok na twarzy Daphne był tak komiczny, że ledwie udało mi się stłumić śmiech.

– Co... co ty tu robisz? – Zachłysnęła się, kiedy podeszłam do nich obojga.

– Przepraszam, czasami wracam tą drogą. Lubię spacerować samotnie po lesie. Myślałam, że poszłaś do pracy?

Jej twarz zrobiła się koloru buraczkowego.

– Ja... tak, właśnie wychodziłam. Joel wpadł na chwilę. – Widziałam, że próbuje się domyślić, czy usłyszałam cokolwiek z ich rozmowy. Ja jednak niczego nie dałam po sobie poznać.

– Wszystko w porządku? – spytałam Joela.

– Tak, wszystko dobrze. – Uśmiechnął się do mnie ciepło. – Cieszę się, że tak dobrze wyglądasz. Jeżeli będziesz kiedykolwiek czegoś potrzebowała – rzucił mi znaczące spojrzenie – czegokolwiek... Wiesz, gdzie mnie znaleźć, prawda?

– Eee... jasne.

– To dobrze. W takim razie już pójdę.

Stałyśmy z Daphne i obserwowałyśmy, jak oddala się po trawniku i znika za rogiem domu.

– O co poszło? – spytałam, zastanawiając się, czy Daphne powie mi prawdę.

Ona jednak przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała głęboko w odpowiedzi.

– Mam pół godziny przed rozpoczęciem pracy. Wykorzystajmy jak najlepiej czas bez Lolly – powiedziała, odsuwając się. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła

do domu. Ja jednak nie mogłam pozbyć się uczucia, które zagnieździło się we mnie. Jeśli Daphne skłamała i manipulowała mną w kwestii Joela, to w jakich jeszcze kwestiach nie była ze mną szczerą?

## Theo

W poniedziałek przed zmianą Theo postanawia odwiedzić ojca. Potrzebuje kilku odpowiedzi teraz, kiedy wie już o Lornie i Rose. Nie widział go od tamtego wieczora w zeszłym tygodniu, kiedy ojciec wyszedł demonstracyjnie z jego restauracji. Czeka kilka minut, wkurzony na samego siebie, że serce bije mu szybciej niż normalnie. A potem słyszy tupot stóp w korytarzu i drzwi otwierają się gwałtownie. Jego ojciec stoi w progu, ubrany w pastelowy sweter do golfa z diamentowym wzorem oraz materiałowe spodnie.

– Czego chcesz?

– Wpuść mnie do środka.

– Nie chcę z tobą rozmawiać. To ty nasłałeś na mnie policję? Powinienem się domyślić. Zawsze byłeś taki podejrzliwy. – Właśnie zamierza zamknąć Theo drzwi przed nosem, ale ten w samą porę wsuwa but w szczelinę i blokuje je.

– Tak naprawdę to nie byłem ja. I jeśli mnie wpuścisz, wtedy będę mógł ci to wyjaśnić – mówi bardziej stanowczo, niż ma na to ochotę.

Ojciec wpatruje się znacząco w trampek Theo, blokujący drzwi.

– Wygląda na to, że nie mam wyboru – mówi, cofając się. Odwraca się na pięcie i sztywno odchodzi korytarzem. Theo idzie za nim do kuchni, nienagannie wysprzątanej, jak zwykle. Wszystko na swoim miejscu. Tata staje przy blacie w rogu i włącza czajnik.

– Pospiesz się. Mam spotkanie w klubie.

Przez chwilę Theo zastanawia się, czy jego ojciec w ogóle potrafi kochać. Nie umie sobie wyobrazić, żeby on kiedykolwiek miał rozmawiać w ten sposób ze swoim dzieckiem.

– Co powiedziała policja?

– Niewiele. Zadali mi kilka pytań.

– Jakich?

Ojciec nie odpowiada od razu, tylko stoi, mrugając, i wpatruje się w Theo.

– Wiem o Rose Grey. Wiem, że ma córkę, która prawdopodobnie jest moją siostrą.

Ojciec nadal wpatruje się zimno w Theo.

– Wiem, że wysłałeś tego bandziora Daviesa, żeby pogroził rodzinie. Chciałeś zastraszyć własną córkę, do cholery. Ty chyba jesteś, kurwa, chory!

Ojciec wygląda na zaskoczonego. Theo nigdy przy nim nie przeklinał – i greczny chłopiec w nim, dziecko, które zawsze chciało zadowalać, kuli się na dźwięk tego przekleństwa.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jesteś zupełnie jak twoja matka. Pozwalasz emocjom kierować twoim życiem.

– Ale przynajmniej kogoś mam, w przeciwieństwie do ciebie.

– Kochałem twoją matkę. I kochałem Rose – odpowiada.

Theo ma ochotę wybuchnąć śmiechem. Jest przekonany, że jego ojciec nie wie, czym jest miłość. Myli z nią przywłaszczenie i kontrolę.

– Kim była dla ciebie Rose?

– Była... kimś, z kim kiedyś byłem w związku. – Oczy ojca połyskują i Theo ma wrażenie, że tata nie mówi prawdy.

– I co się stało?

– Mieszkała ze mną i odeszła, kiedy była w ciąży. Próbowałem ją znaleźć, ale wtedy nie było to takie proste. Nie istniały telefony komórkowe, monitoring, internet. Rose... po prostu zniknęła z powierzchni ziemi. A potem spotkałem twoją matkę i nagle Rose wydała mi się mniej ważna.

– A twoja córka?

– Nie byłem nawet pewien, czy Rose zatrzymała to dziecko. Była mniej więcej w twoim wieku, kiedy ją poznałem. Rozrywkowa dziewczyna. Była dopiero w szóstym miesiącu, kiedy mnie zostawiła. Bardzo... niestała.

Nie zgadza się to z tym, co Lorna powiedziała o swojej mamie.

– Chcesz powiedzieć, że nie sądzisz, że to dziecko było twoje? Cóż, mam dla ciebie nowiny, tatuśku. Owszem, jest. Podobieństwu między nią i nami oboma nie da się zaprzeczyć. Czy to ją próbowałeś odnaleźć? Czy dlatego miałeś tamten artykuł na biurku? A może jest jeszcze coś, co przede mną ukrywasz?

Ojciec przykładą rękę do głowy, zbolały, i w tym momencie wygląda bardziej jak stary człowiek, a nie apodyktyczny maniak kontroli, który zawsze przerażał Theo.

– To skomplikowane. Poprosiłem Glena, żeby zbadał dla mnie tę sprawę – mówi, jakby rozmawiali o czymś równie neutralnym jak pogoda.

– Czym dokładnie zajmuje się Glen? Twierdził, że jest prywatnym detektywem, ale to bzdury, prawda? Jest tylko oszustem? Nie wiem, co powiedziała ci policja, ale jeżeli masz z nim jakieś interesy, nie wyjdiesz na tym dobrze.

– Nie bądź śmieszny. – Ojciec odwraca się od Theo, żeby zrobić herbatę. Coś tutaj jest nie tak; odpowiedzi jego ojca są celowo wymijające.

– A co z dowodami? – pyta Theo.

Ojciec nic nie mówi, ale Theo dostrzega napięcie jego ramion i wahanie, kiedy wrzuca torebkę herbaty do kubka.

– Dowodami? – pyta.

Gra na zwłokę, to widać.

– Owszem. Podobno, kiedy twój *najęty zbir* zaatakował Lornę, twoją własną córkę, na ulicy – wypluwa te słowa z nadzieją, że ojciec usłyszy odrazę w jego głosie – powiedział coś o tym, że Rose ukrywa jakieś dowody. Co miał na myśli?

Ojciec nadal stoi odwrócony do niego plecami.

– Nie mam pojęcia – odpowiada, ale Theo słyszy, że to nieprawda.

– A potem Davies włamał się im do domu. Co zabawne, nic nie zginęło, ale wyraźnie czegoś szukał.

Ojciec odwraca się do niego i wręcza mu kubek.

– Nic o tym nie wiem.

– Oczywiście, że wiesz. – Theo bierze herbatę. – Davies nigdy nie robi niczego na własną rękę. Wypełnia tylko twoje polecenia. Tak właśnie się zachowywałeś przy policji? Nie oszukasz ich, tato. Teraz już połączyli cię z Glenem.

Ojciec przygląda mu się znad kubka – tego, który Theo kupił mu na Dzień Ojca, przedstawiający golfistę w trakcie zamachu. Theo dostrzega błysk jakiejś emocji w oczach swojego ojca. Poczucie winy? Wyrzuty sumienia? Strach? Nie jest pewny. Zawsze trudno było go rozszyfrować. Jest bardzo zamknięty w sobie.

Theo pije herbatę. Przyglądając się ojcu, zdaje sobie sprawę, że ten człowiek nadal go onieśmiela, ale teraz jest emerytem. Nie ma kontroli nad jego życiem. Theo jest całkowicie samowystarczalny: nigdy niczego nie oczekiwał od swojego ojca. To, co dla niego robił, wynikało z jego poczucia obowiązku i miłości do matki. W dzieciństwie wbito mu do głowy, że musi szanować ojca, ale tak naprawdę szacunek powinien działać w obie strony. Dorastając, Theo czuł, że *powinien* kochać tatę, więc nigdy tego nie kwestionował. Teraz jednak, jeśli ma być całkowicie szczery, nie żywi do niego takich uczuć. Przełyka herbatę.

– A te zdjęcia kobiet, które chowałeś w swoim gabinecie?

– To tylko pacjentki, którym pomogłem. Lubię trzymać małe pamiątki, to wszystko. – Głos jego ojca wydaje się pełen napięcia. – Powiedziałem ci to już wcześniej, w restauracji.

– Lubisz robić zdjęcia swoim pacjentkom bez ich wiedzy.

– To nie przestępstwo. Nikogo nie skrzywdziłem.

– W takim razie po co je chowałeś?

Ojciec wylewa herbatę do zlewu i praktycznie wrzuca tam kubek.

– Mam już dość tego przesłuchania. Muszę już iść. – Przechodzi obok Theo. – Zamknij za sobą drzwi. – Rzuca przez ramię, biorąc do ręki stojącą przy drzwiach torbę z kijami golfowymi. – I nie zadawaj sobie trudu przeszukiwania mojego gabinetu. Niczego tam nie znajdziesz.

– A co z morderstwem, tato? – pyta, wychodząc za nim na korytarz. – Czy dlatego właśnie wysłałeś Glena, żeby znalazł dowody w domu Rose? – Na końcu języka ma pytanie o wypadek matki, ale postanawia go nie zadawać. Na razie.

Ojciec zatrzymuje się, sztywnieje, a potem odwraca się do Theo z groźnym wyrazem twarzy.

## Lorna

Lorna jest w kuchni. Szykuje zapiekanekę warzywną z przepisu swojej mamy. Krojenie warzyw uspakaja ją, powstrzymuje gonitwę myśli. Ma w głowie tyle niechcianego hałasu: ciała w ogrodzie, Victor, jej matka.

Nie widziała Saffy niemal przez cały dzień, bo ta zamknęła się w swoim studiu, twierdząc, że musi zająć się pracą.

Wkłada zapiekanekę do piekarnika. Brakuje jej mięsa. Nie jadła go od czasu przyjazdu tutaj. Zauważyła, że Tom również jada wyłącznie ryby, żeby zadowolić Saffy. Szczerze mówiąc, przydałby się jej tłusty, soczysty cheeseburger.

Wchodzi do dużego pokoju i z zaskoczeniem dostrzega Saffy na sofie.

– Skończyłaś pracę?

Saffy pociera oczy.

– Jestem zmęczona. Siedziałam przed komputerem przez osiem godzin tylko z jedną przerwą.

Lorna czuje ukłucie niepokoju.

– Nie możesz się tak przemęczać...

– Nie mogę sobie pozwolić na odpoczynek – jęczy. – Wszystko, co się ostatnio dzieje, bardzo mnie rozprasza i jestem strasznie w tyle z robotą! Nie stać mnie na utratę pracy.

Lorna zaciska usta, nie chcąc powiedzieć niczego, co może rozzłościć jej córkę. Saffy zawsze była bardzo zrównowazona. Lorna zdaje sobie sprawę, że to wszystko, co się dzieje, musi ją strasznie denerwować, nie wspominając o burzy hormonów.

– Nie mogę przestać myśleć o tym, co wczoraj powiedziała policja. – Saffy wzdycha. – O tym, że drugie ciało to nie Jean Burdon.

– Może to Daphne. Może twoja babcia się pomyliła, mówiąc, że Daphne to w rzeczywistości Jean. Albo Daphne ją okłamała.

– Ale co z tymi dokumentami dotyczącymi Sheili? Był tam raport na temat Jean Burdon napisany przez Neila Lewishama. To musi być powiązane. A wcześniej zadzwonił tata i powiedział, że ktoś w jego redakcji odcyfrował ten zapis stenograficzny i okazało się, że była to notatka o tym, że Jean i Sheila są jedną i tą samą osobą.

– Policja to rozpracuje – mówi Lorna. Jej żołądek burczy, kiedy zapach zapiekanki wypełnia dom. – Musimy w nich wierzyć. W detektywa Barnes’a.

Saffy wzdycha.

– Gdy tylko policja rozwiąże tę zagadkę, dziennikarze wrócą jak rozwścieczone osy. Wiem, że to ich praca, ale tu chodzi o nasze życie.

– Wiem. – W ciągu ostatnich dni reporterzy stracili nimi zainteresowanie, ale Lorna informowała Euana na bieżąco za pomocą esemesów i ostrzegł ją, że często tak bywa, a potem pojawi się nowa informacja i prasa znów zaczyna węszyć.

Słyszą trzaśnięcie drzwi wejściowych. Lorna zauważa, że Saffy sztywnieje. A potem do pokoju zagląda Tom.

– Coś tutaj apetycznie pachnie.

– Wróciłeś wcześniej! – wykrzykuje radośnie Saffy, a Lorna czuje ukłucie zazdrości, obserwując, jak jej córka podbiega do Toma, a on tuli ją w ramionach. Kiedyś to do niej Saffy przybiegała jako dziecko, oczywiście jeśli nie była u babci. Teraz tę rolę przejął Tom. Nadal ma na głowie kask – biały i wyglądający jak jajko. Zdejmuje go i poprawia przyklepane, lekko wilgotne włosy.

– Umieram z głodu – oświadcza, rzucając kask na krzesło. Lorna tłumi chęć podniesienia go i odwieszenia na haczyku w przedpokoju.

– Jeszcze tylko pół godziny. – Przerywa jej pukanie do drzwi. Tom podchodzi do okna i wygląda. Na dworze nadal jest jeszcze w miarę jasno. Słońce dopiero chowa się za drzewa. Jest to wieczór z rodzaju tych, które Lorna uwielbia, kiedy ciepło dnia nadal utrzymuje się w powietrzu.

– To jakaś starsza pani z młodym mężczyzną – mówi Tom.

Lorna również wygląda przez okno.

– Och, to Melissa i jej siostrzeniec, Seth. – Biegnie do drzwi i otwiera je.

– Hej, wejdźcie – mówi, wprowadzając ich do dużego pokoju i przedstawiając Saffy i Tomowi.

Melissa promienieje. Wręcza Lornie kopertę, a potem rozgląda się po wnętrzu chatki z jej współczesnymi sofami i drewnianymi podłogami. Przenosi uwagę na



Lornę.

– Po naszej rozmowie przypomniałam sobie o tych zdjęciach – mówi.

– Powiedziałem cioci, żeby poczekała z tym do jutra, ale nalegała. – Seth uśmiecha się szeroko, wciskając ręce do kieszeni dzinsów.

– Pomyślałam, że chciałaby pani je zobaczyć – dodaje Melissa. – To z czasów, kiedy Rose przychodziła na granie na dzwonach w naszym kościele. Uwielbiała to.

– Grała na dzwonach? – Saffy unosi brwi z zaskoczeniem. – Nigdy o tym nie wspominała.

Lorna chce dodać, że jej matka nie mówiła o bardzo wielu rzeczach, ale postanawia zachować to dla siebie. Przegląda zdjęcia. Widzi na nich grupkę około sześciu kobiet, włączając w to znacznie młodszą Melissę, uśmiechających się do kamery. Każda z nich trzyma sznur. Stoją w pomieszczeniu, które wygląda na wnętrze wieży kościelnej. Fotografia musiała zostać wykonana w późnych latach siedemdziesiątych, sądząc po stylu fryzur i ubrań. Lorna przygląda się zdjęciom, ale nie widzi mamy.

– Czy Rose na nich jest? – pyta, marszcząc czoło.

Melissa zagląda jej przez ramię.

– Tak, oczywiście. – Wskazuje na kobietę z długimi falującymi włosami. Zdjęcie może jest stare, ale Lorna widzi od razu, że to nie jej matka. – To nie ona. Wygląda dość znajomo, ale...

– Jak to? – Melissa wrywa plik z dłoni Lorny. – Tak, to na pewno ona. Na tym tutaj też...

– Zobaczmy. – Saffy podchodzi i odbiera zdjęcie od Melissy. – Zaraz, to nie jest babcia. – Spogląda na Lornę, unosząc brwi. – To... to ta druga kobieta ze zdjęć babci. To Daphne.

Melissa wybucha śmiechem.

– Nie bądźcie śmieszne. Daphne nie wprowadziła się jeszcze wtedy do wioski. To był 1978 rok. To Rose. Przecież wiem, jak wyglądała.

Lorna ma wrażenie, że jakaś lodowata dłoń ścisnęła jej serce. Podbiega do pudełka, które nadal stoi w rogu dużego pokoju – tego, którego nie zdążyli jeszcze przejrzeć do końca. Wyciąga z niego zdjęcia i drżącą dłonią podaje je Melissie.

– Ta druga kobieta, na tych zdjęciach... – zaczyna.

– Ta tutaj? – Melissa wskazuje na wysoką postać z ciemną fryzurą na elfkę i bladą twarzą. Jej matkę.

– Tak. Kto... kto to jest?

Saffy stoi obok niej.

– Mamo, ja nie rozumiem. Przecież wiesz, kto to jest. To babcia.

Lorna chwyta dłoń córki i ściska ją.

– Kto to jest? – pyta Melissę jeszcze raz, stukając w fotografię palcem. W jej głosie pobrzmiwa naleganie. Czuje, że zbiera się jej na wymioty.

– To przecież jest Daphne. – Melissa spogląda na nie obie, jakby były idiotkami. I są, bardzo wielkimi idiotkami. – To Daphne Hartall.

# CZEŚĆ CZWARTA

## Daphne

Mam na imię Rose. Tak o sobie myślę, ale ta cholerna choroba sprawia, że zapominam o różnych rzeczach, myślę się, wszystko wypacza się w mojej głowie. Mam tylko swoje wspomnienia, a one blakną niczym zdjęcie pozostawione zbyt długo na słońcu. Byłam Rose przez ponad czterdzieści lat. Byłam Rose dłużej niż kimkolwiek innym.

Ale w ostatnim roku wszystko zaczęło się rozmywać. Twarze, które kiedyś rozpoznawałam, zmieniły się w oblicza obcych. A kiedy zapominam o terażniejszości, myślę o tych innych tożsamościach jako o osobnych osobach, jakby nie były częścią mnie. Jean, Sheila, Daphne. Zwłaszcza Daphne. Nią lubiałam być najbardziej, ponieważ zaznała miłości.

Miałam okropne dzieciństwo. Oczywiście to nie jest wytłumaczenie, zdaję sobie z tego sprawę. Wielu ludzi ma złe dzieciństwo, ale nie stają się zabójcami.

Urodziłam się jako Jean Burdon 3 sierpnia 1939 roku w Stepney Green, w Londynie. Jedyne dziecko rodziców, którzy nienawidzili siebie serdecznie, a mnie mieli w dupie. Ojciec był pijakiem, matka prostytutką, a ja zbyt wcześnie nauczyłam się zbyt dużo o mężczyznach i seksie. Przez większość czasu byłam sama, błąkałam się po zbombardowanych ulicach East Endu, próbując schodzić z drogi ojcu, żeby nie dostać lania za to, że oddycham. Mój psycholog na oddziale ze wzmożonym nadzorem powiedział, że osoby nękanie same często zaczynają nękać innych. W moim przypadku była to prawda.

Susan Wallace była moją pierwszą przyjaciółką. Moją jedyną przyjaciółką. Była śliczna i słodka – i przez jedno cudowne lato prawie się nie rozstawałyśmy. Jej rodzice traktowali mnie z życzliwością: pozwalali mi zostawać na kolację; chociaż sami też byli biedni, próbowali mi pomagać, dając mi sweter zrobiony na szydełku przez panią Wallace, dodatkowy kawałek chleba z dżemem albo jabłko, kiedy tylko mogli. A potem pewnego dnia Susan postanowiła, że już nie chce się ze mną przyjaźnić. Powiedziała, że znalazła sobie nową najlepszą przyjaciółkę: małą dziewczynkę, która wprowadziła się do domu obok niej.

Odrzucenie było czymś, czego nigdy przedtem nie doświadczyłam, i wypełniło mnie rozszarpanym do białości gniewem. Nie planowałam jej zabijać, po prostu chciałam ją powstrzymać przed zostawieniem mnie.

Sędzia na moim procesie był surowy i nie miał ani krztyny współczucia. Uznał mnie za psychopatkę, ale ja nie sądzę, żeby to była prawda. Czytałam o psychopatach po wyjściu z więzienia i wiem, że nie są oni zdolni do miłości, współczucia i empatii. Ja mam wszystkie te uczucia. Mój problem zawsze polegał na tym, że kochałam *za bardzo*.

Tak, byłam Jean Burdon przez niemal trzydzieści koszmarnych lat. I tak, nie mogłam się doczekać, żeby od niej uciec i stać się Sheilą Watts. Wyszłam z więzienia zresocjalizowana i wyposażona w nową tożsamość, w wieku dwudziestu ośmiu lat. Usiłowałam rozpocząć nowe życie. Naprawdę bardzo tego chciałam. Trzymałam się z dala od innych, próbowałam nie zawierać bliższych znajomości, nie przywiązywać się do nikogo, pamiętać o wszystkim, przed czym ostrzegali mnie mój psycholog. Przez jakiś czas działało. Przeprowadziłam się do Broadstairs w Kencie i mieszkałam tam przez wiele szczęśliwych lat. Potem jednak ten dziennikarz zaczął węszyć wokół mnie. W jakiś sposób zorientował się, kim tak naprawdę jestem. Mogłam powiedzieć prawdę mojemu kuratorowi i zapewne przeniesiono by mnie gdzie indziej, dano nową tożsamość, ale uznałam, że sfigowanie własnej śmierci i przyjęcie tożsamości zmarłej siostry Alana będzie znacznie łatwiejszą opcją. W ten sposób nikt nie będzie wiedział, kim jestem – nawet służba więzienna i kuratorzy. Wreszcie będę wolna. Wreszcie będę mogła być osobą, którą zawsze chciałam być – szalenie lojalną, niezależną feministką, niekłaniającą się nikomu Daphne Hall.

Przeprowadziłam się więc na zachód kraju, najpierw do Kornwalii, potem do Devonu, a wreszcie przybyłam do małej wioski zwanej Beggars Nook.

I właśnie tam popełniłam największy błąd i złamałam wszystkie dane sobie obietnice.

Nie tylko pokochałam Rose, ale również jej córkę Lolly.

## Lorna

Ręka, w której Lorna trzyma kubek, dygocze. Przez ostatnie dni wlała w siebie tak dużo kofeiny, że ma wrażenie, iż w niej pływa.

Naprzeciwko niej, na sofie, obok Saffy, detektyw Barnes z bardzo poważną miną pochyla się nad swoim notatnikiem.

– Jest pani pewna?

Saffy prawie się nie odzywa. Siedzi z dłońmi złożonymi na udach, z napięciem na twarzy i ciemnymi brwiami ściągniętymi z niepokoju. Kolejny cios dla mojej biednej córki, myśli Lorna z żalem. Ile jeszcze będzie w stanie znieść?

– Rose... *Daphne*... nadal może być niewinna, rozumieją panie. Może to nie ona zabiła prawdziwą Rose Grey, jeśli oczywiście znalezione ciało rzeczywiście należy do niej – mówi Barnes. – Zabójcą nadal może się okazać Victor Carmichael. Na pewno to sprawdzimy, proszę mi zaufać.

– Ale w takim razie po co miałyby kraść tożsamość mamy? – pyta Lorna.

– Być może potraktowała to jako okazję, której potrzebowała, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. Jeżeli Victor był pani ojcem, a ona z jakiegoś powodu się go bała...

– Przypuszczam, że to możliwe. – W Lornie zapala się płomynek nadziei, chociaż próbuje go stłumić. Nie chce się rozczarować.

Sierżant Barnes wychodzi w tej samej chwili, w której Tom wraca ze spaceru ze Snowym. Jest już ciemno i zaczął padać deszcz. Sierść Snowy'ego lepi się wokół jego pyska. Wygląda to jak zmarszczki. Lorna obserwuje, jak Saffy wtula się w Toma, chowając głowę w jego piersi, jakby chciała wymazać ostatnie kilka godzin z umysłu.

– I co? – Tom wchodzi do dużego pokoju. – Co powiedziała policja?

– Pobrali już DNA od mamy, by sprawdzić związek z Theo – mówi Saffy, rzucając Lornie płaczliwy uśmiech. – Mogą więc też porównać próbkę z tą ze znalezionej ciała i sprawdzić, czy zbieżność jest wystarczająca, żeby mogła to

być babcia... – Odsuwa się od Toma i podchodzi do kominka. Lorna martwi się o nią. To na pewno nie jest dobre dla dziecka.

Tom opada na sofę i drapie się w głowę.

– Gównno... wszystko to jedno wielkie gównno.

– Wiem. – Saffy siada obok niego. Zerka na Lornę błyszczącymi oczami. – Ale nawet jeśli babcia nie jest moją genetyczną babcią, nadal ją kocham. – Łapie się za serce. – Czy to niewłaściwe z mojej strony?

– Oczywiście, że nie, kochanie. – Lorna z trudem powstrzymuje łzy. Siada po drugiej stronie córki i przytula ją. – Tak naprawdę nie pamiętam mojej prawdziwej mamy. Mam jedynie nikłe wspomnienia pojedynczych obrazów i to dopiero od niedawna, od kiedy tu przyjechałam. Już bardziej chodzi o uczucie, coś w rodzaju żałoby. I zastanawiam się... – Mruga, walcząc z łzami. Nie może się teraz rozplakać. – Zastanawiam się, czy może to wspomnienie żałoby po mojej prawdziwej mamie. Kto wie? Pamiętam tylko ją... *Daphne*.

– Byłaś wtedy bardzo mała, mamó. Nie miałaś nawet trzech lat. Muszę odwiedzić jutro babcię. Chcesz pojechać ze mną? – Spogląda na Lornę swoimi dużymi ciemnymi oczami, przypominając jej małą dziewczynkę, którą jeszcze niedawno była.

– Oczywiście, ale kochanie, nie spodziewaj się uzyskania żadnych odpowiedzi.

\*

Kiedy następnego poranka docierają do Elm Brook, zostają poinformowane, że Rose jest w łóżku, a jej stan się pogarsza. Saffy siada po jednej stronie łóżka, a Lorna po drugiej. Obserwują śpiącą babcię, mrugającą powiekami, jakby o czymś śniła – może o innym świecie, w którym jest Daphne Hartall.

– Wygląda tak krucho – szepcze Lorna. – Za każdym razem, kiedy ją widzę, wydaje się mniejsza. A jeśli to Daphne Hartall, czy Jean Burdon, to ma prawie osiemdziesiąt lat.

Saffy nic nie mówi, wpatruje się tylko w kobietę, którą przez tyle lat znała jako swoją babcię. Lorna obserwuje, jak jej córka wyciąga rękę i ujmuje babciną dłoń. Czuje wewnętrzny konflikt: ta kobieta nie jest z nimi spokrewniona, ale jednocześnie jest jedyną matką, jaką Lorna znała. Jedyną babcią, jaką znała Saffy – i ich bliskość jest nadal żywa, nadal widoczna.

– Żałuję, że nie pamiętam mojej prawdziwej matki – mówi Lorna z ciężkim sercem. – To tak, jakby... ona, *Daphne* – niemal wypluwa z siebie to imię –

wymazała wszystkie moje wspomnienia.

– Mamo! – Saffy jest zszokowana gniewem dźwięczącym w głosie swojej matki. Lorna wstaje.

– Przyniosę nam coś do picia – mówi. Nie wie, czy jest w stanie to robić: siedzieć przy łóżku tej kobiety, wiedząc, że ta okłamywała ją i Saffy przez wszystkie te lata, a może nawet zabiła ich prawdziwą matkę. Właśnie rusza w kierunku drzwi, kiedy powieki Rose trzepoczą i otwierają się.

– Babciu, to ja, Saffy – mówi jej córka łagodnie, z miłością.

To oczywiste, że chora nie rozpoznaje ich dzisiaj. Wygląda, jakby jeszcze bardziej zapadła się w łóżko, może ze strachu przed nimi.

– Nie bój się, babciu – mówi Saffy kojącym głosem, nadal trzymając starą kobietę za rękę. – To ja, Saffy.

– Witaj, *Daphne* – mówi Lorna. Słyszy gwałtowne westchnięcie Saffy i czuje jej dezaprobatę. – Wiemy, kim jesteś. Kim *naprawdę* jesteś.

Ale stara kobieta w łóżku tylko wpatruje się w nie obie z przerażeniem.

– Kim panie są?

– To twoja córka, babciu. Lolly.

– Lolly? – Wyciąga rękę do Lorny. – Czy to naprawdę ty? Wyglądasz na bardzo dorosłą.

– Co się stało z Rose? – pyta Lorna sucho, odmawiając chwycenia staruszki za rękę. Ta kobieta nie jest już jej matką. – Wiem, że jest drugim ciałem zakopanym w ogrodzie.

Ale starsza kobieta tylko trzepocze powiekami, z niezrozumieniem wypisanym na twarzy.

– Mam na imię Rose – mówi. – Jestem Rose. Mam na imię Rose.

Lorna czuje, że na ramionach występuje jej gęsia skórka. Zupełnie jakby ta dziwna mantra miała sprawić, że to prawda.

– Nie, nie. Jesteś Jean. Nazywasz się Jean Burdon, prawda? Teraz możesz się już przyznać. Wiemy wszystko.

– Mam na imię Rose.

– Przestań – warczy Lorna. – Jesteś nam winna prawdę.

– Mamo! – Głos Saffy jest twardy. – Przerazasz ją.

– Nie mogę już dłużej tego robić. Po prostu... nie potrafię. – Lorna podchodzi do drzwi. Musi stąd wyjść. Poczekaj na Saffy na dworze. Wszystko, w co wierzyła, wszystko okazało się jednym wielkim kłamstwem.

– Lolly.



Obie odwracają się i spoglądają w stronę łóżka. Matka Lorny próbuje wstać, ze wzrokiem utkwionym w swojej córce.

– Przepraszam. – W jej głosie słychać desperację. Zszokowana Lorna widzi łzy spływające po pobrużdżonych policzkach mamy. – Tak bardzo mi przykro.

– Dlaczego? – pyta Lorna głosem chropowatym i łamiącym się z emocji. – Dlaczego to zrobiłaś?

Ale stara kobieta w łóżku wpatruje się w nie obie z niezrozumieniem, znów przyglądając się Lornie jak komuś obcemu.

**Rose***Październik 1980 roku*

Od wizyty Joela w nasze życie zaczęła wkradać się podejrzliwość. Na początku powoli, jak rdza na karoserii samochodu, rozprzestrzeniała się podstępnie, erodując i niszcząc nasz związek. Potrzebowałam w życiu osoby, której mogłabym całkowicie zaufać, po Audrey, a zwłaszcza po Victorze. Budziłam się rano, widząc twarz Daphne obok siebie na poduszce, i doświadczałam okropnego, mdlącego uczucia ściskania w żołądku. Rozczarowanie. Może zbyt wiele oczekiwałam od ludzi. Od niej. Trudno powiedzieć. Ale te kłamstwa: jak można kiedykolwiek naprawdę znać i kochać jakąś osobę, kiedy ona cię okłamuje.

I kiedy tak siedziałam, przyglądając się jej śpiącej, myślałam tylko o tym, w jakich innych sprawach jeszcze mnie okłamała.

Na pewno w sprawie Neila Lewishama. Wmówiła mi, że był jej agresywnym, rozwścieczonym byłym chłopakiem. Ale czy ja tak bardzo się od niej pod tym względem różniłam? Przy pierwszym spotkaniu pozwoliłam jej myśleć, że jestem wdową. Poza tym, kiedy się temu dobrze przyjrzeć, Daphne nigdy nie powiedziała, że Neil był jej chłopakiem. To ja tak założyłam. A teraz go zabiłam. Czy Daphne wmanipulowała mnie w to? Czy wykonałam za nią brudną robotę? Zabiła już wcześniej – sama to przyznała, chociaż twierdziła, że to był wypadek i że popchnęła małą Susan Wallace w napadzie wściekłości po kłótni, i dziewczynka upadła i rozbiła sobie głowę na cegłach rozrzuconych w miejscu bombardowania, w którym się bawiły. Nigdy nie zainteresowałam się szczegółami tej sprawy, nie miałam też żadnego powodu, żeby jej nie wierzyć. Ale po tym, jak okazało się, że skłamała na temat Joela, postanowiłam pojechać do biblioteki w Chippenham, kiedy ty byłaś na zajęciach w grupie przedszkolnej. Tam byłam w stanie dotrzeć do wszystkich starych artykułów na mikrofilmach. Przeczytałam wszystkie raporty z procesu, o tym, jak Jean

celowo i, według oskarżyciela, brutalnie uderzyła Susan Wallace w głowę cegłą, nie raz, ale dwa razy, niesprovokowana.

Siedziałam w bibliotece, z dowodami przed sobą, jak skamieniała.

Na temat tego też mnie okłamała.

Już wtedy chciałam od niej uciec razem z tobą. Teraz. Natychmiast. Zostawić dom, zostawić za sobą Beggars Nook i uciekać, uciekać. Ale nie mogłam. Dom należał do mnie. Był jedyną własnością, jaką miałam. Przecież nigdy nawet nie pracowałam. Nie mogłam tak po prostu odejść.

Nie, to Daphne będzie musiała się wynieść.

Chodziłam po domu, planując, co jej powiem, i czekając na jej powrót z farmy. Potem zauważyłam, że bawisz się swoimi lalkami Sindy na puszystym dywanie w dużym pokoju. Wyglądałaś na szczęśliwą. Moja niewinna córeczka. Nie mogłam zacząć się kłócić z Daphne w twojej obecności.

Kiedy wróciła do domu zaledwie pół godziny później, pobiegłaś do niej i wtuliłaś się. Daphne rzuciła torbę na podłogę i objęła cię mocno.

– Daffy! – krzyknęłaś, a potem chwyciłaś ją za rękę i pociągnęłaś za sobą do dużego pokoju, zanim nawet zdążyła zdjąć kurtkę. Zachichotała, pozwalając ci się prowadzić, a ja poczułam, że mój żołądek robi fikołka.

Uśmiechnęła się do mnie nad twoją głową. Wiedziałam, że martwi się dystansem, jakiego nabrałam, od kiedy dowiedziałam się o Joelu. Próbowwała mnie zapewnić, że coś mu się pomyliło, i nadal podtrzymywała, że nie czuje się przy nim bezpiecznie i że naprawdę próbował ją przelecieć.

Ale ja już jej nie wierzyłam. To, co mówił Joel, brzmiało zbyt prawdziwie.

Weszłam do kuchni, wiedząc, że Daphne pójdzie za mną. I rzeczywiście, pojawiła się, ściągając palto i rzucając torbę na blat. Jej policzki były zaróżowione od zimna.

– Hej, hej. – Podeszła, żeby mnie pocałować, ale ja przesunęłam się, zanim to zrobiła. Zgarbiła ramiona, odrzucona. – Nadal jesteś na mnie zła?

– Nie wiem – skłamałam.

– Nie rozumiem... – Zwiesiła głowę. Grzywka wpadała jej do oczu. Wyglądała tak krucho, że w pierwszym odruchu chciałam do niej podejść i ją przytulić, ale nie mogłam. Zamiast tego odwróciłam się do niej plecami i postawiłam czajnik na gazie.

– Co jest w siatce? – spytałam.

– Och. – Otworzyła ją. – Sean dał mi ten udziec wołowy.

– Ostatnio daje ci sporo rzeczy. Jesteś pewna, że to legalne?

– Mick, właściciel, zawsze ma spory nadmiar produktów. Nie ma nic przeciwko temu.

Czuję się nieswojo w związku z tym. Który farmer rozdaje swoje produkty za darmo? Czy to kolejna rzecz, na temat której Daphne kłamie?

Później tego wieczoru, kiedy leżałaś już w łóżku, Daphne i ja siedziałyśmy razem na przeciwnych końcach sofy, tak, jak kiedy dopiero co się poznałyśmy. Normalnie w tej chwili tuliłybyśmy się do siebie, splatając ręce i nogi i wyglądając jak ośmioramienny stwór.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała Daphne, wręczając mi małą książeczkę oprawną w skórę. Wzięłam ją do ręki i odczytałam tytuł wytłoczony złotymi literami. *Wiersze miłosne*. – Otwórz – zachęciła mnie Daphne.

Zrobiłam to i z zaskoczeniem znalazłam zasuszoną czerwoną różę między stronicami.

– Bardzo cię kocham – powiedziała Daphne. – Proszę cię, wybacz mi.

– Więc skłamałaś?

– To było głupie. Chciałam się po prostu przekonać, czy go lubisz, czy jednak wolisz kobiety. To znaczy mnie...

– Daphne, musisz być ze mną szczerą. Nie mogę zostać w związku z tobą, chyba że będziesz całkowicie prawdomówna.

– I jestem. Oczywiście, że jestem.

– A co o tej sprawie z dzieciństwa? Powiedziałaś, że zabicie Susan Wallace było wypadkiem.

– Bo tak było.

– Przeczytałam raporty z gazet.

Podskoczyła i odsunęła się, jakbym wymierzyła jej policzek.

– Co takiego? Węszyłaś wokół mojego życia?

– Mam dwuipółletnią córkę.

Ból na jej twarzy złamał mnie.

– Uważasz, że kiedykolwiek mogłabym skrzywdzić Lolly?

– Nie. – Posunęłam się za daleko, widziałam to teraz. Wiedziałam, że Daphne kochała cię jak swoją własną córkę. – Nie, oczywiście, że nie.

Zerwała się z sofy i przyklękła u moich stóp, ujmując moje dłonie. Pocałowała je i spojrzała na mnie. Serce mi się ścisnęło. Była taka piękna.

– Rose, tak mi przykro, że skłamałam w sprawie Joela. To było głupie.

– Ja...

Pociągnęła mnie na podłogę i przesunęła dłońmi po moich włosach, wpatrując się we mnie intensywnie.

– Kocham cię. Nigdy nie kochałam nikogo tak, jak ciebie. Musisz mi wierzyć.

– Wierzę.

Jej oczy wypełniły się łzami.

– Nie możesz mnie zostawić. Bez ciebie zginę.

– Daphne...

– Przysięgnij. Przysięgnij mi, Rose. Nie możesz mnie zostawić.

Waham się, myśląc o mojej determinacji, żeby się stąd wyprowadzić. Wiedziałam jednak, że jestem zwyczajnie wściekła. Tak bardzo ją kochałam.

– Nie planuję odejścia od ciebie.

Na jej twarzy pojawiła się ulga.

– Och, to dobrze. – Pocałowała mnie, obejmując mocno. Tomik poezji zsunął się z moich ud na podłogę obok nas. Daphne odsunęła się i ujęła moją twarz w dłonie.

– Wiem o tobie tak wiele – zaczęła z poważną miną.

– A ja o tobie za dużo.

– W takim razie jesteśmy zdane na siebie, nieprawdaż? – Roześmiała się, żeby przełamać napięcie, ale niestety, zupełnie nie odsunęło to niepokoju, który we mnie wykiełkował.

Może mogliśmy wszystko naprawić. Może byłybyśmy w stanie jakoś zostawić to za sobą.

Gdyby nie Sean.

## Theo

Kiedy Theo wychodzi z restauracji, jest już ciemno i pada deszcz. Od początku czerwca padało prawie codziennie i w drodze do samochodu musi przebiec śliską od wody ulicę, zasłaniając głowę kurtką.

Od weekendu w Beggars Nook minęło dziesięć dni. Dziesięć dni od poznania Lorny i Saffron, jego prawdopodobnej rodziny. Lorna wysłała mu kilka esemesów. Podobnie jak on, nadal oczekuje na wyniki testów DNA. Theo ma mieszane uczucia: cieszy się, że być może ma siostrę (zawsze chciał mieć rodzeństwo), ale jednocześnie bardzo się boi, że jego ojciec może okazać się mordercą.

Kiedy zapytał go o ciała znalezione w ogrodzie, zgodnie z oczekiwaniem ojciec się wściekł. Nawrzeszczał na Theo, powiedział mu, że nie powinien popuszczać wodzy fantazji, a potem wyrzucił go z domu i zatrzasnął za nim drzwi. Od tego czasu się nie odezwał.

Jest już późno, dochodzi północ i ulica jest pusta. Jego volvo stoi zaparkowane pod latarnią. Kula jasności podświetla krople deszczu. Theo wślizguje się za kierownicę, zatraskując drzwiczki, żeby ochronić się przed kiepską pogodą. Dudnienie deszczu o dach samochodu jest ogłuszające, a on jest przemoczony i wyczerpany. Włącza silnik i podkręca ogrzewanie. Właśnie ma ruszyć, kiedy zaczyna wibrować jego telefon.

Wyławia go z kieszeni mokrej kurtki. Na wyświetlaczu widać nieznany numer. Kto może do niego dzwonić o tej porze?

– Halo? – zaczyna ostrożnie.

– To ja – słyszy opryskliwy głos ojca. Theo jest tak zaskoczony faktem, że tata do niego zadzwonił, że nie odzywa się przez kilka sekund.

– Halo, jesteś tam?

– Tak. Przepraszam, tato. Jestem. Co się stało?

– Zostałem aresztowany.

A więc w końcu się to stało. Tym razem jego tata nie zdołał się wykręcić z kłopotów. Mimo wszystko Theo czuje się fatalnie.

– Ten skurwiel Davies próbuje zwalić wszystko na mnie. Wszystkie swoje zbrodnie.

Żołądek Theo ściska się boleśnie. *Wszystkie* jego zbrodnie? Ile ich było? Myśl o tym działa niczym wstrząs elektryczny.

– Chcesz powiedzieć, że się przyznał? Zabił tych dwoje ludzi w Beggars Nook w 1980 roku?

– Tak. Nie. Nie to. Chodzi o tę inną sprawę.

Ciemność nocy wydaje się zamykać nad siedzącym w samochodzie Theo. Deszcz siecze w szyby. Mężczyzna drży z zimna.

– Czyli dokładnie którą?

– Davies próbuje twierdzić, że jestem odpowiedzialny za śmierć twojej matki.

Theo czuje, że nie może oddychać. Poluźnia kołnierz swojej koszuli.

– I? – udaje się mu wykrztusić.

– Oczywiście to nieprawda. Nie zrobiłem nic złego. Byłem tego dnia w pracy. Dobrze o tym wiesz. Mam alibi.

Najwyraźniej alibi nie jest zbyt solidne, myśli Theo, skoro ojciec i tak został aresztowany. Mógł pchnąć matkę podczas kłótni, a potem wymknąć się z domu cichaczem, pojechać do pracy i udawać, że był tam przez cały dzień.

– Skąd Davies miałby wiedzieć, czy zabiłeś mamę, czy nie? – Coś w tym wszystkim się mu nie składa. Czy Davies dowiedział się o tym w jakiś sposób i teraz szantażuje ojca? A może pomógł mu zatuszować zbrodnię? Davies pracował dla ojca do 2004 roku. Został przedstawiony rodzinie jako doradca prawny, księgowy oraz szef ochrony. A teraz nagle awansował na prywatnego detektywa. Theo nigdy nie wiedział, na czym dokładnie polega jego rola.

– A teraz... teraz zaczęli mnie przesłuchiwać w sprawie samobójstwa Cynthii Parsons. Uważają, że mogło dojść do przestępstwa. – W jego głosie nie ma smutku ani żalu, tylko wściekłość. – A ja nie miałem z tym nic wspólnego.

Theo pociera twarz. Czuje, jak gotuje się w nim gniew.

– Słuchaj, załatw mi prawnika. Ralph Middleton. Znajdziesz jego numer w internecie. Jest... Jedną, kurwa, minutę. Nie skończyłem – wydziera się na kogoś. Pewnie na osobę czekającą za nim w kolejce do telefonu, myśli Theo. – Słuchaj, synu. Muszę już iść. Czas mi się skończył. Zadzwoń do niego. Proszę.

Połączenie zostaje przerwane. Theo wpatruje się w pustą ulicę, przez zalaną deszczem przednią szybę samochodu. W głowie nagle pojawia się mu obraz

ukochanej twarzy matki, tak wyraźny, jakby widział ją zaledwie wczoraj. Z jakiego powodu ojciec miałby chcieć ją zabić? Czy planowała od niego odejść? Czy dowiedziała się o molestowaniu seksualnym? Albo o kobietach z teczki? O ciałach znalezionych na Skelton Place? Mój Boże, ojciec mógł zabijać od lat. Theo czuje, że zbiera mu się na wymioty. Uderza dłonią o kierownicę i czuje ostry ból rozchodzący się aż do barku. Cholera. Cholera. Cholera!

I mimo całej odrazy, jaką czuje do ojca, Theo nie może nic poradzić na emocje, które kładą się ciężarem na jego piersi, dusząc go, aż wreszcie musi je uwolnić, szlochając. Siedzi tak przez chwilę, opierając czoło o kierownicę w swoim zimnym małym samochodzie, pozwalając łzom płynąć. Nie wie tak naprawdę, z jakiego powodu płacze. Zdecydowanie nie z żalu nad ojcem – ma nadzieję, że ten zgnije w więzieniu. Na pewno z powodu matki, której młode życie zostało skradzione przez ojca – i częściowo nad sobą, za to, że odebrano mu jego cudowną mamę.

Odchyła się na oparcie i ociera łzy. Komórkę nadal trzyma na kolanach i widzi esemesa od Lorny, przysłanego kilka godzin temu. Nie zauważył go wcześniej, tak bardzo był zajęty w restauracji. Włącza ekran, który rozjaśnia się, podświetlając wnętrze samochodu.

Eseses stwierdza po prostu: *To oficjalne. Jesteś moim bratem.*



## Saffy

Wchodzę za Tomem do domku, zatrzymując się na progu, żeby strząsnąć parasolkę. Jest zimno i mokro – nietypowa czerwcową pogodą. Zza żywopłotu wynurza się jakiś mężczyzna. Zachłystuję się przerażona, spodziewając się, że to Davies, z jakiegoś powodu zwolniony z aresztu. Na szczęście to tylko emeryt spacerujący ze swoim psem. Kiedy mnie zauważy, uchyla kapelusza na przywitanie, a ja macham mu bez przekonania, a potem odwracam się i zamykam drzwi.

Właśnie wróciliśmy z lotniska, na które odwieźliśmy mamę. Wczoraj niespodziewanie zaanonsowała, że kupiła bilety na samolot następnego dnia i że chciałaby zostać dłużej, ale minęły już dwa tygodnie i musi wrócić do Hiszpanii. Kiedy ścisaliśmy się na pożegnanie, czułam, że jest między nami mnóstwo niedopowiedzeń. Jakoś nigdy nie było właściwego momentu na to, żeby kontynuować rozmowę, którą odbyliśmy w samochodzie, ani na zapewnienie jej, że ją kocham. Po tym, jak dowiedziałyśmy się, że babcia to tak naprawdę Daphne, wszystkie problemy między mamą i mną zostały pogrzebane pod tym ogromnym problemem. Mama ledwie jest w stanie ogarnąć, co czuje w związku z tym wszystkim, nie wspominając o wywlekaniu kłopotów z naszej przeszłości.

– No dobrze. – Tom pochyla się i odpina smycz od obroży Snowy’ego. – Zamawiamy jedzenie na wynos na kolację? Mam straszną ochotę na rybę i frytki.

– Będę tęskniła za gotowaniem mamy – mówię smutno, zrzucając trampki i ściągając kurtkę puchową. Dom nagle wydaje się zbyt duży i zbyt cichy bez niej. Wieszam kurtkę na haczyku obok mojego biura. Tom robi to samo ze swoją. W drodze z samochodu do domu całkowicie nas przemoczyło.

– Wiem. Też będę za nią tęsknić. O takich osobach nigdy się nie zapomina. – Rusza do kuchni.

– Myślisz, że wszystko z nią będzie w porządku? – Podchodzę do czajnika i uśmiecham się, widząc, że mama przeniosła toster w róg. Nigdy nie umiała

zostawić niczego w spokoju. – To pewnie straszny szok dowiedzieć się, że jej matka tak naprawdę nie jest jej rodzoną matką. – Zerkam na ogród przez kuchenne okno. Nadal czekamy na potwierdzenie, że drugie z ciał znalezionych tutaj rzeczywiście należy do Rose Grey. Detektyw Barnes powiedział, że powinniśmy wiedzieć jutro.

– To samo dotyczy ciebie – mówi Tom łagodnie. – Przez wszystkie te lata myślałaś, że to Rose jest twoją babcią.

– Nadal ją kocham. Nie potrafię... – Zachłystuję się. Łzy zaczynają mi kapać na policzki. – Nie potrafię tak po prostu przestać. Nie umiem zapomnieć wszystkiego, przez co razem przeszliśmy, tego, co dla mnie zrobiła, rozumiesz, prawda? Ale z drugiej strony myślę, że zabiła moją prawdziwą babcię...

– Rozumiem. – Tom podchodzi do mnie i obejmuje mnie w pasie. – Mimo wszystko, kimkolwiek jest, nie mogę uwierzyć w to, że jest morderczynią. Na pewno istnieje jakieś inne wytłumaczenie, nawet jeśli ciało to rzeczywiście prawdziwa Rose.

– Zabiła w wieku dziesięciu lat. Wszystko, co myślałam, że wiem o babci, było kłamstwem.

Tom milknie i rozważamy to wszystko w ciszy.

– Przeczytaliśmy wszystkie doniesienia z tamtych czasów – mówi po chwili. – Miała okropne dzieciństwo... była wykorzystywana. Poza tym przeszła resocjalizację w więzieniu.

Rozmawialiśmy o tym dziesiątki razy, od kiedy dowiedzieliśmy się o Daphne, i zawsze docieramy do tego samego punktu w dyskusji: nie ma bowiem ucieczki od faktu, że Rose, Jean, Daphne czy jakkolwiek się nazywa, była najlepszą babcią na świecie. Ludzie się zmieniają, potrafią odwrócić swój los, zaadaptować się do nowego życia.

– Myślę, że to wszystko strasznie się odbiło na mamie. – Drżę, czując przenikający mnie chłód. Tom przytula mnie mocniej. – Moim zdaniem zawsze tłumila w sobie wspomnienia z tamtych czasów. Miała prawie trzy lata, kiedy to się wydarzyło. Nie była niemowlęciem. Myślę, że dlatego zawsze ucieka. Tak jak teraz. Po raz kolejny sprawy się skomplikowały i mama postanowiła uciec do Hiszpanii. Kiedy byłam dzieckiem, często się przeprowadzałyśmy. Urodziłam się w Bristolu, potem przeniosłyśmy się do Kentu, stamtąd do Brighton, z powrotem do Kentu, a potem mama zaczęła zwiedzać całą Europę. Nie sądzę, żeby wiedziała nawet, przed czym tak naprawdę ucieka.

– Saff – mówi cicho Tom. – Twoja mama nie mogła tu zostać na zawsze. Ma w Hiszpanii swoje życie. Mieszkanie. Pracę. Musiała kiedyś tam wrócić.

Wzdycham.

– Chciałabym, żeby mama pożegnała się z babcią przed wyjazdem. Stan Rose nie jest dobry. Boję się, że umrze, a mama na zawsze straci możliwość pogodzenia się z nią, mo...

– Kochanie. – Tom odsuwa się ode mnie. – Nie możesz się spodziewać, że Lorna wybaczy twojej babci tylko dlatego, że ty to zrobiłaś.

– Wiem...

– Była okłamywana przez całe życie przez osobę, której ufała najbardziej na świecie.

Zwieszam głowę. Tom ma rację. Nie mogę winić mamy za to, że jest taka zła na babcię. Wiem jednak również, że będzie żałowała, jeśli nie zdoła rozwiązać tych problemów, zanim zrobi się za późno – nawet jeśli chodziłoby wyłącznie o wysłuchanie wersji wydarzeń ze strony babci.

– Mama i Theo mają dużo ze sobą wspólnego, prawda? Oboje zostali okłamani przez swoich rodziców.

– Ale właśnie w tym cały sęk. – Tom odgarnia kosmyk z mojego czoła. – Twoja babcia nie jest mamą Lorny. Kurczę, nie mogę nawet sobie wyobrazić, jak to komplikuje wszystko w jej głowie.

– Pewnie masz rację. To dość pokrecone. Po prostu... nie potrafię się gniewać na kruchą, chorą staruszkę, Tom. Nie umiem.

Tom odsuwa się ode mnie, żeby zrobić herbatę. Przyglądam mu się, zmagając się z własnymi emocjami. Rozumiem, dlaczego mama jest taka zdenerwowana, ale za każdym razem, kiedy myślę o babci leżącej w łóżku w domu opieki, z przerażeniem w szeroko otwartych oczach, przypomina mi się kobieta, która opiekowała się mną każdego lata, która nie oczekiwała ode mnie niczego poza byciem sobą, która pozwalała mi być dziwaczką – nieśmiałą, nieporadną sobą. Babcia kochała mnie, jakbym była jej rodzoną wnuczką – co do tego nie mam wątpliwości. Zawsze była życzliwa, łagodna, opiekuńcza – w stosunku do mnie, do swoich roślin i swoich zwierząt. Nie... niemożliwe, żeby zamordowała prawdziwą Rose. Nie uwierzę w to. Przez całe moje życie babcia tylko chroniła mnie i mamę.

– Przykro mi, że nie mogła się zdobyć na szczerą – mówię, biorąc kubek od Toma i sycąc się jego ciepłem pod palcami. – Sądząc po tamtym tomiku poezji, który znaleźliśmy, najwyraźniej kochała Rose. Może nigdy nie przestała?

– To naprawdę bardzo smutne – mówi Tom z zamyśleniem, popijając herbatę.  
– Tęskniła za nią przez wszystkie te lata.

Serce mi się ściska.

– Pomyśleć tylko, że kiedyś stały tutaj, Tom. W tej kuchni. – Podchodzę do okna i kładę dłoń na szybie, jakby ten gest miał połączyć mnie z nimi, z przeszłością; jakby moja dłoń dotykała niewidocznych śladów, pozostawionych przez nie dawno temu. – Myślisz, że zabiła Neila Lewishama?

– Myślę, że zrobiła to jedna z nich, a ta druga ją chroniła.

– Boże. – Oddycham głęboko. Spoglądam na szybę, chłodną pod moimi palcami, na ściekające po zewnętrznej stronie kaskady deszczu. Ulewa sprawiła, że całe niebo zamgliło się, przesłaniając lasy w oddali. Wyobrażam sobie, że stoją tam, w ogrodzie, Daphne i Rose, zakopując w ziemi swoje sekrety.

\*

Później, po zjedzeniu ryby i frytek, po które musieliśmy pojechać do sąsiedniej wioski, i po mojej rozmowie z mamą, która zapewniła mnie, że dotarła bezpiecznie do San Sebastian, uciekam na górę i biorę kąpiel. Wyremontowanie starej łazienki było pierwszą rzeczą, którą zrobiliśmy, kiedy dowiedzieliśmy się, że dom należy do nas. Zainstalowaliśmy wannę wolnostojącą i kabinę prysznicową. Dotykam mojego brzucha. Dziecko kopie teraz dość regularnie, tworząc lekkie wypukłości na moim brzuchu. Jestem w połowie ciąży. Kolejne USG mam już za tydzień. Czasem nie mogę uwierzyć, że dotarliśmy tak daleko. Słyszę szum telewizji na dole. Tom ogląda jakiś mecz piłki nożnej. Wychodzę z wanny i owijam się szlafrokiem, a potem idę do pokoju mamy. Jest idealnie wysprzątnany, mama zdjęła pościel z łóżka i wrzuciła ją do prania przed wyjazdem. Nie ma nic, co świadczyłoby o jej pobycie tutaj, poza cieniem zapachu jej piżmowych perfum. Nie wiem, czy to przez moje hormony, ale tęsknię za nią jak nigdy przedtem – nawet kiedy jako dziecko zostawałam co roku tylko z babcią, na długie lato.

Potem idę do małego pokoju na tyłach domu – sypialni, która będzie należeć do dziecka. Jest to pokój, w którym mieszkała mama, kiedy była Lolly. Ktokolwiek wynajmował dom od babci, najwyraźniej nigdy nie korzystał z tego pomieszczenia, traktując je jedynie jako składzik na niepotrzebne rzeczy. Podchodzę do kominka, przypominając sobie nasz szalony bieg po pokojach w poszukiwaniu dowodów, które według Daviesa mieliśmy posiadać. Dotykam

ciepłego drewna. Jest takie samo, jak w pokoju mamy – sosnowa oprawa z rzeźbionymi w niej delikatnymi kwiatami. Pokrywa ją warstwa kurzu. Jestem zaskoczona, że mama nie przyszła tutaj, żeby posprzątać. Ruszam w kierunku okna, ale po drodze potykam się o gwóźdź wystający z deski podłogowej. Chwytam róg gzymsu kominka, żeby zapobiec upadkowi. Prostuję się, z ręką nadal na listwie, i dostrzegam, że oderwała się częściowo od ściany. Przyglądam się uważniej, z sercem bijącym żywiej z ekscytacji. Pociągam ją. Za nią coś się kryje. Wygląda to jak dziura tam, gdzie kominek łączy się z cegłą. Przesłonięte gzymsem, ale na pewno coś tam jest. Coś ukrytego.

– Tom! – krzyczę. – Tom!

Słyszę łomot stóp na drewnianych schodach i po chwili wpada do pokoju, bez tchu.

– Co się stało? Dobrze się czujesz? Coś z dzieckiem?

– Chyba znalazłam dowody ukryte przez babcię – mówię. – Szybko, pomóż mi to odsunąć.

Tom podchodzi do mnie i razem podważamy półeczkę nad kominkiem. Odchodzi cała, odsłaniając dziurę w ścianie kominkowej. Tom ostrożnie odkłada półeczkę na podłogę, kaszląc, ponieważ ruch sprawia, że unosi się z niej kurz. W dziurze leży brązowa koperta pokryta pajęczynami. Sięgam po nią, nie dbając o pająki, robaki czy inne rzeczy, których zazwyczaj się boję.

– Nie mogę uwierzyć, że to znaleźliśmy. – Spoglądam na Toma zszokowana. Koperta ma rozmiar A4. Trzymam ją w dłoniach jakby była Świętym Graalem. A potem łzy przesłaniają mi widok. – Szkoda, że mamy tu nie ma. – Nagle boję się, co te ukryte informacje mogą powiedzieć o babci albo o prawdziwej Rose.

Opadam na kolana, a Tom robi to samo. Oboje siedzimy na piętach, na niewygodnych deskach. Wyciągam na zewnątrz zawartość koperty. Znajduje się w niej skórzana teczka z koszulkami na dokumenty w środku. Otwieram ją niepewnie i wzdycham gwałtownie. Nagie kobiety. Fotografie zrobione najprawdopodobniej polaroidem. Wszystkie te kobiety wyglądają, jakby spały. Niektóre mają na sobie szpitalne koszule, podciągnięte do góry, obnażające ich nagie ciała. Robi mi się niedobrze.

– O Boże. – Wręczam plik Tomowi, a ten odskakuje gwałtownie.

– Co to do cholery jest? Wygląda na to, że każde zdjęcie ma numer. – Zamyka teczkę. – Popatrz, tutaj, na początku. Nazwa kliniki.

Nachylam się i odczytuję wypisaną złotymi literami nazwę: Klinika Płodności Fernhill.

– Myślisz, że to klinika Victora? Czy to ma coś wspólnego z tym, co Theo znalazł w gabinecie ojca? Pamiętasz te wszystkie kobiety? Niektóre były w ciąży. Cholera, Tom, jak myślisz, czy prawdziwa Rose była w tej klinice?

– Sztuczne zapłodnienie?

– To ma sens, prawda? Babcia i prawdziwa Rose były kochankami. Może Rose i Victor nigdy nie byli w związku... – Nagle uderza mnie świadomość implikacji takiego układu.

– Musisz zadzwonić do Theo – mówi Tom poważnie.

– To pewnie te dowody, których szukał Davies. Wcale nie chodziło o morderstwa, tylko o coś innego. Coś związanego z kliniką Victora.

– W jaki sposób prawdziwa Rose weszła w posiadanie takich dokumentów?

Potrząsam głową. Jest wiele rzeczy, które nadal nie mają sensu. Dlaczego ktoś fotografował te nagie kobiety? Czy było to zrobione za ich zgodą? Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że raczej nie. Zdjęcia są zbyt kliniczne, wszystkie kobiety śpią... albo są pod narkozą, z nogami w podpórkach fotela ginekologicznego, jakby były w środku jakiejś procedury.

Przykładam rękę do serca, które bije jak szalone pod materiałem szlafroka. A potem dostrzegam coś jeszcze w środku koperty. Mniejszą kopertę, białą, zaklejoną – taką, w której normalnie wysyła się list. Obracam ją w dłoniach. Na wierzchu napisane są tylko dwa słowa, kwiecistym charakterem pisma: *Dla Lolly*.

**Rose***Listopad 1980 roku*

Wyglądało na to, że w końcu nas znalazł. Przypuszczam, że było to nieuniknione. Nie mogłyśmy się ukrywać bez końca, ja i ty, kochana Lolly. To była tylko kwestia czasu.

Nikommu, kto zadzierał z Victorem Carmichaelem, nie uchodziło to na sucho.

Byłam jednak radośnie nieświadoma tego wszystkiego, kiedy zbliżał się listopad. Między mną i Daphne wszystko się ułożyło. Nadal budziłam się czasami w nocy z pizamą przyklejoną do spoconego ciała i rozszalałym sercem, po tym jak śniłam o zabiciu Neila. A kiedy tak było, Daphne zawsze była przy mnie, mój anioł, pocieszając i uspokajając mnie, aż w końcu zapadałam z powrotem w sen. Musiałam się pogodzić z faktem, że do końca życia będę się czuła winna. Wisiał nade mną cień zbrodni i życie z nim było ceną, którą musiałam zapłacić.

Nadal miałam swoje wątpliwości co do Daphne, oczywiście, że tak. Ale kochałam ją i chciałam jej wierzyć. I przez większość czasu tak było. Od czasu incydentu z Joelem Daphne nigdy nie dała mi powodu do zwątpienia w nią. Nawet jeśli czasami kłamała w głupich małych sprawach, jak na przykład skąd brała rzeczy „za darmo” z farmy (a dokładnie od Seana) – drobiazgi niewarte dużo pieniędzy, jak jajka czy mleko, nadal mi się to nie podobało.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie z farmy, prosząc, żebym odebrała ją samochodem. Dostała kilka pudełek zbędnych płytek. Wyglądała na bardzo uradowaną, kiedy niosła je do samochodu. W ten weekend ściągnęłyśmy brzydkie brązowe płytki przyklejone wokół kuchenki i zlewu, a potem obserwowałam z zachwytem, jak Daphne przymocowała nowe do ściany.

– Co? – Roześmiała się, widząc zdumienie na mojej twarzy. – Nie uwierzysz, jakie umiejętności można zdobyć w więzieniu.

Było to nieprzyjemne przypomnienie o jej przeszłości. Za każdym razem, gdy wspominała o więzieniu, musiałam przetykać nieprzyjemne uczucie blokujące

mi gardło. Daphne nie robiła tego często i nigdy przy tobie.

Bardzo ci się spodobały nowe płytki – były bardzo wiejskie, stylowe, z obrazkami świnek i owieczek, no i rozświetlały ciemną kuchnię.

Następnego dnia, w środę, Daphne poszła ze mną, żeby odprowadzić cię na zajęcia w grupie przedszkolnej, ponieważ miała wolny dzień. Tego wieczora miał być pokaz sztucznych ogni i bardzo chciała, żebyśmy się na niego wybrały. Ja trochę się martwiłam o ciebie – nigdy nie widziałas pokazu fajerwerków i bałam się, że się wystraszysz – ale Daphne przekonała mnie, że będzie fajnie, chociaż nienawidziłam tłumów.

Obserwowałyśmy cię, jak podskakując, wchodzisz do budynku z panną Tilling.

– Słuchaj, Daph, co do dzisiejszego wieczora – zaczęłam. – Nie sądzisz, że Lolly jest trochę za mała...

Przerwała nam Melissa, która właśnie wyszła z kawiarni i ruszyła ku nam z plastikowym kubkiem w dłoni.

– Witam, drogie panie – powiedziała, spoglądając znacząco na nasze splecione dłonie. Zawstydzona, odsunęłam się od Daphne, która spoglądała na Melissę wyzywająco. Wiem, że nie powinnam puszczać jej ręki, nie powinnam przejmować się tym, co myśli sobie o nas Melissa, która nie miała jeszcze pięćdziesięciu lat, ale mimo to była strasznie staroświecka. Nigdy nie mogłaby zrozumieć naszego związku.

– Rose, cieszę się, że cię złapałam – powiedziała, całkowicie ignorując Daphne. – W poniedziałek w kawiarni pojawił się jakiś mężczyzna. Szukał ciebie.

Zastygłam. Serce nagle przestało mi bić.

– Naprawdę? Czy... przedstawił się?

Melissa potrząsnęła głową.

– Nie. Zapytał tylko, czy cię znam.

– Jak wyglądał?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Dość przystojny, jak mniemam. Ciemne włosy, wysoki.

Victor. To musiał być on.

– Powiedziałaś mu... – Przełknęłam, czując suchość w ustach. – Powiedziałaś mu coś?

Spojrzała na mnie z ubolewaniem.

– Nie, oczywiście, że nie.



– Dziękuję. – Poczułam nagły przypływ czułości do tej kobiety. – Bardzo ci dziękuję.

Poklepała mnie uspokajająco po ramieniu.

– Wydawał się bardzo czarujący, ale – jej twarz spochmurniała – był bardzo zdeterminowany, żeby cię znaleźć, Rose.

Z trudem powstrzymałam łzy. Wyczułam, że Daphne przysuwa się do mnie.

– Proszę – zaczęłam drżącym głosem. – Proszę, nie mów mu nic na mój temat.

Melissa zajrzała mi w oczy badawczo.

– Oczywiście, że nie powiem – odparła poważnie.

Podziękowałam jej i odeszłam, żeby nie dostać ataku paniki w jej obecności.

– Sądzisz, że to Victor? – szepnęła Daphne. Musiała podbiegać, żeby dotrzymać mi kroku.

– A kto inny mógłby to być? – warknęłam, czując się winna na widok krzywdy wypisanej na jej twarzy. – Przepraszam. Bardzo przepraszam. Po prostu... – Zaszlochałam. – Znalazł mnie. Po trzech pieprzonych latach w końcu mnie znalazł.

– Rose, uspokój się. Przerażasz mnie. Przestań! – Chwyciła mnie za ramię. – Zatrzymaj się – powtórzyła łagodniej. Byłyśmy już w połowie wzgórza w drodze do domu. Wokoło nie było żywej duszy, ale ja i tak dygotałam, jakby Victor dreptał nam po piętach. – Słuchaj, to było dwa dni temu. Pewnie pojechał z powrotem do domu. Gdzie on mieszka?

– W Yorkshire – otarłam łzy. Mieszkał tam, gdzie przeprowadziłyśmy się z Audrey, żeby być bliżej jej rodziny. Byłam szczęśliwa, dopóki go nie spotkałam.

– No dobrze, w takim razie może i tu przyjechał, ale nikt nic mu nie powiedział, więc wrócił do domu.

– Ja... nie wiem, ale to nie w stylu Victora. Jeśli uważa, że tu jestem, nie podda się.

Daphne chwyciła moją dłoń.

– Chodź. Wrócimy do domu i porozmawiamy o tym. Jeśli chcesz, żebym później odebrała Lolly, zrobię to. Victor przecież nie wie, jak ja wyglądam, prawda?

Pokiwałam głową i pozwoliłam zabrać się do domu. W środku usiadłyśmy w sosnowej kuchni, a Daphne zrobiła mi herbaty.

– Możemy się przeprowadzić, jeśli chcesz. – Wręczyła mi kubek i usiadła obok mnie. Nadal miałyśmy na sobie płaszcze i buty.

– Nie mogę sprzedać domu, zwłaszcza teraz, z... z... – Nie mogłam się zmusić do wypowiedzenia imienia Neila. Byłyśmy tu uwięzione.

– Może go wynajmiemy? Przeprowadzimy się gdzie indziej, do miasta? Tam jest łatwiej się ukryć.

– A co, jeśli ktoś znajdzie... jego?

– Jeżeli wynajmiemy dom, nie pozwolimy żadnemu lokatorowi kopać w ogrodzie. Włączymy to do umowy o wynajem.

Poczułam falę mdłości.

– Daph, muszę być z tobą szczerą. Co do Victora.

Odgarnęła grzywkę z mojej twarzy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– On... nigdy nie byliśmy ze sobą romantycznie związani. Nigdy nie uprawialiśmy seksu. Był moim lekarzem.

– Twoim lekarzem? Nie rozumiem.

– Był moim ginekologiem w klinice płodności, ale... – Zachłysnęłam się. Tak bardzo starałam się wyrzucić go z pamięci przez te ostatnie trzy lata. Jego zdradę, mój strach. Uczucia nadal były boleśnie żywe. Groźby, że ci mnie odbierze. – Zrobił coś okropnego.

Daphne sięgnęła przez stół i chwyciła mnie za rękę.

– Co? Co takiego zrobił?

– Oszukał mnie.

– W jaki sposób?

Poczułam ulgę na myśl o ujawnieniu sekretu, który nosiłam ze sobą przez wszystkie te lata, więc opowiedziałam jej wszystko.

\*

Niemal cztery lata wcześniej zgłosiłyśmy się z Audrey do doktora Victora Carmichaela, w jego klinice w Harrogate, na cykl zapłodnienia in vitro. Wydawał się bardzo miły, troskliwy, kiedy wyjaśniłyśmy mu nasz problem. Zapewnił nas, że pomagał już wcześniej partnerom tej samej płci. Po wybraniu anonimowego dawcy spermy doktor zapisał nas na zabieg. Zawsze zgadzałyśmy się z Audrey co do tego, że to ja będę nosiła ciążę.

Spoglądając wstecz na sesje w gabinecie Victora, było oczywiste, że mnie polubił. Naiwnie sądziłam, że cieszył się moim towarzystwem, ponieważ

byliśmy mniej więcej w tym samym wieku. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że zupełnie nie o to chodzi.

Zaszłam w ciążę bardzo szybko, mimo że miałam już trzydzieści trzy lata, czyli byłam dużo starsza niż to, co w latach siedemdziesiątych uważano za odpowiedni wiek do rodzenia dzieci. Zabieg był kosztowny i musiałam skorzystać z części pieniędzy, które zostawili mi w spadku rodzice, ale bardzo się cieszyłam, że podziało.

A potem Audrey złamała mi serce.

Powinna skakać z radości, że zaszłam w ciążę tak szybko, ale w miarę jak mój brzuch się powiększał, oddalała się ode mnie, aż wreszcie przyznała, że nie potrafi sobie wyobrazić bycia rodzicem. Że to nie to, czego pragnęła. Odeszła ode mnie i przeprowadziła się z powrotem do swoich rodziców. Byłam załamana, przerażona, samotna i w czwartym miesiącu ciąży. Podczas kolejnej wizyty kontrolnej u Victora rozkleiłam się i wyznałam mu wszystko. Tego dnia staliśmy się przyjaciółmi. Odwiedzał mnie od czasu do czasu, sprawdzał, czy się właściwie odżywiam, zabierał mnie na miasto: do teatru, na obiad w restauracjach, na które nigdy nie byłoby mnie stać. Lubiłam jego towarzystwo. Był inteligentnym, czarującym człowiekiem. Poza tym nie myślałam o tym jako o przekroczeniu granicy zażyłości między pacjentem a lekarzem – chociaż teraz widzę, jaka byłam naiwna. Miałam złamane serce, czułam się samotna i z wdzięcznością przyjął jego zainteresowanie mną. W końcu wiedział przecież, że jestem lesbijką. Kiedy kończyła się moja umowa na wynajem mieszkania, zaproponował mi zamieszkanie w jego domu.

– Mam piękny duży dom i jestem sam. Pozwól mi się tobą zaopiekować. Nie powinnaś być sama w takim momencie życia.

Byłam zaskoczona, że nadal jest kawalerem. Ten przystojny mężczyzna musiał być bardzo popularny wśród kobiet. Kiedy jednak zapytałam go o to, odparł żartem, że jest pracoholikiem i nie ma czasu na żonę i dzieci – nie wtedy, gdy jest zajęty karierą w swojej klinice. Jego dom był przepiękny, stał na jednej z najlepszych ulic Harrogate. Nie mogłam odmówić. Może gdybym miała rodziców w pobliżu albo przyjaciół w okolicy – wprowadziłyśmy się bliżej rodziców Audrey zaledwie kilka miesięcy przed moim zajściem w ciążę – wtedy może bym się opierała. Ja jednak byłam załamana, przerażona i bardzo, bardzo naiwna – i bardzo zapatrzona w Victora. Szanowałam go.

Niestety, on nie szanował mnie.

Na początku było świetnie. Dogadywaliśmy się ze sobą doskonale. Potem jednak zrobił się zaborczy. Kiedy gdzieś się wybierałam, pytał, gdzie i z kim. W tamtym czasie pracowałam jako bileterka w miejscowym kinie. Wręczałam ludziom lody po seansie marnych filmów. Kiedy zaprzyjaźniłam się z pewną kobietą, Victor zrobił się zazdrosny. Wtedy właśnie zrozumiałam swój błąd. Może nie miałam do niego żadnych romantycznych uczuć, ale on do mnie owszem. Zaczęłam też zauważać inne rzeczy: dyktował mi, co mam jeść, w co się ubierać, ile snu potrzebuję. Nie mogłam oddychać. A jeśli nie korzystałam z jego „porad”, kolejne kilka dni spędzał, ignorując mnie, trzaskając drzwiami i generalnie traktując mnie chłodno.

Pewnej nocy, kiedy wróciłam do domu późno po pracy, przyparł mnie do muru, oskarżył o to, że jestem lekkomyślna, powiedział, że powinnam w końcu zacząć się zachowywać jak przyszła matka. Wpatrywałam się w niego zszokowana. Mieliśmy być przyjaciółmi, tymczasem miałam wrażenie, że jestem pod jego całkowitą kontrolą. Pokłóciliśmy się i powiedziałam mu wtedy, żeby pilnował swoich spraw, że jest moim przyjacielem, a nie kochankiem, a już z całą pewnością nie ojcem mojego dziecka.

Nigdy nie zapomnę, jak na mnie spojrzał, z samozadowoleniem, jakby znał sekret, o którym ja nie miałam pojęcia.

– Jeśli o to chodzi – uśmiechnął się okrutnie – owszem, jestem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałam, czując zimną dłoń zaciskającą się wokół mojego serca, bo zrozumiałam nagle, co dokładnie zrobił.

– Po co używać anonimowego dawcy spermy, kiedy mogłaś mieć mnie? – powiedział. W jego ustach zabrzmiało to tak naturalnie, jakby wprowadzenie jego spermy do mojej macicy bez mojej zgody było czymś najnormalniejszym na świecie. – Dlaczego tak na mnie patrzysz? To nie jest nielegalne.

Nawrzeszczałam na niego, powiedziałam mu, że mnie zgwałcił, okłamał. Victor obserwował mnie zimnym wzrokiem, jakbym była niczym więcej niż tylko rozgniewaną dwulatką. Pobiegłam na górę i zaczęłam się pakować, zastanawiając się, gdzie mogę się udać. Postanowiłam zatrzymać się w hotelu, a potem kupić mieszkanie. Miałam oszczędności i tak czy owak zamierzałam to zrobić z Audrey. Po jej odejściu nie mogłam o tym myśleć, ale teraz nie mogłam zostać w tym domu. Pakując się, usłyszałam przekręcanie klucza w drzwiach do mojej sypialni. Victor uwięził mnie w pokoju.

– Nie pozwolę ci odejść – krzyknął przez drzwi, spokojny, złowieszczy. – Nosisz moje dziecko.

Nigdy nie byłam bardziej przerażona. Victor przynosił mi jedzenie, powiedział, że robi to dla mojego własnego dobra, że mnie kocha i że chce się ze mną ożenić. Nie chciał słuchać, kiedy powiedziałam, że nigdy nie mogłabym myśleć o nim w ten sposób.

– Nigdy nie pozwolę ci odejść, Rose – powiedział, a ja zdałam sobie wtedy sprawę, że muszę być sprytna. Użyć podstęp, tak jak on. Udawałam więc, że się zastanawiam. Kiedy zaufał mi na tyle, że zgodził się zostawić mnie w domu bez zamykania drzwi na klucz, zaczęłam planować ucieczkę. Najpierw musiałam znaleźć coś w rodzaju zabezpieczenia. Pomyślałam, że człowiek pokroju Victora musiał popełnić jakieś błędy w przeszłości. Przeszukałam jego gabinet i kiedy już myślałam, że nigdy niczego nie znajdę, zobaczyłam to. Teczka w szufladzie jego biurka. Wyglądała dość niewinnie, z nazwą kliniki na stronie tytułowej. Kiedy jednak ją otworzyłam, upuściłam ją na ziemię z szoku. W środku były zdjęcia kobiet, z nogami rozłożonymi szeroko w podpórkach fotela ginekologicznego w jego gabinecie – w tym samym, w którym sama bywałam. Zdjęcia wyglądały na zrobione polaroidem i bez zgody fotografowanych: kobiety były wszystkie ubrane w szpitalne koszule, wyglądały, jakby były w połowie zabiegu, a Victor postanowił sfotografować ich genitalia dla swojego osobistego użytku. Nie jest to coś, co zrobiłby normalny lekarz. Wszystkie kobiety wyglądały na nieprzytomne, pod wpływem leków. Ogarnęło mnie obrzydzenie – Victor był dokładnie takim potworem, za jakiego go miałam. Zastanawiałam się, czy ja również jestem jedną z nich, ale nie chciałam tego sprawdzać. Zrobiło mi się niedobrze i musiałam się skoncentrować na powstrzymaniu wymiotów.

Zastanawiałam się, czy nie zgłosić tego na policję. Z fotografii było oczywiste, że powinien zostać skreślony z rejestru medycznego, może nawet pójść do więzienia. Ja jednak naprawdę się go bałam. Nie mogłam ryzykować, że będzie próbował się z tego wykręcić. Był szanowanym lekarzem i mógł zniszczyć wszystkie dowody tego, że poddałam się sztucznej zapłodnieniu. Mógł skłamać, manipulować rzeczywistością, powiedzieć, że jesteśmy w związku i że dziecko jest jego.

Nie miałam wyboru, jak tylko uciec tak daleko, jak mogę, zabierając ze sobą teczkę.

Kolejne pół godziny było najbardziej przerażającym czasem w moim życiu. W panice spakowałam swoje rzeczy do dwóch walizek, zostawiając wiele za sobą. Potem zadzwoniłam po taksówkę i poprosiłam o odebranie mnie dwie

ulice dalej. Przez cały czas serce waliło mi jak młotem, ponieważ spodziewałam się, że w każdej chwili Victor może wrócić i mnie powstrzymać. Biegłam ulicami, ciągnąc za sobą walizki, wciąż myśląc o tym, że mnie ściga. Poczułam się bezpiecznie dopiero w taksówce, a potem w pociągu, wiedząc, że z każdym kilometrem oddalam się od niego coraz bardziej.

Nie przyjechałam do Beggars Nook od razu. Na początku zatrzymałam się w pensjonacie w Chippenham, komunikując się z agencjami nieruchomości, aż wreszcie znalazłam na tyle tani dom, żeby stać mnie było na jego kupno: Skelton Place numer dziewięć.

Ukryte miejsce.

A przynajmniej tak sądziłam.

Aż do teraz.

## Lorna

Mieszkanie wygląda pusto bez rzeczy Alberto. Lorna snuje się po nim ponuro. Kolejne lata życia zmarnowane na związek z niewłaściwym mężczyzną. Ciężko jej na sercu, ale wie, że to nie z jego powodu. Martwi się o swoją córkę i zięcia, których pozostawiła w Anglii. Ma już dosyć skakania z kraju do kraju, od mężczyzny do mężczyzny. Chce być blisko Saffy i jej dziecka, kiedy się urodzi. Chce w końcu zapuścić korzenie. Przypomina sobie Theo i Jen. Brata, o którego istnieniu nigdy nie wiedziała. Z nimi również chce nawiązać relacje, pomimo mrocznych sekretów przeszłości. Przede wszystkim zaś chce wynagrodzić Saffy to, że nie zawsze była przy niej w dzieciństwie. Słowa jej córki od czasu do czasu wracają we wspomnieniach, kiedy zajmuje się codziennymi sprawami.

Mogłaby wynająć sobie mieszkanie gdzieś na obszarze Kanału Bristolskiego, żeby być w pobliżu Saffy. Tak, postanawia, przysiadając na brzegu łóżka i zrzucając buty. Tak właśnie robi. Jutro z samego rana zacznie załatwiać sprawy: wynajem tego miejsca można w każdej chwili przerwać. Może stąd wyjechać, kiedy zechce, praktycznie od razu. Nagle czuje przypływ energii na samą myśl o tym.

Wyciąga fotografię Daphne i Rose stojących przed swoim domkiem w dzwonowatych dzinsach i bluzeczkach na ramiączka. Daphne, wyższa z nich dwóch, obejmuje Rose ramieniem. Saffy dała Lornie to zdjęcie przed wyjazdem. Lorna nie może przestać się w nie wpatrywać – w piękną twarz swojej prawdziwej matki – szukając podobieństwa między nią i sobą. Od kiedy dowiedziały się prawdy, marzyła o niej, tej drobnej pięknej kobiecie o złotobrzązowych włosach i czekoladowych oczach – oczach jak jej i Saffy. We śnie przychodzą do niej obrazy: spacer po lesie, trzymanie za rękę prawdziwej mamy, słuchanie kołędników na rynku wioski i popijanie gorącego kakao. Nie wie, czy to prawdziwe wspomnienia, czy tylko jej umysł wyobraża sobie scenariusze, które pragnie, żeby były prawdą. Smutek podczas pobytu w Beggars Nook, kiedy próbowała sobie przypomnieć swoją przeszłość, był

prawdziwy. Opłakiwała swoją matkę, prawdziwą Rose, i nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.

Wcześniej skontaktował się z nią detektyw Barnes. Miał wyniki testów DNA.

Powiedział jej, że próbki pobrane z ciała wykopanego w ogrodzie wykazały wystarczającą zbieżność z materiałem genetycznym Lorny, aby sugerować, że była to jej matka.

Lorny to nie zdziwiło, ale mimo to wybuchła płaczem z powodu tych wieści.

Stawia fotografię na stoliku. Nagle jej myśli przerywa dzwonek telefonu. Na wyświetlaczu pojawia się imię Saffy i Lorna czuje przypływ radości.

– Hej, kochanie, dobrze się czujesz?

– Mamo! – Saffy jest zasapana. – Znalazłam to! Dowody, których szukał Davies. Dowody, które Rose ukryła w kominku. To... – zachłystuje się – to teczka z fotografiami nagich kobiet.

– Co ty mówisz?

– Wygląda na to, że Victor usypiał swoje ofiary, kiedy miał przeprowadzić na nich jakieś zabiegi. A potem robił im nagie zdjęcia.

Lorna czuje falę mdłości.

– O mój Boże.

– Przykro mi.

Lornie zaczyna kręcić się w głowie.

– Skontaktowałaś się z policją?

– Właśnie zamierzam. Ale... znalazłam też coś jeszcze.

– Tak...?

– List. Zaadresowany do ciebie.

List z za grobu, od jej prawdziwej matki. Lorna wstaje i zaczyna przechadzać się po pokoju.

– Otwórz go!

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. Oczywiście. Muszę wiedzieć, co w nim jest.

– Okej, zaczekaj. – Słyszysz szelest papieru, kiedy Saffy rozrywa kopertę, a potem wraca na linię. – No dobrze, to długi list.

– Jak długi?

– Pięć kartek formatu A4. Zapisanych po obu stronach.

– Co tam jest napisane?

– Chcesz, żebym przeczytała całość?

Pewnie, że chce.



– Nie, nie rób tego. To zajmie całe wieki.

Słyszysz, jak Saffy przerzuca kolejne kartki.

– Mam przeczytać to sama i potem... o mój Boże! – wykrzykuje nagle.

– Co? Co się stało?

– Rose napisała, że zabiła Neila Lewishama. Mamo, to jest wyznanie.

Lorna opada na krzesło, nagle osłabiona.

– Będziesz musiała to pokazać policji. Musisz im wszystko powiedzieć. I daj im tę teczkę Victora. Cholera, wiedziałam, że nie powinnam wyjeżdżać. Nie powinnam tutaj wracać.

Słyszysz gwałtowne westchnięcie Saffy.

– Och, mamo... – mówi ze smutkiem. – Przeglądałam ten list tylko pobieżnie, ale... Rose... wygląda na to, że Victor ją znalazł.

**Rose**

*Noc Guya Fawkesa, 1980 rok*

Postanowiłam ukryć teczkę pod kiepsko trzymającym się gzymsem kominka w twojej sypialni. Nigdy nie był dobrze dopasowany, bo z tyłu brakowało kilku cegieł. Nie powiedziałam Daphne, gdzie go włożyłam. Lepiej, żeby nikt nie wiedział.

– Jutro – powiedziała, mieszając w garnku pełnym marchewek, ziemniaków i brokułów. – Spróbujemy zająć się wynajmem Skelton Place. Znajdziemy też mieszkanie w Bristolu. W dużym mieście. Tam będzie nam łatwiej wmieszać się w tłum.

– W porządku – zgodziłam się. Tłumna anonimowa ulica, gdzie wszystkie domy wyglądają tak samo; miejsce, gdzie nikt nie zna swoich sąsiadów. Powinnam to zrobić od samego początku. Nie powinnam przyjeżdżać do Beggars Nook.

– Ale dzisiaj – Daphne odwraca się do mnie, z drewnianą łyżką w dłoni – chodźmy na pokaz sztucznych ogni i zachowujmy się jakby nigdy nic. Dla Lolly, dobrze?

Pokiwałam głową.

– Świetnie – odparła. – Dobrze. Uda się. Wszystko będzie dobrze.

Ja nie czułam tej samej pewności. Miałam wrażenie, jakby świat zamykał się wokół mnie. Czułam się klaustrofobicznie w tej wiosce – w domu, w miejscu, w którym zawsze do tej pory byłam najbezpieczniejsza.

– Myślę, że powinnaś założyć moją starą perukę – powiedziała nagle Daphne. Stała w typowej dla siebie pozycji flaminga, z rękawami swetra podwiniętymi do łokci. – Ukryć te swoje piękne włosy.

Roześmiałam się. Moje włosy były mysiego koloru i niczym specjalnie się nie wyróżniały.

– Założę czapkę. Będzie ciemno i zimno, więc jeśli Victor tam się pojawi, trudno mu będzie mnie rozpoznać.

Daphne przyjrzała mi się ze zmarszczonym czołem.

– O co chodzi? – Nagle poczułam się bardzo zakłopotana.

– Nic. – Potrząsnęła głową. – Po prostu jesteś silniejsza niż myślisz, Rose Grey.

– No nie wiem...

– Jesteś – powtórzyła ciszej. – To, jak uciekłaś od Victora... naprawdę jestem pod wrażeniem. – Przesłała mi całusa i wróciła do gotowania.

\*

W powietrzu czuć było wyczekiwanie, kiedy tego wieczora wędrowaliśmy we trzy do wioski. Szłaś między nami, jak zwykle, trzymając nas obie za ręce. Daphne rozmawiała z tobą o jabłkach z polewą toffi. Spojrzałam na nią nad twoją głową. Daphne wyglądała na beztroską i szczęśliwą. Zupełnie nie zaniepokojoną. Mi z kolei żołądek się wywracał i za każdym razem, kiedy słyszałam śmiech lub szczekanie psa, podskakiwałam. Martwiłam się nie tylko o Victora. Chodziło o perspektywę rozpoczęcia nowego życia z dala od tak dobrze znanej nam wioski. Zaczynałam mieć wątpliwości co do przeprowadzki do Bristolu. Było to coś, czego Daphne zawsze chciała. Myślę, że martwiła się, że jeśli tu zostaniemy, w końcu pojawi się ktoś, kto będzie szukał Neila i dowie się, kim naprawdę jest Daphne. Ja jednak nigdy nie lubiłam dużych miast, mimo że dorastałam w Londynie.

Daphne miała jednak rację co do jednego: jeżeli Victor mnie znalazł, nie miałam wyboru, jak tylko się wyprowadzić.

Pokaz sztucznych ogni miał się odbyć na polu w pobliżu farmy, na której pracowała Daphne. Była to spora wycieczka, zwłaszcza dla ciebie, ale nie narzekałaś. Byłaś zbyt podekscytowana perspektywą słodczy i fajerwerków. Podążaliśmy za grupą ludzi przez rynek i most w kierunku farmy.

– Wczoraj w pracy Sean powiedział mi, że będą mieli hot dogi i ognisko – powiedziała Daphne do ciebie, a ty zapiszczałaś z zachwytu i ścisnęłaś nasze dłonie mocniej. W zeszłym roku byłaś jeszcze za mała, żeby uczestniczyć w pokazie.

Znów ten Sean. Daphne dużo o nim mówiła. Mieszkał w Chippenham i dojeżdżał do pracy codziennie. Daphne powiedziała, że traktuje go jak młodszego brata, ale ja obawiałam się, że nie miał na nią dobrego wpływu. Od kiedy zaczęła pracować na farmie, przynosiła do domu coraz więcej rzeczy –

rzeczy, co do których nie byłam przekonana, że Mick byłby zadowolony z ich zniknięcia. Oczywiście nie zabraniałam jej posiadania przyjaciół. Nigdy nie chciałam jej kontrolować. Po prostu nie mogłam nic poradzić na mój niepokój. Czułam się bezpieczniej, mając jak najmniej znajomych – a chociaż nigdy nie spotkałam Seana, wyrobiłam sobie o nim mniemanie, że nie można mu ufać.

– Jest dość tłumnio – powiedziałam, starając się ukryć lęk.

– Myślę, że sąsiednie wioski również dostały wejściówki.

Zjeżyłam się.

Nie mogłam się dobrze bawić. Obserwowałam, jak Daphne oprowadza cię po polu, od jednego straganu do drugiego, podczas gdy ja snułam się za wami jak czujny ochroniarz, nadal przerażona, że Victor może mnie szukać. Było ciemno i mżył lekki deszcz. Widziałam twoją różowo-czerwoną czapkę z pomponem, który podskakiwał, kiedy chodziłaś za Daphne, trzymając ją mocno za rękę.

– Pamiętaj, żeby nie puszczać jej dłoni – ostrzegłam Daphne. Musiało to zabrzmieć bardzo ostro, ponieważ jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia i przykrości. Powiedziała, że oczywiście, nigdy nie puści twojej ręki.

– Oddam życie za to dziecko.

Czaiłam się za waszymi plecami, kiedy nagle zatrzymałaś się przed stoiskiem z jabłkami w polewie.

– Może powinna najpierw zjeść hot doga? – Nachyliłam się do nich, ale Daphne już wkładała jabłko w twoją rączkę.

– Przepraszam – powiedziała bezgłośnie przez ramię, wcale nie wyglądając na zmieszaną.

Czułam się zbyt spięta, żeby cokolwiek zjeść, więc nie przejęłam się specjalnie, kiedy Daphne ominęła stoisko z hot dogami i przecisnęła się przez tłum do przodu. Ogromne ognisko już się paliło – dym unosił się w górę i rozpraszał w wilgotnej ciemności nocy. Ludzie tłoczyli się wokół nas, trzymając plastikowe kubki. Z jednego z pobliskich straganów dochodziła cicha muzyka. Podskakiwałaś przed nami, wyraźnie podekscytowana, aż wreszcie musiałam położyć ci ręce na ramionach, żeby cię uspokoić.

– Zmęczysz się – próbowałam się roześmiać, ale śmiech utkwiał mi w gardle.

Daphne nachyliła się i wyszeptała mi do ucha:

– Może zdobędę nam coś do picia? Gorącą czekoladę albo coś w tym stylu? Jest zimno, a pewnie jeszcze trochę musimy poczekać.

– Ja... – Wspięłam się na palce i rozejrzałam lęklonie. – Nie wiem. Możesz nas nie znaleźć.

– Nie martw się, znajdę cię – powiedziała i odeszła, bez wysiłku przechodząc przez tłum, w swoim połatanym atłasowym płaszczu i zrobionym na szydełku berecie. Przypomniała mi się ta noc, niemal rok temu, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy na rynku, i moje serce ożyło.

Odwróciłam się do ciebie.

– Daffy przyniesie nam coś do picia – powiedziałam, nie wiedząc dobrze, czy próbuję pocieszyć ciebie, czy siebie. Ścisnęłam mocno twoją dłoń.

– Nie – powiedziałaś, puszczając mnie. – Nie chcę.

– Nie, trzymaj mnie za rękę – powiedziałam ostro i natychmiast poczułam się z tym źle. – Proszę, Lolly, nie chcę, żebyś się zgubiła.

Odwróciłaś się ode mnie i wróciłaś do jedzenia jabłka, ale pozwoliłaś mi się trzymać za rękę. Gdzie się podziała Daphne? To trwało zbyt długo. Żałowałam, że nie jesteśmy w domu, bezpieczne.

– Witam, witam – odezwał się ktoś za moimi plecami. Melissa, z termosem. – Czy to nie ekscytujące? I jaka świetna frekwencja.

– Uhm. – Spojrzałam za siebie przez ramię, z nadzieją, że dojrzę gdzieś Daphne. Potem spojrzałam na Melissę, bo nagle przyszedł mi do głowy pomysł.

– W zasadzie to cieszę się, że na ciebie wpadłam. Może to, co powiem, zabrzmii trochę dziwnie – ściszyłam głos i odwróciłam się trochę, tak żebyś mnie nie usłyszała – ale ten człowiek, który przyszedł do twojej kawiarni i mnie szukał... boję się, że to ktoś, kogo znałam. Ktoś, przed kim uciekłam.

– Och, moja droga, przykro mi. Nie zdawałam sobie sprawy.

Uniosłam dłoń. Musiałam to z siebie wyrzucić, zanim zmienię zdanie.

– Zrobiłam coś głupiego, bardzo głupiego. Moje życie może być w... niebezpieczeństwie – ostatnie słowo powiedziałam bezgłośnie, żeby nikt broń Boże nie usłyszał.

Brwi Melissy podjechały w górę.

– Jak to?

– Jeśli coś mi się stanie...

– Ależ nic ci się nie stanie, moja droga. Nie bądź niemądra!

– Proszę, wysłuchaj mnie. Jeśli coś mi się stanie, dowody są w kominku. Zapamiętasz? To bardzo, bardzo ważne.

Melissa wyglądała na przerażoną.

– Ja... dobrze. Ale boję się o ciebie. Czy mogę po kogoś zadzwonić? Policję?

– Nie! – niemal krzyknęłam. Odwróciłaś się, a ja uśmiechnęłam się do ciebie. Kiedy spojrzałaś z powrotem na ognisko, ciągnęłam przyciszonym tonem: – Nie.

Proszę, żadnej policji. Jestem pewna, że wszystko jest w porządku, ale na wszelki wypadek.

Spojrzała na mnie z niepokojem, ale zgodziła się.

– Och, a oto Maureen. Przepraszam, kochaniutka, muszę już iść. – Odwróciła się ode mnie, prawdopodobnie z ulgą, ciesząc się, że znalazła normalniejsze towarzystwo do rozmowy. Przekrzywiłam szyję, próbując dostrzec Daphne. Bardzo długo jej nie było. A potem zobaczyłam ją przy stoisku z hot dogami, rozmawiającą z kimś. Serce zabiło mi gwałtowniej. Wyglądało, że był to mężczyzna – wysoki, ciemnowłosy. Czy był to... czy to *Victor*? Nie, nie, oczywiście, że nie. Ten mężczyzna był młodszy, na nogach miał kalosze i nosił woskowaną kurtkę. Daphne uśmiechała się i z tego, co widziałam, również on. Odrzucał głowę do tyłu i dotykał jej ramienia. Poczułam ukłucie zazdrości. Czyżby *flirtowali*?

– Mamo, kiedy się zaczniesz?

Spojrzałam na ciebie. Niepokój ścisnął mi żołądek.

– Wkrótce, kochanie. Już niedługo.

– Niedobrze mi. – Wcisnęłaś mi do ręki do połowy zjedzone jabłko.

– Nie dziwię się – odparłam, pozornie lekkim głosem. – Och, zobacz! Zaczyna się.

Skoncentrowałaś całą swoją uwagę na fajerwerku, który rozdarł niebo i eksplodował nad naszymi głowami deszczem różu i fioletu.

A potem poczułam dłoń na ramieniu. Podskoczyłam, ale to była tylko Daphne. Przytuliła zimny policzek do mojego.

– Przepraszam – powiedziała. – Proszę. – Wręczyła mi plastikowy kubek, a ja rzuciłam niedojedzone jabłko na ziemię, tłumiąc poczucie winy, że śmieję. Chciałam trzymać kubek, ale jednocześnie nie puszczać twojej ręki.

– Z kim rozmawiałaś?

Zmarszczyła czoło.

– Z nikim. Dlaczego pytasz?

– Widziałam cię. Z mężczyzną.

– Mężczyzną? – Przez chwilę wyglądała na zdezorientowaną, ale potem nagle zaskoczyła. – Ach, tak, to był Sean.

– Co on tam robił? Przyjechał aż z Chippenham?

Daphne wzruszyła ramionami, jakby nic wielkiego się nie stało. Pomyślałam, że nie przyprowadziła go tutaj, żeby nas ze sobą poznać. Czy Sean w ogóle wiedział o moim istnieniu? O nas? Tłumaczyłam sobie, że jestem niemądra.

Oczywiście, że mu powiedziała. No, chyba że Sean sądzi, że Daphne jest tylko moją lokatorką, nic więcej.

Daphne zachichotała.

– Chyba mu się trochę podobam. To dość wygodne.

Wpatrywałam się w nią zszokowana. Gdzie się podziały jej wszystkie feministyczne zasady? Gdzie te konwersacje o tym, że „nie potrzebujemy mężczyzn”, które tak często prowadziłyśmy?

– No co? – Roześmiała się, upijając trochę płynu z kubka. – Pomaga mi nosić ciężkie rzeczy.

– Boże, Daphne. – Odwróciłam się od niej.

Jej następne słowa utonęły w eksplozji fajerwerków. Nachyliłam się tak, żeby zniżyć się do twojego poziomu. Nie chciałam spoglądać na Daphne. Obserwowałam sztuczne ognie intensywnie, z buzią rozdziawioną z zachwytem, kiedy wybuchały bukietem złota i żółci. Zakryłaś uszy dłońmi.

– Czy są za głośne?

Potrząsnęłaś głową.

– Ładne.

Ignorowałam Daphne przez resztę pokazu, w zasadzie nie wiedząc, dlaczego jestem na nią taka zła. Czy byłam zazdrosna, że flirtuje z mężczyzną? A może dlatego, że zdawała się zupełnie nie przejmować faktem, że Victor może tutaj być i że grozi mi niebezpieczeństwo? Kiedy ona martwiła się Neilem, byłam przy niej. *Zabiłam* dla niej. A teraz ona zachowywała się, jakby moja sytuacja była jednym wielkim żartem.

Kiedy pokaz sztucznych ogni dobiegł końca, ścisnęłam twoją dłoń i odwróciłam się, spodziewając się zastać za sobą Daphne, ale ona zniknęła.

**Rose**

*Noc Guya Fawkesa, 1980 rok*

Rozejrzałam się po polu za Daphne. Nie mogła odejść daleko. Wyraźnie zraniłam ją moim chłodnym traktowaniem. Rzadko się kłóciłyśmy. Tak naprawdę nie miałyśmy wielu powodów, mieszkając z tobą w naszym małym bezpiecznym domu. Nawet mimo unoszącego się nad nami widma Neila. Teraz jednak, kiedy Victor potencjalnie był w pobliżu, wszystko się zmieniło. Znowu byłam w stanie najwyższej gotowości.

– Mamusiu, zmęczona – narzekałaś, kiedy prowadziłam cię siłą przez pole. Ludzie powoli się rozchodzili i szłyśmy obok kolejnych grupek, szukając Daphne, ale jednocześnie rozglądając się za Victorem. Nadal piłaś swoją gorącą czekoladę. Mój kubek już dawno był pusty.

– Przepraszam, kochanie, ale musimy jak najszybciej wrócić do domu – powiedziałam, usiłując ukryć strach w moim głosie. Dlaczego Daphne gdzieś sobie poszła, zostawiając nas same, kiedy wiedziała, jak bardzo boję się Victora? Przy wyjściu z farmy zrobiło się trochę tłoczno, bo wszyscy usiłowali wyjść w tym samym czasie. Nie miałam wyboru, jak tylko zatrzymać się i poczekać. Rozglądałam się niespokojnie. Ze wszystkich stron otaczali nas ludzie, przestępujący niecierpliwie z nogi na nogę i narzekający na zator. Wpatrywałam się w twarz każdego mężczyzny, trzymając cię mocno za rękę.

– Nie puszczaj mnie – powiedziałam surowym głosem. Wreszcie tłum ruszył do przodu i odetchnęłam z ulgą, kiedy zaczęło się rozluźniać, ale nadal otaczało nas wystarczająco dużo ludzi na wypadek, gdyby Victor tutaj był.

Kiedy jednak wędrowałyśmy główną ulicą, a potem w stronę wzgórza, ku Skelton Place, ludzie powoli znikali i w końcu zostałyśmy tylko we dwie.

– Trochę się boję, mamusiu. – Chwyciłaś mnie mocniej, a ja poczułam, że serce mi pęka. Musiałaś wyczuć mój strach, bo zwykle się nie bałaś. Rozglądałaś się dookoła wielkimi, przerażonymi oczami, sprawdzając otaczające nas wysokie żywopłoty i las. Gdzieś w oddali zahukała sowa.



– Wygląda, że jest później niż w rzeczywistości, bo księżyc schował się za chmurami – powiedziałam, siląc się na wesołość. – Jest dopiero ósma wieczorem.

– Jestem zmęczona.

– Do domu już niedaleko, jeszcze kawałek. Może poniosę cię na barana?

Pokiwałaś głową gorliwie, więc nachyliłam się, żebyś mogła mi się wdrapać na plecy. Objęłaś moją szyję małymi rączkami, a ja chwyciłam cię za kostki.

– Wiśta wio – powiedziałam, udając, że jestem koniem, i potruchtałam pod górę, chociaż miałam wrażenie, że nogi zaraz się pode mną ugną ze zmęczenia. Strach przed nagłym pojawieniem się Victora dodał mi sił do dalszej wędrówki.

– Gdzie jest Daffy? – spytałaś, kiedy przed nami wyrósł nasz domek. Serce mnie zabolalo, kiedy zobaczyłam, że wszystkie światła są zgaszone.

– Zgubiłyśmy ją – powiedziałam. W ciemności mój głos zabrzmiał dziwnie cicho. – Ale nie martw się, na pewno niedługo wróci.

Zeskoczyłaś mi z pleców, kiedy otwierałam drzwi wejściowe.

Wewnątrz dom był zimny, ciemny i pusty. Poczułam się niepewnie, jakby za chwilę ktoś miał na mnie napaść. Włączyłam światło w przedpokoju. Płaszcz Daphne nie było na haczyku. Gdzie ona się podziewa? W głowie pojawił mi się obrazek Daphne z Seanem, ale odepchnęłam go w daleki zakątek umysłu.

Zapaliłam wszystkie światła na dole. Okna były zaparowane. Czy na zewnątrz ktoś stał, próbując zajrzeć do środka?

Zadrzałam. Gdzieś niedaleko wybuchł fajerwerk, sprawiając, że podskoczyłam ze strachu.

– Chodź, Lolly, położymy cię do łóżeczka – powiedziałam, biorąc cię za rękę i prowadząc na górę.

Ułożyłam cię w łóżku, otuliłam kołdrą i przeczytałam bajkę na dobranoc. Zasnęłaś, zanim dotarłam do końca. Pocałowałam cię w czoło, pogładziłam cię po twoich ślicznych kręconych włosach, odgarniając niesforne loki z twojej twarzy.

Kolejny hałas na zewnątrz sprawił, że drgnęłam przerażona. Tym razem nie brzmiało to jak fajerwerk.

Odgłos dochodził z ogrodu.

Ostrożnie podniosłam się z twojego łóżka i podeszłam do okna, odsuwając nieco różowe zasłony.

Zastygłam z przerażenia.

Na trawniku stał mężczyzna, spoglądając na dom.

Victor.

## Theo

– Okej – mówi Theo przez telefon, zerkając na Jen, która nasunęła okulary przeciwsłoneczne na włosy, spoglądając na niego pytająco. Leży na leżaku w ich małym ogródku, wystawiając nagie nogi na słońce. – A więc został postawiony w stan oskarżenia? – Theo stoi na tarasie. Czuje palące promienie na karku. – I – ścisza głos – zostanie przetransportowany do więzienia w Wakefield?

Francuskie okna prowadzące do ich dużego pokoju połączonego z jadalnią są otwarte. Theo kryje się w cieniu. Martwi się, że sąsiedzi go usłyszą. I tak już sprawą zaczęła się interesować prasa.

– Tak jest – mówi Ralph, prawnik ojca. Ma głęboki głos i Theo wyobraża sobie, że jest osobą, która lubi dobre wino i wieczory w operze, chociaż nigdy nie spotkał tego człowieka. – Ze względu na powagę oskarżeń pozostanie w areszcie do czasu rozpoczęcia procesu. Został oskarżony o morderstwo oraz napaść na tle seksualnym.

– A co z oszustwami w klinice płodności? – Theo nadal nie ma wszystkich informacji, tylko tyle, ile udało im się zrozumieć z dowodów znalezionych przez Saffy.

– Tak, to najprawdopodobniej również wypłynie, chociaż jest nieco mniej oczywiste. Dzięki zainteresowaniu prasy do prokuratury zgłosiło się wiele kobiet. Okazuje się, że robił to przez całe lata.

Theo czuje się fatalnie. Zdjęcia kobiet, które znalazł w gabinecie ojca, były katalogiem – sposobem na zapamiętanie, które dokładnie kobiety sztucznie zapłodnił swoją własną spermą. Kobiety ze zdjęć znalezionych przez Saffy... Nie może o tym myśleć.

Ralph najwyraźniej bierze milczenie Theo za niepokój, ponieważ dodaje:

– Przykro mi, ale nie wygląda to dobrze dla twojego ojca. Doradziłem nieumyślne spowodowanie śmierci, jeśli chodzi o Caroline, ponieważ twierdzi, że nie chciał jej zabić i był to wypadek. Powiedział, że się kłócili, że Caroline oznajmiła, że go zostawia, a on popchnął ją w gniewie. Potknęła się i spadła ze

schodów. Jeśli przyzna się do winy, nie będzie procesu, ale wiesz, jaki jest twój ojciec.

Theo czuje gulę w gardle na wspomnienie imienia matki. Nie trwało długo, zanim ojciec przyznał się do zbrodni. Zdziwiło to Theo. Był przekonany, że ojciec prędzej skona, niż przyzna się do winy. Wygląda jednak na to, że dowody były zbyt obciążające, by nadal mógł obstawać przy swojej niewinności: zeznanie Glena Daviesa, alibi, które rozpadło się po uważniejszym śledztwie, oraz zeznanie sąsiada, który przypomniał sobie, że rozmawiał z ojcem tamtego poranka, znacznie później niż normalnie wychodził do pracy.

– A co z morderstwem Rose?

– Policja nadal gromadzi dowody. W liście przekazanym im przez Saffron Cutler Rose pisze, że obawiała się, iż Victor ją znajdzie i że widziała go w ogrodzie swojego domu w Noc Guya Fawkesa. Niestety, list na tym się kończy. Możemy oczywiście założyć, że twój ojciec znalazł ją i dlatego właśnie nie miała nigdy szansy dokończyć pisanego. Rzecz jasna sądowi może to nie wystarczyć. Mają jednak świadka, Melissę Brown, która twierdzi, że mężczyzna pasujący opisem do Victora szukał Rose w wiosce na kilka dni przed jej zniknięciem. Będę cię informował na bieżąco.

– A co z Cynthią Parsons?

– Nie ma wystarczających dowodów na to, że jej śmierć nie była samobójstwem.

Przynajmniej ojciec przyznał się do spowodowania śmierci mamy, myśli Theo. Gdyby tylko przyznał się również do zabójstwa Rose, przynajmniej Lorna i Saffy odzyskałyby spokój.

– Poprosił mnie o pytanie, czy nie chciałbyś go odwiedzić – mówi Ralph nagle niepewnie.

– Zabił moją matkę – odpowiada Theo. – Mam nadzieję, że zgnije w więzieniu.

Siedząca w ogrodzie Jen obserwuje go uważnie, chociaż nie jest pewien, czy słyszy jego słowa.

– Wiem, ale musiałem zapytać. W każdym razie będę się z tobą kontaktował i poinformuję cię o dacie rozprawy, kiedy twój ojciec już oficjalnie przyzna się do winy.

– Dziękuję za informacje. – Theo kończy rozmowę.

Tak naprawdę chce sprawiedliwości. Chce, żeby jego ojciec zapłacił za swoje zbrodnie. Opada na krzesło, nadal trzymając w dłoni telefon. Cień przesłania słońce. Theo podnosi wzrok i widzi Jen stojącą w drzwiach.

– Wszystko w porządku, kochanie?

Theo kiwa głową. Jego dłonie są wilgotne od potu. Rzuca telefon na stół.

Jen siada mu na kolanach i obejmuje go za szyję. Theo czuje zapach kokosowego kremu do opalania. Jen nie mówi ani słowa. Nie musi.

– Jestem spokrewniony z tym draniem – wzdycha Theo.

– Zupełnie go nie przypominasz. Jesteś bardziej jak mama. Pamiętaj o tym. Poza tym nie jesteś sam. Lorna pewnie czuje się tak samo jak ty, wiedząc, że Victor jest jej ojcem.

– To prawda. – Dzięki Bogu za Lornę. Theo rozmawia z nią co kilka dni od czasu, kiedy napisała do niego esemesa, informując go, że jest jej bratem.

– Daviesa również oskarżono o szereg przestępstw – mówi, przytulając Jen. – Mam wrażenie, że zawarł jakiś układ z prokuraturą, ale i tak oskarżą go o napaść i zastraszanie, nie tylko Lorny i Saffy, ale również pozostałych kobiet. I za oszustwo, udawanie detektywa, za włamanie do domu... lista jest długa.

Czuje, że Jen drży.

– Myślisz, że pojedziesz odwiedzić tatę? – pyta łagodnie. – Choćby po to, żeby zapytać go, o co kłócił się z twoją mamą i czy to prawda, że planowała od niego odejść?

– Nie chcę go już nigdy widzieć – mówi z emfazą. – Nienawidzę go. Poza tym nigdy nie będzie ze mną szczerzy. Nigdy nie powie mi, dlaczego to wszystko robił. Będzie się tłumaczył, znajdował usprawiedliwienie, próbował obarczyć winą mamę.

– Przykro mi. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jakie to uczucie.

Przynajmniej ma Jen, tę cudowną kobietę, myśli Theo. Jen, która zawsze go wspierała i której ufa bezgranicznie.

– Myślę, że zadzwonię do Lorny i przekażę jej najnowsze wieści.

– Jasne. – Jen ściska z uczuciem jego ramię, a potem zeskakuje z jego kolan. – A ja wracam do opalania się. – Uśmiecha się szeroko, spoglądając na niego przez ramię, kiedy rusza do ogrodu. Theo obserwuje ją. Jej ramiona zaczęły się już robić czerwone. Wie, że Jen nie będzie usatysfakcjonowana, dopóki nie posiedzi na słońcu przynajmniej kolejną godzinę, mimo jego ostrzeżeń przed rakiem skóry. Cóż, w końcu jest synem lekarza.

Później tego popołudnia Theo idzie odwiedzić grób matki. Na cmentarzu jest więcej ludzi niż zazwyczaj w sobotę. To pewnie sprawka pogody. Parki przechadzają się powoli po terenie, ramię w ramię – rodziny z małymi dziećmi i wózkami. Czuje ścisk serca. Tak bardzo pragnie tego samego dla siebie i Jen. Cóż za okrutna ironia, że jego ojciec nielegalnie spółdził tak wiele dzieci, podczas gdy on, Theo, nie może sprawić, aby jego żona zaszła w ciążę. Zastanawia się, dlaczego jego ojciec to robił. Poczytał sobie o przypadkach, w których lekarze popełniali przestępstwa związane z zabiegami płodności. Nie słyszał o tym wcześniej. Jedną z głównych przyczyn podobno jest kompleks Boga, co podsumowuje jego ojca doskonale.

Dociera do grobu mamy i przyklęka, żeby wyjąć stare kwiaty z wazonu i zastąpić je świeżymi.

– Dorwali go, mamó – mówi, układając róże. – Przyznał się do tego, że cię popchnął, i myślę, że skazają go również za zabicie Rose. Ja... – Głos mu się załamuje. – Nigdy nie zrozumiem, co się wydarzyło tamtego dnia. Nigdy go nie zrozumiem. Ale obiecuję, mamó, obiecuję ci, że jeśli kiedykolwiek poszczęści mi się i zostanę ojcem, będę wszystkim, czym on nie był.

Dotyka lśniącego marmurowego nagrobka, przypominając sobie ostatni raz, kiedy widział mamę: w weekend przed jej śmiercią. Stała na progu, wciskając mu torebkę z plackami mięsnymi i lasagne domowego wyrobu. To dzięki niej zapragnął zostać kucharzem. Uścisnęła go mocno, jakby wiedziała, że robi to po raz ostatni. A potem stała, machając do niego, dopóki nie zawrócił na podjeździe. Jej uśmiech ukrywał ból, który musiała odczuwać.

– Przepraszam – mówi, czując gulę rosnącą w gardle. – Przepraszam, że nie wiedziałem, do czego on jest zdolny. Przepraszam, że nie mogłem cię ocalić.

**Daphne***Sierpień 2018 roku*

Odwiedzają mnie dziś dwie kobiety. Mają ciemne kręcone włosy, chociaż jedna jest starsza od drugiej. Młodsza z nich ma na sobie dzinsowe ogrodniczki i wygląda, jakby była w ciąży. Starsza nosi pomarańczową letnią sukienkę. Obie są piękne, ale dla mnie wszystkie młode kobiety są piękne ze swoją żywotnością, sprawnością i biodrami, które nie bolą przy chodzeniu.

– Babciu – zaczyna młodsza, siadając obok mnie na łóżku. Ostatnio spędzam w nim dużo czasu. Moje ciało nie jest już tak silne, ale nie wiem dlaczego. Kaszlę i twarz tej młodszej kobiety ściąga się z niepokoju. Przygryza dolną wargę. Starsza kobieta wydaje się wrogo nastawiona. Przypomina mi kogoś. Ta mina, to rozczarowanie we wzroku. Przypomina mi Rose.

– To ja, Saffy – mówi ciężarna kobieta. Saffy. Saffy. Z czymś mi się to imię kojarzy. Nazywa mnie babcią. Musi więc być moją wnuczką. Ta druga to pewnie jej matka. Są do siebie bardzo podobne. Ja jednak nigdy nie miałam dzieci. Wiem o tym. Pamiętałabym. Młodsza kobieta płacze, zupełnie nie wiem dlaczego. Łzy spływają jej po twarzy, kapiąc na dzinsowe nogawki ogrodniczków i zostawiając ciemne plamki. Dlaczego płaczesz, moja droga, chcę ją zapytać, ale moje usta się nie ruszają. Nie wypływają z nich żadne słowa.

Starsza kobieta staje za tą całą Saffy i ściska jej ramiona.

– Mamo – mówi, spoglądając na mnie. – To ja, Lorna. Lolly.

Lolly. Oczywiście, że to Lolly. Moja Lolly, moje ukochanie.

– Żałuję, że nie pamiętasz – dodaje łagodnie. – Szkoda, że nie pamiętasz, co się stało z Rose, której imię przejęłaś.

Oczywiście, że pamiętam.

– Żeby cię chronić – mówię nagle i oczy ich obu rozszerzają się ze zdumienia. Mój głos jest chrapliwy. Głos starej kobiety. Dłonie złożone na prześcieradle są pomarszczone i żylaste. Jestem starą kobietą. Oczywiście, że jestem. Dlaczego ciągle o tym zapominam?

Lolly podchodzi z drugiej strony łóżka i nakrywa dłońmi moje dłonie.

– Tak bardzo chcę ci wybaczyć – mówi. Jej dłonie są ciepłe, a moje bardzo zimne. – Zwłaszcza teraz. Nigdy tak naprawdę nie dowiemy się, co się wydarzyło tamtej nocy – mówi. Wpatruję się w nią. Nie jestem całkowicie pewna, o której nocy mówi. Zamykam oczy. Trzymanie ich otwartych boli. Boli mnie również w piersi i w płucach, kiedy oddycham. Słyszę głosy dwóch kobiet, dochodzące do mnie jakby z bardzo daleka. Mówią coś o Skelton Place. I o Rose.

Mojej Rose.

Zdaję sobie sprawę, że opowiadają o zbliżającej się rozprawie sądowej i o Victorze Carmichaelu. Mówią o nocy, gdy umarła Rose.

I mimo bólu w piersi i w płucach zacznym mówić.

\*

Czułam, że Rose się ode mnie oddała. To to samo uczucie, które miałam w dzieciństwie. Kiedy byłam Jean. Susan również się ode mnie oddaliła i wiedziałam, że to samo dzieje się z Rose. Zaczęło się, kiedy zabiła Neila. Nie była morderczynią. Nie umiała włożyć wszystkich złych rzeczy, które zrobiła, do pudełka w piwnicy swojego umysłu i zostawić je tam, żeby nigdy więcej nad nimi nie rozmyślać. W przeciwieństwie do mnie. To był dar. Pomógł mi żyć dalej. Ale Rose nie potrafiła w ten sposób. Musiała wierzyć, że jest dobrą osobą, życzliwą, że pewnego dnia pójdzie do nieba. Kochałam to w niej – tę niewinność. Była tchnieniem świeżości po wszystkim, przez co przeszłam, ale czasami potrafiła być również niebywale wkurzająca. Rose zbyt wiele oczekiwała od innych. Żaden człowiek nie był całkowicie dobry lub zły, ale Rose postrzegała wszystko jako czarne albo białe. Byłam świadoma, że kiedy dowiedziała się, kim naprawdę jestem, zaczęła rozważać swoje uczucia do mnie. W końcu jakoś sobie z tym poradziła, głównie dlatego, że ona też kogoś zabiła – mogła się jednak pocieszać tym, że zrobiła to z miłości i lojalności. Broniąc siebie i mnie. Mój czyn wynikał z gniewu i strachu, i tego głęboko zakorzenionego poczucia opuszczenia.

Nie wiem, co dokładnie chciałam osiągnąć, flirtując z Seanem. Ani przez chwilę nie pomyślałam o nim w taki sposób, ale chciałam, żeby Rose była zazdrosna. Pewnie pragnęłam, żeby zdała sobie sprawę, że mnie kocha. Że mnie potrzebuje. A potem, na pokazie sztucznych ogni, widziałam, w jaki sposób na mnie patrzy. Chłodno, beznamiętnie, jakby miała mnie już dość. Poczułam się



tym tak zraniona, że nie mogłam stać obok. Odeszłam więc, wmieszałam się w tłum. Kiedy Rose to zauważyła, nie wydawała się nawet specjalnie tym przejęta. Po prostu chwyciła Lolly za rękę i ruszyła przez tłum w stronę domu.

Przez jakiś czas włożyłam się po wiosce, próbując zebrać myśli i mając nadzieję, że Rose zateśni za mną i zda sobie sprawę, że jesteśmy dla siebie stworzone. Pomyślałam, że zanim wrócę do domu, jej strach przed Victorem tak ją przytłoczy, że zgodzi się na wspólny wyjazd stąd i rozpoczęcie nowego życia.

Kiedy wróciłam, Rose chodziła po kuchni z twarzą białą jak kreda. W dłoni miała nóż. Wyglądała jak piękny, nieokiełznany koń, który za chwilę stanie dęba albo pogna gdzieś galopem.

– Tutaj jesteś! – syknęła, gdy tylko weszłam. – Jak mogłaś zostawić mnie samą, tak po prostu. Wiedziałaś, jak bardzo boję się Victora.

– Rose – zaczęłam łagodnie, podchodząc do niej z wyciągniętą ręką, żeby ją uspokoić.

– Widziałam go! – krzyknęła. – Był w ogrodzie. – Machnęła nożem.

Podeszłam do okna kuchennego. Ogród był pusty, tak jak się zresztą spodziewałam.

– Rose, kochanie, odłóż ten nóż. W ogrodzie nikogo nie ma.

– Ty... ty... – Zaciskała zęby i dygotała ze strachu. A może z wściekłości? Nie byłam w stanie tego odróżnić. – Dokąd on poszedł? Co mu powiedziałaś?

– Musimy wyjechać, Rose. Skoro Victor wie, gdzie jesteś...

– Wiesz, że to nieprawda – syknęła. Jej oczy błyszczały gniewem.

– Proszę cię, Rose. Przesadzasz...

Była to najgorsza rzecz, jaką mogłam powiedzieć. Zaczęła mnie wtedy oskarżać o kłamstwa i manipulowanie nią.

– Nigdy nie powinnam ci ufać – rzuciła. – Joel miał rację.

Jej słowa raniły mnie do głębi.

– Ale przecież się kochamy.

– To był błąd – wypluła z siebie. – Muszę myśleć przede wszystkim o Lolly. Powinnaś stąd odejść. Ty i Sean...

– Między mną i Seanem nic nie ma. O czym ty mówisz?

– To koniec. Chcę, żebyś odeszła. Natychmiast!

– Ja... Co takiego? – Nie mogłam uwierzyć w to, co mówiła. – Zrywasz ze mną?

– Nie ufam ci – powiedziała ze smutkiem, odkładając nóż na blat trzęsącą się ręką. – Przykro mi, Daphne. Kocham cię, ale nie ufam ci. Uważam, że kłamiesz.

A ja – otarła łzy z oczu – nie potrafię już tak dłużej.

To się nie mogło dziać. Myślałam, że znalazłam w końcu szczęście, którego zawsze pragnęłam. Rodzinę, którą zawsze chciałam mieć. Utrata Rose to jedno, ale utrata Lolly? Kochałam tę dziewczynkę jak własną córkę.

– Nie pozwolę ci ode mnie odejść – powiedziałam, podchodząc bliżej i biorąc ją w ramiona. – Kochamy się.

– Myślę, że potrzebuję całkowitego zerwania stosunków. Nowy początek.

– Nie możesz – zawyłam. Rose odsunęła się ode mnie i otarła oczy. Jej kręcone włosy opadły na ramiona. Była niższa ode mnie o jakieś pięć centymetrów. W tej chwili wyglądała tak drobno i krucho. Byłam zdesperowana. Musiałam sprawić, że zrozumie, że popełnia największy błąd w swoim życiu.

– Zbyt wiele o sobie wiemy – zaczęłam.

– Och, tylko nie to – przerwała mi. – Ta gadka już na mnie nie działa. Nie możesz udowodnić, że zabiłam Neila.

A potem zaczęła mnie oskarżać o przeróżne rzeczy. Manipulacje i kłamstwa dotyczące Seana. Zgadła wszystko, moja słodka, sprytna Rose. Nie doceniłam jej.

Wiedziałam, że nigdy mi nie wybaczy – że ją straciłam.

To był wypadek.

Dokładnie tak samo, jak śmierć Susan Wallace. To był wypadek.

Przeszła obok mnie. Chciała odejść.

Wiedziałam tylko, że nie mogę jej na to pozwolić. I nie mogę jej pozwolić na odebranie mi Lolly.

Krew zalała mi oczy. Wszystko zdarzyło się w jednej krótkiej chwili. Chwyciłam czajnik, ten żeliwny, który podgrzewaliśmy na palniku, i rzuciłam nim w tył pięknej głowy Rose. Upadła do tyłu, zupełnie jakby mdlała. Jej oczy były okrągłe z zaskoczenia, kiedy opadała w moje ramiona. Zbyt późno zdałam sobie sprawę z tego, co zrobiłam. I trzymałam ją w ramionach, kiedy umierała. Trzymałam ją i płakałam, i powtarzałam jej, że ją kocham. Raz po raz. Ponieważ to była prawda. Poza Lolly, a potem, wiele lat później, oprócz Saffy, nigdy nie kochałam nikogo innego.

\*

Kiedy kończę wspominać, Lolly wpatruje się we mnie ze zgrozą. Usta ma otwarte, a po policzkach ściekają jej łzy. Nagle zdaję sobie sprawę, że

opowiedziałam wszystko na głos. Powiedziałam tej cudownej, wspaniałej osobie, którą kocham jak własną córkę, że zabiłam jej prawdziwą matkę.

Saffy – moja dobra, wrażliwa wnuczka – trzyma mnie za rękę i mimo wszystkiego, co usłyszała, nie puszcza. Widzę w niej Rose: tę samą prostoduszność, niewinność i wiarę. Mam tylko nadzieję, że nie zniszczyłam tego wszystkiego w duszy tego słodkiego dziecka.

– Przepraszam – mówię. W tej chwili mój umysł jest boleśnie, przerażająco klarowny.

Ponieważ prawda jest taka, że zawsze pamiętałam więcej, niż dawałam po sobie poznać. Nie zrozumcie mnie źle, naprawdę mam demencję: mój umysł zapomina i wspomnienia robią się mgliste. Nie rozpoznaję ludzi, których znam i których kocham. Kiedy jednak przychodzą owe chwile przejrzystości, pamiętam znacznie więcej z tego, co się stało – co zrobiłam – niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

A teraz wiedzą. Poznały prawdę – moją prawdę – zanim zapadnę się jeszcze głębiej w samą siebie. Ponieważ pewnego dnia przestanę mieć kontrolę nad tym, w jaki sposób przedstawię tę historię. A ja chciałam, żeby wiedziały, że nie jestem zimnym mordercą, psychopatką, że sędzia mylił się co do mnie całe te lata temu. Byłam dobrą matką i babcią.

I mimo wszystkiego, co się wydarzyło, kochałam Rose.

Naprawdę, bardzo ją kochałam.

## Epilog

### *Rok później*

Lorna przygląda się swojej rodzinie, zgromadzonej w ogrodzie na Skelton Place numer dziewięć. Dwudzielne drzwi prowadzące do nowej kuchni są szeroko otwarte. Zaraz za nimi, w cieniu siedzi Snowy, delektując się chłodem nowych płytek podłogowych. Opiera głowę na łapach. Czasami, zwłaszcza w gorący letni dzień taki jak dziś, trudno jest uwierzyć w to, co zdarzyło się tutaj niemal czterdzieści lat temu.

Od czasu do czasu, kiedy Lorna zamyka oczy przed snem, widzi Daphne, klęczącą w ogrodzie i podważającą płyty, żeby pogrzebać Rose obok Neila. Czasami obrazy są tak wyraźne, że Lorna zastanawia się, czy to przypadkiem nie stłumione wspomnienie i czy nie była świadkiem tej sceny. Pracuje nad tym ze swoją terapeutką, Felicity. Nie dziwota, że Daphne nigdy nie sprzedała chatki i że stała opuszczona przez długi czas, zanim zaczęła ją wynajmować. Nie mogła ryzykować, że ktoś odkryje ciała.

Ale Lorna nie zamierza o tym dzisiaj myśleć. Dzisiejsza scena rozgrywająca się w ogrodzie jest szczęśliwa. Słońce wisi wysoko na bezchmurnym niebie, a na trawniku Saffy i Tom gruchają nad swoją dziewięciomiesięczną córką, Freyą. Tom rozłożył dla niej kolorową matę do zabawy i mała siedzi niczym królowa, którą stała się dla nich wszystkich, w swojej małej żółtej sukieneczce, otoczona pluszowymi zabawkami i gryzakami. Saffy leży obok niej, podparta na łokciu. Lorna wie, że jej córkę zaskoczyło to, jak bardzo pokochała swoją małą dziewczynkę. Dodało jej to również pewności siebie. Saffy rozkwita, a Lorna obserwuje to z dumą. Obok Saffy i Toma, rozparci na dwóch leżakach, uśmiechając się z zadowoleniem, leżą Theo i ciężarna Jen. Udało im się po pierwszym cyklu in vitro i Jen będzie rodzić za osiem tygodni.

Wszystko się dobrze dla nich skończyło, myśli Lorna, rozglądając się dookoła, ze szklanką chłodnego Pimmsa w dłoni. Cieszy się z ich szczęścia. Naprawdę. Lubi mieszkać w Anglii – po raz pierwszy w życiu postanowiła zapuścić

korzenie w Portishead. Kupiła nawet własne mieszkanie z widokiem na przystań, w tym samym bloku, w którym wynajęła lokum zaraz po powrocie z Hiszpanii. Czasami, zwłaszcza w upalny dzień, nadal czuje się, jakby była za granicą. Nareszcie stała się właścicielką czterech kątów. Poza tym zbliżyła się do Saffy jak nigdy przedtem. Po narodzinach dziecka porozmawiały sobie od serca.

– Kocham ją tak bardzo, że aż boli mnie serce – powiedziała Saffy, gdy trzymała swoją nowo narodzoną córkę w ramionach, leżąc na porodówce. Spojrzała na Lornę ze łzami w oczach. – Przepraszam. Tak bardzo przepraszam za to, co powiedziałam, że w ciebie wątpiłam. Jesteś najlepszą mamą na świecie. I teraz już wiem... ta miłość do Freyi. Boże, oddałabym za nią życie. – Tak jak ja za ciebie.

Uśmiechnęły się do siebie nad wydłużoną główką Freyi. Był to uśmiech zrozumienia. Zrozumienia między dwiema matkami.

Spotykają się przynajmniej raz w tygodniu: czasami Saffy przyjeżdża do Portishead albo Lorna odwiedza ją w domku w Cotswolds.

Są sobie bliskie w taki sposób, w jaki nigdy nie była z Daphne. Między nimi dwiema zawsze istniała przepaść, której Lorna nie potrafiła nigdy wytłumaczyć. Teraz jednak rozumie. Na jakimś podświadomym poziomie musiała wiedzieć, że Daphne ją oszukuje.

Widuje Felicity raz na dwa tygodnie i terapeutka bardzo jej pomaga w rozprawianiu się z problemami, głównie z kwestią bycia dzieckiem dwojga morderców – nie to, że zalicza Rose i Victora do tej samej kategorii. Felicity pomogła jej również zrozumieć, że wcale nie ma robaczywego serca i genetyka nie ma tu nic do gadania. Uświadomiła również Lornie, że ta ucieka od swoich problemów, a także, że ma kłopot ze związkami romantycznymi. Jest to coś, nad czym zamierza popracować w przyszłości. Między nią i Euanem nadal jest jakaś iskra uczucia. Przyjechał nawet do niej i przenocował w nowym miejscu. Lorna nie wie, jak się to dalej rozwinie (jeżeli w ogóle), ale jest podekscytowana myślą, że prędzej czy później będzie się mogła o tym przekonać.

– No dobrze. – Theo unosi kieliszek. Tom stoi przy grillu w rogu ogrodu, z parą szczyptec w dłoni. Unosi je w ramach toastu. – Za sprawiedliwość.

– Za sprawiedliwość – powtarzają wszyscy.

– I za przyszłość – dodaje Lorna, a Jen gładzi się po brzuchu, sięgając po rękę Theo.

Wczoraj dowiedzieli się, że proces Victora, który ciągnął się od tygodni, wreszcie dobiegł końca. Victor odmówił przyznania się do popełnienia morderstwa, a układ, w którym miał zgłosić swoją winę nieumyślnego spowodowania śmierci, został odrzucony. Proces ruszył i Victora uznano za winnego zamordowania Caroline Carmichael oraz przestępstw na tle seksualnym wobec kobiet z fotografii schowanych w teczce. Dwudziestu różnych kobiet. Wyrok zostanie ogłoszony w przyszłym miesiącu. Lorna wie, że Theo nigdy nie odwiedził ojca w więzieniu. Ona również nie zamierza tego zrobić. Nie jest zainteresowana poznaniem swojego tak zwanego ojca.

Dowody na oskarżenie Victora o zabicie Rose okazały się niewystarczające. Lorna z ciężkim sercem myśli o Daphne leżącej w łóżku w domu opieki, przyznającej się do tego, co zrobiła. Był to pierwszy raz, kiedy czuła, że kobieta, którą uważała za swoją matkę, powiedziała prawdę. Ani ona, ani Saffy nie przekazały jej wyznania policji. Może zrobiłyby to, gdyby Victor został oskarżony o zabójstwo Rose.

\*

Daphne zmarła kilka dni po tamtym spotkaniu. Zapalenie płuc. Saffy przeżyła jej śmierć dużo gorzej niż Lorna. W jakiś sposób znalazła w swoim wielkim sercu wybaczenie, ale Lorna nie jest pewna, czy kiedykolwiek będzie w stanie odpuścić Daphne to, że pozbawiła ją jej prawdziwej matki – matki, którą ledwie pamięta. Na myśl o tym pęka jej serce.

Nadal nie pamięta tego, co się działo i przez co przeszła, kiedy prawdziwa Rose nagle zniknęła. Ma nadzieję, że Felicity będzie w stanie odblokować niektóre z tych wspomnień, nieważne, jak bolesne mogą być. Kiedy Lorna zaczęła nazywać Daphne „mamą”? Musiała strasznie płakać za Rose. Pewnie czuła się opuszczona, zdezorientowana i tego nigdy nie będzie potrafiła wybaczyć Daphne, nawet jeśli ta poświęciła całe swoje życie opiece nad Lorną. Nigdy nie będzie w stanie przejść do porządku dziennego nad zdradą.

Dopija swojego pimsa i idzie do kuchni po wodę. Nie może pić zbyt dużo alkoholu: po spotkaniu wraca samochodem do domu. Przechadza się po odmienionej kuchni z pięknymi nowymi jasnoszarymi szafkami w stylu szejkerskim i białymi kamiennymi blatami. Wie, że Saffy czuje się winna. Często powtarza, że ten dom tak naprawdę należy do Lorny. Ona jednak nie ma nic przeciwko temu, żeby to Saffy go miała. Jest zadowolona ze swojego

mieszkania z widokiem na morze. Znalazła sobie pracę jako managerka miejscowego butikowego hotelu w Bristolu i ma grono nowych znajomych. Po śmierci Daphne Lorna odziedziczyła resztę jej pieniędzy, a było tego znacznie więcej, niż przypuszczała. Były to pieniądze, które Daphne najwyraźniej wzięła od Rose, udając, że nią jest. Wystarczyło, żeby od ręki kupić mieszkanie.

Po aresztowaniu Victora Lorna zastanawiała się, czy Saffy będzie chciała zostać w domu na Skelton Place, ale jej córka powiedziała, że mieszkając tam, czuje się bliżej Rose. Na jej cześć posadziła przy końcu ogrodu krzew białej róży. Rósł bardzo ładnie – jego czubek sięgał już szczytu kamiennego muru.

– Wszystko w porządku, mamó? – Saffy pojawia się w kuchni, z Freyą opartą o biodro, ssącą ucho plastikowej żyrafy. Widząc Lornę, wyciąga pulchne małe rączki. Lorna z radością bierze ją na ręce, ciesząc się ciepłem wtulonego w nią małego ciała wnuczki. – Wydajesz się dzisiaj trochę... zadumana.

Lorna zaczyna robić śmieszne miny do Freyi, a potem spogląda na córkę.

– Po prostu rozmyślałam o wszystkim, co się wydarzyło.

Saffy podchodzi do wielkiej lodówki w stylu amerykańskim i napełnia szklankę Lorny wodą.

– Może zostaniesz u nas dziś na noc? Możesz się przespać w pokoju Freyi, a my weźmiemy ją do siebie. Theo i Jen zostają.

– Wiem, ale... zamierzam dzisiaj przeczytać list. Myślę, że przyszedł już na to czas, nie sądzisz? Odkładałam to wystarczająco długo.

Saffy uśmiecha się współczująco i kiwa głową.

– Muszę ci coś powiedzieć w związku z tym listem – zaczyna trochę nieśmiało.

List. Trzymała go w szufladzie, nie mając siły go przeczytać, ale teraz jest gotowa.

– O co chodzi?

– O ostatnią stronę. Nie dałam jej policji w tamtym czasie. Przepraszam. Zrozumiesz, dlaczego, kiedy ją przeczytasz. Kiedy policja zwróciła mi list, zadbałam o to, żeby dołączyć do niego ostatnią kartkę przed przekazaniem go tobie. To było zanim... zanim babcia przyznała się nam do tego, co zrobiła. Martwiłam się, że wskaże to na jej udział w przestępstwie. Wiem, że to było złe z mojej strony.

Lorna marszczy czoło.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz, kiedy przeczytasz list – powtarza Saffy. – Próbowałam po prostu chronić babcię. Naprawdę ją kochałam.

– Wiem, że ją kochałaś, słoneczko. Ja też. Muszę o tym pamiętać.  
Stają razem, ramię w ramię, z Freyą żującą zabawkę między nimi.  
– Lubię myśleć, że Rose tu jest. – Saffy spogląda w stronę ogrodu. –  
Prawdziwa Rose. Czuwająca nad nami.  
Lorna uśmiecha się do swojej córki. Zawsze romantyczka.  
Mimo to ma nadzieję, że rzeczywiście jest tak, jak mówi Saffy.

\*

Później, po powrocie do swojego mieszkania, nalewa sobie kieliszek wina i wychodzi na balkon. Słońce chyli się już ku horyzontowi. Lorna obserwuje, jak różne pary i grupki przyjaciół, wystrojone, wybierają się na wieczorny wypad do miasta. Słyszy rozmowy i śmiech osób siedzących przy stolikach w kawiarni naprzeciwko. Tak, to właśnie lubi, myśli sobie Lorna i sadowi się wygodnie z zamiarem odczytania listu od mamy. Lubi się czuć we wszystko zaangażowana. Lubi, kiedy wokoło niej ludzie wybierają się na pierwsze albo może ostatnie randki; przyjaciele i koledzy świętują lub wspominają. Lorna zastanawia się, jakiego rodzaju osobą by była, gdyby jej prawdziwa mama żyła.

Wyjmuje list z koperty. Został zapisany na papierze w linię, pożółkłym już ze starości. Każda kartka ma dwa poziome zagięcia. Lorna wpatruje się w nie przez chwilę: na kwiecisty charakter pisma mamy, wyobrażając sobie, jak ta siada, żeby napisać ten list, niemal jak pamiętnik. Przesuwa delikatnie opuszkami palców po słowie „Lolly”. Jej wzrok pada na pierwsze zdanie:

*Wioska nigdy nie wyglądała bardziej urokliwie niż tego wieczora, którego poznałam Daphne Hartall.*

Czytając, niemal słyszy głos swojej matki, melodyjny, uspokajający, jakby siedziała tuż obok. Przypominają się jej historie na dobranoc, o których już zapomniała. I kiedy słońce powoli zachodzi, a na niebie pojawiają się gwiazdy, Lorna siedzi zatopiona w świetle swojej matki, dowiadując się o jej romansie z Daphne, jej strachu przed Victorem oraz o nocy z pokazem sztucznych ogni. Nocy, kiedy mama umarła.

Dociera do ostatniej strony – ostatniego kawałka układanki – którą Saffy ukryła przed policją, próbując ochronić kobietę, którą zawsze uważała za swoją babcie.

Po skończeniu lektury przyciska list do piersi i wpatruje się w księżyc odbijający się w wodzie przystani. Łzy płyną jej po policzkach i Lorna czuje, że



wreszcie wszystko zrozumiała.

Teraz już wiesz, moja kochana córeczko, moja Lolly. Wiesz wszystko. Wysłuchałaś mojej spowiedzi. Znasz moje grzechy.

A jeśli czytasz te słowa, jeżeli znalazłaś mój list wraz z dowodami zbrodni człowieka, przed którym uciekałam, to boję się, że przytrafiło mi się coś złego.

Bo widzisz, przestałam ufać kobiecie, którą kocham. Dowiedziałam się dziś w nocy, że manipulowała mną i kłamała w najgorszy z możliwych sposobów – i myślę, że robiła to przez całą naszą znajomość. Powiedziała, że mnie kocha, i myślę, że rzeczywiście kocha mnie na swój własny pokręcony sposób. Nie mam też wątpliwości, że kocha Ciebie. Dzisiejszej nocy jednak sięgnęła nowego dna. Obawiam się, że nikt nie uchodzi z życiem, próbując porzucić Daphne Hartall.

Piszę ten list, siedząc przy Twoim łóżku, kiedy śpisz. Nocna lampka świeci w ciemnościach, a Twoje powieki drgają, kiedy o czymś śniesz. Nie chcę Cię zostawiać, moja droga córeczko. Myśl o życiu bez Ciebie bardzo boli i nigdy z własnej woli nie dopuściłabym do takiej sytuacji. Musisz to wiedzieć, kochanie.

Przed chwilą, po pokazie sztucznych ogni, myślałam, że Victor wreszcie mnie odnalazł. Myliłam się. Kiedy poczułam się na tyle odważna, żeby spojrzeć ponownie z Twojego okna na ogród, zobaczyłam, że człowiek stojący w ogrodzie to wcale nie Victor. Rozpoznałam go z pokazu sztucznych ogni. To był Sean. I w tej chwili zrozumiałam, jaką byłam idiotką, że zaufałam Daphne. Sean przypominał z daleka Victora, o czym ona niewątpliwie wiedziała. Podejrzewam, że Daphne poprosiła, żeby stanął tam i przestraszył mnie – żebym pomyślała, że Victor mnie znalazł. Myślę, że wysłała go również do kawiarni Melissy, wiedząc, że ta powie mi, iż ktoś mnie szukał. Może Daphne chciała, żeby mój strach zbliżył nas do siebie i przekonał mnie do przeprowadzki do miasta. Pewnie zdawała sobie sprawę, że mam co do niej wątpliwości i że jestem na granicy zerwania z nią.

A ja, jak to powiadają, znajduję się między młotem a kowadłem. Zaangażowanie policji w sprawę będzie oznaczało, że zostanę aresztowana za zabicie Neila Lewishama i zostaniesz mi odebrana. Postanowiłam więc zostać i walczyć.

Jeżeli coś pójdzie źle i nie wygram tej walki, chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo Cię kocham. Kocham Cię bardziej niż kogokolwiek na tym świecie. Naprawdę starałam się być najlepszą matką, jaką potrafiłam być. Starałam się zapewnić Ci bezpieczeństwo. Podjęłam kilka głupich decyzji, ale nie jestem złą osobą, proszę, uwierz w to.

Bądź dzielna, moja kochana. Moja córeczko. Nie jesteś produktem mnie lub Victora. Jesteś sobą. Bądź kobietą, którą ja zawsze pragnęłam być, moja piękna Lolly.

Z całą swoją miłością, na zawsze

Mama x

## PODZIĘKOWANIA

Zacząłam pisać tę książkę w czasie pierwszego lockdownu, kiedy wszystko było niepewne i przerażające. Uczyłam w domu dwójkę dzieci i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę w stanie skoncentrować się wystarczająco, żeby dokończyć pisanie powieści. Decyzja o umieszczeniu akcji w 2018 roku, kiedy nikt jeszcze nie spodziewał się pandemii, i to, że mogłam uciec w ten świat, pomogło mi psychicznie. Z tego powodu bohaterowie tej książki: Saffy, Lorna, Theo, Rose i Daphne zawsze będą mi szczególnie bliscy.

Książka ta nie powstałaby bez pomocy następujących osób: przede wszystkim Juliet Mushens, która jest nie tylko znakomitą, inteligentną (i najlepiej ubierającą się) agentką, ale też niezwykłą osobą, przyjaciółką i, tak jak ja, wielbicielką kotów! Nikt inny nie pokierowałby lepiej moją karierą i czuję się wdzięczna za to, że mogę być częścią Grupy Mushens. Jestem również winna podziękowania Lizie DeBlock z Mushens Entertainment za cierpliwość wobec mojego braku umiejętności organizacyjnych!

Maxine Hitchcock, mojej cudownej redaktorce, która uczyniła tę książkę tysiącrotnie lepszą, niż mogła być, poprzez swoje przemyślane, błyskotliwe i wnikliwie korekty, zachętę i życzliwość. Nie mogę się doczekać kolejnego spotkania w Bath! Również Clare Bowron – królowej publikacji – za pomoc przy drugiej i trzeciej korekcie. Ogromne dzięki dla reszty znakomitego zespołu w Michael Joseph: Rebecki Hilsdon, Bei McIntyre, Hazel Orme, Lucy Hall, Elli Watkins i wszystkich z działu sprzedaży, marketingu i sztuki za ciężką pracę i kreatywność. Jestem wdzięczna za wszystko, co robicie.

Moim zagranicznym wydawcom, zwłaszcza Penguin Verlag w Niemczech, Harperowi w USA, Nordowi we Włoszech i Foksalowi w Polsce, za niezmienną wiarę we mnie.

Moim znakomitym przyjaciółom po piórze, załodze West Country, Timowi Weaverowi i Gilly Macmillan za rozmowy przez Zoom, lunche w pubie, esemesy,

śmiej i poradę, oraz Gillian McAllister, Liz Tipping i Joannie Barnard za zabawne memy i wiadomości na WhatsAppie i za zachętę. Moim pozostałym przyjaciółkom za ciągle wsparcie – nie wymienię was wszystkich tutaj, bo na pewno kogoś bym pominęła, ale już cieszę się na nasze wyjścia na miasto w przyszłości!

Jak zawsze wielkie dzięki dla mojej rodziny i teściów – zwłaszcza dla mamy i siostry za przeczytanie tekstu przed opublikowaniem oraz za staranną korektę gramatyczną mamy! Mojemu mężowi Tyowi za omawianie zwrotów akcji i absolutną szczerość, kiedy uważa, że coś nie zadziała. Moim dwojgu dzieciom, Claudii i Isaacowi, z których jestem niezmiernie dumna. Kocham was wszystkich z całego serca.

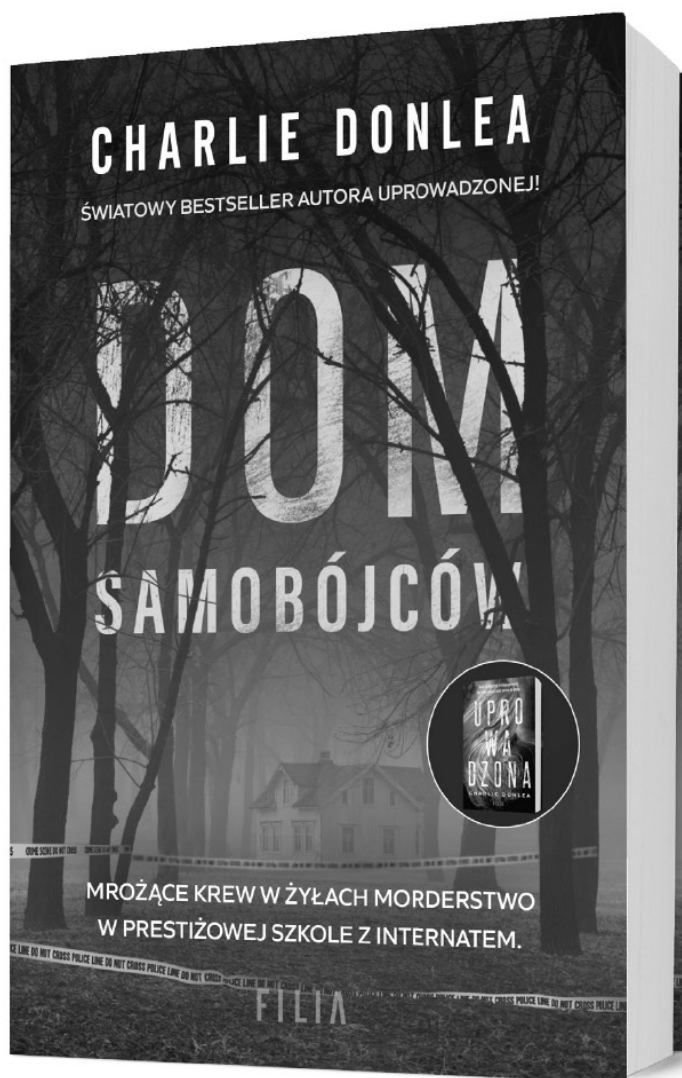
Ogromne podziękowania dla Stuarta Gibbona z Gib Consultancy za cierpliwe odpowiedzi na moje pytania dotyczące procedur policyjnych w kwestii starych pogrzebanych szkieletów i tego, w jaki sposób detektywi traktują podejrzanych z grupy ryzyka.

Wam, moi czytelnicy, dziękuję za to, że kupujecie, pożyczacie i polecacie moje książki, i za wszystkie wiadomości w mediach społecznościowych. To, co piszecie, rozjaśnia moje dni.

Blogerom i recenzentom dziękuję za wsparcie, wędrowki po blogach i za poświęcenie czasu na przeczytanie i zrecenzowanie moich książek. Jestem naprawdę bardzo wdzięczna.

Wreszcie trzem fantastycznym kobietom, których niestety już z nami nie ma: mojej prababci Elizabeth Lane, babci Rhodie Douglas oraz ciotecznej babci June Kennedy. Wszystkie trzy były ważnymi postaciami w moim życiu i wszystkie niestety zapadły na starość na okrutną chorobę Alzheimera. I chociaż z przyjemnością zawiadamiam, że żadna z nich nigdy nie miała żadnych trupów zakopanych w ogródku, ich siła i duch zainspirował mnie do napisania o Rose.

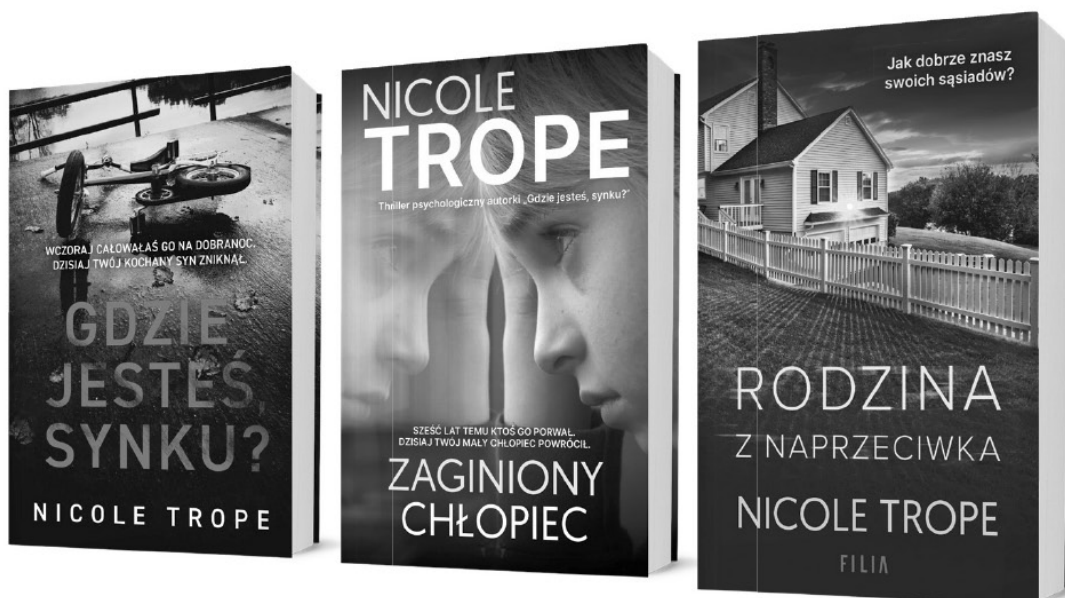
TO NIE BYŁA BANDA DZIECIAKÓW IGRAJĄCA Z OGNIEM.  
TO BYŁA CHOLERNA RZEŻ.



**MROŻĄCE KREW W ŻYŁACH MORDERSTWO  
W PRESTIŻOWEJ SZKOLE Z INTERNATEM.**

**FILIA**

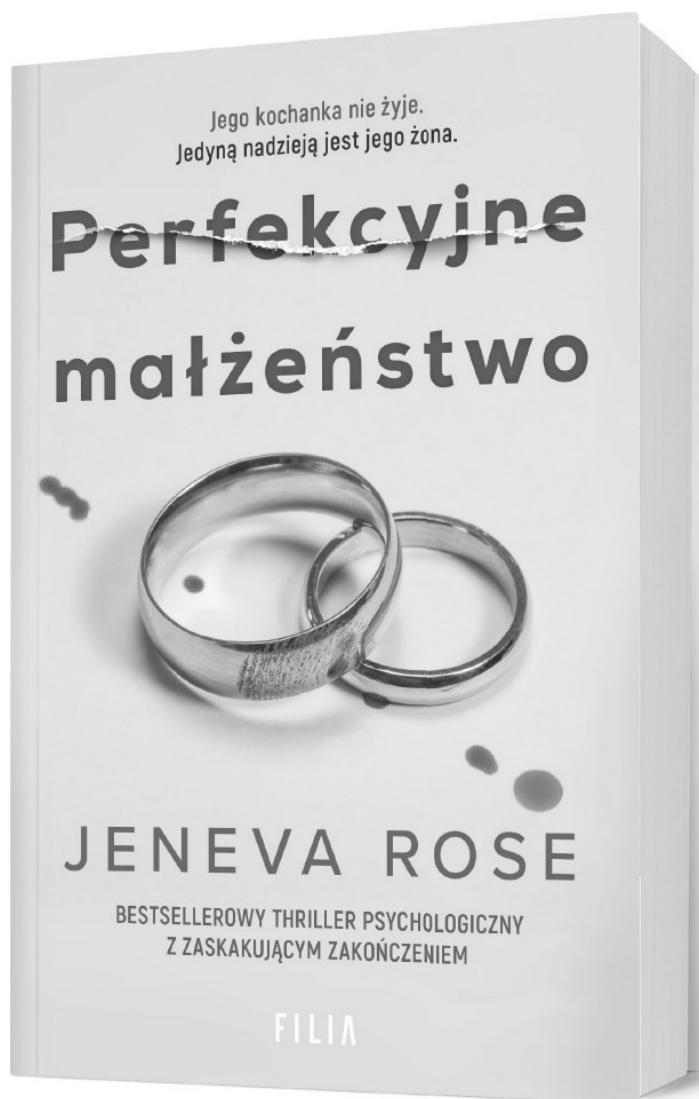
**Genialne powieści psychologiczne Nicole Trope.  
Nigdy ich nie zapomnisz.**



Chwytające za serce, zapierające dech książki, które pokazują,  
co dzieje się za zamkniętymi drzwiami i jak sekrety mogą  
zniszczyć rodzinę.

**FILIA**

Wszyscy mamy swoje prawdy,  
a to, co widzi świat, to tylko historie.



**FILIA**

# SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

## CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

## CZĘŚĆ DRUGA

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20



- 21
- 22
- 23
- 24
- 25
- 26
- 27
- 28

### CZEŚĆ TRZECIA

- 29
- 30
- 31
- 32
- 33
- 34
- 35
- 36
- 37
- 38
- 39
- 40
- 41
- 42
- 43
- 44
- 45
- 46
- 47
- 48

### CZEŚĆ CZWARTA

- 49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

## PODZIĘKOWANIA

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Couple at No. 9*

Copyright © 2021 by Claire Douglas  
Copyright for the Polish edition © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Lee Motley  
Zdjęcie na okładce:  
whitemay / iStock  
Tim Bieber / iStock  
Tim Graham / Alamy Stock Photo

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska  
Korekta: Agnieszka Czapczyk, Lidia Kozłowska  
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-723-3

**FILIA**

Grupa Wydawnicza Folia sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofolia.pl  
kontakt@wydawnictwofolia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl